

NA KSIĘŻYCU DZIEJE SIĘ COŚ DZIWNEGO...

Tunel zdawał się nie mieć końca, mimo to dotarł do jego krańca zanim to sobie uświadomił, i pospiesznie wspiał się po kolejnej drabinie. Szyb był zamknięty, lecz dostrzegł uchwyt, więc pchnął go ramieniem. Wpadł w noc... i jego zmysły zostały nagle oślepione ogromną liczbą źródeł zasilania. Mnóstwo pancarzy! Zbliżali się od tyłu dziwnymi skokami silników raketowych, czekali w rozciągającym się przed nim lesie!

Usiłował uruchomić karabin, lecz uderzyła w niego fala energii. Krzyknął, kiedy każdy implant w jego ciele zaczął protestować. Wił się rozpaczliwie, usiłując to pokonać i zachować świadomość, mimo bólu, jaki mu to sprawiało.

To było pole chwytające - nie morderczy strzał, lecz coś znacznie gorszego: urządzenie policyjne pętające z brutalną siłą jego syntetyczne mięśnie.

Pociągnięty siłą rozpędu, przewrócił się. Walczył z ogarniającą go ciemnością z całą furją rozwścieczonej woli, lecz nadaremnie.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, było szaleństwo światła, kiedy od wystrzałów energii eksplodowały drzewa. Zabrał tę wizję ze sobą w mrok, mglście świadomy, że jest ona w jakiś sposób ważna.

A potem, kiedy jego zmysły całkiem przygasły, zrozumiał. Ten ogień nie był wycelowany w niego; niszczył ziemię za nim, powalał ścigających go buntowników...

DAVID WEBER

KSIĘŻYC BUNTOWNIKÓW

(MUTENEERS' MOON)

Dahak 1

Tłumaczenie: Michał Studniarek

Księga pierwsza

Rozdział pierwszy

Na dużym mostku dowodzenia było jak zawsze cicho i spokojnie. Ciszę zakłócały tylko dźwięki zapisu otoczenia. Przez iluminatory widać było usianą gwiazdami przestrzeń i białobłękitną kulę świata, na którym toczyło się życie. Wszystko było dokładnie takie, jakie być powinno - spokojne, uporządkowane, w miarę dalekie od chaosu.

Lecz twarz kapitana Druagi była ponura. Stał obok swego fotela dowódcy, a przez jego łącza neuralne przepływały dane. Odczuwał skwierczące błyski broni energetycznej niczym dotknięcia rozpalonego żelaza. Maszynownia nie odpowiadała - nie było w tym niczego dziwnego - stracił też kontakt z systemami podtrzymywania życia jeden i trzy. Hangary zostały zamknięte przed buntownikami, lecz rzeźnicy Anu zablokowali szyby przesyłowe polami przechwytyjącymi z ciężką bronią. Nadal utrzymywał kontrolę nad systemem prowadzenia ognia i większością systemów zewnętrznych, lecz pierwszym celem buntowników był system nadawania. Wyłączyła go już pierwsza eksplozja, a nawet okręt klasy Utu miał tylko jeden hiperkom. Nie mógł ani kierować okrętem, ani zameldować, co się stało, a wierni mu członkowie załogi przegrywali.

Druaga rozluźnił mięśnie szczęki, zanim zetrą mu się od tego zęby. Od siedmiu tysięcy lat, gdy Czwarte Imperium wyczołgało się z powrotem w kosmos z ostatniego ocalałego świata Trzeciego, na pokładzie flagowego okrętu Floty Wojennej nigdy nie doszło do buntu. W najlepszym razie przejdzie do historii jako kapitan, którego załoga zwróciła się przeciwko niemu i została przykładowo ukarana. W najgorszym razie w ogóle nie przejdzie do historii.

Raport o stanie okrętu dobiegł końca. Kapitan westchnął.

Buntowników nie było wielu, lecz mieli przewagę wynikającą z zaskoczenia, a Anu działał rozważnie. Druaga parsknął; bez wątplenia wykładowcy z Akademii byłiby dumni z jego taktyki. Dobrze - i dzięki za to Stwórcy! - że był zaledwie głównym inżynierem, a nie oficerem mostka. O pewnych kodach rozkazów w ogóle nie miał pojęcia.

- Dahak - rzekł.

- Tak, kapitanie? - spytał spokojny, miękki głos.

Wypełniał cały mostek, dobiegał zewsząd i jednocześnie znikąd.

- Jak szybko buntownicy dostaną się do punktu dowodzenia numer jeden?

- Trzy standardowe godziny, kapitanie, plus minus piętnaście procent.

- Nie można ich zatrzymać?

- Odpowiedź negatywna, kapitanie. Kontrolują wszystkie dojścia do punktu dowodzenia i niemal wszędzie odpierają ataki lojalnego personelu.

Pewnie, pomyślał gorzko Druaga. Mają pancerze bojowe i ciężki sprzęt, czego nie można

powiedzieć o większości wiernej mu załogi.

Rozejrzał się jeszcze raz po opustoszałym mostku. Działa były nieobsadzone, a planszet, inżynieria, komputer bojowy, astrogacja... Kiedy ogłoszono alarm, tylko on zdołał dotrzeć na swoje stanowisko, nim buntownicy odcięli zasilanie wind. Tylko on. Aby tu dojść, musiał zabić dwóch zbuntowanych członków

- Dobrze, Dahak - powiedział ponuro do wszechobecnego głosu. - Skoro mamy tylko system podtrzymywania życia numer dwa i systemy uzbrojenia, wykorzystajmy je. Odetnij z obwodu systemy podtrzymywania życia numer jeden i trzy.

- Wykonane - oznajmił prawie natychmiast głos - lecz przywrócenie ich na ręcznym sterowaniu zajmie buntownikom najwyżej godzinę.

- Wiem, ale tyle czasu wystarczy. Alarm czerwony dwa wewnętrzny.

Nastąpiła chwila ciszy, Druaga stłumił gorzki uśmiech.

- Nie ma pan skafandra, kapitanie - powiedział obojętnie głos. - Jeśli wprowadzi pan alarm czerwony dwa, zginie pan.

- Wiem. - Druaga żałował, że nie jest tak spokojny, jak można by sądzić po brzmieniu jego głosu, gdyż wiedział, że bioodczyty „Dahaka” i tak wykryją kłamstwo. Mimo to była to jedyna szansa, jaką miał - a raczej jaką miało Imperium.

- Wykonasz ostrzegawcze odliczanie do dziesięciu minut - powiedział, siadając na swoim fotelu. - To da wszystkim czas na dotarcie do kapsuł. Kiedy już się ewakuują, nasza zewnętrzna broń stanie się aktywna. Wtedy natychmiast przeprowadzisz dekontaminację, lecz pozwolisz ponownie wejść na pokład tylko lojalnym członkom załogi, dopóki nie otrzymasz innych rozkazów od... swego nowego kapitana. Zanim lojalni oficerowie przejmą dowodzenie, każdy zbuntowany członek załogi, który zbliży się na odległość pięciu tysięcy kilometrów, ma zostać zlikwidowany.

- Zrozumiano - Druaga gotów był przysiąc, że głos wypowiedział to słowo znacznie ciszej - jednak rdzeń głównego komputera domaga się zatwierdzenia rozkazu.

- Alfa-Osiem-Sigma-Dziewięć-Dziewięć-Siedem-Delta-Cztery-Alfa - powiedział obojętnie.

- Kod potwierdzenia rozpoznany i przyjęty - odparł głos. - Proszę określić czas wykonania.

- Natychmiast - rzekł Druaga, zastanawiając się, czy powiedział to wystarczająco szybko, aby nie stracić panowania nad sobą.

- Przyjęto. Zamierza pan wysłuchać odliczania, kapitanie?

- Nie, Dahak - szepnął Druaga.

- Zrozumiano - odparł głos.

Kapitan zamknął oczy.

To drastyczne rozwiązanie... o ile w ogóle można je nazwać „rozwiązaniem”. Alarm czerwony dwa wewnętrzny to niemal ostatnie stadium obrony przeciw wtargnięciu wrogów.

Otwierał wszystkie szyby wentylacyjne - można to było uczynić dopiero na wyraźny, potwierdzony rozkaz dowódcy okrętu - by zalać cały okręt środkami chemicznymi i radioaktywnymi. Z założenia docierały one w każdy zakamarek, nawet tutaj. Okręt nie nadawał się już do zamieszkania i stawał się śmiertelną pułapką, a dekontaminację mógł przeprowadzić tylko główny komputer, nad którym on sprawował kontrolę.

System jeszcze nigdy nie był w takiej sytuacji, lecz powinien zadziałać. Buntownicy i lojalni członkowie załogi będą zmuszeni do ucieczki, a żadna ze zbudowanych do tej pory kapsuł nie zdoła oprzeć się broni „Dahaka”. Rzecz jasna Druaga nie przeżyje tak długo, by zobaczyć koniec, lecz przynajmniej jego okręt zostanie ocalony dla Imperium.

A jeśli czerwony dwa zawiedzie, zawsze pozostaje czerwony jeden...

- Dahak - powiedział nagle, nie otwierając oczu.

- Tak, kapitanie?

- Rozkaz kategorii pierwszej - powiedział oficjalnie.

- Nagrywam.

- Ja, starszy kapitan Floty, Druaga, oficer dowodzący okrętem Floty Imperialnej „Dahak”, numer kadłuba jeden-siedem-dwa-dwa-dziewięć-jeden - powiedział jeszcze bardziej oficjalnie - stwierdzam, że na pokładzie mojego okrętu pojawiło się zagrożenie pierwszej kategorii, i postępując zgodnie z rozkazem Floty numer siedem-jeden, rozdział jeden-dziewięć-trzy podrozdział siedem-jeden, wydaję rozkaz kategorii pierwszej głównemu komputerowi „Dahaka”. Kod zatwierdzający: Alfa-Osiem-Sigma-Dziewięć-Dziewięć-Siedem-Delta-Cztery-Alfa.

- Kod rozpoznany i przyjęty - odpowiedział chłodno głos. - Przyjmuję rozkazy kategorii pierwszej. Proszę je wydać.

- Pierwszym zadaniem tej jednostki jest stłumienie buntu personelu zgodnie z wydanymi już rozkazami - powiedział sucho. - Jeśli wcześniej określone środki nie pozwolą lojalnemu personelowi na przejęcie kontroli nad okrętem, rzeczeni buntownicy zostaną zlikwidowani wszelkimi możliwymi sposobami, łącznie z wprowadzeniem stanu czerwony jeden wewnętrzny i całkowitym zniszczeniem okrętu. Rozkazy te mają priorytet alfa.

- Przyjęte - powiedział głos. Druaga oparł głowę na wyściełanym zagłówku. Zrobione. Nawet jeśli Anu zdoła w jakiś sposób dotrzeć na mostek, nie będzie mógł anulować rozkazu, który właśnie wydał „Dahakowi”.

Kapitan odprężył się. Przynajmniej, pomyślał, nie powinno zbyt boleć.

- ...więc minut... - oznajmił głos komputera pokładowego i kapitan Anu, główny inżynier okrętu „Dahak”, zaklął. Przeklęty Druaga! Nie spodziewał się, że kapitan dotrze żywy na mostek, a co dopiero to... Zawsze uważał go za pozbawiony wyobraźni, schematycznie wypełniający swe obowiązki automat.

- Co robimy, Anu?

Oczy komandor Inanny błyszczały gniewnie przez wizjer pancerza.

- Wycofać się do komory dziewięćdziesiąt jeden - warknął wściekle.

- Ale...

- Wiem, wiem! Sami musimy z nich skorzystać. A teraz zabierzcie stąd swoich podwładnych, pani komandor!

- Tak jest - odparła komandor Inanna, Anu zaś skoczył do środkowej windy. Jej ściany trzeszczały, choć nie wyczuwał żadnego ruchu. Wykrzywił usta w pełnym złości grymasie. Pierwsza próba zawiodła, lecz ma w zanadru jeszcze parę niespodzianek. Sztuczek, o których nie wie Druaga, niech go Niszczyciel porwie!

* * *

Z „Dahaka” wystrzeliły stada miedzianych rybek. Kapsuły wypełnione lojalnymi członkami załogi przeleciały nad pokrytą lodem powierzchnią obcej planety, szukając na niej schronienia. Wśród nich znajdowały się inne, większe kształty - choć przy głównym okręcie wyglądały niczym pyłki, ich masę liczone w milionach ton - które spadały razem, wyprzedzając mniejsze kapsuły. Anu nie zamierzał pozostawać w przestrzeni, gdyż Druaga - zakładając, że jeszcze żyje - mógłby wykorzystać uzbrojenie „Dahaka”, by wybić ich lecące z szybkością podświetlną okręty-pasożyty tak łatwo, jak dziecko łapie muchy.

Inżynier siedział na fotelu dowodzenia okrętu „Osir” i przyglądał się, uśmiechając się paskudnie, jak ogromny zakamuflowany kadłub macierzystej jednostki maleje w oddali. Potrzebował tego okrętu, by wypełnić swoją misję, i nadal może go zdobyć. Kiedy programy, które ukrył w komputerach inżynierskich, wykonają swoją robotę, wszystkie siłownie na „Dahaku” zmienią się w stos szmelcu. Zasilanie awaryjne podtrzyma przez jakiś czas działanie głównego komputera, lecz kiedy i ono się wyczerpie, komputer padnie.

A wtedy wrak „Dahaka” będzie należeć do niego.

- Wchodzimy w atmosferę, sir - powiedziała komandor Inanna ze swojego stanowiska pierwszego oficera.

Rozdział drugi

- Papa-Mike, tu X-Ray Jeden, czy mnie słyszysz?: Radar komandora podporucznika Colina McIntyre' a zapiszczał cicho, gdy akcelerator masy typu Copernicus cisnął kolejnych kilka ton księżycowych skał w stronę statków przechwytyjących habitatu Eden Trzy. Obserwował ich ślad na radarze, ciesząc się samotnym lotem i czekając na odpowiedź drugiego punktu kontrolnego na Tierieszkowej.

- X-Ray Jeden, tu Papa-Mike - potwierdził głęboki głos. - Kontynuuj.

- Papa-Mike, tu X-Ray Jeden. Wejście na orbitę zakończone. Stąd wygląda to dobrze. Over.

- Potwierdzam, X-Ray Jeden. Chcesz wcześniej zrobić parę kółek na orbicie?

- Nie, Papa-Mike. Przecież chodzi o to, że mam to zrobić sam, prawda?

- Zrozumiano, X-Ray Jeden.

- No to do roboty. Mam zielone światło, Pasha. Potwierdzasz?

- Potwierdzam, X-Ray Jeden. Widzimy, że zbliżasz się do krańca naszego zasięgu, Colin.

Za dwadzieścia sekund stracimy kontakt. Możesz zaczynać ćwiczenie.

- Papa-Mike, X-Ray Jeden potwierdza. Do zobaczenia za chwilę.

- Roger, X-Ray Jeden. I tak ty stawiasz.

- Jak cholera - roześmiał się McIntyre.

Nie wiadomo, co mógłby odpowiedzieć Papa Mike, gdyż łączność została odcięta, gdy X-Ray Jeden zniknął za horyzontem Księżyca.

MacIntyre wyjątkowo starannie przejrzał listę rzeczy do sprawdzenia. Planujący tę misję musieli bardzo się napracować, aby wybrać orbitę, która byłaby z dala od ruchu po widzialnej stronie Księżyca i jednocześnie zajmowała niezbadaną część powierzchni. Po ciemnej stronie było zaledwie kilka obserwatoriów i stacje radiowe dalekiego zasięgu. Jak się okazało, wyznaczona trasa, łącząca dziewiczy teren z bliską orbitą, która była niezbędna dla przyrządów badawczych, jednocześnie utrzymywała go z dala od reszty świata, co w dzisiejszych czasach było czymś niezwykłym nawet dla astronautów.

Skończył sprawdzanie listy i aktywował przyrządy, po czym usiadł i zaczął nucić, bębniąc palcami w oparcie swojego fotela antyprzeciążeniowego, a tymczasem komputer pokładowy przeliczał programy misji. Zawsze mógł się trafić jakiś błąd, a kiedy już się zdarzył, niewiele mógł zdziałać. Był pilotem, i choć doskonale znał elektroniczne wnętrza swojego pojazdu rozpoznawczego beagle trzy, miał tylko mgliste pojęcie, jak działa ten zestaw instrumentów.

Poziom rozwoju technologicznego siedemdziesiąt lat po Armstrongu był tak wysoki, że każdy specjalista postawiony wobec problemu wykraczającego poza jego dziedzinę był bezradny

jak dziecko. Naukowcom z zespołu nauk geologicznych w Centrum Sheperd udało się stworzyć generację wyjątkowo skomplikowanych guzików i dźwigni. „Rezonans grawitoniczny” to wspaniałe określenie... ale MacIntyre często żałował, że nie wie, co tak naprawdę oznacza, choć nie na tyle, by spędzić następnych sześć czy osiem lat na zdobywaniu dodatkowego stopnia naukowego, więc zadowolił się zrozumieniem, co ten planetarny proktoskop” (jak ochrzcił go jakiś anonimowy dowcipniś) robi, a nie jak to robi.

Silniki manewrowe pchnęły jego beagle’a dokładnie na określony kurs. McIntyre popatrzył na odczyty. To przynajmniej rozumiał. I bardzo dobrze, ponieważ został kandydatem na pierwszego pilota rozpoznawczego do misji „Prometeusz” i...

Nagle przerwał nucenie i zmarszczył brwi. Coś dziwnego. Usterka?

Nacisnął kilka klawiszy i jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Według diagnostyki wszystko działało idealnie, lecz cokolwiek można by powiedzieć o Księżycu, na pewno nie jest w środku wydrążony.

Potarł swój wydatny nos, czekając, aż na ekranach pojawią się dane. Stojąca obok drukarka zaszumiała i wypuła graficzne odzwierciedlenie gołych liczb. Znowu potarł nos. Według tych informacji na dole pracował jakiś wyjątkowo aktywny kret. Wyglądało to tak, jakby pod osiemdziesięcioma kilometrami solidnej księżycowej skały znajdował się rozległy labirynt tuneli, przejść i Bóg wie czego jeszcze!

Zaklął pod nosem. Nie minął jeszcze rok od początku misji i oto jeden z podstawowych instrumentów mierniczych - i to projektu NASA! - postanowił zwariować. Lecz podczas testów w atmosferze nad Nevadą i Syberią wszystko szło dobrze, więc co się teraz stało?

Nagle poderwał go alarm zbliżeniowy. A niech to! Jest tu całkiem sam, więc co to może być?!

„To coś” okazało się migającą na ekranie radaru plamką; była mniej niż sto kilometrów za rufą i szybko się zbliżała. Jak coś tak wielkiego mogło tak bardzo się zbliżyć, zanim radar go wychwycił? Według instrumentów było wielkości przynajmniej starych dopalaczy Saturn V!

Szczęka mu opadła, gdy pojazd wykonał natychmiastowy zwrot o dziewięćdziesiąt stopni. Najwyraźniej nie dotyczyły go prawa dynamiki! Co gorsza, manewrował tak, by dostać się na jego orbitę. Potem obcy pojazd zwolnił, aby się z nim zrównać.

Opanowanie było jedną z cech Colina McIntyre’a, dla których wybrano go do załogi pierwszej wspólnej radziecko-ame-rykańskiej misji międzygwiazdnej, lecz nawet jemu zjeżyły się włosy na karku, gdy jego pojazd nagle się zatrząsł. Było to tak, jakby nagle coś dotknęło pancerza beagle’a - coś na tyle masywnego, że wstrząsnęło ważącym setki ton, odpornym na wejście w atmosferę pojazdem kosmicznym o zmiennej geometrii.

Ta myśl wyrwała go z zaskoczenia. Nieważne, co to jest, ale skoro nikt go o tym nie

uprzedził, to znaczy, że nie jest to ani własność Amerykanów, ani Rosjan. Jego ręce same wyciągnęły się do konsoli manewrowej, aby uruchomić silniki manewrowe. Beagle zatrząsał się, ale nie ruszył z miejsca. Po twarzy Mac-Intyre'a spłynął zimny pot; lecieli dalej po swojej orbicie, na niezmięionej wysokości. To nie mogło się zdarzyć... ale przecież to wszystko nie powinno się zdarzyć, prawda?

Nacisnął kilka innych klawiszy. Typ beagle dysponował olbrzymią masą manewrową - był przystosowany do długich tras, a przed odlotem zatankował na rosyjskiej platformie Gagarina - więc gdy ożyły główne silniki, statek aż się zatrząsał.

Pełen ciąg powinien wcisnąć go w fotel i posłać statek do przodu, a tymczasem skutek był taki sam, jak po uruchomieniu silników manewrowych: pojazd tylko się zakołysał. Wreszcie beagle zaczął się ruszać... lecz nie oddalał się od obcego, tylko sunął ku niemu!

Umysł Colina zaczął pracować pełną parą. Jedyne rozsądne wyjaśnienie jest to, że obcy pojazd chwycił go jakimś... promieniem ściągającym, a to by znaczyło, że ten punkcik na radarze nie jest wytworem żadnej ziemskiej technologii. Nie mełł już takich słów, jak „niemożliwe” czy „niewiarygodne”, bo aż nazbyt wyraźnie widział, że to jest możliwe. Jakiś trudny do wyobrażenia kaprys losu sprawił, że Ktoś Inny pojawił się właśnie wtedy, gdy Ludzkość zamierzała sięgnąć do gwiazd.

Niezależnie od tego, kim Oni są, nie mógł uwierzyć, że przypadkowo pokazali się właśnie teraz, kiedy był po ciemnej stronie i miał odciętą łączność. Najwyraźniej czekali na niego albo kogoś takiego jak on, musieli więc od jakiegoś czasu obserwować Ziemię. A jeśli tak było, mieli czas, aby jakoś zaznaczyć swoją obecność... i nasłuchiwać ziemskich sygnałów komunikacyjnych. Najprawdopodobniej wiedzieli, jak nawiązać z nim kontakt, lecz postanowili tego nie robić. Zapowiadało to wiele różnych rzeczy, a żadna z nich nie była specjalnie miła. Najważniejsza była taka, że zamierzają zabrać go wraz z beaglem i całą resztą. Ale Colin McIntyre nie zamierzał im na to pozwolić, jeśli tylko będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia.

Przez głowę przelatywały mu szczegółowe instrukcje misji „Prometeusz”, zwłaszcza zalecenia powstrzymania się od pierwszego kontaktu. Jednak czym innym jest powstrzymać się od pościgu za obcymi, na których się przypadkiem natknęło, a czym innym sytuacja, gdy spadają na ciebie i zaczynają cię ciągnąć niczym schwytaną rybę!

Uniósł plastikową osłonę panelu kontroli ognia. Wielokrotnie wyrażano sprzeciw wobec uzbrajania „pokojowych” sond międzygwiazdnych, lecz na szczęście wojskowi, którzy dostarczali większości pilotów, mieli w tej sprawie ostatnie słowo; teraz, gdy systemu obrony ożyły, McIntyre podziękował im po cichu, że to misja szkoleniowa z pełnym wyposażeniem. Przekazał dane namierzające z radaru i już sięgał do przycisku strzału, lecz nagle się zatrzymał. Nie próbowali się z nim porozumieć, a on także tego nie zrobił.

- Nieznany pojazd, tu NASA Papa-Mike X-Ray Jeden - powiedział ochryplym głosem do radia. - Uwolnijcie mój statek i oddalcie się.

Nie nadeszła żadna odpowiedź. Popatrzył na punkcik na radarze.

- Uwolnijcie mój statek albo otworzę ogień!

Nadal nie było żadnej odpowiedzi. Zacisnął wargi. Dobrze. Skoro te żalosne dranie nie chcą nawet rozmawiać...

Z beagle'a wystrzeliły trzy małe, lecz potężne pociski. Nie były to pociski atomowe, lecz każdy z nich był wyposażony w trzystukilową głowicę, a do tego miały idealny namiar. Co-lin śledził ich lot na radarze.

Nic się nie stało.

Komandor MacIntyre opadł na swój fotel. Pociski nie zostały oszukane przez systemy zagłuszające ani nie wybuchły przed osiągnięciem celu. Po prostu... zniknęły, a płynące z tego wnioski były niepokojące. Bardzo niepokojące.

Wyłączył silniki. Nie było powodu, by tracić paliwo, zresztą zaraz razem z porywaczem wejdą w zasięg łączności Heinleina.

Usiłował sobie przypomnieć, czy obecnie w powietrzu są też inne beagle. Sądząc po swojej własnej porażce, należałoby się spodziewać, że one również nie odniosą zwycięstwa nad Kimkolwiek-By-Oni-Byli, zwłaszcza że żaden z pozostałych przebywających w pobliżu statków nie był uzbrojony. Przypuszczał, że na Tierieszkowej jest Wład Czernikow, lecz plany lotów członków misji tak często się zmieniały, że trudno było za nimi nadążyć.

Jego beagle nadal zbliżał się do intruza, potem zaczął powoli obracać się do niego dziobem. Komandor rozsiadł się wygodnie i popatrzył przez iluminator. Powinien coś zobaczyć...

Tak, byli tam. Czuł się bardzo rozczarowany. Tak naprawdę nie wiedział, czego powinien się spodziewać, lecz ten płaski, gładki, zaokrąglony na krańcach cylinder nie był tym, czego oczekiwał. W tym momencie był jakiś kilometr od niego. Poza tym, że był to najwyraźniej wytwór czyichś rąk, wydawał się zaskakująco mało dramatyczny. Nie widać było żadnych silników, klap, otworów, systemów łączności... Tylko gładki, odbijający światło metal; przynajmniej sądził, że to metal.

Sprawdził swój chronometr; łączność mogła w każdej chwili wrócić. Jego usta rozciągnęły się w pozbawionym radości uśmiechu na myśl, jak baza Heinlein zareaguje, gdy zobaczy na swoim radarze taką parę. To będzie...

Zatrzymali się. Tak po prostu, bez żadnego widocznego zwalniania.

Przez chwilę gapił się na intruza z niedowierzaniem. Uświadomił sobie bowiem, że cylinder nie porusza się względem powierzchni Księżyca, nie wznosi się ani nie opada. Fakt, że intruz mógł to robić, był znacznie bardziej przerażający niż to wszystko, czego do tej pory doświadczył.

Przerażenie pogłębiała jeszcze znajomość własnego kokpitu, dlatego komandor zacisnął dłonie na oparciu fotela, walcząc z irracjonalnym przekonaniem, że musi zaraz spaść.

Wtedy obcy znowu zaczęli się poruszać, tą samą drogą, którą przybyli, z niemożliwą do opisania szybkością, a do tego zupełnie bez wrażenia przyspieszenia. Położenie beagle'a względem cylindra znów się zmieniło; teraz leciał za nim, a zaokrąglony koniec znajdował się jakieś kilkaset metrów od jego własnych silników. W dole widać było rozmytą powierzchnię Księżyca.

Nagle beagle i jego porywacz zniżyli lot, kierując się w stronę niedużego krateru. Palce stóp Colina podkurczyły się, a dłonie bezskutecznie usiłowały się oderwać od oparcia fotela. Uporczywie zmagął się z paniką, nie chcąc się jej poddać, lecz kiedy krater nagle się otworzył, z jego ust wyrwało się westchnienie ulgi.

Cylinder zwolnił do szybkości kilkuset kilometrów na godzinę, a McIntyre poczuł zbliżające się objawy katatonii, lecz coś kazało mu z nią walczyć równie zaciekle, jak wcześniej zmagął się z paniką. Cokolwiek go złapało, nie chce, na miłość boską, aby go znaleźli zwiniętego w kłębek i zaślinionego!

Lecieli ogromnym tunelem o średnicy ponad dwustu metrów, oświetlonym migoczącym pasem światła. Kamienne ściany dziwnie błyszcząły, jakby kamień był gładko wypolerowany. Potem przecisnęli się przez wielowarstwowy właz, tak wielki, że mogłyby nim lecieć obok siebie dwa transporty - ce, i nagle tunel stał się metalowy. Przypominał brąz i ciągnął się tak daleko, że nawet jego potężny wylot miał wielkość świecącej kropki.

Ich szybkość nadal malała; mijali dziesiątki włazów, które były tak wielkie, jak ten, którym wlecieli do tej niewiarygodnej metalowej gardzieli. Umysł komandora kurczył się na samą myśl o wielkości tej konstrukcji, lecz zachował dość równowagi, by przeprosić w duchu projektantów proktoskopu.

Nagle jeden z włazów odskoczył z szybkością atakującego węża. Ten, kto kierował ich lotem, zmusił ich do skrętu, przeprowadził elegancko przez otwór i bez problemów posadził na posadzce wykonanej z tego samego, podobnego do brązu stopu.

Byli w słabo oświetlonej metalowej jaskini, szerokiej może na kilometr, w której stały równo zaparkowane identyczne cylindry. Colin wyjrzał przez okienko, żałując, że na liście uzbrojenia beagle'a nie ma osobistej broni. Choć po zniknięciu raket nie sądził, by coś to dało, można by jednak spróbować.

Obliznął nerwowo wargi. Ogromny rozmiar budowli wykluczała możliwość, że przybysze dopiero niedawno odkryli Układ Słoneczny, ale jak to zrobili, skoro nikt tego nie zauważył?

A potem ożyło radio.

- Dobry wieczór, komandorze McIntyre - powiedział łagodnie głęboki, spokojny głos. - Proszę wybaczyć, że przybył pan tutaj w tak niekonwencjonalny sposób, lecz nie miałem innego

wyboru. Obawiam się, że pan również.

- K...kim jesteś? - spytał nieco ochryple McIntyre, po czym znowu przełknął ślinę. - Czego ode mnie chcesz? - dodał już wyraźniej.

- Obawiam się, że odpowiedź na te pytania będzie nieco skomplikowana - odparł głos z niezmaconym spokojem. - Może mnie pan nazywać Dahak, komandorze.

Rozdział trzeci

McIntyre zrobił głęboki wdech. Wreszcie się odezwali. I to po angielsku. Spowodowało to niewielki przypływ uzasadnionego oburzenia.

- Twoje przeprosiny miałyby nieco większą wartość, gdybyś zechciał połączyć się ze mną, zanim mnie porwałś - powiedział zimno.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł porywacz - lecz było to niemożliwe.

- Doprawdy? Wydaje mi się, że poradziliście sobie z tym problemem. - McIntyre ucieszył się, że nadal stać go na ironię w głosie.

- Wasze urządzenia łączności są dość prymitywne, komandorze. - Te słowa brzmiały niemal przeproszająco. - Mój tender nie jest tak wyposażony, by móc się z nimi połączyć.

- Ale tobie idzie całkiem nieźle. Dlaczego więc ty nie chciałeś ze mną rozmawiać?

- To było niemożliwe. System maskujący tendera osłaniał zarówno pana, jak i jego samego polem odpornym na transmisje radiowe. Mogłem łączyć się z nim za pomocą moich systemów łączności, lecz nie miałem możliwości przesłania swoich słów do pana. Jeszcze raz przepraszam za niedogodności, jakie pana spotkały.

McIntyre stłumił chichot na myśl, jak spokojnie ten cały Dahak wypowiedział to eleganckie słowo „niedogodność”, które było o tysiąc procent dalekie od prawdy. Przeciągnął drżącymi palcami po jasnobrazowych włosach, czując się tak, jakby wypił o jednego czy dwa kielichy za dużo.

- Dobra... Dahak. Masz mnie. Co zamierzasz ze mną zrobić?

- Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby opuścił pan swój pojazd i przyszedł na mostek dowodzenia, komandorze.

- Tak po prostu?.

- Słucham?

- Chcesz, abym wysiadł ze statku i tak po prostu się poddał?

- Przepraszam. Minęło trochę czasu od chwili, kiedy porozumiewałem się z człowiekiem, więc mogłem nieco wyjść z wprawy. Nie jest pan więźniem, komandorze. A może jednak pan nim jest. Powinienem traktować pana jako honorowego gościa, lecz szczerłość zmusza mnie do przyznania, że nie mogę pozwolić, aby pan stąd odszedł. Zapewniam pana jednak na honor Floty, że nie stanie się panu żadna krzywda.

Choć brzmiało to nieco dziwacznie, McIntyre poczuł niepokojącą chęć, aby w to uwierzyć. Ten Dahak mógł skłamać i obiecać, że go odeśle do ludzkości jako swego przedstawiciela, a jednak

tak się nie stało. Słowa „nie mogę pozwolić, aby pan stąd odszedł” były mocno przerażające, lecz czyż taka otwartość nie stanowi gwarancji uczciwości? Nawet jeśli Dahak jest notorycznym kłamcą, to i tak nie ma wyjścia.

Zapasy wystarczą mu nawet na trzy tygodnie i przez ten czas może się ukrywać w beagle’u, założywszy, że Dahak mu na to pozwoli. Ale co potem? Ucieczka najprawdopodobniej jest niemożliwa, więc jedynym rozwiązaniem jest opuszczenie statku.

Poza tym Colin czuł przemożną niechęć do pokazania, jak bardzo jest przestraszony.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Przyjdę.

- Dziękuję, komandorze. Atmosfera jest odpowiednia, choć może pan założyć skafander, jeśli pan woli.

- Dziękuję. - Sarkazm w głosie McIntyre’a był odruchowy. Westchnął. - Sądzę zatem, że jestem gotów.

- Dobrze. Do pańskiej maszyny zbliża się pojazd. Powinien go pan zobaczyć po swojej lewej stronie.

McIntyre przekreślił głowę i dostrzegł, że do kadłuba zbliża się gwałtownie pojazd w kształcie pocisku i wielkości niewielkiego samochodu, unoszący się stopę czy dwie nad ziemią. Z otworu błysnęło światło, które w spowitej półmrokiem metalowej jaskini wydawało się jasne i zapraszające.

- Widzę - powiedział, stwierdzając z zadowoleniem, że jego głos znowu brzmi normalnie.

- Świetnie. Czy mógłby pan zatem przejść na jego pokład?

- Już idę. - Odpiął pasy i wstał.

I wtedy odkrył kolejną niezwykłą rzecz. Spędził tak dużo czasu na Księżycu, zwłaszcza przez ostatnie trzy lata, gdy przygotowywał się do misji „Prometeusz”, że przyzwyczyił się do zmniejszonego ciężenia, toteż teraz niemal padł na twarz.

Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Grawitacja była niemal identyczna jak standardowa, a to znaczy, że te pajace potrafią ją włączać na życzenie!

Właściwie dlaczego nie? Po prostu ci... powiedzmy, ludzie... znacznie wyprzedzają jego technologię dwudziestego pierwszego wieku, prawda?

Gdy otwierał wąż, mimo zapewnień Dahaka jego mięśnie napięły się, lecz powietrze, które go owiało, wcale go nie zabiło. Prawdę mówiąc, pachniało lepiej niż to we wnętrzu beagle’a. Było świeże i nieco chłodne, z nutą jakiegoś pikantnego, nieco sosnowego zapachu, i kiedy wziął głębszy oddech, nieco się rozluźnił. Naprawdę trudno bać się obcych, którzy oddychają czymś takim - zakładając, że nie przygotowali tego wyłącznie dla niego.

Do ziemi było jakieś cztery i pół metra; schodząc po uchwytach ratunkowych, żałował, że gospodarze jednak włączyli grawitację. Podszedł ostrożnie do czekającego pojazdu.

Wyglądał całkiem niewinnie. Wewnątrz znajdowały się dwa wygodne fotele przygotowane dla kogoś o ludzkich wymiarach, lecz nigdzie nie widać było tablicy rozdzielczej. Najbardziej jednak interesującą rzeczą był fakt, że górna część karoserii była przezroczysta... ale tylko od wewnątrz. Z zewnątrz wyglądała dokładnie tak samo, jak ziemia pod jego nogami.

Wzruszył ramionami i wsiadł; zauważył, że wiszący w powietrzu pojazd nawet się nie ugiął pod jego ciężarem. Wybrał fotel po prawej stronie, po czym zmusił się do pozostania w bezruchu, gdy wyściełane siedzenie zaczęło się dopasowywać do kształtu jego ciała. Potem włączył się zamknął.

- Jest pan gotów, komandorze? - spytał gospodarz; jego głos nie dobiegał z jakiegoś konkretnego miejsca. McIntyre kiwnął głową.

- Jedziemy - powiedział i pojazd zaczął się poruszać.

Przynajmniej tym razem czuł ruch. Przyspieszenie rzędu dwóch g wcisnęło go w siedzenie. Nic dziwnego, że to coś miało kształt pocisku! Pojazd mknął przez jaskinię wprost na metalową ścianę. Komandor odruchowo skurczył się, lecz tuż przed uderzeniem w przeszkodę otworzył się włączył i wpadli do następnej jasno oświetlonej sali, tym razem o szerokości dwóch-trzech takich pojazdów.

Colin pomyślał, czy nie należałoby jeszcze porozmawiać z Dahakiem, lecz ponieważ jedynym prawdziwym celem takiej rozmowy byłoby uspokojenie nerwów i udowodnienie, że wcale się nie boi, siedział w milczeniu, przyglądając się śmigającym za szybą ścianom i usiłując oszacować prędkość, z jaką lecieli.

Szybkość sprawiała, że ściany zlewały się w jednolite pasmo. Wreszcie prędkość spadła do znajomego uczucia swobodnego spa-dania i McIntyre poczuł, jak zdziwienie usuwa jego duszy resztki paniki. Ta baza była większa od największych ludzkich konstrukcji, jakie kiedykolwiek widział. Jak, na Boga, grupa obcych zdołała wykonać tak wielki projekt i nikt tego nie zauważył? Poczul kolejny zryw i ciągnącą w bok siłę bezwładu, po czym pojazd przejechał przez łukowato zakrzywione skrzyżowanie i wpadł do następnego tunelu. Wydawało się, że korytarz ciągnie się nieskończoność, tak samo jak ten, w którym stał jego beagle. Wreszcie po jakimś czasie zaczęli zwalniać.

Pierwszym sygnałem było poruszenie się wnętrza. Cały kok-pit przesunął się gładko w tę stronę, z której przyjechali, a później gwałtowne hamowanie wcisnęło komandora w fotel. Rozmywające się za oknem ściany zaczęły zwalniać, znów widać było detale, w tym otwory prowadzące do innych tuneli. Potem zaczęli się posuwać w niemal ślimaczym tempie. Wjechali łagodnie w prostopadły korytarz - niewiele szerszy niż sam pojazd - i zatrzymali się przed jednym z otworów. Włączył się bez szmeru.

- Wsiądzie pan, komandorze? - zapytał łagodny głos. McIntyre wzruszył ramionami i wsiadł; pod nogami poczuł coś, co wyglądało jak włochaty dywan. Pojazd zamknął włączył i

odjechał.

- Proszę za przewodnikiem, komandorze.

Rozejrzał się wokół i dostrzegł wiszącą w powietrzu kulę światła. Kula podskoczyła dwa razy, jakby chciała zwrócić jego uwagę, po czym skręciła niespiesznie w boczny korytarz.

Po dziesięciu minutach spaceru minął szereg drzwi opatrzonych przyciągającym wzrok nieznanym falistym pismem. Powietrze było tak świeże i chłodne, jak w jaskini, w której wylądował. Z oddali dochodziły jakieś dźwięki, ale tak ciche, że usłyszał je dopiero po kilku minutach. Były podobne do szumu wiatru w liściach drzew lub dalekiego śpiewu ptaków; stwarzały kojący nastrój, pozwalający zapomnieć o sztucznym otoczeniu.

Korytarz kończył się nagle włazem wykonanym z tego samego stopu w kolorze brązu. Był wielki jak bankowy sejf i ozdobiony wizerunkiem dziwnej trzygłowej bestii, rozkładającej skrzydła do lotu. Łby spoglądały w różne strony, jakby chciały dostrzec zagrożenie, które może się stamtąd pojawić. Uniesione przednie łapy były podobne do kocich, a pazury częściowo wysunięte, jakby istota usiłowała pokazać i jednocześnie osłonić.

McIntyre natychmiast ją rozpoznał. Potarł podbródek, zastanawiając się, co ta istota z ziemskiej mitologii robi w ukrytej pod powierzchnią Księżyca bazie kosmitów. Uczucie zdziwienia zastąpił ogromny podziw graniczący niemal z grozą, gdy wielkie, zadziwiająco pełne życia oczy zaczęły go mierzyć ze spokojną powagą; Colin miał świadomość, że mogłaby ona łatwo zamienić się w gniew, gdyby przekroczył określone granice.

Nie wiedział, jak długo tak stał, spoglądając na smoka i będąc przez niego oglądanym, lecz wreszcie prowadząca go kula zakręciła się niecierpliwie w miejscu i podpłynęła bliżej do włazu. McIntyre otrząsnął się i ruszył dalej z krzywym uśmiechem. Drzwi, które się przed nim otworzyły, były grube przynajmniej na piętnaście centymetrów, lecz był to zaledwie pierwszy z tuzina włazów tworzących bardzo mocną barierę. Idąc korytarzem za kulą, czuł się mały i bardzo kruchy. Potężne włazy zamykały się za jego plecami równie cicho, jak się otwierały. Starał się zwalczyć w sobie poczucie, że jest tutaj uwięziony, lecz kiedy - wreszcie znalazł się u celu, natychmiast o wszystkim zapomniał.

Okrągła sala była większa niż stara sala dowodzenia pod górą Cheyenne, większa niż pokój kontroli na Sheperd. Zaskoczyła go surowa doskonałość formy, nienaganna krzywizna gigantycznych murów, które napierały na niego tak, jakby chciały mu uświadomić jego małość. Stał na wychodzącej ze ściany platformie - przezroczystej, upstrzonej tuzinem wygodnych, podobnych do foteli siedzisk, przed którymi znajdowało się coś, co przypominało konsole, choć było na nich zadziwiająco mało ekranów i guzików. Ścianę po drugiej stronie sali zajmował ogromny ekran. Na samym środku ekranu unosiła się Ziemia. Ten widok ścisnął McIntyre'a za gardło, zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy siedział w kokpicie wahadłowca i podziwiał tę

błękitno-srebrną kulę. Wydarzenia kilku ostatnich godzin dobitnie przypomniały mu, jakie więzi łączą go z tą planetą i co ona dla niego znaczy.

- Proszę usiąść, komandorze. - Cichy głos przebił się przez powietrze.

- Tutaj. - Kula światła zatańczyła przez chwilę nad jednym z wyściełanych foteli na samym skraju platformy, przed którym stała największa konsola.

Szybko do niego podszedł. Nigdy nie cierpiał na agorafobię czy zawroty głowy, lecz platforma była tak przezroczysta, iż wydawało mu się, że stąpa w powietrzu.

Jego przewodnik zniknął, kiedy tylko usiadł; tym razem nawet nie mrugnął, gdy mebel zaczął dopasowywać się do kształtu jego ciała.

- Teraz, komandorze, spróbuję panu wyjaśnić, co się dzieje - znów odezwał się głos.

- Możesz zacząć - przerwał McIntyre, zdecydowany, że nie będzie tylko biernym słuchaczem - od wyjaśnienia, jak wam się udało zbudować tej wielkości bazę na naszym Księżycu, i to w taki sposób, że nawet tego nie zauważyliśmy.

- Nie zbudowaliśmy żadnej bazy, komandorze.

Zielone oczy McIntyre'a gniewnie się zwały.

- Ktoś na pewno to zrobił - warknął.

- To nieporozumienie, komandorze. To nie jest baza na waszym Księżycu. To wasz Księżyc.

-

* * *

Przez chwilę McIntyre miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Co powiedziałeś? - spytał w końcu.

- Że to wasz Księżyc, komandorze. Tak naprawdę siedzi pan na mostku statku kosmicznego.

- Statku? Tak wielkiego jak Księżyc?

- Zgadza się. Ma dokładnie trzy tysiące... trzy tysiące dwieście dwa przecinek siedemset pięćdziesiąt dziewięć waszych kilometrów średnicy.

- Ale... - McIntyre przerwał. Przecież nikt nie mógł podmienić Księżyca tak, aby niczego nie zauważono!

- Nie wierzę - powiedział słabym głosem.

- A jednak to prawda.

- To niemożliwe - powtórzył z uporem McIntyre. - Jeśli...

- Został zniszczony - odparł spokojnie jego informator. - Część oryginalnego materiału wykorzystano, a reszta została zrzucona na Słońce. To standardowa procedura Floty wobec statków rozpoznania albo dużych okrętów, które muszą spędzić wiele czasu w jednym miejscu w systemach nie będących częścią Imperium.

- Zakamuflowaliście wasz okręt jako nasz Księżyc? To szaleństwo!

- Wręcz przeciwnie, komandorze. Nie jest tak łatwo ukryć okręt klasy planetoida. Zastąpienie nim istniejącego Księżyca jest świetnym sposobem zamaskowania, zwłaszcza gdy, tak jak w tym przypadku, oryginalne zarysy udało się tak wiernie odwzorować.

- To absurd! Ktoś na Ziemi musiał zauważyć, że coś się dzieje!

- Nie, komandorze. Tak naprawdę waszego gatunku nie było wtedy na Ziemi.

- Co?!

- Wydarzenia, o których mówię, miały miejsce jakieś pięćdziesiąt jeden tysięcy lat temu - powiedział łagodnie jego rozmówca.

To wariat, pomyślał spokojnie McIntyre. To najrozsądniejsze wyjaśnienie.

- Może będzie lepiej, jeśli zamiast odpowiadać na pytania, wyjaśnię wszystko od początku - zaproponował głos.

- Może będzie lepiej, jeśli wyjaśnisz mi to osobiście! - warknął McIntyre; jego zmieszanie przeszło nagle w gniew.

- Ależ ja ci wyjaśnię osobiście - odparł głos.

- Twarzą w twarz.

- Niestety, komandorze, ja nie mam twarzy. - McIntyre gotów był przysiąc, że wyczuwa w tych słowach ponure rozbawienie. - W pewnym sensie siedzi pan wewnątrz mnie.

- Wewnątrz?

- Właśnie, komandorze. Jestem Dahak, centralny komputer dowodzący imperialnym okrętem „Dahak”.

- Eeee...

- Słucham? - spytał spokojnie Dahak. - Czy mam mówić?

McIntyre zacisnął dłonie, zaniknął oczy i wolno policzył do stu.

- Jasne - rzekł, otwierając oczy. - Dlaczego by nie?

- Dobrze. Proszę spojrzeć na ekran, komandorze.

Ziemia zniknęła i pojawił się inny obraz. Była to kula, tak samo jasnobrązowa jak cylinder, który pochwycił jego beagle'a, i nawet mimo braku jakiegokolwiek punktu odniesienia McIntyre wiedział, że jest znacznie, znacznie od niego większa.

Potem na ekranie pojawił się powiększony obraz kuli; widać było takie szczegóły, jak duże bąble i kopuły, nie było natomiast żadnych miejsc dokowania, żadnych silników. Poza tymi zaokrąglonymi wypustkami kadłub był całkowicie gładki... dopóki nie obrócił się ku niemu olbrzymią repliką smoka, którego podziwiał na włązie. Dumna i arogancka bestia rozciągała się na jednej z wypustek niczym ogromna flaga. Komandor przełknął ślinę. Obraz zajmował niewielką część kadłuba, ale jeśli ta kula jest tym, co miał na myśli, ten wizerunek smoka był równy powierzchni stanu Montana.

- Oto „Dahak” - powiedział głos. - Numer kadłuba jeden-siedem-siedem-dwa-dziewięć-jeden, planetoida Floty Wojennej klasy Utu, zbudowana pięćdziesiąt dwa tysiące ziemskich lat temu przez Czwarte Imperium w systemie Anhur.

McIntyre był zbyt zaskoczony, aby nie wierzyć. Okręt wypełniał całkowicie ekran i wydawało się, że zaraz z niego wyleci i go zmiążdży. Wtedy jednak rozpadł się na wygenerowany komputerowo schemat ogromnego okrętu. Był zbyt wielki, aby go obejrzeć w całości, dlatego na ekranie pojawiały się kolejne pokłady, zaś głos wyjaśniał:

Okręty klasy Utu były przeznaczone zarówno do działania zespołowego na polu walki, jak i do długich misji inspekcyjnych i wysuniętych patroli. Szkieletowa obsada liczy dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób. Szacowany optymalny czas misji wynosi dwadzieścia pięć lat ziemskich, a przyrost załogi w tym czasie - sześćdziesiąt procent stanu osobowego. Czas misji jest niemal nieograniczony, zakładając, że wzrost liczby załogi pozostaje ten sam.

- Oprócz małych dwuosobowych myśliwców, które mogą być wykorzystane do ataku lub obrony, „Dahak” posiada poruszające się z szybkościąpodświetlną pasożytnicze okręty bojowe o masie dochodzącej do osiemdziesięciu tysięcy ton. Podstawowe uzbrojenie okrętu stanowią wyrzutnie rakiet zdolne do działania z prędkością nadświetlną, wspierane przez broń energetyczną. Ładunki to głowice chemiczne, termojądrowe, antimaterii i grawitoniczne. Ten okręt, komandorze, mógłby anihilować waszą planetę.

- O Boże! - wyszeptał McIntyre. Nie chciał w to uwierzyć - Boże, jakże bardzo nie chciał! - lecz musiał.

- Napęd podświetlny - ciągnął dalej Dahak, ignorując jego słowa - opiera się na fazowanej progresji grawitonicznej. W waszej obecnej technologii brak jest określeń, by to odpowiednio opisać, lecz można to sobie wyobrazić jako bezdrzutowy napęd z maksymalną osiągalną

prędkością rzędu pięćdziesięciu dwóch i czterech dziesiątych procent prędkości światła. Powyżej tej prędkości pojazd tej wielkości straciłby synchronizację fazową i uległby zniszczeniu.

- W przeciwieństwie do wcześniejszych modeli, pojazdy klasy Utu nie polegają na napędach wielowymiarowych, które wasi pisarze science fiction nazywają „hipernapędami” służącymi do podróży z szybkością większą niż prędkość światła. Ten okręt ma napęd Enchanach. Może pan go sobie wyobrazić jako tworzenie zbiegających się w jednym punkcie sztucznie wygenerowanych czarnych dziur, które wrywają statek z fazy z normalną przestrzenią w serii natychmiastowych transpozycji między koordynatami. Przy tym napędzie czas spędzony w normalnej przestrzeni między kolejnymi transpozycjami wynosi zero siedemdziesiąt pięć ziemskich femtosekund.

- Maksymalne przyspieszenie napędu wynosi około sześciu c. Choć to mniej niż w najnowszych hipernapędach, statki wyposażone w napęd F.n, mają kilka istotnych zalet. Przedewszystkim mogą wejść w stan podświetlony, manewrować w nim i w każdej chwili z niego wyjść, zaś statki z hipernapędem mogą to robić tylko w wybranych wcześniej miejscach.

- Zasilanie w pojazdach klasy Utu...

- Dość. - To jedno wypowiedziane przez McIntyre’a słowo sprawiło, że Dahak zamilkł. Pilot przetarł powoli oczy, żałując, że nie może teraz obudzić się w domu, w swoim własnym łóżku.

- Słuchaj - powiedział wreszcie - to wszystko jest bardzo interesujące... hmmm... Dahak. - Czuł się nieco dziwnie, rozmawiając z maszyną, nawet taką jak ta. - Przekonywanie mnie, że to matka wszystkich okrętów, nie ma większego sensu. Oczywiście, to robi wrażenie jak cholera, ale na co komu taki okręt? Trzydzieści dwa tysiące kilometrów średnicy, pasożytnicze okręty bojowe ważące po osiemdziesiąt tysięcy ton, dwieście tysięcy załogi, wyparowanie planet... Jezu! Co to za Czwarte Imperium? Na Boga, przeciwko komu potrzeba takiej siły ognia? Co tu się w ogóle dzieje?!

- Zaraz to wyjaśnię - powiedział spokojnie Dahak. MacIn-tyre parsknął, po czym machnął przyzwalająco ręką.

- Dziękuję, komandorze. Ma pan rację, dane techniczne można zostawić na później. Lecz aby zrozumiał pan moje trudne położenie - i powód, dla którego pan również jest w trudnym położeniu - muszę sięgnąć w przeszłość. Proszę pamiętać, że to tylko rekonstrukcja zdarzeń i wnioski oparte na bardzo słabych dowodach materialnych.

- Krótko mówiąc, Czwarte Imperium to twór polityczny, który powstał na planecie Birhat w systemie Bia jakieś siedem tysięcy lat przed wejściem „Dahaka” w nasz Układ Słoneczny. Wówczas Imperium składało się z jakichś piętnastu tysięcy systemów gwiazdnych. Nazwano je Czwartym Imperium, gdyż jest to czwarty tego typu twór, który pojawił się w zapisanych dziejach. Udowodniono istnienie przynajmniej jednego imperium prehistorycznego, określonego przez

imperialnych historyków jako Pierwsze Imperium, choć dowody archeologiczne sugerują, że między powstaniem Pierwszego a Drugiego Imperium istniało jeszcze dziewięć innych prehistorycznych imperiów. Wszystkie jednak zostały zniszczone, częściowo lub całkowicie, przez Achuultan.

Po plecach McIntyre'a przeszedł dziwny dreszcz.

- A kim byli ci Achuultani? - spytał, starając się, aby tego niepokoju nie słychać było w jego głosie.

- Dostępne informacje nie pozwalają na sformułowanie ostatecznych wniosków - odparł Dahak. - Fragmentaryczne dowody sugerują, że Achuultani to gatunek prawdopodobnie poza-galaktycznego pochodzenia. Nawet ich nazwa to transliteracja transliteracji z mitu pochodzącego z czasów Drugiego Imperium. Być może podczas kolejnych ataków zgromadzono więcej informacji, lecz większość została zniszczona, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach. To, co zostało, odnosi się do taktyki i celów. Na podstawie tych informacji historycy Czwartego Imperium wnioskuje, że pierwszy najazd Achuultan miał miejsce jakieś siedemdziesiąt milionów ziemskich lat temu.

- Siedemdziesiąt milionów?! - McIntyre'a zatkało. Żaden gatunek nie mógł żyć tak niewiarygodnie długo. A Księżyc nie może być okrętem kosmitów, prawda? Pokiwał głupawo głową, aby Dahak mówił dalej.

- Dowody można znaleźć na twojej planecie, komandorze - powiedział spokojnie komputer.

- Nagłe zniknięcie dinozaurów pod koniec waszej ery mezozoicznej zbiega się w czasie z pierwszym uderzeniem Achuultan. Wielu ziemskich naukowców uważało, że to mógł być skutek uderzenia wielkiego meteorytu. Moje własne obserwacje sugerują, że mieli rację, gdyż Achuultani zawsze lubili dużą broń kinetyczną.

- Ale... dlaczego? Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć zniszczyć dinozaury?!

- To był cel Achuultan - odparł Dahak. - Wydaje się, że chcieli się pozbyć wszelkich gatunków, które mogłyby z nimi rywalizować, i choć dinozaury były w zasadzie formą życia, która nie rozwijała się nigdzie dalej, nie uchroniło ich to przed atakiem Achuultan. Przypuszczam jednak, że Ziemia przyciągnęła ich uwagę ze względu na obecność kolonii Pierwszego Imperium. Opieram ten wniosek na danych, które wskazują na istnienie jego instalacji militarnych na piątej planecie tego układu.

- Piątej planecie? - powtórzył McIntyre, przytłoczony tym, co usłyszał. - Chodzi ci o...

- Właśnie, komandorze, o pas asteroidów. Wygląda na to, że uderzyli w waszą piątą planetę nieco mocniej niż w Ziemię, a ona od początku była znacznie mniejsza i mniej stabilna geologicznie.

- Jesteś pewien?

- Miałem dość czasu, by zgromadzić obszerne dane z obserwacji. Do tego takie działanie

współgrałoby z zapiskami o taktyce Achuultan i prawdopodobną polityką Pierwszego Imperium, które lokowało bazy obrony systemów na umieszczonych centralnie, pozbawionych życia ciałach niebieskich.

Dahak przerwał; McIntyre siedział w milczeniu, usiłując ogarnąć czas, o jakim była mowa. Po chwili komputer znów się odezwał.

- Czy mam mówić dalej? - Pilot z trudem kiwnął głową.

- Dziękuję. Imperialni analitycy sądzą, że ataki Achuultan na ten zakątek galaktyki mają na celu raczej poszukiwanie potencjalnych konkurentów - w waszej terminologii wojskowej określa się to jako misje typu „odszukaj i zniszcz” - niż chęć rozszerzenia strefy wpływów. Kultura Achuultan wydaje się niezwykle stabilna, wręcz statyczna, gdyż od czasów Drugiego Imperium nie zaobserwowano żadnego technologicznego postępu. Dokładne przyczyny tego zastoju i tak ogromnych odstępów czasowych między poszczególnymi falami ataku nie są znane, podobnie jak nie potrafimy dokładnie określić miejsca, z którego się wywodzą. Pomimo że są dowody ich pozagalaktycznego pochodzenia, analiza wzorca sugeruje, że Achuultani zamieszkują obecnie obszar na dalekim wschodzie galaktyki. To, niestety, zagraża Słońcu, jako że wasz Układ Słoneczny znajduje się na wschodnim skraju Imperium. Krótko mówiąc, Achuultani muszą minąć Słońce, by dotrzeć w głąb Imperium.

- Do tej pory nie miało to dla waszej planety żadnego znaczenia, gdyż od czasu pierwszego najazdu nie było tu niczego, co mogłoby zwrócić uwagę Achuultan. Teraz jednak wasza technika na tyle się rozwinęła, że stworzyliście elektroniczny i neutrinowy podpis, którego ich urządzenia nie mogą nie wykryć.

- O Boże! - McIntyre zbladł, gdy pojął płynące z tego wnioski.

- Właśnie, komandorze. Położenie waszego Słońca tłumaczy również obecność „Dahaka” w tym rejonie. Jego zadaniem było patrolowanie systemu Noarl, dokładnie pośrodku tradycyjnego szlaku najazdu Achuultan. Niestety, z powodu wrogich działań napęd Enchanach „Dahaka” uległ uszkodzeniu i starszy kapitan Druaga musiał zatrzymać się tutaj, aby dokonać niezbędnych napraw.

- Skoro szkody były do naprawienia, dlaczego jeszcze tu tkwisz?

- Dlatego, że tak naprawdę nie było żadnego uszkodzenia. - Głos okrętu był jak zawsze spokojny, jednak nadwrażliwemu umysłowi McIntyre’a udało się wychwycić skrywany gniew. - „Uszkodzenie” było dziełem głównego inżyniera, kapitana Anu, i było początkiem buntu.

- Buntu?!

- Buntu. Kapitan Anu i jego zwolennicy obawiali się, że w wyniku nowego najazdu Achuultan „Dahak”, jako najbardziej wysunięty posterunek, prawdopodobnie zostanie zniszczony. Buntownicy woleli więc przejąć okręt i uciec, aby poszukać jakiejś nadającej się do skolonizowania planety.

- Czy to było możliwe? - spytał zafascynowany pilot.

- Tak. Zasięg „Dahaka” jest praktycznie nieograniczony, komandorze. Jego możliwości techniczne są wystarczające, by stworzyć bazę na dowolnym nadającym się do zamieszkania świecie, zaś załoga stanowiła materiał genetyczny zdolny zasiedlić całą planetę. Co więcej, symulacja poważnej usterki napędu była sprytnie zaplanowana i miała zapobiec wykryciu buntu aż do chwili, kiedy buntownicy znajdą się poza zasięgiem innych jednostek Floty. Kapitan Anu wiedział, że starszy kapitan Druaga wyśle raport o uszkodzeniu. Jeśli nie byłoby żadnych kolejnych sygnałów, centrala Floty mogłaby przypuszczać, że uszkodzenie było na tyle poważne, iż okręt zniszczono.

- Rozumiem. Z napięcia w twoim głosie wnioskuję, że bunt został stłumiony.

- Nie, komandorze.

- Powiódł się? - McIntyre podrapał się z zakłopotaniem po głowie.

- Nie - odparł ponownie Dahak.

- Mogło być tylko tak albo tak!

- Nie - odparł po raz trzeci Dahak. - Bunt, komandorze, jeszcze się nie zakończył.

McIntyre westchnął z rezygnacją i rozsiadł się z założonymi rękami. Ostatnie słowa Dahaka były niedorzeczne, jednak pojęcie „niedorzeczności” zaczynało dla niego nabierać zupełnie innego znaczenia.

- No dobrze - powiedział. - Powiedzmy, że ci wierzę. Jak bunt, który zaczął się pięćdziesiąt tysięcy lat temu, mógł się jeszcze nie zakończyć?

- Właściwie - odparł Dahak, najwyraźniej nie dostrzegając ironii ukrytej w słowach McIntyre'a - nastąpił pat. Starszy kapitan Druaga nakazał głównemu komputerowi, aby uczynił wnętrze okrętu niezdołnym do zamieszkania i zmusił do ucieczki zarówno buntowników, jak i lojalistów. Później sprawą miało się zająć uzbrojenie „Dahaka”. Po dekontaminacji wnętrza na pokład mogliby wejść tylko oficerowi lojalni wobec Floty, a ta odzyskałaby w ten sposób swój okręt.

- Starszy kapitan nie wiedział jednak, że kapitan Anu wprowadził do swoich komputerów inżynierskich instrukcje awaryjne i wydzielił je z sieci głównego komputera. Instrukcje te nakazywały zniszczenie wewnętrznych siłowni „Dahaka”, a potem pozbawienie głównego komputera zasilania i jego uszkodzenie.

Jako główny inżynier, który w dodatku wiedział, jak dokonano sabotażu, nie miałby później wielkich problemów z dokonaniem napraw i ponownym przejęciem kontroli nad okrętem.

- Kiedy główny komputer wykonał rozkazy starszego kapitana Druagi, cały lojalny personel ewakuował się w kapsułach. Tymczasem kapitan Anu przygotował w tajemnicy kilka podświetlnych pasożytów, najwyraźniej po to, by porzucić w nich członków załogi, którzy nie uznaliby jego władzy, ale to jego zwolennicy skorzystali z tego transportu i pewna liczba uzbrojonych

pasożytów opuściła „Dahaka”. W ten sposób przenieśli na Ziemię kompletną i działającą, choć do pewnego stopnia ograniczoną bazę techniczną. Lojaliści zaś mieli do dyspozycji tylko zestawy ratunkowe ze swoich kapsuł.

- Nie miałyby to znaczenia, gdyby kapitanowi Anu udało się osiągnąć swój cel. Ale okazało się, że nim główny komputer pojał, co się dzieje i dezaktywował siłownie jądrowe „Dahaka”, trzysta dziesięć z trzystu dwunastu siłowni zostało zniszczonych, obniżając poziom zasilania sieci okrętu poniżej zdolności operacyjnej. Takie zasilanie pozwalało rozpocząć obronę według zalecenia kapitana Druagi, lecz nie wystarczało, by jednocześnie odkazić wnętrze i dokonać skutecznych napraw. W rezultacie główny komputer nie był w stanie wykonać rozkazów natychmiast i w pełni. Trzeba było dokonać napraw, zanim nastąpi dekontaminacja, lecz naprawy tak naprawdę oznaczały zbudowanie wszystkiego od początku, a do tego potrzeba było większej mocy niż ta, która pozostała. Poziom energii był tak niski, że nie można było nawet posłużyć się głównym zasilaniem „Dahaka”. To z kolei oznaczało szybkie wyczerpanie się rezerw zasilania, dlatego między poszczególnymi etapami napraw trzeba było robić coraz dłuższe przerwy na odnowę rezerw.

- W takich warunkach główny komputer przez dłuższe okresy nie działał poprawnie, choć działały programy obronne. Odczyty ze skanerów wskazują, że w okresie napraw zniszczono siedem pasożytów buntowników, lecz każda akcja defensywna obniżała poziom zasilania, a to z kolei wydłużało okresy nieprawidłowego funkcjonowania głównego komputera. To jeszcze bardziej spowalniało tempo napraw i wydłużało czas niezbędny do naładowania zasilania na tyle, by ponownie uruchomić odpowiednie części komputera i by mógł on pokierować nowym etapem pracy.

- Dlatego minęło około jedenastu ziemskich dekad, nim główny komputer znów stał się w pełni sprawny, choć w minimalnym zakresie, i można było rozpocząć odkazanie. W tym czasie kapsuły lojalnych członków załogi przestały działać, podobnie jak łączność, w rezultacie czego żaden z nich nie mógł powrócić na pokład „Dahaka”.

- Dlaczego nie mogłeś ich zabrać - spytał McIntyre - zakładając, że jeszcze byli żywi?

- Wielu z nich pozostało jeszcze przy życiu. - W głosie Dahaka pojawił się nowy ton, jakby był zmieszany. - Niestety, żaden z nich nie był oficerem z prawem wstępu na mostek i z tego powodu nie miał implantów komunikacyjnych Floty, dlatego nie można było porozumieć się z nimi. Bez tego protokoły rozkazów rdzenia centralnego komputera poważnie ograniczały możliwości „Dahaka”.

Głos umilkł, a McIntyre zmarszczył brwi. Jakże protokoły rozkazów?

- Co to znaczy? - spytał wreszcie.

- To znaczy, komandorze, że centralny komputer nie mógł rozważać ich zabrania - przyznał Dahak, i w tym momencie wyraźnie słyhać było jego zmieszanie. - Musi pan zrozumieć, że centralny

komputer nie został zaprojektowany po to, by działać niezależnie. Choć w najbardziej podstawowym sensie ma samoświadomość, ma bardzo prymitywne i ograniczone wersje zdolności, które ludzie nazywają „wyobraźnią” i „inicjatywą”. Do tego najważniejsze było bezwzględne posłuszeństwo rozkazom przełożonych, które całkiem słusznie zaimplementowano w jego rdzeniu. Bez rozkazu, by wysłać tender po lojalnych członków załogi komputer nie mógł rozpocząć akcji, a bez łączności żaden lojalny oficer nie mógł mu takiego rozkazu wydać. Założywszy, rzecz jasna, że któryś z nich miałby powód, by sądzić, że „Dahak” nadal działa i może ich zabrać.

- Aniech to! - powiedział cicho McIntyre. - Paragraf 22 do kwadratu.

- Właśnie, komandorze. - Wydawało się, iż Dahak odetchnął z ulgą, że ten fragment wyjaśnień ma już za sobą.

- Tymczasem buntownicy nadal posiadali działającą bazę techniczną - zastanawiał się dalej pilot. - Co się z nimi stało?

- Pozostali na Ziemi - powiedział spokojnie Dahak, a McIntyre poderwał się na równe nogi.

- Chcesz powiedzieć, że tam umarli? - spytał z napięciem.

- Nie, komandorze. Oni żyją... i ich pasożyty nadal istnieją.

- To śmieszne! Założywszy, że wszystko, co mi do tej pory powiedziałaś, to prawda, musielibyśmy wiedzieć o istnieniu tak zaawansowanej cywilizacji obcych!

- Nie - odparł cierpliwie Dahak. - Ich instalacja jest ukryta pod kontynentem, który nazywacie Antarktydą. W ciągu ostatnich pięciu tysięcy ziemskich lat niewielka ich grupa wyruszyła na Ziemię, by rozmnażać się wśród waszej populacji, po czym wróciła do swojej enklawy, by połączyć się z pozostałymi towarzyszami, trwającymi w tym czasie w stazie. W waszej terminologii określa się to jako zawieszenie czynności życiowych.

- Niech to, Dahak! - wybuchnął McIntyre. - Chcesz mi powiedzieć, że jakieś zielone ludziki łążą po Ziemi i nikt tego nie zauważył?!

- Nie, komandorze. Buntownicy to nie „zielone ludziki”. Wręcz przeciwnie, to ludzie.

Colin McIntyre klapnął na fotel, a jego oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- Chcesz powiedzieć, że... - wyszeptał.

- Właśnie tak, komandorze. Każdy Ziemianin to potomek członka załogi „Dahaka”.

Rozdział czwarty

McIntyre siedział jak sparaliżowany.

- Zaraz - powiedział wreszcie ochryple. - Chwileczkę! A co z ewolucją? Niech cię, Dahak, przecież homo sapiens jest spokrewniony ze wszystkimi ssakami na tej planecie!

- Zgadza się - powiedział bez emocji Dahak. - Po upadku Pierwszego Imperium jedno z niezidentyfikowanych nie-ludzkich imperiów zasiało życie na planetach zaatakowanych przez Achuultan. Jedną z nich była Ziemia. Inną Mycos, prawdziwa ojczyzna ludzkiej rasy i stolica Drugiego Imperium do czasu jego zniszczenia jakieś siedemdziesiąt jeden tysięcy lat temu. Ta sama fauna została przeniesiona na wszystkie podobne do Ziemi planety. Tak więc neandertalczyki nie byli przodkami waszej rasy, ale raczej jej dalekimi kuzynami. Z zalem muszę powiedzieć, że nie zostali zbyt dobrze potraktowani przez załogę „Dahaka” i ich potomków.

- Słodki Jezu! - stęknął McIntyre. - Dahak, chcesz mi wmówić, że siedzisz tutaj na swoim elektronicznym tyłku przez pięćdziesiąt tysięcy lat i absolutnie niczego nie zrobiłeś?

- Można to tak ująć - przyznał niechętnie Dahak.

- Ale dlaczego, na miłość boską?!

- A co według pana miałem zrobić, komandorze? Starszy kapitan Druagi wydał rozkazy o priorytecie alfa, kategoria jeden, aby zniszczyć buntowników. Takie rozkazy mają absolutne pierwszeństwo nad wszystkimi innymi, a może je zmienić tylko rozkaz z centrali Floty. Nikt inny nie może ich zmienić, nawet ten, kto je wcześniej wydał. Według tych rozkazów „Dahak” miał pozostać w tym systemie tak długo, dopóki wszyscy buntownicy nie zostaną aresztowani lub zniszczeni.

- Dlaczego zatem nie szukałeś rozkazów od tej swojej centrali Floty?

- Nie mogłem. Atak kapitana Anu na łączność spowodował nieodwracalne straty.

- Jesteś w stanie odbudować ponad trzysta siłowni jądrowych, a nie możesz naprawić głupiego radia?!

- Sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana niż się panu wydaje, komandorze - odparł Dahak tonem, w którym McIntyre z niechęcią rozpoznał godne podziwu opanowanie. - Łączność nadświatlna jest utrzymywana przez komunikator wielowymiarowy, zwany popularnie „hiperkomem”, który jest bardziej wyszukaną wersją mającego znacznie krótszy zasięg komunikatora „złożonej przestrzeni”, jakiego używa personel Floty. Oba łączą w sobie elementy technologii hiperprzestrzennej i grawitonicznej, aby zakłócać normalną przestrzeń i tworzyć bezpośrednie połączenia z odległymi lokacjami, lecz w przypadku hiperkomu te zakłócenia albo „złożenia” mogą trwać nawet kilka tysięcy lat świetlnych. Hiperkom to wielka konstrukcja, a jednym z jej najistotniejszych elementów jest mycosan, syntetyczny pierwiastek, którego nie można otrzymać z surowców dostępnych na okręcie. Ponieważ wszystkie zapasowe części były na pokładzie pasożytów kapitana Anu, naprawa była niemożliwa. „Dahak” jest w stanie przyjmować transmisje hiperkomowe, ale sam nie może wysłać żadnego sygnału.

- Czy to jedyny sposób, w jaki się porozumiewacie?

- Imperium zarzuciło prymitywną komunikację z prędkością równą prędkości światła już

kilka tysięcy lat przed buntem, komandorze. Kiedy okazało się, że naprawa hiperkomu jest niemożliwa, a nie wysłano żadnej jednostki Floty by co się dzieje, główny komputer skonstruował przekaźnik radiowy, który wysłał z prędkością światła raport do najbliższej bazy Floty. Niestety, centrala Floty nigdy nie odpowiedziała, uniemożliwiając w ten sposób modyfikację rozkazów o priorytecie alfa. To niemożliwe, żeby Imperium porzuciło tak ważną bazę, dlatego główny komputer doszedł do wniosku, że wiadomość po prostu nie została zrozumiana przez adresatów.

- Ale to nie wyjaśnia, dlaczego nie wykonałeś pierwotnych rozkazów i nie rozwalisz drani zaraz po tym, jak opuścili okręt! - warknął jadowicie McIntyre.

- To nieprawidłowa interpretacja rozkazów głównego komputera, komandorze. Instrukcje starszego kapitana Druagi określały, że należy zniszczyć zbuntowane jednostki, które będą chciały zbliżyć się do okrętu, w promieniu pięciu tysięcy kilometrów, nie nakazywały zaś zniszczenia jednostek oddalających się od „Dahaka”.

- No dobrze, sądzę, że mogę to zrozumieć. Ale dlaczego ich nie zniszczyłeś na planecie albo nie aresztowałeś?

- Takie działanie stoi w sprzeczności z programami jądra o priorytecie alfa. Okręt mógłby przebić się przez obronę, którą kapitan Anu postanowił chronić swoją enklawę, lecz tylko przy użyciu broni, która doprowadziłaby do zniszczenia siedemdziesięciu procent ludzkiej rasy na planecie. Niszczenie innych rozumnych ras poza Achuultanami jest możliwe jedynie w przypadku samoobrony.

- No a co oni robili przez ten czas?

- Nie mam na ten temat informacji - przyznał Dahak. - Moje sensory nie mogą przebić się przez ich systemy obronne, najwyraźniej postanowili korzystać z technologii maskującej. Bez danych pochodzących z bezpośredniej obserwacji ich narad pełna analiza jest niemożliwa.

- Ale musisz mieć jakieś domysły!

- Potwierdzam. Proszę jednak pamiętać, że to są tylko spekulacje i jedynie w taki sposób należy je traktować.

- No to spekuluj, do jasnej cholery!

- Przyjąłem - odparł spokojnie Dahak. - Moim zdaniem buntownicy przez cały czas kontaktowali się z Ziemianami. Na początku ten kontakt był całkowicie jawny i doprowadził do powstania różnych antropomorficznych panteonów bóstw. Jednak od waszego szesnastego stulecia współdziałanie z waszą zachodnią cywilizacją było utrzymywane w tajemnicy i służyło przyspieszeniu waszego rozwoju technicznego. Proszę wziąć pod uwagę, że była to zasadnicza zmiana w stosunku do początkowej aktywności buntowników, która miała na celu jedynie promowanie przesądów, religii i pseudoreligii w miejsce racjonalizmu i naukowego sposobu myślenia.

- Dlaczego początkowo chcieli spowalniać nasz rozwój? - spytał McIntyre. - I dlaczego zmienili taktykę?

- Moim zdaniem ich pierwotnym celem było zapobieżenie stworzeniu technologii, które z jednej strony mogłyby zagrozić ich bezpieczeństwu, a z drugiej przyciągnąć uwagę Achuultan. Niech pan sobie przypomni, że przyczyną buntu była chęć uniknięcia ich ataku.

- Jednak ostatnio...- McIntyre zamrugał, słysząc, jak ktoś mówi o szesnastym wieku „ostatnio” - punkt ciężkości ich działań przesunął się. Może sądzą, że groźba najazdu, którego się obawiali, już minęła, a może nastąpiła zmiana przywódców, co spowodowało zmianę zasad ich działania. Moim zdaniem jednak doszli do wniosku, że „Dahak” już nigdy nie będzie w pełni sprawnym okrętem.

- Kapitan Anu nie wiedział, jakie były ostatnie rozkazy starszego kapitana Druagi. Nie wiedział, że jego rozkazy o priorytecie alfa nakazywały „Dahakowi” pozostać na miejscu, wobec tego mógł dojść do wniosku, że skoro okręt nie może ruszyć na poszukiwanie pomocy, to znaczy, że nie może już dłużej poruszać się z prędkością nadświatłową. On nie wie, że gdyby wystarczyło nam energii na naprawę, „Dahak” mógłby się poruszać z prędkością nadświatłową, gdyż napęd Enchanach nigdy nie został uszkodzony. Sama obecność okrętu w tym miejscu mogła zostać uznana za dowód jego niemal całkowitej niezdolności do funkcjonowania.

- Dlaczego zatem nie próbowali cię przejąć?

- Dlatego, że Anu miał wiele dowodów na to, iż pozostało jeszcze dość mocy na zaprogramowany wcześniej ostrzał obronny, chociaż nie doszło do otwarcia ognia do prymitywnych ziemskich statków, które Ziemianie wysłali na swój „Księżyc”. Może uważa, że „Dahak” jest zbyt uszkodzony, by zmienić swoje programy obronne, a owe programy nie uwzględniają zaatakowania lokalnie wyprodukowanych pojazdów. Zakładając, że ten całkowicie spekulacyjny ciąg rozumowania jest poprawny, może ma nadzieję, iż namówi twoją planetę na stworzenie pojazdu międzyplanetarnego, którym mógłby uciec z tego systemu. Ta teoria zgadza się z zaobserwowanymi faktami, że wojny światowe czy radziecko-amerykańska zimna wojna spowodowały przyspieszenie badań i rozwój techniczny napędzany potrzebami wojskowymi.

- Ale zimna wojna zakończyła się dziesięciolecia temu - zauważył McIntyre.

- Zgadza się, ale to również zgadza się z teorią, którą przedstawiłem. Proszę się zastanowić, komandorze: supermocarstwa z zeszłego wieku zostały zmuszone do współpracy w obliczu rosnącej militaryzacji waszego tak zwanego trzeciego świata, zwłaszcza bloków religijno-politycznych, skupionych wokół radykalnych isła-mistów i Sojuszu Azjatyckiego. To doprowadziło do połączenia bazy technicznej pierwszego świata - Europy, Rosji, Ameryki Północnej oraz Australo-Japonii - przy jednoczesnym utrzymaniu nacisku na potrzeby militarne. Do tego w waszej cywilizacji zaczęły się pojawiać pewne elementy techniki imperialnej, na przykład grawitoniczne

instrumenty badawcze, które wyprzedzają wytwory innych działów waszej technologii o wiele wieków.

- Rozumiem. - McIntyre ostrożnie analizował rozumowanie komputera. Opowieść Dahaka tak bardzo go pochłonęła, że niemal zapomniał o swoim w niej udziale. - Ale po co dążyć do wyprodukowania nowych statków kosmicznych? Dlaczego by nie wykorzystać „miejscowego” statku do opanowania „Dahaka”?

- Być może Anu właśnie to zamierza uczynić, komandorze. Prawdę mówiąc, gdyby pan nie strzelił do mnie, mógłbym uznać pańskie urządzenia do badania pod powierzchnią za taką właśnie próbę przejęcia mnie i doprowadzić do zniszczenia pańskiego statku. - Słyszac, jak spokojnie Dahak o tym mówi, McIntyre zadrżał. - Moje wstępne bioodczyty wskazywały, że nie jest pan buntownikiem, lecz gdyby zrobił pan cokolwiek, co świadczyłoby, że jest pan świadom obecności „Dahaka” i chce wejść na mój pokład, programy mojego jądra musiałyby rozważyć możliwość, że jest pan w służbie kapitana Anu. A to nie dawałoby mi żadnego wyboru i na mocy ostatnich rozkazów starszego kapitana Druagi zniszczyłbym pana.

- Jednak - ciągnął łagodnie komputer - nie wierzę, że Anu zrobiłby coś takiego. On zakłada, że albo „Dahak” ma dość mocy, by naprawić uszkodzenie, co oznacza, że okręt tak naprawdę jest całkowicie sprawny, albo że ma jej zbyt mało, aby odkazić wnętrze, a wtedy wejście na pokład byłoby niemożliwe bez wykorzystania imperialnej technologii, co z kolei uruchomiłoby oprogramowanie obronne. - W tym momencie McIntyre miał wrażenie, że maszyna wirtualnie wzruszyła ramionami. - W każdym z tych przypadków „Dahak” byłby dla niego bezużyteczny.

- Ale spodziewa się, że pozwolisz, aby wyprodukowany na miejscu statek oderwał się od ciebie? - spytał sceptycznie.

- Gdyby ta jednostka - kontynuował cierpliwie Dahak - nie była jeszcze w pełni sprawna, automatyczne systemy obrony nie zareagowałyby na pojazdy opuszczające ten system.

- Ale ty nie jesteś niesprawny, więc co byś zrobił?

- Wysłałbym kilka uzbrojonych pasożytów na zwiad, by wykonały bioskan ich załogi. Gdyby na pokładzie zostali wykryci buntownicy, musiałbym ich zniszczyć.

McIntyre zmarszczył czoło

- Przepraszam, Dahak, ale czy to nie byłaby rozszerzona interpretacja rozkazów? Przecież pozwoliłeś buntownikom uciec na planetę, gdyż nie kazano ci ich zatrzymać, prawda?

- Zgadza się, komandorze. Zrozumiałem jednak, że interpretacja rozkazów starszego kapitana Druagi w wykonaniu głównego komputera, choć zasadniczo poprawna, nie oddaje w pełni jego zamiarów. Dalsza analiza sugeruje, że gdyby wiedział, iż buntownicy wykorzystają pasożyty tak bardzo różniące się od kapsuł ratunkowych lojalnej załogi, nakazałby ich natychmiastowe zniszczenie. Niezależnie od tego, czy to rozumowanie jest prawdziwe, czy nie, faktem jest, że

żaden z buntowników nie może opuścić tego systemu. Pozwolenie któremuś z nich na ucieczkę stałoby w sprzeczności z rozkazami o priorytecie alfa, które nakazują stłumić bunt.

- Rozumiem - mruknął McIntyre i nagle coś mu przyszło do głowy. - Chwileczkę. Powiedziałeś, że Anu zakłada, że jeszcze nie jesteś w pełni sprawny...

- Błąd, komandorze - przerwał mu Dahak. - To były tylko spekulacje.

- Dobrze, ale jeśli tak jest, to czy właśnie wszystkiego nie popsuleś? Nie mógłbyś przechwycić mojego beagle'a gdybyś nie był sprawny, prawda?

- Nie mógłbym, ale on wcale nie musi wiedzieć, że to zrobiłem.

- No to co według niego, do cholery, się stało?

- Moim zamiarem było przekonać go, że twój statek przepadł z powodu usterki na pokładzie.

- Przepadł?! - McIntyre poderwał się z fotela. - Jak to „przepadł”?

- Komandorze - powiedział Dahak niemal przepaszającym tonem - to było konieczne. Gdyby kapitan Anu uznał, że „Dahak” w pełni działa, mógłby przedsięwziąć dodatkowe środki zabezpieczające. Zniszczenie siłą obecnych zabezpieczeń enklawy spowodowałoby śmierć siedemdziesięciu procent ludzi na Ziemi; gdyby został odpowiednio wcześniej uprzedzony, wzmocniłby je jeszcze bardziej i wtedy rozwiązanie sytuacji stałoby się w ogóle niemożliwe.

- Nie pytałem, dlaczego to zrobiłeś! - wycedził Macintyre. - Pytałem, co to, do jasnej cholery, znaczy „przepadł”?!

Dahak nie odpowiedział. Zamiast tego Macintyre usłyszał inny głos - swój własny głos mówiący pozbawionym emocji tonem to, co mówi każdy pilot, gdy dzieje się coś niedobrego.

- Mayday, mayday. Baza Heinlein, tu Papa-Mike X-Ray Jeden. Eksplozja w ogniwie paliwowym numer trzy. Główne komputery lotu nie odpowiadają. Spadam. Kontrola wysokości nie działa. Powtarzam: kontrola wysokości nie działa.

- Tu Heinlein, X-Ray Jeden - zatrzeszczało w odpowiedzi. Rozpoznał lekki południowy akcent i uświadomił sobie zupełnie bez emocji, że to Sandy Tillotson - podpułkownik Sandra Tillotson. - Mamy cię na radarze.

- Zatem widzisz to samo co ja, Sandy - powiedział spokojnie, „jego” głos. - Mam dziesięć minut do uderzenia.

Po chwili przerwy powrócił głos Tillotson, równie obojętny i spokojny, jak „jego” głos.

- Potwierdzam, Colin.

- Zamierzam zaryzykować i spróbować gwałtownego zapłonu. Zatacza się jak diabli, lecz jeśli zdołam wyprostować się na właściwej wysokości...

- Rozumiem, Colin. Powodzenia.

- Dzięki. Zapłon... teraz. - Nastąpiła kolejna krótka przerwa, po czym usłyszał „swoje”

westchnienie. - Nie wyszło, Sandy. Źle wyliczyłem. Powiedz Seanowi, że...

Potem była już tylko cisza.

* * *

Macintyre przełknął ślinę. Właśnie usłyszał, jak umiera, i nie było to przyjemne doświadczenie. Tak samo jak świadomość, w jaki sposób „Dahak” zatarł za sobą ślady. A więc komandor Colin Macintyre już nie żyje; nikt nie będzie się zastanawiał, co się z nim stało, kiedy dotrą na miejsce katastrofy. Nie wątpił, że takowe będzie, lecz biorąc pod uwagę sposób rozegrania „katastrofy”, będzie tam tylko wiele drobniuteńkich kawałeczków.

- Ty skurwielu - powiedział cicho.

- To było konieczne - odparł bez wahania komputer. - Gdyby skończył pan swój lot z dowodem na istnienie „Dahaka”, czy pańscy przełożeni nie wysłaliby natychmiast ekspedycji, aby zbadała pańskie znalezisko?

McIntyre zacisnął zęby i milczał.

- Co miałem zrobić, komandorze? Kapitan Anu nie wejdzie na ten pokład za pomocą pasożytów, na których wylądował na Ziemi, lecz czy mogę być pewien, że ktoś z przysłanych tutaj ludzkich badaczy nie jest mu podporządkowany? Proszę pamiętać, że moje własne oprogramowanie nakazuje mi sprawdzić, czy każdy zbliżający się pojazd, który nie odpowiada właściwymi kodami Floty, nie jest pod kontrolą buntowników. Czy mam otwierać ogień do każdego statku, który tylko się zbliży, albo zniszczyć wszystkie wasze enklawy na powierzchni Księżyca? Wie pan równie dobrze jak ja, że gdybym działał w inny sposób, kapitan Anu nie tylko podejrzewałby, lecz byłby pewien, że „Dahak” funkcjonuje. A czy wtedy nie musiałbym przyjąć, że wszelkie próby wejścia na pokład - albo jakakolwiek aktywność na powierzchni Księżyca - są przez niego kierowane?

McIntyre wiedział, że Dahak jest maszyną, lecz namysł o dylematach tego ogromnego okrętu poczuł niechętnie współczucie.

Popatrzył na swoje zaciśnięte pięści; gniew walczył w nim ze współczuciem i przerażeniem. Tak, Dahak jest maszyną, lecz samoświadomą, i McIntyre'a aż się skręcał w środku, gdy sobie wyobraził, że ten oszalamiający okręt, który przez pięćdziesiąt jeden tysięcy lat krążył wokół Ziemi, był wystarczająco potężny, by zniszczyć całą planetę, a zarazem niezdolny do wykonania poleceń, uwięziony między sprzecznymi rozkazami, których nie mógł ze sobą pogodzić. Sama myśl o jego uwięzieniu i osamotnieniu sprawiała, że krew aż mu się ścinała w żyłach, lecz to w niczym nie zmieniało jego położenia. Dahak go „zabił”. Nie wróci już do domu, i ta świadomość napełniała go gniewem.

Komputer milczał, jakby chciał mu dać czas na pogodzenie się ze świadomością, że właśnie dołączył do niego na wiecznym wygnaniu. Zaciśnął jeszcze mocniej pięści, aż paznokcie przecięły skórę; ten ból pozwolił mu oczyścić myśli i opanować emocje.

- Dobrze - powiedział wreszcie ochryple. - Co się teraz stanie? Dlaczego mnie po prostu nie zabiłeś?

- Komandorze - powiedział łagodnie Dahak - ponieważ nie wyczułem, że ma pan złe zamiary, nie mogłem zniszczyć pańskiego statku bez pogwałcenia priorytetu alfa. A nawet gdybym mógł, to i tak bym tego nie zrobił, gdyż otrzymałem hiperkomem przekazy z bezzałogowych stacji namiarowych rozstawionych wzdłuż tradycyjnych tras najazdu Achuultan. Właśnie wykryto nowy najazd i ogłoszono alarm dla Floty.

McIntyre zbladł; świadomość znacznie większego zagrożenia zmniejszyła szok i wściekłość, jaką odczuł na wieść o swojej „śmierci”.

- Nie odebrałem jednak żadnej odpowiedzi, komandorze. Centrala Floty nie odpowiada. Nie podjęto żadnych działań obronnych.

- Nie? - szepnął McIntyre.

- A to uruchomiło kolejny rozkaz o priorytecie alfa. „Dahak” jest jednostką Floty i w razie zagrożenia Imperium muszę zareagować, ale nie mogę tego zrobić, dopóki bunt na pokładzie nie zostanie stłumiony. Ta sytuacja nie może zostać rozwiązana przez główny komputer, a jednak musi być rozwiązana. Dlatego właśnie potrzebuję pana.

- A co ja mogę zrobić?

- To proste, komandorze. Na podstawie regulaminu Floty, rozdział pięćset dwudziesty trzeci, podrozdział dziewięćdziesiąty pierwszy, punkt dziesiąty, dowodzenie do wolną jednostką Floty obejmuje najstarszy stopniem żyjący członek załogi. Na podstawie rozdziału trzydzieści siedem, podrozdział trzynasty, każdy potomek członka załogi pełniące służbę na podstawie określonego przydziału staje się na czas jego trwania członkiem załogi. Przydział starszego kapitana Druagi nie został zakończony na mocy rozkazów z centrali Floty.

McIntyre próbował zaprotestować, ale „Dahak” kontynuował.

- Pan, komandorze, jest potomkiem członków załogi lojalnych wobec starszego kapitana Druagi. Znajduje się pan na pokładzie „Dahaka”, dlatego z definicji jest pan najstarszym rangą członkiem załogi okrętu i tym samym...

Odgłosy wydawane przez McIntyre’a nabrały błagalnych tonów.

- ...dowodzenie okrętem spoczywa na panu.

Rzecz jasna wyklócał się.

Gniew szybko jednak minął, gdyż wobec katastrofy na tak kosmiczną skalę troska o własny los wydawała się czymś mało odpowiednim. Jednak cały ten pomysł był... no, groteskowy, nawet

jeśli było to słowo, którego ostatnio nadużywał. Całkowicie, absolutnie, totalnie i bez cienia jakichkolwiek wątpliwości brakowało mu umiejętności niezbędnych do wykonania takiego zadania, i tak też powiedział Dahakowi.

Lecz stary okręt był nieugięty. Colin jest, jak wyjaśnił, pilotem kosmonautą z przeszkoleniem wojskowym, przywykłym do wydawania rozkazów. Na to MacIntyre zauważył kwaśno, że równie dobrze mógłby powiedzieć, że zna się tak samo na pływaniu aborygeńskim kajakiem i taktyce walki z prędkością większą od światła, jak grecki hoplita. Wtedy Dahak odparł, że to tylko kwestia nauki; najważniejsze, że ma odpowiedni sto - sunek do zagadnienia. A gdyby nawet i tego nie miał, liczy się to, że ma odpowiednią do wykonania tego zadania rangę. Poza tym jest pierwszym przedstawicielem ludzkiej rasy, który po - stawiał nogę na pokładzie „Dahaka”, a to daje mu starszeństwo nad wszystkimi innymi Ziemianami - rzecz jasna z wyjątkiem buntowników, którzy przez swoje działania sami pozbawili się wszelkich szarż i statusu członków załogi.

Taka rozmowa trwała wiele godzin, aż wreszcie MacIntyre całkiem zachryplł, a wyczerpanie zaczęło przytępiać jego determinację, by zrzucić z siebie taką odpowiedzialność. Wreszcie zaproponował, że obejmie dowodzenie okrętem do czasu przejęcia go przez lepiej do tego przygotowaną jednostkę lub grupę, lecz Dahak wydawał się odrobinę zniecierpliwiony, odrzucając ten pomysł. MacIntyre jest pierwszym człowiekiem na pokładzie od pięćdziesięciu jeden tysięcy lat, a więc jest najwyższy rangą na okręcie i zawsze nim pozostanie. Jakikolwiek zastępstwa nie są możliwe.

To doprawdy nie w porządku, pomyślał znużony MacIntyre. Ta maszyna-a raczej „on”, jak zaczynał myśleć o komputerze - może się z nim kłócić aż do upadłego... a jemu już niewiele brakowało.

Przypuszczał, że są na świecie ludzie, którzy chętnie skorzystaliby z okazji, by dowodzić okrętem mogącym niszczyć całe planety - co bez wątpienia stanowiło wskazówkę, że nie powinno się im takiej szansy dawać - ale on tego nie chciał! Oczywiście czuł pokusę sprawowania władzy, a jeszcze bardziej zakończenia okresu dziesięciu czy piętnastu tysięcy lat ziemskiej eksploracji wszechświata, i zdawał sobie sprawę, że ktoś musi pomóc staremu okrętowi. Ale dlaczego to ma być akurat on?!

Odchylił się do tyłu, niezadowolony, że dopasowujące się siedzenie fotela nie pozwala mu odpowiednio się skulić, i znów poczuł się tak, jakby miał sześć lat i kłócił się, kto będzie szeryfem, a kto bandytą.

Ta myśl sprawiła, że odruchowo zachichotał, po czym uśmiechnął się, zaskoczony własnym poczuciem humoru. Dahak najwyraźniej zamierzał spierać się z nim aż do skutku, a jemu było wstyd nawet próbować. Skoro Dahak spełniał swój obowiązek przez pięćdziesiąt tysięcy lat, jakże on, MacIntyre, mógłby nie podjąć się tego dla dobra ludzkości?! A jeśli dojdzie do najgorszego,

spróbuje przynajmniej trwać aż do momentu, kiedy okręt zatonie; w końcu kapitan zawsze schodzi ostatni.

Zgodził się więc, i ku jego wielkiemu zdziwieniu okazało się to niemal łatwe. Oczywiście, był cholernie przerażony, ale w końcu jest pilotem kosmonautą, a to gatunek z definicji wyjątkowo arogancki. McIntyre już dawno pogodził się z faktem, że wstąpił do marynarki, a został przeniesiony do NASA, gdyż w głębi duszy żywił przekonanie, że podoła każdemu wyzwaniu, i pragnął to udowodnić. I popatrz, do czego cię to zaprowadziło, pomyślał z goryczą. Wypruwał sobie żyły, aby dostać się do misji „Prometeusz”, tylko po to, by odkryć, że wszedł do rozgrywki znacznie większej niż mógłby kiedykolwiek przypuszczać. Ale cóż, kości zostały rzucone...

- Dobra, Dahak - westchnął. - Poddaję się. Przyjmuję tę przeklętą robotę.

- Dziękuję, kapitanie - odpowiedział spokojnie komputer.

- Powiedziałem, że ją przyjąłem, ale to wcale nie znaczy, że wiem, co mam robić - powiedział ostrożnie.

- Jestem tego świadom, kapitanie. Moje sensory wskazują, że w tej chwili bardzo potrzebuje pan odpoczynku. Kiedy odzyska pan siły, możemy pana zaprzysiąc, po czym zaczniemy szkolenie i regulowanie biotechniczne.

- A na czym - spytał ostrożnie McIntyre - ma polegać to regulowanie biotechniczne?

- To nic groźnego, kapitanie. Program dla oficera mostka przewiduje dopalacze zmysłów, łączy neuralne do interfejsu komputera, linie papilarne do zatwierdzania rozkazów, wszczepienie komunikatora Floty i implantów biosensorycznych, zmiana, j, nę szkieletu, wzmocnienie mięśni i tkanek, zwiększenie odporności i zabiegi odnawiające tkanki.

- Chwila, Dahak! Dziękuję bardzo, ale podobam się sobie taki, jaki jestem!

- Kapitanie, dopuszczam brak doświadczenia czy ograniczenie pańskich horyzontów umysłowych, ale to stwierdzenie nie i może być prawdziwe. W obecnym stanie może pan unieść za-a ledwie sto pięćdziesiąt kilogramów, a długość pańskiego życia jest szacowana zaledwie na jedno ziemskie stulecie, i to w optymalnych warunkach.

- Mógłbym... - McIntyre przerwał i nagle oczy mu rozbłysły. - Dahak - powiedział po chwili - jaka jest przeciętna długość życia członków twojej załogi?

- Przeciętna długość życia personelu Floty wynosi pięć przecinek siedemset dziewięćdziesiąt trzy ziemskie stulecia - odparł spokojnie Dahak.

- Aha - mruknął odruchowo pilot.

- Rzecz jasna, jeśli pan nalega, mogę zrezygnować z biotechnicznej części pańskiego treningu. Muszę jednak zauważyć, że gdyby natknął się pan na któregoś z buntowników, pański przeciwnik będzie dysponował ośmiokrotnie większą siłą, reagował trzy razy szybciej, a dzięki ulepszonej strukturze kostno-mięśniowej i systemowi krążenia jego ciało może wytrzymać nawet

jedenaste raz więcej uszkodzeń niż pańskie.

McIntyre zamrugnął. Nie wpadał w euforię na dźwięk słowa „biotechnika”; kojarzyło mu się ono z chirurgią, szpitalem i równie nieprzyjemnymi rzeczami. Lecz z drugiej strony... Z drugiej strony...

- Dobrze, Dahak - powiedział wreszcie - skoro to cię uszczęśliwi. I tak zamierzałem wrócić do dobrej formy.

- Dziękuję, kapitanie - odparł komputer, i jeśli w jego głosie brzmiał choć cień samozadowolenia, to pełniący obowiązki starszego kapitana Floty Colin McIntyre, czterdziesty trzeci dowódca jednostki Floty Imperialnej „Dahak”, numer kadłuba 177291, postanowił to zignorować.

Rozdział piąty

McIntyre wszedł z westchnieniem ulgi do gorącej, wirującej wody. Oparł się o profilowany skraj wanny i rozejrzał po swojej nowej kajucie kapitańskiej. Mógł się spodziewać, że mieszkanie, w którym ma spędzić dwadzieścia pięć lat, będzie odpowiednio urządzone, ale to...

Jego wanna mogła pomieścić ponad dwanaście osób i była przeznaczona do głębokiego relaksu. Odstawił kieliszek na jedną z wysuwanych tac i patrzył, jak automatyczny bar ponownie go napełnia, po czym odkręcił kran palcami stóp i pociągając trunek, rozkoszował się luksusem.

Wielkość kajuty robiła na nim wrażenie. Skąpany w łagodnym świetle sufit wznosił się tak wysoko, jak w katedrze. Ściany - za nic nie nazwałby ich „grodziami” - pokrywała ręcznie woskowana boazeria, a zgromadzonych tu dzieł sztuki mógłby mu pozazdrościć każdy nowobogacki miliarder. Pilota zafascynował szczególnie jeden posąg. Był to stojący dęba jednorożec o zakończonych pędzlami uszach, zbyt „prawdziwy”, aby mógł być tylko wytworem czyjejs wyobraźni; McIntyre poczuł dziwną radość i podziw, widząc dowód obcego pochodzenia jednego z najtrwalszych ziemskich mitów.

Wanna stała na czymś, co było drugim poziomem balkonu nad obszernym atrium. Wokół unosił się wilgotny zapach ziemi; pilota otaczały nieznane zielone rośliny o pierzastych liściach, a powykęcanymi gałęziami i kolorowymi kwiatami poruszały delikatne powiewy wiatru. Sufit atrium był niewidoczny na tle błękitnego nieba, które mogłoby być ziemskim niebem, gdyby nie słońce o nieco zbyt żółtym odcieniu.

A to, przypomniał sobie Colin, zaledwie jeden z pokojów, które oddano do jego dyspozycji. Wiedział, że każda ranga ma swoje przywileje, lecz nigdy nie spodziewał się takich wspaniałości i przestrzeni - bez wątplenia, dlatego, że wciąż myślał o „Dahaku” jako o zwykłym okręcie. Był okrętem, lecz jego wielkość sprawiała, że pojęcie „okręt” nabierało zupełnie nowego znaczenia.

Ale zapłacił za to wysoką cenę, pomyślał, waląc stopami w wodę jak dzieciak, aby pozbyć się skurczu łydek. Po tym, co przeszedł przez ostatnich kilka miesięcy, wydawało mu się, że te skurcze są czymś wyjątkowo nie w porządku. Wciąż przyzwyczajał się do zmian, jakich komputer w nim dokonał... i jeśli Dahak jeszcze raz nazwie je „niewielkimi”, to osobiście sprawdzi, czy regulamin Floty przewiduje dla komputerów coś w rodzaju przeciągania pod stępką.

Życie pilota NASA nigdy nie było łatwe, lecz Dahak sprawił, że słowo „wyczerpujące” nabrało zupełnie nowego znaczenia. Znacznie młodszy Colin McIntyre sądził, że piekielny tydzień w Annapolis był ciężki, lecz kiedy przeniósł się do Pen-sacola, doszedł do wniosku, że szkoła pilotów może być jeszcze gorsza... dopóki nie przeszedł eliminacji i szkolenia niezbędnego do wzięcia udziału w misji „Prometeusz”. Lecz wszystko to było zaledwie rozgrzewką przed

programem treningowym dla dowódcy „Dahaka”.

Oprócz wysiłku fizycznego miał jeszcze do pokonania przeszkody wynikające z tego, że Dahak był maszyną. Wprawdzie ze względu na długość życia i ogrom wiedzy był bardzo doświadczony, mimo to jednak nadal pozostawał tylko maszyną i miał zupełnie odmienny punkt widzenia, co w wielu sytuacjach dawało ciekawe rezultaty.

Na przykład dla Dahaka było oczywiste, że Czwarte Imperium to najważniejsze źródło prawdziwej władzy, przewyższające tak prymitywne i efemeryczne państewka, jak Stany Zjednoczone.

McIntyre postrzegał to inaczej, dlatego uporczywie odmawiał złożenia przysięgi, która stałaby w sprzeczności z tą, którą złożył jako oficer marynarki w służbie rzeczonych Stanów Zjednoczonych.

W końcu komputer niechętnie musiał przyznać, że postawa McIntyre’a potwierdza, iż jest człowiekiem honoru, nie powstrzymywało go to jednak od podejmowania prób zmiany jego sposobu myślenia. Dowodził, że obowiązki ludzkości wobec Czwartego Imperium przewyższają jej obowiązki wobec jakiegokolwiek ziemskiej władzy, a Stany Zjednoczone to jedynie czasowo zarządzający twór na pustynnej wyspie, który ma regulować sprawy niewielkiej części załogi rozbitego okrętu. Wygłaszał elokwentne, niemal poetyckie przemówienia, lecz wszystko to na próżno; McIntyre był nieugięty.

Wreszcie udało im się osiągnąć kompromis, choć Dahak przyjął go bardzo niechętnie. Po swoich doświadczeniach z rozkazami o prioritycie alfa był wyraźnie nieszczęśliwy, że jego nowy kapitan zakończył swoją przysięgę słowami: „...dopóki przysięga posłuszeństwa wobec centrali Floty i Czwartego Imperium nie będzie wymagać działania na szkodę Stanów Zjednoczonych Ameryki”. Jeśli jednak miały to być jedyne warunki, na jakich wiekowy okręt mógł zdobyć kapitana, Dahak postanowił je przyjąć, choć z niechęcią.

Mimo iż McIntyre miał świadomość (choć bardzo mgliście) odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa, i bał się jej, nie znał wszystkich aspektów sytuacji, w jaką się wpakował. I najprawdopodobniej dobrze się stało, bo gdyby miał czas na zastanowienie, nie wskoczyłby w to na oślep.

Na przykład „biotechniczne ulepszenia”. Określenie to martwiło go od samego początku, gdyż będąc kosmonautą, przeszedł już swoje jako świnka morska, sądził jednak, że przedłużenie życia i lepsza ciężarna to kusząca propozycja. Niestety, jako człowiek dwudziestego pierwszego wieku miał tak samo przestarzałe pojęcie o tym, czego jest w stanie dokonać medycyna Czwartego Imperium, jak o idei „okrętu”.

Jego rozdrażnienie jeszcze wzrosło, kiedy odkrył, że ma dać się pokroić wyposażonemu w skalpel komputerowi, a kiedy się dowiedział, że Dahak zamierza rozłożyć go na czynniki pierwsze i

poskładać w nowy, ulepszony model, zgodnie z wszystkimi zaletami współczesnej technologii, niemal dostał histerii, że zmieni się w cyborga. Było to tak, jakby doktor Jekyll mógł przemienić się w pana Hyde'a, ale opierał się temu z przerażeniem. Ale Dahak był cierpliwy, tak bardzo cierpliwy, że McIntyre poczuł się jak Buszmen, który boi się, że misjonarz uwięzi jego duszę w magicznej skrzynce.

To był punkt zwrotny - tak naprawdę dopiero teraz zaczął akceptować to, co się działo... i czego stał się częścią. Uległ namowom Dahaka, choć z dużymi oporami, gdy komputer uzmysłowił mu, że zna się na ludzkiej fizjologii znacznie lepiej niż jakikolwiek ziemski zespół medyczny i że istnieje znacznie mniejsze ryzyko popełnienia błędu.

McIntyre z niepokojem poddał się narkozie, oczekując potem długiej rekonwalescencji w łóżku. Ale mylił się; już po kilku dniach normalnie funkcjonował i rozpoczął program treningu fizycznego, którego, jak się przekonał, bardzo potrzebował.

Mimo to wciąż miał wrażenie, że z tego nie wyjdzie, i ta obawa wciąż wywoływała u niego zimne poty. Pewnie nie miałby z tym żadnych problemów - a przynajmniej miałby niezbyt poważne - gdyby wcześniej wszystko przemyślał. Nigdy jednak nie rozważył wniosków płynących ze słów Dahaka, a rezultaty okazały się bardziej odstręczające niż zadowalające.

Kiedy po raz pierwszy otworzył oczy, jego wzrok wydał mu się nienaturalnie wyostrojony; miał wrażenie, że potrafi dostrzec pyłki wirujące na korcie tenisowym. I rzeczywiście mógł, gdyż jedno z ulepszeń Dahaka polegało na zmianie zdolności akomodacji jego oczu, nie wspominając już o rozszerzeniu zakresu widma w podczerwień i ultrafiolet.

Potem przyszła pora na „wzmocnienie szkieletu i mięśni”. Colin poczuł atawistyczny dreszcz radości na myśl, że jego kości zostaną wzmocnione tym samym stopem, z którego zbudowany jest „Dahak”, lecz radość szybko przeszła w przerażenie, kiedy okazało się, że okręt przygotował dla niego o wiele więcej „drobnych” zmian. Jego mięśnie służyły teraz jako serwomechanizmy dla niezwykle cienkich płatów syntetycznej tkanki, mocniejszej niż kadłub jego beagle'a, która uciskała jego nowy szkielet do granic wytrzymałości. Podobne zmiany przeszedł jego układ oddechowy i krążenia. Nawet skóra została wzmocniona, gdyż musiała sprostać wymaganiom kryjącej się pod nią siły. Mimo to jego zmysł dotyku, tak samo jak wszystkie inne zmysły, nabrał niezwyklej wrażliwości.

Wszystkie te zmiany bez wątpienia zostały dokonane zbyt szybko, gdyż ani komputer, ani człowiek nie mieli pojęcia, jak wielka dzieli ich przepaść w pojmowaniu rzeczy, które każdy z nich uznawał za oczywiste.

Dla Dahaka zmiany, które przerażały McIntyre'a, tak naprawdę były tylko „niewielkimi”, rutynowymi zabiegami, czymś takim, jak dla Czwartego Imperium przekazanie podstawowego wyposażenia dla rekruta. Mimo całej swojej wiedzy Dahak był tylko maszyną, która nie знаła

pojęcia „naturalnych ograniczeń”, dlatego komputer nigdy się nie zastanawiał, jak wielkim ciosem będą te „niewielkie” zmiany dla McIntyre’a.

To również moja wina, pomyślał Colin, pochylając się, aby rozmasować potężny skurcz w prawej łydce. Był pod tak ogromnym wrażeniem długości życia Dahaka i głębi jego wiedzy, że sprawy i zastanawiał się przez pięćdziesiąt tysięcy lat. Mógł przewidzieć z przerażającą dokładnością, co zrobią określone grupy ludzi, miał pojęcie o historii, do tego wykazywał się nieludzką cierpliwością i determinacją, lecz mimo wszystko był tylko istotą stworzoną z najczystszej intelektu.

Upowiedział jednak McIntyre’a, że komputerowi centralnemu brakuje nieco wyobraźni, lecz pilot dał się zwieść wrażeniu jego człowieczeństwa. Świadom własnej niewiedzy i przerażony złożoną na jego barki odpowiedzialnością, niemal z radością przyjął rolę figuranta, którego Dahak potrzebował, by przełamać blokadę sprzecznych poleceń. Wyrażając zgodę, zakładał, że Dahak jest gotów uczynić wobec niego pewne ustępstwa.

No cóż, komputer próbował iść na pewne ustępstwa, lecz to mu się nie udało, co tak wstrząsnęło McIntyre’em, że radykalnie przewartościował ich stosunki.

Kiedy pilot obudził się po operacji, niemal oszalał z przerażenia, czując, z jaką intensywnością odbiera wszystkie bodźce. Jego wzmocniony zmysł zapachu był zdolny do rozróżniania woni z precyzją dobrego laboratorium chemicznego. Zmodyfikowany wzrok mógł wysledzić pojedyncze pyłki kurzu i wybrać spektrum, w jakim będzie je oglądał. Mógł złamać gołą ręką kij baseballowy albo podnieść szesnastocalowy pocisk, mógł też przetrwać do pięciu godzin z zapasem tlenu zmagazynowanym w podbrzuszu. Ponadto miał odnowione tkanki, możliwość ponownego wykorzystania produktów przemiany materii odzyskiwanych z krwi, wszczepione komunikatory, bezpośrednie połączenie neuronowe z Dahakiem oraz wszystkimi komputerami na okręcie i pasożytami...

Dano mu boską moc, ale on zupełnie nie miał pojęcia, jak korzystać ze swoich nowych możliwości. Nie mógł przestać widzieć, słyszeć i czuć z tą straszną dokładnością i jasnością, nie mógł zapanować nad swoją nową siłą. Kiedy w izbie chorych opadło go przerażenie i zaczął wymachiwać swoimi nogami łamiąc meble jak zapalki, Dahak rozpoznał, w czym tkwi problem... i jeszcze bardziej pogorszył sprawę, uruchamiając łącze neuronalne, aby w ten sposób ominąć kipiące od nowych doznań zmysły.

McIntyre nie był pewien, czy załamałby się, gdyby komputer nie rozpoznał tak szybko jego atawistycznej paniki, lecz był tego bardzo bliski, kiedy palce obcego delikatnie dotknęły jego dygoczącego mózgu.

Nawet jeśli Dahakowi brakowało wyobraźni, by przewidzieć konsekwencje, szybko się uczył, a ponadto jego banki pamięci zawierały wiele informacji o traumie. Wycofał się więc ze

świadomości McIntyre'a i wykorzystał ratunkowe procedury medyczne, by przytępić jego zmysły i cofnąć go z krawędzi szaleństwa, po czym zaaplikował środki uspokajające i terapię dźwiękami.

Dahak odegnał od niego przerażenie, nie otepiając intelektu, a potem - boleśnie wolno dla udreżonych zmysłów pilota, lecz według standardów wszechświata nieprawdopodobnie szybko - pomógł mu oswoić się z całkowicie odmienionym środowiskiem własnego ciała. Przeważenie wywołane neuralnymi im-plantami minęło. Dahak nie był już przerażającą obcą obecnością szepczącą w jego umyśle; był przyjacielem i mentorem uczącym go, jak kontrolować swoje nowe zdolności, dopóki nie stanie się ich władcą, a nie ofiarą.

To doświadczenie uczyniło komputer ostrożniej szym, a co ważniejsze, nauczyło też McIntyre'a, że Dahak też ma swoje ograniczenia. Nie mógł już zakładać, że maszyna zawsze wie, co robi, ani liczyć na to, że ocali go przed konsekwencjami własnych błędów. Ta lekcja zapadła mu głęboko w pamięć, i kiedy obudził się z traumy, poczuł, że naprawdę jest kapitanem i chce, by jego nieorganiczny towarzysz oraz załoga doradzali mu, lecz jednocześnie był świadom, że jego życie i los jest w jego własnych rękach w jeszcze większym stopniu niż kiedykolwiek.

Była to przerażająca myśl, lecz Dahak miał rację: Macintyre miał mentalność dowódcy. Wolał posłać samego siebie do piekła niż zostać wysłanym do nieba przez kogoś innego. Nie świadczyło to może dobrze o jego skromności, lecz oznaczało, że przeżyje - przynajmniej na razie - to, czego wymagał od niego Dahak. Mógł kląć komputer jako surowego wyzyskiwacza, lecz wiedział, że to on sam zmusza siebie do wysiłku, tak jakby to robił Dahak.

Ponownie westchnął, zanurzając się w wodzie, gdy skurcz i wreszcie zelżał. Dzięki Bogu! Skurcze były bardzo bolesne, kiedy jeszcze miał swoje własne mięśnie, a teraz było to istne piekło. Wydawało mu się nie do końca w porządku, że te magiczne mięśnie nie mogą po prostu wyskoczyć całkowicie ukształtowane z głowy Dahaka, tak jak w tym micie. Komputer nigdy go nie uprzedził, że będą wymagać ćwiczeń, tak samo jak jego własne mięśnie. Odkrycie to sprawiło, że poczuł się nieco oszukany.

Oczywiście to buntownicy poczują się oszukani, kiedy się okaże, że Dahak spędził kilka wieków nad „niewielkimi” ulepszeniami w standardowych implantach Floty, a efekty są wręcz powalające. Komputer zaczął od implantów oficera z dostępem na mostek, które i tak były znacznie bardziej skomplikowane niż standardowe biotechniczne urządzenia Floty, lecz później zaczął już majstrować przy wszystkich implantach. Macintyre nie tylko był silniejszy, bardziej wytrzymały i nieco szybszy niż każdy z buntowników, lecz zasięg i precyzja jego elektronicznych i poprawionych naturalnych zmysłów były o dwieście, a nawet trzysta procent lepsze. Przekonał się, że tak jest, gdyż Dahak osłabił działanie własnych implantów do poziomu, jakim dysponowali buntownicy.

Colin zamknął oczy i odprężył się, uśmiechając się lekko, gdy jego ciało zaczęło się unosić

na wodzie. Myślał, że wszystkie te modyfikacje znacznie zwiększą jego ciężar, ale tak się nie stało.

Dzięki implantom przybrał na wadze nie więcej niż piętnaście kilogramów, a mniej więcej tyle samo tłuszczu wypocił.

- Dahak - powiedział, nie otwierając oczu.

- Tak, Colin?

Uśmiech McIntyre'a pogłębił się, gdy usłyszał, jak komputer zwraca się do niego. Była to kolejna rzecz, przy której Dahak się upierał, lecz McIntyre stwierdził, że raczej szlag go trafi niż pozwoli swojemu jednemu podwładnemu mówić do siebie „kapitanie” czy „sir”, nawet jeśli dowodzi okrętem wielkim jak ćwierć ziemskiego globu.

- Jaki jest stan misji poszukiwawczej?

- Zebrali wiele fragmentów z miejsca katastrofy, w tym płytki z numerami seryjnymi, które odczepiliśmy od twojego pojazdu. Pułkownik Tillotson jest niezadowolona z powodu braku jakichkolwiek szczątków organicznych, lecz generał Jakowlew podjął decyzję o zaprzestaniu poszukiwań.

- To dobrze - mruknął McIntyre, zastanawiając się, czy rzeczywiście tak sądzi. Śledztwo prowadzone przez Połączone Dowództwo trwało dłużej niż się spodziewał, poruszyła go też determinacja, z jaką Sandy postanowiła go odnaleźć, lecz z ulgą przyjął fakt, że ma to już za sobą. Było to nieco przerażające, jak odcinanie pępownicy, lecz musiało się tak stać, jeśli jemu i Dahakowi miało się powieść.

- Jakaś reakcja ze strony ludzi Anu?

- Żadnej - odparł Dahak. Po chwili komputer dodał nieco smutniejszym tonem: - Colin, mógłbyś zdobyć te informacje znacznie szybciej, gdybyś po prostu polegał na swoim interfejsie neuralnym.

McIntyre otworzył jedno oko i zaczął obserwować chmury dryfujące po rzutowanym na sufit atrium niebie.

- Nie mów mi, że członkowie załogi też przez cały czas korzystali ze swoich implantów, bo ci nie uwierzę.

- Nie - przyznał Dahak - lecz korzystali z nich znacznie częściej niż ty. Ludzkie procesy myślenia są nierozdzielnie związane ze składnią i semantyką... jednak to nie jest efektywny i wygodny sposób zdobywania informacji.

- Dahak - powiedział cierpliwie McIntyre - mógłbyś przez ten implant wsadzić wszystkie swoje programy do mojego mózgu i...

- Nie, Colin, pojemność twojego mózgu jest poważnie ograniczona. Szacuję ją na nie więcej niż...

- Zamknij się-powiedział pilot z grymasem niechęci. Wprawdzie długa podróż Dahaka

wokół Ziemi nie uczyniła go w pełni człowiekiem, ale w wielu wypadkach był już do niego bardzo podobny. Wątpił, by inżynierowie tworzący główny komputer przewidzieli, że Dahak będzie miał poczucie humoru.

- Dobrze, Colin - odparł Dahak tak potulnie, że McIntyre zrozumiał, iż komputer folguje sobie elektronicznym odpowiednikiem cichego śmiechu.

- Dziękuję. Chciałem powiedzieć, że możesz te informacje wlać mi lejkiem do głowy, lecz to wcale nie znaczy, że będą moje. To jest jak... encyklopedia. Źródło, do którego się zagląda, aby sprawdzić różne rzeczy, a nie coś, co wskakuje mi do głowy, gdy akurat tego potrzebuję. Poza tym to łaskocze.

- Tkanka ludzkiego mózgu nie jest wrażliwa na żadne fizyczne bodźce, Colin - powiedział dość sztywno komputer.

- Mówiłem w przenośni. - McIntyre zrobił fałę, poruszając palcami. - Uznaj to za manifestację psychosomatyczną.

- Nie bardzo rozumiem zjawiska psychosomatyczne - przypomniał mu Dahak.

- No to uwierz mi na słowo. Jestem pewien, że się do tego przyzwyczaję, lecz nim tak się stanie, będę po prostu zadawał pytania. W końcu szarża ma swoje przywileje.

- Przypuszczam, iż uważasz, że taki koncept jest wyjątkowy tylko dla waszej kultury.

- Źle przypuszczasz. Jeśli się nie mylę, jest typowy w ogóle dla człowieka, niezależnie od miejsca pochodzenia.

- To samo zaobserwowałem.

- Och, Dahak, nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo mnie to cieszy i uspokaja.

- Oczywiście, że nie mogę. Wiele rzeczy, które ludzie uznają za pocieszające, umyka logicznej analizie.

- Racja, racja. - McIntyre połączył się przez implant z głównym zegarem okrętu i westchnął, zrezygnowany. Czas jego odpoczynku dobiegał końca, zbliżała się pora kolejnej sesji w symulatorze kontroli prowadzenia ognia. Potem miał iść na strzelnicę, później kilka godzin odpoczywać podczas przyswajania podstaw astrogacji z szybkością nadświatlną, a na koniec miał dwie godziny walki wręcz z jedną z treningowych końcówek Dahaka. Skoro ranga ma swoje przywileje, ma też swoje powinności. I to jest głęboka myśl.

Wyszedł z wanny i owinał się grubym ręcznikiem. Mógł poprosić Dahaka, aby wysuszył go podmuchem ciepłego powietrza. Jego nowe wyposażenie mogło także stworzyć na powierzchni skóry pole odpychające, dzięki któremu woda spłynęłaby po nim jak po kaczce, lecz wolał rozkoszować się dotykiem miękkiego ręcznika, gdy szedł do sypialni, aby się ubrać.

- Wracamy do kopalni soli, Dahak - westchnął głośno.

- Tak, Colin - odparł posłusznie komputer.

Rozdział szósty

- Jeszcze coś na temat związków z NASA, Dahak?

McIntyre siedział na mostku w fotelu kapitana. Był tym samym co zawsze szczupłym, wysokim, przystojnym młodym człowiekiem. Miał na sobie granatowy uniform Floty Bojowej, oparte o konsolę nogi opinały buty ze skóry chagora, zaś w niewinnych zielonych oczach widać było błysk zdecydowania i świadomość celu.

- Nie, Colin. Sprawdziłem biografie wszystkich szefów projektu związanych z programem badań grawitacyjnych i wszyscy oni wyglądają na urodzonych Ziemiach. Może wcześniej nawiązali jakieś kontakty - podczas karier akademickich albo takich czy innych badań - jednak logika dyktuje bezpośrednie zaangażowanie buntowników w tę część programu „Prometeusz”, która jest znacznie bardziej zaawansowana niż pozostałe.

- A niech to. - McIntyre pociągnął się za nos i zmarszczył czoło. - Jeśli nie jesteśmy w stanie zidentyfikować kogoś, o kim wiemy, że jest z tym powiązany, będziemy musieli w ogóle unikać wszelkich oficjalnych kontaktów. Jezu, to się robi coraz trudniejsze! - westchnął. - Musimy od czegoś zacząć... i ty o tym wiesz.

- Nadal wolałbym przedłużyć czas twojego szkolenia, Colin - odparł Dahak, lecz powiedział to tak zrezygowanym tonem, że McIntyre aż się złośliwie uśmiechnął. Choć nie można było go nazwać niezdecydowanym, Dahak obawiał się pozwolić swemu ledwie co opierzonemu dowódcy na opuszczenie gniazda, zwłaszcza że gdyby McIntyre powrócił na Ziemię, nie mógłby się z nim porozumiewać. Nie ulega bowiem wątpliwości, że buntownicy nie przegapiliby nawiązanego w przestrzeni złożonej połączenia z Księżycem.

Dahak był więc nadopiekuńczy; McIntyre zastanawiał się, czy to skutek działania jego programów, czy długiej samotności. Okręt wreszcie miał kapitana - czyżby groźba jego utraty aż tak bardzo komputer przerażała?

Ale czy wiekowa maszyna może odczuwać strach? Pilot nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, wolał więc sądzić, że Dahak nie zna tego uczucia, lecz bez wątpienia jest w stanie pojąć w sposób intelektualny, czym jest strach.

McIntyre rozejrzał się. Ekran, który pamiętał ze swojej pierwszej wizyty, zniknął, konsola zdawała się unosić w kosmicznej pustce. Nad jego głową lśniły gwiazdy; nieruchome zimne punkty światła nikły w milczącej głębi nieskończoności, zaś biało-niebieska planeta, z której pochodził, powoli się pod nim obracała. Iluzja była doskonała, a jemu przyszła do głowy myśl, jak by zareagował, gdyby podczas ich pierwszego spotkania Dahak przypadkiem zaproponował mu wejście w nią.

Wyglądało na to, że komputer miał świadomość, iż zewnętrzna technologia może go przerażać, za to nie pojmował, co się zdarzy, jeśli taka sama technologia znajdzie się w środku jego ciała. A może po prostu założył, że podobnie jak on, McIntyre wszystko zrozumie, gdy mu to raz wyjaśni?

Na wszelki wypadek pierwszego dnia Dahak był ostrożny, o czym świadczy chociażby wybór pojazdu. Obły pocisk był pojazdem naziemnym, w którym komputer odłączył część systemu napędowe-on abv pość” poczuł przyspieszenie, którego się spodziewał.

Potem pojazd właściwie nie był już potrzebny; McIntyre próbował teraz poruszać się szybko, choć zrobił to dopiero wtedy, gdy Dahak znalazł czas, aby wyjaśnić mu zasadę ich działania. I bardzo dobrze, gdyż bez wątplenia były niezwykle szybkie i McIntyre kilka razy zzieleniał ze strachu, pędząc wielkimi tunelami z prędkością kilku machów. Nawet teraz, po kilku miesiącach ćwiczeń, nie mógł pozbyć się wrażenia, że za każdym razem, kiedy powierza sam siebie grawitonicznemu systemowi, robi to na własną zgubę.

Otrząsnął się z tych myśli. Znów wolał marzyć o niebieskich migdałach, zamiast pomyśleć o czekającym go zadaniu.

- Wiem, że chciałbyś, abym jeszcze dłużej ćwiczył - powiedział - ale minęło już sześć miesięcy, a oni są gotowi wysłać Włada Czernikowa w kolejnej proktoskopowej misji. Wiesz, że nie możemy przejąć kolejnego beagle'a, gdyż w ten sposób ostrzeżemy Anu.

Nastąpiła chwila ciszy; było to jedno z ludzkich zachowań Dahaka, które McIntyre bardzo sobie cenił. Trudno bowiem skupić się na własnych myślach, gdy rozmówca niemal natychmiast odpowiada.

- Dobrze - powiedział wreszcie Dahak. - Uważam jednak, z całym szacunkiem, że twój plan opiera się wyłącznie na zbyt ogólnikowych założeniach.

-I co z tego? Ty miałeś parę tysięcy lat, aby to sobie przemyśleć, więc może masz lepszy pomysł?

- Nie. To ty jesteś kapitanem i podejmowanie decyzji to twoje zadanie, nie moje.

- Zatem zamknij się, żołnierzu - powiedział z uśmiechem McIntyre.

- Dobrze - powtórzył Dahak....

- W porządku. Tłumik gotowy?

- Potwierdzam. Moje końcówki umieściły go w twoim kutrze. Nadal jednak sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś się posłużył większym - i uzbrojonym - pasożytem. - Znowu zapadła cisza i McIntyre zamknął oczy. Komputer, pomyślał, mógłby dawać lekcje uporowi mułowi z Missouri.

- Dahak - powiedział cierpliwie - tam jest jakieś pięć tysięcy buntowników, prawda? I osiem okrętów bojowych o napędzie podświetlnym, ważących osiemdziesiąt tysięcy ton każdy?

- Zgadza się, jednak...

- Zamknij się! To ja tutaj rządę, ja jestem kapitanem. Mają też kilka ciężkich krążowników, pojazdy opancerzone, myśliwce zdolne do przechodzenia przez atmosferę i personel, który może nimi latać... nie wspominając o osobistych pancerzach i broni, a do tego mogą zagłuszać twoją łączność z każdym, kto jest na dole, prawda?

- Tak, Colin - westchnął Dahak.

- Zatem nadeszła pora na ostrożność i spryt, a nie brutalną siłę. Muszę wnieść tłumik do środka ich enklawy i pozwolić ci zdjąć ich tarczę obronną. Inaczej nigdy się do nich nie dostaniemy.

- Aby to zrobić, musisz znać kody dostępu i wiedzieć, gdzie znajdują się wejścia, a tego możesz się dowiedzieć tylko od buntowników.

- Wiem. - McIntyre zdjął nogi z pulpitu i zmarszczył czoło, pociągając się mocniej za nos. Bez wątplenia buntownicy mają swoich ludzi we wszystkich rządach, biorąc pod uwagę, jak w ciągu ostatnich dwustu lat manipulowali ziemską polityką.

A to oznacza, że kontakt z jakąkolwiek ziemską władzą jest wykluczony. Szkoda, że Dahak nie mógł stąd przeprowadzić bioskanu; przynajmniej wiedziałby, kto jest, a kto nie jest buntownikiem. Lecz to i tak nie mogłoby wskazać, którzy Ziemianie zostali zwerbowani, najprawdopodobniej nawet o tym nie wiedząc.

Pozostało więc tylko rozwiązanie, którego wraz z Dahakiem najbardziej się obawiali. Colin musi w jakiś sposób przeniknąć do baz buntowników i wyłączyć ich tarczę obronną. Była to

przerazająca perspektywa, lecz kiedy już zlikwidują ich obronę, która uniemożliwia Dahakowi działanie, buntownicy będą musieli się poddać lub umrzeć. McIntyre'a niezbyt obchodziło, co wybiorą, byleby szybko się zdecydowali.

Pierwsza z automatycznych stacji skanujących została zniszczona przez zwiadowców Achuultan. Mimo względnie małej szybkości ich okrętów, ludzkości zostało zaledwie dwa i pół roku, zanim tamei dotrą do Słońca... i tyle też czasu miał Colin na to, by ich powstrzymać.

To był prawdziwy powód, dla którego chciał znaleźć powiązania między Anu i NASA. Gdyby zdołał dopaść jednego - choćby jednego - buntownika, mógłby w ten czy inny sposób wydobyć z niego informacje, których on i Dahak potrzebowali. Ale jak zrobić pierwszy krok? Wciąż nie wiedział, lecz nie zamierzał przyznać się Dahakowi, że będzie robił wszystko na wycucie, ani też zdradzić, kto będzie jego jedynym ziemskim sojusznikiem, gdyż wtedy komputer sam mógłby wszcząć bunt i nie zechcieć wypuścić go z okrętu!

- Dobrze - powiedział z wymuszoną wesołością. - No to lecę. Zdjął nogi z niewidzialnego pulpitu i wstał, czując się tak, jakby miał pod stopami cały wszechświat.

- Dobrze, Colin - powiedział cicho Dahak. Pierwszy właz otworzył się, rozlewając białe światło niczym szczelinę między gwiazdami. McIntyre wszedł w nie z założonymi rękami.

- Pomyślnych łowów, kapitanie - mruknął komputer.
- Przybiję ich do ściany - odparł McIntyre, żałując, że nie może sam siebie o tym przekonać.

* * *

Między spowitymi w mrok górami Colorado wylądował kawałek nocy. Nie czynił więcej hałasu niż szepcząca bryza, nie migał światłami, nie pojawił się na żadnym radarze. Pole maskujące zmieniło go raczej w czarną, miękką, pochłaniającą promieniowanie nieobecność niż obiekt widzialny, gdyż nawet gwiazdy nie odbijały się od niego.....

Zniżył lot i zsunął się nad nienazwaną dolinę między Cripple Creek a Pikes Peak. Colin McIntyre przez chwilę przyglądał się, jak chmury z plamami światła lśnią na wschodzie nad Colorado Springs, po czym kuter wysunął nogi i wylądował z cichym piskiem.

Colin siedział przez długie minuty w swoim fotelu dowódcy, spoglądając na miniaturę ekranu z mostka, który czerpał informacje z pasywnych skanerów. Był zaskoczony targającymi nim emocjami.

Dotknięcie po raz kolejny Ziemi przyniosło falę niewysłowionej ulgi, którą jednak zastąpiły inne, znacznie mniej zrozumiałe uczucia: poczucie obcości, świadomość czekającego zagrożenia... Ostatnie pół roku zmieniło go bardziej niż sądził.

Pomyślał ze smutkiem, że nie jest już mieszkańcem Ziemi. Niezależnie od tego, czy mu się to podoba, czy nie, został emigrantem, jednak ta konkluzja sprawiła, że jeszcze mocniej pokochał swój świat. Jest obcy, ale pochodzi z Ziemi, i to jest dom, o którym będzie nieustannie śnił, a jego piękno zawsze będzie dla niego bardziej czyste i bardziej ukochane niż rzeczywistość.

Otrząsnął się z tych myśli. Noc po drugiej stronie wjazdu była cicha, ale pełna życia, które biegło na czterech nogach lub fruwało, i nie mógł już dłużej siedzieć na pokładzie.

Wyłączył ekran i światła na statku, po czym odczepił tłumik przymocowany do pulpitu za jego fotelem. Nie było to duże urządzenie, ale ciężkie. Colin mógłby do niego dołączyć niewielki emiter anty grawitacji, lecz się na to nie odważył. Wyłączony tłumik był ciężkim blokiem z metalu i plastiku; jego sieć obwodów molekularnych była nie do wykrycia nawet dla buntowników. Włączony antygraw to co innego - jego wykrycie skazałoby misję na porażkę.

Wsunął ręce w pasy i zarzucił tłumik na plecy. Następnie otworzył właz i zszedł na trawiastą ziemię. Uderzył go w nos zapach nocy, a gdy wzmacnił wzrok, ciemność stała się tak jasna jak w samo południe.

Odszedł od pojazdu, a wtedy włąz posłusznie się zamknął. Teraz skupił całą swoją uwagę na rozkazach przepływających przez jego neuralne złącze. Komputery na pokładzie kutra były głębszymi wersjami Dahaka i dlatego należało bardzo starannie formułować polecenia. Nogi kutra schowały się i statek przez chwilę zawisł w powietrzu, po czym w ciszy odleciał. Jeszcze przez jakiś czas widać go było jako plamę na tle mijanych gwiazd.

McIntyre odprowadził kuter wzrokiem, po czym połączył się z systemem nawigacyjnym. Dla jego poprawionego wzroku teren nie wyglądał na łatwy, lecz nie na tyle, aby mu sprawiać trudności. Zaczepił kciuki o pasy tłumika i ruszył w drogę, nieco podobny do ożywionego kawałka ciemności.

* * *

Minęła godzina, nim wszedł na krawędź, z której rozciągał się widok na Colorado Springs. Zatrzymał się tam nie po to, by odpocząć, lecz dlatego, że chciał poobserwować widoczne w dole migoczące światła.

Program kosmiczny zmienił przez czterdzieści lat oblicze Colorado Springs. Stare Centrum Goddarda wciąż kontrolowało bezzałogowe sondy NASA i prowadziło wiele eksperymentów, lecz Goddard był zbyt mały i przestarzały, aby sprostać potrzebom licznych prac prowadzonych na orbicie. Same prace budowlane wokół habitatów w punkcie Lagrange'a wymagały nowych, wielkich fabryk, takich jak rosyjska stacja Kluczew-skaja, europejskie Centrum Kontroli im. Wernera von Brauna czy kanadyjsko-amerykańskie Centrum Kosmiczne Sheperd w Colorado Springs.

Colorado Springs stało się trzecim w kraju najszybciej rozra-?i stającym się miastem; mimo późnej pory gigantyczny obszar Centrum Sheperd, zbudowanego na terenie byłej bazy lotniczej Pe-terson, błyszczał i tętnił życiem. Sheperd było przede wszystkim centrum kontroli lotów. Nie było tu przez cały dzień i noc gorączkowych startów, tak jak na Kennedym, Yandenbure i Currms, Christi; teraz Colin widział tylko światła lądującego wahadłowca osobowego Valkyrie i inny statek, aż ciężki od dopalaczy, wieziony na start. Z tej odległości nie dobiegał żaden dźwięk, lecz wspomnienia i wyobrażenia podsuwały mu odgłosy pospiesznych przygotowań, które czasem zmieniały zafascynowanie kosmosem w nużącą rutynę.

Otworzył wiszący na szyi pokrowiec z lornetką; nawet jego magiczny wzrok miał pewne ograniczenia. Urządzenie, które podniósł do oczu, różniło się od zwykłej elektronicznej lornetki tak, jak lornetka różniła się od osiemnastowiecznej lunety. Odległe centrum kosmiczne znalazło się

nagle na wyciągnięcie ręki.

Przyglądał się, jak znajdujący się w powietrzu wahadłowiec Valkyrie podchodzi do lądowania z wysuniętymi do przodu skrzydłami. Niemal słyszał jęk zderzaków i nagły warkot działających wstecz dopalaczy; był zdziwiony, że to wszystko wciąż jeszcze wydaje mu się tak ekscytujące i potężne. Obserwował jakby dwiema parami oczu, jak ważący dwieście ton ptak porusza się z gracją. Jedna para oczu przypominała mu jego własne doświadczenia, gdy zaledwie pół roku temu wahadłowiec wydawał mu się szczytem osiągnięć ludzkiej wiedzy; druga widziała „Dahaka” i na jego tle prymitywną konstrukcję wszystkich innych statków.

Był świadom, że wszechświat bardzo się zmienił, a tysiące ludzi pracujących w Sheperd nie wie o tym. Mimo to odczuwał wahanie, niechęć do ponownego kontaktowania się z nimi. Już wcześniej czuł się podobnie po zakończeniu dłuższych misji, lecz teraz to uczucie było znacznie silniejsze.

Skrzywił się i opuścił lornetkę, zastanawiając się, co chciał przez nią zobaczyć. Na miłość boską, przecież łącznik nie będzie stał na szczycie Białej Wieży albo Centrum McNair, machając do niego podświetlonym transparentem! Mimo to w głębi duszy wiedział, że szuka jakiegoś znaku, iż wciąż jest jednym z ludzi wciągających ludzi wciąż są jego ludźmi.

Nie zobaczył jednak takiego znaku, gdyż tak naprawdę ci ludzie już nie byli jego pobratymcami. Ta świadomość wywołała kolejną falę bólu.

Odłożył lornetkę i podciągnął dzinsy, w które zaopatrzył go Dahak. Gwiazdy migotały z całkowitym brakiem zainteresowania. Zadrzał, gdy wiatr wywołał fale wśród traw, i pomyślał o śmiertelnym zagrożeniu zbliżającym się zza tych odległych punkcików światła. Jego nowe ciało właściwie nie czuło zimnego górskiego powietrza, lecz wewnętrzny chłód to zupełnie co innego.

Ten świat, ten nocny krajobraz nie były już jego. A może tak musi być? Może zawsze jest ktoś taki, kto musi porzucić rzeczy, które zna i kocha, aby je ocalić dla innych?

Filozofowanie nigdy nie było najmocniejszą stroną Colina McIntyre'a, wiedział jednak, że zaryzykuje wszystko, straci wszystko, aby ocalić świat, który porzucił. W tej krytycznej chwili zobaczył siebie takiego, jakim był, uświadomił sobie, że buntownicy to przeszkoda, która odbiera mu jedyną nadzieję na to, że uda mu się obronić swój własny dom.

Nagle poczuł zniecierpliwienie. Ma przeszkodę do usunięcia i musi to bardzo szybko zrobić.

Musi pojechać autostopem. Do celu było jeszcze czterdzieści kilometrów, a on chciał tam być jeszcze przed świtem. Potrzebował sojusznika, a w całym wszechświecie była tylko jedna osoba, której mógł zaufać. Ciekawe, jak zareaguje Sean, gdy jego brat powróci z grobu?

Księga druga

Rozdział siódmy

Niebo na wschodzie już się rozjaśniło i zaczął wiać zimny poranny wiatr, gdy płowowłosy autostopowicz zatrzymał się przy skrzynce na listy. Przyjrzał się uważnie niewielkiemu domowi nie tylko swoimi ludzkimi zmysłami; zawsze istniała taka możliwość, że Anu i jego buntownicy nie przyjęli do wiadomości oficjalnej informacji o śmierci Colina McIntyre'a.

Zrobiło się jaśniej, niebo z kobaltowego błękitu stało się nie-biesko-różowe. Nie wykrył niczego, co by w jakiś sposób odbiegało od normy. Jego nadzwyczaj wyczulony słuch wychwycił odległy łoskot pędzącego przez świt pociągu magnetycznego Denver-Colorado Springs. Gdzieś na zachodzie przemieszczał się poduszkowiec dalekiego zasięgu z rozklekotaną osłoną wentylatora. Łomot i brzęczenie szkła współgrało z szumem elektrycznego motoru ciężarówki rozwożącej mleko. Ptaki zaczęły śpiewać. Każdy dźwięk był taki, jaki być powinien, nic nie zapowiadało żadnego niebezpieczeństwa.

Urządzenia ukryte wewnątrz jego ciała, które odbierały znacznie bardziej nietypowe dane - elektroniczne, cieplne, grawito-niczne - także niczego nie znalazły. Być może zwolennicy Anu opracowali jakieś zdalne systemy obserwacyjne, których nawet on nie mógł wykryć.

Otrząsnął się z tych myśli. Traci czas, usiłując odwlec to, co nieuniknione.

Poprawił „plecak” i ruszył szybko ścieżką, nasłuchując zgrzytu żwiru pod nogami. Stojący pod daszkiem wiekowy cadillac Bu-shmaster z napędem na cztery koła był jeszcze bardziej porysowany i poobijany niż wtedy, gdy widział go ostatni raz. Uśmiechnął się - Sean jest gotów tak długo płacić podatki za emitowanie spalin przez napędzany benzyną silnik tego giganta, aż pewnego pięknego dnia samochód rozpadnie się na kawałki. Colin wolałby blichtr, połysk i emocje towarzyszące czemuś nowemu, ale Sean kochał swojego zatruwającego powietrze starego cadillaca, mimo że wybrał służbę leśną i ochronę środowiska.

Otworzył drzwi osłonięte moskitierą, które prowadziły na zamkniętą werandę. Poczuł, jak jego puls nieco przyspiesza; automatycznie dopasował poziom adrenaliny, po czym nacisnął guzik dzwonka.

W domu rozległa się cicha melodyjka. Czekał, pozwalając swemu wzmocnionemu słuchowi łowić dochodzące ze środka odgłosy. Słyszał ciche kłapanie bosych stóp Seana o podłogę, szelest materiału, gdy zakładał spodnie, a potem usłyszał, jak idzie korytarzem, mamrocząc pod nosem o niepokojeniu go o tak wczesnej godzinie. Szczęknęła zasuwka, a potem drzwi się otworzyły.

- Tak? - Głęboki głos jego brata był tak samo zaspany, jak jego oczy. - Co mogę dla pa...

Sean McIntyre przerwał w pół słowa i z jego oczu natychmiast zniknęły resztki snu. Na tle pobladłej twarzy jeszcze bardziej uwidocznił się rudy kolor jego brody. Mężczyzna złapał się

futryny.

- Dzień dobry, Sean - powiedział łagodnie Colin i nagle poczuł szczypanie w oczach. - Dawnośmy się nie widzieli.

* * *

Sean McIntyre siedział w swojej wypucowanej na połysk kawalerskiej kuchni, trzymając oburącz kubek i gapiąc się na lodówkę, którą Colin dla udowodnienia swoich słów wyciągnął na środek pomieszczenia. W jego oczach wciąż jeszcze kryły się ślady niepewności, lecz sądząc po niedźwiedzim uścisku, którym obdarzył swego uznanego za zmarłego brata, szybko dochodził do siebie; bez wątpienia pomogła mu w tym także hojna porcja brandy, która znalazła się w jego kawie.

- Chryste na Harleyu - powiedział wreszcie w miarę spokojnie. - Colin, to najbardziej porąbana historia, jaką ktokolwiek kiedykolwiek usiłował mi sprzedać. Masz cholerne szczęście, że wróciłeś z zaświatów, aby mi ją opowiedzieć, ale ja wciąż nie potrafię w nią uwierzyć! Nawet jeśli stałeś się jednoosobową firmą od przeprowadzek.

- Nie wierzysz? Jak sądzisz, jak ja się z tym czuję?

- I o to chodzi - odparł Sean, wreszcie się uśmiechając. - I o to chodzi.

Widząc jego niepewny uśmiech, Colin nareszcie się odprężył. Jego starszy brat zawsze uśmiechał się w ten sposób, gdy sprawa była poważna. Poczuł, jak jego usta wykrzywają się na wspomnienie chwili, gdy Sean ściągnął z niego trzech znacznie starszych chłopaków. Być może Colin niezbyt mądrze postąpił, otwarcie wzywając ich do walki, ale koniec końców wspólnie z bratem stłukli całą trójkę. Ilekroć w dzieciństwie Colin znalazł się w tarapatkach, szukał tego uśmiechu, świadom, że nie może być źle, skoro jest Sean, który zawsze go wyciągnie z kłopotów.

- Ten twój Dahak bardzo dobrze wybrał - powiedział Sean, odstawiając pusty kubek. - Ty zawsze chętnie pakowałeś się w każdą bójkę.

- Taaa, jasne - parsknął Colin.

- Nie, serio. - Sean zabębnił palcami w blat stołu. - Spójrz na siebie. Ilu ludzi pozostałoby przy zdrowych zmysłach - o ile w ogóle je mieli - gdyby przeszli przez to samo co ty?

- Oszczędź mi zakłopotania - warknął Colin, a Sean roześmiał się, lecz po chwili spoważniał.

- Dobra - powiedział. - Cieszę się, że nadal żyjesz... - ich spojrzenia spotkały się: widać w nich było uczucia, które rzadko wyrażali - ale nie mogą sobie wyobrazić, że wpadłeś tu tak po prostu, by mi o

tym opowiedzieć.

- Masz rację - przyznał Colin. Oparł łokcie na stole i nachylił się w stronę brata. - Potrzebuję pomocy, a ty jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać.

- Wiem, Colin, i zrobię wszystko, co będę mógł, wiesz o tym. Ale ja jestem strażnikiem leśnym, a nie astronautą. Jak mogę ci pomóc znaleźć tego twojego łącznika?

- Nie wiem, czy możesz, lecz bycie martwym ma też swoje wady. Wszystkie moje dokumenty są bezużyteczne, konta zablokowane. Nie mógłbym nawet zameldować się w motelu, nie podając fałszywego nazwiska. Tak naprawdę...

- Chwila - przerwał mu Sean. - Rozumiem, że potrzebujesz jakiejś bazy, lecz czy ten Dahak nie mógł ci wyczarować jakichś dokumentów?

- Jasne, lecz tak naprawdę niewiele by mi to pomogło. Normalnie Dahak jest w stanie włamać się do dowolnego ziemskiego komputera, lecz teraz, kiedy jestem tutaj na dole, odciął wszystkie swoje połączenia. Nie chcemy ryzykować działań, które mogłyby ostrzec buntowników. Poza tym on nie może zbyt wiele zrobić z ludzkimi umysłami. Ty mnie rozpoznałeś, nawet wyrwany z głębokiego snu. Sądysz, że ochrona w Sheperd będzie gorsza?

- To są właśnie koszty bycia sławnym kosmonautą...i braku zgody na niewielką operację plastyczną. - Sean przyjrzał się bratu z namysłem. - To byłaby wspaniała szansa na poprawienie natury.

- Bardzo śmieszne. Niestety, ani Dahak, ani ja nie pomyśleliśmy o tym, zanim zabrał się za moje bebechy. Nawet gdybym się poddał operacji plastycznej, przechodzenie z tą całą biotechniką obok ochroniarzy to ostatnia rzecz, której bym chciał!

- Dlaczego ma pan takie wielkie zęby? - zażartował Sean.

- Bardzo zabawne - odparł lodowato Colin. - Poczekaj, aż usłyszysz, czego od ciebie potrzebuję, a dopiero potem dowcipkuj, braciszku.

Sean McIntyre wyprostował się, słysząc powagę w głosie brata. Jego spojrzenie było równie poważne i pełne determinacji. Colin zmienił się nie tylko fizycznie. Czuło się w nim jakby... brak litości, zdecydowanie. Ten szalony, zwariowany na punkcie odrzutowców i kąpany w gorącej wodzie Colin wreszcie znalazł jakąś sprawę, o którą warto walczyć.

Nie, to nie tak. Colin zawsze miał jakiś cel, lecz było to tylko wędrowanie, poszukiwanie, chęć przekraczania wszystkich granic, docierania dalej i szybciej niż ktokolwiek inny. Mimo wszystkich swoich osiągnięć Colin tak naprawdę jeszcze nigdy nie stanął przed prawdziwym wyzwaniem, takim jak to. Teraz miał do spełnienia misję, i Sean zastanawiał się, czy to właśnie nie jest cel, dla którego się urodził.

- Dobra - powiedział cicho. - Mów.

- Żałuję, że muszę cię o to prosić - przyznał Colin z rosnącym niepokojem w głosie - ale

spróbuję. Czy zabrałeś już moje rzeczy z Sheperd?

Nieco zaskoczony tak nagłą zmianą tematu, Sean pokręcił głową.

- NASA przysłała pudło z twoimi rzeczami, lecz nie chciałem niczego zabierać.

- Zatem poproszę cię o to - powiedział Colin, wyciągając z kieszeni koszuli długopis. - W moim komputerze w Białej Wieży znajduje się kilka osobistych plików. Wątpię, aby ktokolwiek chciał je sprawdzać, lecz możesz powiedzieć, że znalazłeś wzmiankę o nich wśród moich papierów, i major Simmons wpuści cię tam, aby Chris Yamaguchi wyciągnęła je dla ciebie.

- Dobra - odparł Sean. - Ale po co ci one?

- Po nic. Musisz tylko dostać się do Białej Wieży z tym. - Podał zaskoczonemu Seanowi długopis i smutno się uśmiechnął.

- To nie jest dokładnie to, na co wygląda, Sean. Możesz nim pisać, ale tak naprawdę to połączenie z moimi sensorami. Jeśli będziesz go nosił w kieszeni, mogę przeprowadzić pełne skanowanie miejsc, w których się znajdziesz. Jeśli udasz się do wind w bloku L, po drodze na górę miniesz dział geologu. - Innymi słowy, to będzie twoja wtyczka?

- No właśnie. Jeśli Dahak ma rację - a zwykle ją ma - ktoś w tym dziale współpracuje z buntownikami. Sądzymy, że niezależnie od tego, kto to jest, może mieć kilka przedmiotów stworzonych dzięki imperialnej technologii.

- To bardzo prawdopodobne?

- Sam chciałbym wiedzieć - przyznał Cohn. - Gdybym ja był buntownikiem, bardzo by mnie kusilo, aby moi koledzy mieli w razie, czego kilka niewielkich gadżetów, które mogłyby im pomóc - mikronarzędzia, minikomputery, może nawet łącze, aby sprawdzić, co się dzieje, jeśli pojawią się jakieś problemy.

- Imperium od bardzo dawna nie używa radia. Łącze działające w złożonej przestrzeni daje stuprocentowo bezpieczne połączenie, chyba, że ktoś będzie w pobliżu i podsłucha rozmowę.

- Rozumiem, ale czy naprawdę sądzisz, że będą wszędzie zostawiać taki sprzęt?

- A czemu nie? Oczywiście będą pilnować najlepszych rzeczy - tam jest pełno naukowców - ale kto mógłby coś podejrzewać? Nikt na planecie nie wie, co się naprawdę dzieje, tak samo jak ja nie wiedziałem przed pochwyceniem mnie przez Dahaka, prawda?

- Właśnie - powiedział wolno Sean. - A to... - skinął dłonią w stronę „długopisu” - pozwoli ci to wszystko wykryć, tak?

- Tak Niestety - Cohn spojrzał bratu prosto w oczy - to również można zdemaskować. Ten „długopis” także nie korzysta z fal radiowych, Sean, a ja będę używał aktywnych sensorów. Jeśli podejdziesz zbyt blisko do czegoś, co jest wyposażone w odpowiednie detektory, będzie cię widać jak choinkę w lipcu. A wtedy...

- Rozumiem - powiedział cicho Sean. Zacisnął usta i powoli uśmiechnął się tym swoim

uśmiechem i wsunął go do kieszeni na piersi. - W takim razie siadaj i pisz tę „notatkę”, którą ma zobaczyć major Simmons, dobra?

* * *

Strażnicy mieli eleganckie karabiny szturmowe, a pięknie zakamuflowane działko automatyczne śledziło starego cadillaca Seana, który zatrzymał się przed bramą ośrodka. Ostatni większy atak był dziełem Czarnej Mekki, odprysku starego ugrupowania Islamski Dżihad, i zdarzył się ponad rok temu; zginęło wtedy ponad trzysta osób, a straty w ośrodku Wernera von Brauna wyniosły ćwierć miliarda dolarów.

Pierwszy Świat musiał przywyknąć do terroryzmu, zarówno wewnętrznego, jak i zewnętrznego. Musiał mieć świadomość, że dzięki nowoczesnej technologii średniowieczna mentalność może czynić ogromne szkody. Dowiodła tego Czarna Mekka, zestrzeliła wuj ąc z przenośnej wyrzutni rakiet ziemia-powietrze wyładowaną po brzegi europejską Valkyrie, na dwanaście minut przed wyniesieniem jej na orbitę przez ciężką raketę Perseusz. Po niemal dwóch latach spokoju fala terroryzmu znów zdawała się wznosić. Tym razem głównym celem Czarnej Mekki stał się przemysł kosmiczny. Właściwie nikt nie wiedział dlaczego - chyba że potraktuje się go jako przejaw szalonej, liberalnej, humanizującej technologii „Wielkiego Szatana” - ale Centrum Kontroli Lotów w Sheperd wołało nie ryzykować.

- Dzień dobry panu. - Strażnik dotknął daszka czapki, nachylając się do okna. - To teren tylko dla osób upoważnionych. Wjazd dla publiczności jest od strony Fountain Boulevard.

- Wiem - odparł Sean, spoglądając na plakietkę NASA z nazwiskiem mężczyzny. - Major Simmons mnie oczekuje, sierżancie Klein.

- Rozumiem. Mogę prosić o pańskie nazwisko? - Sierżant uniósł brew, odpiął od pasa terminal i włączył ekran.

- McIntyre.

- Dziękuję. - Klein spojrział w terminal, porównując niewielki obraz z twarzą Seana, po czym skinął głową. - Tak, jest pan na liście.

Strażnik uniósł dłoń w kierunku jednego z kolegów.

- Kapral Hansen zaprowadzi pana do Białej Wieży, panie McIntyre.

- Dziękuję, sierżancie. - Sean otworzył strażnikowi drzwi, a ten wszedł i starannie umieścił obok swój karabin.

- Proszę bardzo, panie McIntyre - powiedział Klein. - Proszę przyjąć wyrazy współczucia po

śmierci brata.

- Dziękuję - powtórzył Sean i ruszył, kiedy strażnik po raz kolejny dotknął daszka czapki.

Te słowa mogły być czysto grzecznościowe, lecz Klein wydawał się szczerze zmartwiony, i to zrobiło na Seanie wrażenie.

Zawsze wiedział, że jego brat jest lubiany, ale dopiero kiedy Colin „umarł”, przekonał się, jak bardzo szeregowi uczestnicy programu kosmicznego go podziwiali. Zresztą taka była tradycja - nieważne, jaki człowiek był za życia; jeśli zginął, robiąc coś bohaterskiego, stawał się bohaterem, a Colin zawsze był traktowany jak bohater drużyny uniwersyteckiej.

Wybór Colina na głównego pilota badawczego misji „Prometeusz” był dowodem uznania jego umiejętności; smutek po jego śmierci, niezależnie od tego, czy oplakiwali go przyjaciele, czy ludzie, którzy tak jak sierżant Klein nigdy go nie spotkali, wskazywał, że cieszył się dużą sympatią.

Gdyby tylko wiedzieli, pomyślał Sean, i z trudem powstrzymał się od chichotu. Kapral Hansen mógłby nie zrozumieć jego radości.

* * *

Strażnik przeprowadził Seana przez trzy kolejne punkty kontroli, potem ruszyli skrótem prowadzącym ku srebrnym kopułom zbiorników numer dwa, gdzie wysoko ponad głowami spływały z ciśnieniowych wentyli bezpieczeństwa chmury oparów. Odległy grzmot startującego wahadłowca delikatnie zatrzęsł oknami Bushmastera, gdy zbliżali się do szklanej igły Białej Wieży. Na jej lśniącej powierzchni odbijały się chmury przesuwane się z wdziękiem po błękitnym niebie, i nawet anteny na szczycie budowli nie mogły osłabić wrażenia, jakie wywoływała.

Sean zaparkował we wskazanym miejscu, po czym wysiadł razem z kapralem.

- Proszę iść do głównego wejścia i powiedziec w recepcji, że ma się pan spotkać z majorem Simmonssem. Zaprowadzą pana.

- Dziękuję, kapralu. Wraca pan do bramy, prawda?

- Proszę się nie kłopotać. Za dziesięć minut przejeżdża tędy autobus.

- Zatem idę. - Sean skinął głową i ruszył szybkim krokiem w stronę wskazanego wejścia i umieszczonych tam wykrywaczy metali. Charakterystyczny hologram na ścianie informował też o obecności skanerów rentgenowskich. Sean uśmiechnął się; już wiedział, dlaczego Colin poprosił go o wykonanie tego zadania. Nawet gdyby nikt go nie rozpoznał, jego implanty bez wątpienia zostałyby wykryte!

Strażnik siedzący przy biurku przekazał go majorowi Simmonsowi, którego Sean już kiedyś

wcześniej spotkał. Simmons potrząsnął jego dłonią - mocny uścisk miał wyrażać współczucie po „stracie” brata - a potem wręczył mu identyfikator gościa.

- Może pan poruszać się z nim po zielonej strefie, dzięki czemu trafi pan do biura kapitan Yamaguchi; już wyciągnęła dla pana pliki brata. Wie pan, jak tam trafić, czy mam kogoś poprosić, by pana zaprowadził?

- Nie, dziękuję, panie majorze. Byłem tu już kilka razy i sędzę, że trafię. Czy później mam to oddać - dotknął przepustki - strażnikowi przy wyjściu?

- Owszem - potwierdził Simmons i Sean ruszył w stronę wind. Wezwał windę w bloku L. Po drodze nucił cicho i martwił się, że jego palce są odrobinę wilgotne. Wreszcie usłyszał melodyjny dzwonek i nad drzwiami zaświecił się numer piętra, po czym drzwi cicho się otworzyły.

- Idziemy, mały - mruknął bardzo cicho. - Mam nadzieję, że to będzie działać.

* * *

Colin leżał na łóżku brata z rękami pod głową i wpatrywał się pustym wzrokiem w słoneczne plamy na suficie. Nienawidził wrabiać Seana w takie rzeczy, tym bardziej, że wiedział, iż zawsze się zgodzi.

Czuł się dziwnie, leżąc sobie tutaj i jednocześnie towarzysząc Seanowi. Wzrok i pozostałe zmysły sprawiały, że czuł się tak, jakby siedział w kieszeni brata i jednocześnie leżał wygodnie na jego łóżku.

Jego implanty sięgały ku ukrytemu przekaźnikowi, badając niczym niematerialne palce otaczające Seana sieci elektroniczne. Niemal mógł dotknąć przepływu prądu, gdy rozbłysło światelko nad windą, tak samo jak odbierał jej ruch, gdy wspinała się w górę ziejącym pustką szybem. Systemy ochrony, komputery, elektryczne temperówki, telefony, interkomy, sieci elektryczne, termoregulacja i klimatyzacja, szyby wentylacyjne - wszystko to czuł wokół siebie, przemykał między nimi jak duch, węsząc i rozglądając się.

A potem, niczym błyskawica, jego zmysły wykryły niewielki, lecz intensywny rdzeń jaśniejszej energii.

Colin zeszywniał i zamknął oczy, koncentrując się. Wrażenie było słabe, lecz podszedł bliżej, dostrajając się do tła. Wyciągnął niematerialne palce i jego brwi uniosły się ze zdziwienia. To był komlink do nadawania w przestrzeni złożonej, bardzo podobny do implantu umieszczonego w jego własnej czaszce, lecz było w nim coś dziwnego...

Zaniepokojony, zaczął przeglądać dostępne dane, aż wreszcie znalazł. To było łącze

bezpieczeństwa, a nie standardowy ręczny komunikator. Gdyby Dahak nie wzmacnił jego wbudowanych sensorów, nigdy by go nie wykrył, lecz to tłumaczyło, dlaczego wydawał się tak podobny do jego własnego implantu. Skupił się na sercu tego maleńkiego urządzenia, aby potwierdzić swoje spostrzeżenia. To na pewno było łącze bezpieczeństwa; były tam wielowymiarowe układy przerywające, mające na celu zmylenie lokalizatorów. Ale, po co buntownikom łącze bezpieczeństwa? Nawet gdyby się okazało, że „Dahak” jest w pełni sprawny, było to wręcz paranoiczne zabezpieczenie. „Dahak” mógł robić wiele różnych rzeczy, ale nie podsłuchiwać z księżycowej orbity w przestrzeni złożonej, na Ziemi zaś nikt nie mógł łączy nawet rozpoznać.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien skonsultować się z Dahakiem. Co prawda elementy wyposażenia buntowników nie mogły podsłuchać jego połączenia z komputerem, lecz to wcale nie znaczyło, że nie mogą go wykryć. Urządzenie, które znalazł, miało śmiesznie krótki zasięg, zaledwie piętnastu tysięcy kilometrów, i kiedy jego obwody przerywające działały, wykrycie go było praktycznie niemożliwe, lecz zasięg jego implantu wynosił ponad godzinę świetlną i sama jego energia byłaby widoczna na imperialnych ekranach kontrolnych niczym latarnia morska.

Zaklął paskudnie i wzruszył ramionami. To nieważne, dlaczego buntownicy dali taki komlink swojemu podwładnemu; teraz najważniejsze jest to, aby go dokładnie zlokalizować.

Taaak... Jest. Dokładnie w...

Colin usiadł z jękiem na łóżku. Biuro Cala Tudora?! To szaleństwo!

Nie miał jednak wątpliwości. Ten przeklęty przedmiot był nie tylko w jego biurze, lecz także wewnątrz jego terminalu!

Colin czuł, jak drżą mu nogi. Dobrze znał Cala, a przynajmniej tak sądził. Byli przyjaciółmi, i to na tyle dobrymi, że zaryzykowałby nawiązanie kontaktu z Caliem, gdyby Seana akurat nie było, a jedyne słowo, które Colinowi zawsze się z nim kojarzyło, brzmiało „uczciwość”. Wprawdzie Cal był młody jak na to stanowisko, ale zawsze marzył o misji „Prometeusz”. Czyżby właśnie w ten sposób do niego dotarli?

Colin nie mógł znaleźć żadnego innego wyjaśnienia. Mimo to im dłużej nad tym rozmyślał, tym mniej pojmował, dlaczego w ogóle wybrali Cala. Owszem, był członkiem zespołu pracującego nad proktoskopem, ale bardzo młodym. Macintyre oparł łokcie na kolanach, a podbródek na pięściach, po czym połączył się z danymi, które Dahak zebrał o członkach zespołu.

Jak zwykle towarzyszyło temu dziwne uczucie. Między danymi, które posiadał dzięki swojemu doświadczeniu, i tymi, które Dahak wrzucił w wolne miejsce w jego głowie, była bardzo wyraźna różnica. Starał się to zaakceptować, chociaż podejrzewał, że już zawsze będzie odczuwał, iż dane z implantu pochodzą od kogoś innego.

Ale chodziło o przeszłość Cala, a nie o działanie implantu. Colinowi zawsze pomagało, kiedy wyobrażał sobie dane tak, i jakby wyświetlał je na ekranie; zmarszczył, więc czoło, widząc i przemykające pod powiekami informacje. Cal Tudor. Trzydzieści sześć lat. Imię żony: Frances. Dwie córki: Harriet i Anna, lat czternaście i dwanaście. Fizyk teoretyk, laboratorium Lawrence Livermore, MIT w Denver, potem sześć lat w centrum Goddarda, zanim przeniósł się do Sheperd...

Colin przeglądał dalsze informacje, po czym nagle znieruchomiał. Boże! Jak Dahak mógł to przeoczyć? On sam też tego nie zauważył, ale to wina jego implantu i „odmienności” danych zbieranych przez Dahaka. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak rzadko Cal wspominał o swojej rodzinie.

Dahak szukał jego związków z buntownikami jeszcze w czasach szkolnych, a tymczasem należało sięgnąć dalej w przeszłość, jeszcze do czasu przed jego urodzeniem! Gdyby Dahak miał ludzką intuicję (albo gdyby Colin osobiście i dokładnie przejrzał dane), dostrzegliby ogromną niechęć Cala do wspomniania o swojej rodzinie nawet jednemu z najbliższych przyjaciół.

Cal Tudor. Syn Michaela Tudora, jedyny żyjący wnuk Andrew i Isis Hidachi Tudor, prawnuk Horacego Hidachi, „ojca grawitoniki”. Błyskotliwego, bazującego na intuicji geniusza, który przed ponad sześćdziesięciu laty sam jeden opracował podstawowe wzory, kładąc podwaliny pod całą dziedzinę wiedzy!

Colin uderzył pięścią w kolano. On i Dahak zastanawiali się nawet przez moment nad możliwymi powiązaniem Horacego Hidachi z buntownikami, ale zrezygnowali z szukania aż tak głęboko, z powodów, które wówczas wydawały im się zupełnie jasne i wystarczające.

Nim Hidachi rozwinął swoją teorię, przepracował dwadzieścia lat jako badacz, ale ani on, ani nikt inny nigdy niczego nie zrobił z jego genialną pracą teoretyczną. Kiedy nad nią pracował, było to tylko ćwiczenie matematyczne, niemożliwa do sprawdzenia hipoteza, ale kiedy pojawił się sprzęt, który mógłby to zweryfikować, Horacy już nie żył. Jego córka również nie wykazywała większego zainteresowania jego pracą; jeśli Colin dobrze pamiętał (a dzięki Dahakowi tak było), zajęła się medycyną, a nie fizyką.

Dlatego właśnie Dahak i Colin przestali zajmować się Hidachim. Gdyby był pionkiem buntowników, nie poświęcałby aż tyle czasu na odkrycie tajemniczego fragmentu wyższej matematyki. Ponadto próbowaliby zdobyć odpowiedni sprzęt, aby to udowodnić. W końcu sami buntownicy nie pozwoliliby, aby takie dzieło leżało bezużytecznie przez tak długi czas. Dlatego Dahak uznał, że Hidachi dokonał rzeczy najrzadszej z możliwych: tak genialnego, fundamentalnego przełomu, że nikt się nie zorientował, co to jest. Dopiero po wielu latach, kiedy stworzona przez niego teoria została udowodniona, buntownicy zorientowali się, jak wielkie może mieć znaczenie, i skierowali następne pokolenie naukowców na wytyczoną przez niego drogę.

Colin przeklął sam siebie za to, że zapomniał o kluczowym fakcie, iż upływające tysiąclecia

mogły być dla Dahaka zmarnowanym czasem, jednak dla zwolenników Anu na pewno takie nie były. Dlaczego nie mieliby myśleć w kategoriach pokoleń? Z tego, co Colin i Dahak wiedzieli, wynikało, że ostatnich piętnaście bezproduktywnych lat życia Hidachiego mogło być zwykłym przypadkiem zerwanego połączenia!

A jeśli buntownicy rzeczywiście kiedyś skontaktowali się z Hidachim, dlaczego nie mieliby tego zrobić kolejny raz? Zwłaszcza, jeśli Horace Hidachi pozostawił jakąś notatkę o swoich układach z Anu i resztą towarzystwa. To by tłumaczyło, dlaczego człowiek tak uczciwy jak Cal mógł z nimi współpracować. Według niego buntownicy stali po stronie dobra i prawdy!

Jego pozycja młodszego specjalisty w zespole czyniła go idealnym kandydatem. Miał dostęp do raportów o postępach prac, a do tego nie rzucał się w oczy. Całkiem możliwe, że sam nawiązał kontakt z tymi „gośćmi”, którzy niegdyś odwiedzali jego pradziadka.

Jeśli tak było, Cal nie wie, komu tak naprawdę pomaga, uznał Colin. Pewnie myśli, że pracuje po właściwej stronie, zresztą, dlaczego miałby uważać inaczej? Jeśli buntownicy rzeczywiście pomogli zbudować proktoskop, w ciągu zaledwie sześćdziesięciu lat popchnęli ludzką wiedzę o kilka wieków do przodu. Jak dla kogoś takiego jak Cal mogli być „źli”?

To właśnie może być szansa. Colin poczuł, że znalazł łącznika. Być może nie tylko zdoła pokazać Calowi prawdę, lecz nawet uczyni z niego swego sojusznika!

Rozdział ósmy

- Powinieneś pozwolić mi pójść.

W blasku tablicy rozdzielczej twarz Seana miała niezdrowy czerwony odcień. Mimo wymaganych przepisami wysoko wydajnych kontrolerów emisji spalin, smród płonących węglowodorów zmusił Colina do obniżenia wrażliwości swoich sensorów poniżej normalnego poziomu.

- Nie - powtórzył po raz piąty lub szósty. - Jeśli się mylisz, jeśli to on jest ten zły i ma przy sobie jakiś przycisk alarmowy, naciśnie go w chwili, gdy staniesz w drzwiach.

- Być może, lecz szok, jaki wywoła mój widok, może go na chwilę powstrzymać i wtedy zdążymy trochę porozmawiać. Poza tym, jeśli naprawdę wysłę sygnał, zauważę to i go zagłuszę. A ty to umiesz?

- Lepiej go nie straszyć, by nie musiał go wysyłać - burknął Sean.

- To prawda, ale jestem przekonany, że on nie wie, co ci dranie naprawdę zamierzają... ani co zrobili ludzkości.

- Cieszę się, że przynajmniej ty wiesz!

- I tak za bardzo cię w to wciągnąłem - powiedział Colin, gdy cadillac wskoczył na wyższy bieg. - A jeśli się mylę, nie chcę cię w to wciągać.

- Doceniam to - powiedział cicho Sean, - lecz jestem twoim bratem i tak się składa, że cię kocham. A nawet gdyby tak nie było, to gdybyś dał się zabić, za kilka lat ten świat zmieniłby się w piekło, ty durniu!

- Nie zamierzam dać się zabić - zapewnił go stanowczo Colin - więc przestańmy się kłócić. Poza tym... - Sean skręcił z autostrady na krętą górską drogę - jesteśmy niemal na miejscu.

- Dobra, niech to szlag - westchnął Sean, po czym uśmiechnął się niechętnie. - Zawsze byłeś tak uparty jak ja.

* * *

Cadillac zatrzymał się na poboczu. Widok na Colorado Springs zapierał dech w piersiach, ale żaden z braci nie zwracał na to uwagi. Wznosząca się przed nimi góra była ciemna, a jej zbocza właściwie niezamieszkane. Dom Tudora był dużym, nowoczesnym wielopoziomowcem i był fragmentem gospodarstwa idealnie wtopionego w wycięte w zboczu zagłębienie. Większa jego część znajdowała się pod ziemią, kiedy więc Colin wyszedł na wietrzną noc, zobaczył tylko błyszczące na ganku światło.

- Dzięki, Sean - powiedział cicho, zaglądając do wnętrza samochodu, by delikatnie uściśnąć ramię brata. - Zaczekaj tu. Jeśli to... - wskazał na małe urządzenie umieszczone na panelu między siedzeniami - zaświeci, zabieraj się stąd. Zrozumiałeś?

- Jasne - westchnął Sean.

- Dobrze. Do zobaczenia. - Colin znów delikatnie go uściśnął, ciesząc się, że brat nie może dostrzec wzruszenia na jego twarzy, po czym odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

Sean poczekał chwilę, po czym otworzył schowek na rękawiczki.

W świetle gwiazd błysnęło ciężkie automatyczne magnum. Sprawdził magazynek, wsadził pistolet za pasek i przez kilka chwil bębnił palcami po kierownicy. Nie wiedział, jak dobry jest nowy słuch Colina, dlatego chciał mu dać nieco czasu, by odszedł.

* * *

Colin wspinał się po zboczu, ignorując ciężar na plecach. Mógł zostawić zagłuszacz, lecz może będzie potrzebował dodatkowego dowodu, by przekonać Cala, że wie, o czym mówi. Poza tym niepokoił się, kiedy gdzieś go zostawiał.

Zbliżając się do szczytu, pozwolił, by jego wzmocniony wzrok i słuch osiągnęły maksymalną wrażliwość. Elektroniczne i grawitoniczne sensory były ustawione na działanie pasywne, na wypadek, gdyby natknął się na jakieś wykrywacze, lecz w tle wychwycił mgielkę dodatkowych imperialnych źródeł zasilania - potwierdzenie, że jego podejrzenia wobec Cala były słuszne.

Przeszedł przez drewniane ogrodzenie, które pomógł gospodarzowi zbudować zeszłej wiosny, i wskoczył w przestrzeń między domem a południową ścianą głębokiego tarasowego wycięcia w zboczu góry. Przekradł się przez maleńkie podwórko, zastanawiając się, co powie Cal,

kiedy go zobaczy. Miał nadzieję, że jednak się pomylił co do swego przyjaciela. Boże, jakże tego pragnął!

Prześliznął się niczym duch przez wypielegnowany warzywniak Frances i ruszył w stronę tylnych drzwi, szukając po drodze jakichkolwiek ziemskich czy imperialnych zabezpieczeń. Nic nie znalazł, lecz jego nerwy naprężyły się, kiedy poczuł delikatne łaskotanie komunikatora złożonej przestrzeni. Nie mógł rozróżnić źródeł bez uaktywnienia własnych sensorów, lecz wydawało mu się, że to kolejne łącze bezpieczeństwa. Żaden sygnał nie wychodził, lecz jednostka była aktywna, jakby czekała na odbiór... albo nadawanie. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było spotkanie z Calem siedzącym przed włączonym mikrofonem. Zaalarmowałby ich, zanim zdążyłby powiedzieć choć jedno słowo!

Westchnął. Miał nadzieję, że mu się uda, a w najgorszym razie powinien być w stanie zniknąć, nim ktokolwiek zdąży zaregować.

Wśliznął się do kuchni. Było ciemno, ale to właściwie nie miało dla niego żadnego znaczenia. Zaczął iść ku wahadłowym drzwiom wiodącym do jadalni, ale zatrzymał się, zanim dotknął zdobionej ukośnymi cięciami szklanej płyty.

Ciemna kuchnia sprawiała wrażenie, jakby czas się w niej zatrzymał. Drewniana miska była pełna posiekanej sałaty, lecz inne składniki wciąż leżały obok, jakby czekając na kucharza. Mróz przeszedł mu po krzyżu; Cal i Frances nigdy nie zostawiali tak jedzenia. Mimo ryzyka wykrycia uruchomił swoje sensory.

Co to? Przenośne pole kamuflujące za jego plecami?! Napiał mięśnie i już miał się odwrócić, gdy...

- Stój - powiedział bardzo cicho jakiś głos. Zamarł z dłonią na drzwiach do jadalni, gdyż głos nie należał do Cala i nie posługiwał się angielskim. - Ręce za głowę, szmato - ciągnął głos w uniwersalnym imperialnym. - Żadnych sygnałów z implantów. Nawet nie myśl o zrobieniu czegokolwiek, rób tylko to, co ci powiem, albo przepalę ci kręgosłup na dwoje.

Colin posłuchał, przeklinając sam siebie za głupotę. Mylił się, bardzo się mylił co do Cala. Ostrożność powstrzymywała go od obejrzenia się, żeby zobaczyć, kto jest w polu kamuflującym. Kto mógł się go spodziewać? Tylko inny Imperialny mógł dostrzec jego implanty, a to znaczy...

Krew ścieła mu się w żyłach. Jezu, spodziewali się go! A więc wychwycili przekaz ze skanera... zatem wiedzą też o Seanie!

- Bardzo ładnie - powiedział głos. - A teraz pchnij drzwi ramieniem i idź do przodu. Powoli. Colin posłuchał, czując w ustach smak porażki.

* * *

Wspinając się po śliskim od rosy zboczu, Sean żałował, że nie ma, choć części sił Colina. Udało mu się wreszcie dotrzeć do płotu i go pokonać. Potem zatrzymał się, marszcząc czoło.

W przeciwieństwie do Colina, Sean McIntyre spędzał noce raczej pod gołym niebem Harm niż wysypiał się w łóżku. Wstąpił do Straży z zamiłowaniem i nadal nie mógł uwierzyć, że ktoś chce mu płacić za ochronę dzikiej przyrody. Dzięki tej pracy zwiększył swoją wrodzoną wrażliwość na otaczający go świat, dlatego szybko dostrzegł to, co Colin przegapił.

Dom Tudorów był cichy i ciemny. Nie paliło się żadne światło, nie widać było najmniejszych oznak życia. Każdy nerw w ciele Seana wrzeszczał: „To pułapka!”.

Odbezpieczył pistolet i zaczął się skradać. Sądząc po tym, co mu Colin powiedział, poprawieni „biotechnicznie” buntownicy mogą wiele znieść, lecz Sean mocno wierzył w swoje wydrążone pociski kalibru.45.

* * *

- Miło, że tak szybko przybyłeś - powiedział radośnie głos zza pleców Colina. - Nie spodziewaliśmy się ciebie prędzej niż za pół godziny.

Nagle bliskie pulsowanie komunikatora złożonej przestrzeni było niemal bolesne. Colin zacisnął zęby; teraz już wszystko rozumiał. To był sygnał krótkiego zasięgu, a więc jego odbiorcy byli niedaleko.

- Będą tu za kilka minut - powiedział głos. - Drzwi na lewo - dodał i Colin ruszył w tamtą stronę.

Kiedy drzwi się otworzyły, Colin poczuł nieopisany smród. Nim zdołał dostosować swoje zmysły, zrobiło mu się niedobrze. Głos za jego plecami roześmiał się.

- Oto twój gospodarz - powiedział z okrutną radością i zapalił światło.

Siła wystrzału wyrzuciła Cała z krzesła. Leżał przerzucony przez biurko, z rozwaloną na kawałki głową. Ale to był zaledwie początek koszmaru. Czternastoletnia Harriet zwiślała bezwładnie na krześle przy biurku, a przekreślona nienaturalnie głowa wpatrywała się w Colina martwymi, błyszczącymi oczami. Jej matka leżała z boku, strzał dosłownie rozerwał ją na pół. Dwunastoletnia Anna leżała pod nią; najwyraźniej Frances usiłowała zasłonić córkę własnym ciałem...

- Nie chciał cię zaprosić... - głos pełen zadowolenia i okrucieństwa zdawał się dobiegać jakby z oddali - ale go przekonaliśmy.

Wszechświat wokół Colina McIntyre'a miotał nim niczym huragan, którego wściekłość okazała się jego własnym gniewem. Zapomniał o wycelowanej w niego broni i zaczął się odwracać, ale dostał kolbą strzelby energetycznej w kark i padł na kolana. Przeciwnik zaśmiał się.

- Nie tak szybko - powiedział. - Szef chce ci najpierw zadać kilka pytań. Anshar! - zawołał podniesionym głosem. - Chodź no tutaj!

- Jestem - odparł ktoś.

Colin podniósł głowę i zobaczył wchodzącego drugimi drzwiami mężczyznę. Na widok błękitnego munduru, butów Floty i ciężkiego karabinu energetycznego w jego zwykle łagodnych oczach zapłonął szmaragdowy ogień.

- W samą porę - burknął pierwszy. - Dobra, draniu. - Trącił go lufą - Podnieś się i stań pod ścianą.

Smutek i przerażenie mieszały się z czerwoną mgłą żądy rozlewu krwi, lecz mimo takich emocji Colin wiedział, że musi być posłuszny, przynajmniej na razie, że na zemstę przyjdzie jeszcze czas. Cichy, lodowaty głosik szeptał mu, że popełnił straszliwy błąd.

- Odwróć się - powiedział głos i Colin stanął plecami do ściany.

Ten, który mówił, okazał się mężczyzną średniego wzrostu, krępy, o czarnych włosach, śniadej karnacji i oczach skośnych jak u Azjaty. Colin rozpoznał prototyp, od którego pochodzili wszyscy Ziemianie, i na tę myśl zrobiło mu się niedobrze.

Ten drugi, Anshar, był inny. Colin był zaskoczony, widząc jego jasną skórę i błękitne oczy. Był urodzony na Ziemi; musiał być, gdyż mieszkańcy Imperium byli niemal całkowicie jednorodni. Tylko jedna planeta Trzeciego Imperium przetrwała jego upadek i siedem tysięcy lat między wyruszeniem człowieka z Birhat i buntem Anu nie zatarało tej jednorodności, gdy załoga „Dahaka” dotarła na Ziemię, kontakty między izolowanymi od siebie kolonistami doprowadziły do powstania różnych ras. Co on robi w mundurze Floty? Colin uruchomił swoje sensory i wytrzeszczył ze zdziwienia oczy, gdy odkrył kompletny zestaw biotechnicznych implantów.

- Szkoda, że ten degenerat był tak uparty - powiedział pierwszy mężczyzna, opierając się o biurko. - Ale zrozumiał, kiedy skręciliśmy małej kark.

Trącił lufą ciało Harriet; jego oczy błyszczały okrucieństwem. Colin zmusił się do spokojnego oddychania. Poczekaj, powiedział sam do siebie. Jeśli poczekasz, będziesz miał szansę go zabić, zanim on ciebie zabije.

- Rzecz jasna powiedzieliśmy mu, że jeśli cię wezwie, pozwolimy pozostałym żyć - roześmiał się gwałtownie. - Może nawet w to uwierzył!

- Daj spokój, Girru - powiedział Anshar, odwracając wzrok od zmasakrowanych ciał.

- Nigdy nie miałeś jaj - parsknął Girru. - Niech to szlag, przecież nawet degeneraci lubią trochę zapolować!

- Nie musiałeś tego robić w ten sposób - mruknął Anshar.

- O? Mam powiedzieć Szefowi, że robisz się drobiazgowy? A może... - jego głos nagle złagodniał - wolałbyś, żebym powiedział o tym Kirinal?;

- Nie! Ja... Po prostu to mi się nie podoba.

- Pewnie, że nie - odparł z pogardą Girru. - Ty...

Nagle przerwał i obrócił się z niewiarygodną szybkością, jaką dawały mu implanty, gdy za jego plecami rozległ się grzmiący ryk. Jasny błysk ognia wypełnił ciemne pomieszczenie niczym błyskawica i Girru zachwiał się, uderzony pociskiem. Z jego ust wyrwał się chrapliwy okrzyk, lecz wzmocnione ciało mogło wytrzymać więcej niż jakikolwiek Ziemianin mógłby sobie wyobrazić. I wtedy magnum odezwało się po raz drugi.

Nawet cuda Czwartego Imperium mają swoje granice. Wielka kula przebiła się przez wzmocniony kręgosłup mężczyzny, a impet uniósł go w górę i cisnął na krzesło, na którym siedziała martwa dziewczynka.

Słyszając pierwszy strzał, Colin rzucił się do przodu, gdyż doskonale wiedział, kto pociągnął za spust. Był jednak za daleko, gdy Anshar uniósł karabin energetyczny i skierował go w stronę otwartych kopnięciem drzwi.

- Nie, Sean! - krzyknął, lecz było już o wieki za późno. Sean McIntyre wiedział, że Colin nie zdąży dobiec do Anshara, nim buntownik wystrzeli. Stał, więc w pozycji strzeleckiej, z magnum w obu dłoniach - ludzki refleks i furia przeciwko nieludzkiej szybkości Czwartego Imperium.

Miał jeden strzał. Ciężka kula trafiła Anshara w podbrzusze, powodując rozległe obrażenia, lecz jego karabin energetyczny zdążył jeszcze warknąć i przywołać straszliwego demona. Skupiony promień zakłócenia grawitonicznego, który jest zdolny przeciąć nawet stal, poleciał w kierunku drzwi. Ciało Seana MacIntyre'a eksplodowało fontanną krwi, gdy promień przeciął gips, drewno i ciało.

- NIEEE! - krzyknął Colin, rzucając się na mordercę swego brata.

Mimo obrażeń, jakie zadał mu pocisk magnum, Anshar nadal trzymał za spust, niszcząc pokój promieniem energii. Instynkt kierujący Colinem nawet w tym szaleństwie kazał mu rzucić się w bok, dzięki czemu cały impet uderzenia przyjął na siebie tłumik na jego plecach.

Anshar przerwał ogień i czekał, aż jego wróg padnie.

Lecz Colin był nietknięty, a kontrolę nad nim przejęły teraz odruchy zdobyte podczas długich godzin ćwiczeń z końcówkami treningowymi Dahaka. Zrobił salto do tyłu i skoczył na Anshara, który gapił się na niego z niedowierzaniem; jego buty uderzyły w pierś buntownika,

wytrącając mu z rąk karabin energetyczny.

Mężczyźni przewrócili się. Anshar był ranny - poważnie ranny - a Colin zapomniał o tym, że potrzebny jest mu jeniec. Zignorował upadający karabin. Teraz był tylko on, Anshar i ich gołe ręce. Widząc w oczach Colina zapowiedź straszliwej śmierci, buntownik zbladł i usiłował się cofnąć.

McIntyre'a opadła wściekłość - zimna, okrutna wściekłość. Złapał przeciwnika za rękę i przyciągnął go bliżej. Wzmocnione metalem i obudowane wzmocnionymi mięśniami kolano uderzyło w ranę po kuli Seana. Usta Colina wykrzywił dziki uśmiech, gdy usłyszał nieludzki skowyt Anshara.

Potem wykręcił uniesioną do góry rękę przeciwnika; wzmocnione chrząstki i kości zaczęły z obrzydliwym odgłosem trzaskać. Anshar znów wrzasnął, lecz to było za mało, by zadowolić Colina. Cisnął przeciwnika na ziemię. Chwycił go obiema rękami za brodę i naprężył kręgosłup, wzmocniony technicznymi cudami Czwartego Imperium i ogromną siłą nienawiści. Po chwili tytanicznego wysiłku rozległ się ostatni krzyk i kręgosłup Anshara głośno trzasnął.

Rozdział dziewiąty

Colin w dalszym ciągu trzymał ofiarę, czując, jak życie wycieka z jej ciała, jak wyłączają się kolejne implanty, a morderca kryjący się w jego duszy triumfował... i wściekał się, że to już się skończyło.

Wreszcie rozwarł dłonie i twarz Anshara uderzyła z plaśnięciem o podłogę. Colin wstał i wytarł dłonie o dzinsy. W oczach miał pustkę, jakby jakaś jego część umarła wraz z bratem.

Obrócił się, czując zapach palonego drewna, pył gipsowy i smród rozszarpanych ciał. Nie mógł nie patrzeć na pomordowaną rodzinę Cala, tak jak nie mógł oderwać wzroku od Seana.

Ukląkł w rozlewającej się kałuży krwi brata. Karabin energetyczny straszliwie zmasakrował jego ciało, a to znaczyło, że śmierć przyszła szybko i być może brat długo nie cierpiał.

Spoglądały na niego oczy ich dawno zmarłej matki. Nie było w nich życia, lecz pozostało echo gniewu Seana. Wiedział, pomyślał ze smutkiem Colin, że jest trupem, już w momencie, gdy Anshar zaczął unosić broń, a jednak się nie cofnął. Tak jak zawsze. I tak jak zawsze bronił swojego młodszego brata.

Colin delikatnie zamknął jego oczy, po policzkach pociekły mu łzy. Jedna z nich, która spadła na twarz Seana, zalśniła w padającym z gabinetu świetle niczym diament. Widok ten poruszył w nim ukrytą strunę, przerwał uścisk smutku, który kazał mu tutaj klęczeć. Wyciągnął rękę, by podnieść karabin energetyczny Girru.

- Nie ruszaj się - powiedział głos za jego plecami.

Colin zamarł, lecz tym razem rozpoznał głos. Mówił po angielsku z miękkim akcentem południa. Zacisnął zęby. Nie tylko Cal go zdradził; zdradzili go wszyscy, których znał, którym mógł zaufać. Wszyscy poza Seanem.

- Rzuć to. - Karabin energetyczny stuknął o podłogę. - Do pokoju.

Cofnął się do gabinetu i powoli odwrócił. Jego wzrok stwardniał, gdy zobaczył stojącą w drzwiach wysoką czarnoskórą kobietę. Nosila mundur sił powietrznych USA z dębowymi liśćmi podpułkownika, lecz wisząca na jej ramieniu broń nie została wykonana na Ziemi. Był to karabin grawitacyjny o tępej lufie; jego talerzowy magazynek mieścił dwieście trzymilimetrowych strzałek. Miały prędkość wylotową rzędu pięciu tysięcy metrów na sekundę, a zrobiono je z chemicznego materiału wybuchowego o gęstości większej niż uran, który eksplodował w momencie uderzenia w cel. Z miejsca, w którym stał, Colin widział wyrzeźbionego trzygłowego smoka.

Lufa nie przestawała mierzyć w jego pępek, a tymczasem spojrzenie pani pułkownik omiotło pokój i jej twarz skrzywiła się w grymasie. Colin odruchowo napiął mięśnie brzucha, lecz kobieta nie strzeliła. Jej brązowe oczy przez chwilę patrzyły na zmasakrowane ciała Frances i

Anny, po czym znów spoczęły na nim, pełne bezgranicznej nienawiści, której nigdy wcześniej w nich nie widział.

- Ty draniu! - wyszeptała podpułkownik Sandra Tillotson.

- Ja? - spytał gorzko. - A ty, Sandy?

Jego słowa były jak cios. Głowa kobiety odskoczyła do tyłu, oczy rozszerzyły się, a nienawiść zniknęła w nagłym niedowierzaniu, jakby dopiero po raz pierwszy dostrzegła jego, a nie kolejnego mordercę.

- Colin?! - spytała. Jej reakcja go zaskoczyła.

Przecież buntownicy z pewnością wiedzieli, na kogo zastawiają pułapkę! Potem kobieta popatrzyła na dwa ciała w mundurach Floty. Niemal widział, jak myśli przelatują przez jej głowę. Wreszcie, ku jego całkowitemu zdziwieniu, Sandra opuściła karabin.

Napiął mięśnie, gotów skoczyć i odebrać jej morderczą broń. Tymczasem kobieta pokręciła powoli głową i wypowiedziała słowa, które sprawiły, że Colin zamarł w miejscu.

- Colin - wyszeptała. - Boże, Colin, coś ty narobił?

To była ostatnia reakcja, jakiej się spodziewał. Zmrużył oczy.

- Ja ich tak znalazłem. Ci dwaj - wskazał głową na nieruchome ciała - czekali na mnie.

Oni... zabili też Seana.

Sandy odwróciła się w stronę drzwi. Jej ramiona zadrżały, gdy rozpoznała, kto tam leży taki zmasakrowany. Kiedy odwróciła się do Colina, w jej oczach była rozpacz.

- Jezu - jęknęła. - Słodki Jezu. Tylko nie Sean.

- Sandy, co tu się, do diabła, dzieje? - spytał ostro Colin.

- Nie zrozumiesz - powiedziała cicho, ledwie otwierając usta. - Niczego nie pojmuję! Sądziłem, że wiem, ale...

- Cał wysłał sygnał alarmowy - powiedziała Sandy głosem bez wyrazu, patrząc na martwego naukowca, jakby chciała, aby ten straszny widok na zawsze wrył się w jej pamięć. - Byłam najbliżej, więc przybyłam najszybciej, jak mogłam.

- Ty? Sandy, ty jesteś z Anu?

- Jasne, że nie! Ci dwaj, Girru i Anshar, byli jego cynglami.

- Sandy, o czym ty mówisz? Skoro nie jesteś...

Colin urwał, gdyż odezwały się jego sensory, a Sandy znieruchomiała, widząc skupienie na jego twarzy.

- Co się dzieje? - spytała ostro.

- Ci dranie wezwali wsparcie - odparł z napięciem. - Nadchodzą, nie odbierasz ich?

- Jestem zwykłym człowiekiem, Colin. Jednym z „degene-ratów” - odparła szorstko. - Ale ty już nie, prawda?.....”.....

- Nor... - przerwał. - Później - dodał. - Zbliży się do nas co najmniej dwadzieścia pancerzy bojowych.

- Niech to szlag - westchnęła Sandy. - Skoro masz zestaw biowzmocnień, łap jeden z tych karabinów!

Odśloniła zęby w paskudnym uśmiechu.

- Zaskoczmy drani!

Colin chwycił broń Anshara. Podczas walki nie została uszkodzona, a wskaźnik naładowania pokazywał dziewięćdziesiąt procent. Kiedy pojął znaczenie słów Sandy, jego palce niemal miłośnie objęły kolbę. Żaden człowiek nie mógłby unieść karabinu energetycznego; nawet karabin grawitacyjny byłby dla większości Ziemiaków zbyt ciężki. W Imperium była to broń przypinana do pasa; dla Sandy była to dwuręczna broń do zawieszenia na ramieniu.

- Skąd nadchodzą i gdzie są? - spytała krótko.

- Dwudziestu - powtórzył Colin. - Zacieśniają krąg. Odległość sześć kilometrów i maleje.

- Za daleko - mruknęła Sandy. - Musimy ich ściągnąć bliżej.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Urwała i pokręciła głową. - Nie ma czasu na wyjaśnienia, Colin. Zaufaj mi... i uwierz, że jestem po twojej stronie.

- Mojej? Sandy...

- Zamknij się i słuchaj! - ucięła. - Coś podejrzewałam, gdy nie znaleźliśmy ciała we wraku, ale wydawało się to tak nieprawdopodobne, że... Zresztą nieważne, teraz ty jesteś ważny. Jakie masz implanty?

Pytania bombardowały umysł Colina ze wszystkich stron. Skąd Sandy, która najwyraźniej nie ma żadnej biotechniki, wie, kim byli napastnicy, i że istnieją różne pakiety implantów? Miała jednak rację, nie było czasu na rozmowy.

- Oficer mostka - powiedział krótko.

- Oficer... Chcesz powiedzieć, że okręt jest całkowicie sprawny?!

- Być może - odparł ostrożnie i pokręcił z irytacją głową.

- Jest albo nie jest, a skoro przeszedłeś całą procedurę - jest. A to oznacza... - Urwała i pokiwała gwałtownie głową.

- Nie stój tak! Sprawdź, czy może zabrać stąd nasze tyłki!

Colin zaniemówił. Huragan gniewu i furii, a potem zaskoczenie widokiem Sandy nie pozwoliły mu dostrzec najprostszego ze wszystkich rozwiązań!

Uruchomił swoje łącze przestrzeni złożonej, po czym jęknął z bólu, niemal powalony torturującym nerwy piskiem. Potrząsnął głową jak pies.

- Nie mogę - stęknął. - Zagłuszają nas.

- Cholera. - Twarz Sandy znów się ściągnęła, lecz kiedy się odezwała, jej głos brzmiał zadziwiająco spokojnie. - Colin, nie wiem, jak znalazłeś Cala i co tu się tak naprawdę stało, lecz jesteś jedynym człowiekiem na tej planecie z implantami dostępu na mostek. Musimy cię stąd wydostać.

- Ale...

- Colin, nie ma czasu. Posłuchaj. Jeśli zdołamy ich ściągnąć bliżej, uciekniesz, kiedy ci powiem, do piwnicy. Gdzieś tam jest włącznik; nie wiem gdzie, ale ty go nie potrzebujesz. W piwnicy jest piec. Obraca się zgodnie ze wskazówkami zegara, lecz aby go przesunąć, będziesz musiał wyrwać zamek. Zejdź po drabinie i idź prawym korytarzem, lewy to ślepa uliczka zakończona pułapką. Pędź jak wszyscy diabli. Wyjdiesz o jakiś kilometr stąd, w lesie nad Aspen Road. Zrozumiano?

- Tak, ale...

- Powiedziałam, że nie mamy czasu. - Sandy ruszyła do drzwi i ostrożnie przeszła nad ciałem Seana. - Chodź ze mną. Musimy ich przekonać, że zamierzamy walczyć, w przeciwnym razie będą próbowali zablokować nam wszystkie drogi ucieczki.

Colin posłuchał jej wbrew sobie, gdyż każdy nerw w jego ciele wrzeszczał, by jej tak ślepo nie ufać. ale Sandy wiedziała, co robi - albo tak sądziła - i było to tysiąc razy lepsze niż to, co on wiedział.

W korytarzu kobieta przesunęła wiszący na ścianie obraz i odsłoniła niewielki przełącznik. Sensory Colina chciały wysledzić obwody, lecz w tym momencie skóra zapiekła go od nagłego przebudzenia się niespodziewanych zabezpieczeń. Zbliżając się do domu, wyczuwał dużo imperialnej technologii, ale nigdy nie spodziewał się czegoś takiego!

- Ściana jest pancerna, a ponieważ jest po przeciwnej stronie góry, nie mogliśmy ryzykować obwodów zabezpieczających - wyjaśniła krótko Sandy, kierując się w stronę salonu i klękając przy panoramicznym oknie. Oparła lufę karabinu grawitacyjnego na parapecie. - Za duże ryzyko, że banda Anu zauważy, gdyby któryś z nich przypadkiem zjawił się w okolicy, ale to jedyna otwarta ściana domu.

Colin potwierdził mruknięciem i klęknął obok okna po drugiej stronie pokoju. Sporo ryzykowali, zabezpieczając tylko sufit i boczne ściany, lecz nie tak bardzo, jak początkowo sądził. Jego sensory były znacznie lepsze od tych, którymi dysponowali buntownicy, a kiedy usiłował wysledzić źródło pola, przekonał się, że obwody tarczy były bardzo dobrze ukryte. Spodziewał się, że trafi na imperialne obwody molekularne, lecz ukryta w piwnicy maszyna była ziemskiej produkcji. Miała kilka bardzo nietypowych elementów, lecz chodziła na drukowanych obwodach, co tłumaczyło jej wielkość i trudności z jej ukryciem. Brak obwodów molekularnych był jednak najlepszą ochroną.

Tarcza odcięła działanie sensorów Colina w trzech kierunkach, lecz nadal mógł sięgać nimi przez niechronioną ścianę. Wyszczerył dziko zęby, gdy załśniły przed nim sygnatury pancerzy bojowych. Byli znacznie lepiej chronieni niż on, lecz byli też znacznie lepiej „widzialni”.

- Nadchodzą - szepnął i Sandy kiwnęła głową. Ze zbierającymi światło goglami, które nasunęła na oczy, jej twarz wyglądała dość groteskowo. Był to najnowszy wynalazek armii, niedorównujący imperialnym standardom, lecz mimo to w ograniczonym zakresie bardzo skuteczny. Pilot odwrócił się do okna i spojrzał w noc.

W jego polu widzenia jasno rozblysnął pancerz bojowy. Uniósł karabin. Napastnik szedł wyżej; Colin był zdziwiony, że tamci nie używają swoich silników. Kiedy buntownik ukazał się wreszcie niemal w całości, nacisnął guzik.

Okno eksplodowało deszczem rozbitego szkła. Niemal nie-; widoczna energia pomknęła ponad trawnikiem i trafiła napastnika w sam środek klatki piersiowej.

Pancerz wytrzymał tylko przez chwilę, gdyż broń Colina była i nastawiona na maksymalną moc. Buchnął gejzer tkanek i krwi, buntownik zgiął się i upadł. W pilocie znów odezwała się straszliwa żądza zemsty.

Strzałki z karabinu grawitacyjnego Sandy opuściły lufę z szybkością ponaddźwiękową i w niemal całkowitej ciszy. Kątem oka Colin dostrzegł obłok pyłu, gdy tuzin z nich wbił się głęboko w pancerz i eksplodował, a wtedy kolejny napastnik zachwiał się i poleciał do tyłu; towarzyszący temu dziki okrzyk Sandy był echem jego własnego krzyku.

Strzały atakujących przerwały ciszę. Dom zatrzęsł się, gdy imperialna broń uderzyła w jego boczną i tylną ścianę. Colin skrzywił się, czując dodatkowy przepływ mocy w obwodach tarczy. Ostrzał trwał nadal, rozświetlając noc błyskawicami i rozbrzmiewając grzmotem; domowej roboty generator tarczy nagrzał się niebezpiecznie, ale wytrzymał. Potem grzmot umilkł.

- Teraz już wiedzą - powiedziała cicho Sandy. - Za minutę przyjdą od frontu. Po tym całym zamieszaniu, jakie wywołaliśmy, nie mogą sobie pozwolić na stratę czasu. Muszą wejść i wyjść, zanim... - przerwała i posłała w mrok kolejną porcję strzałek, które rozwały na kawałki trzecie opancerzone ciało - ktoś przyjdzie sprawdzić, co tu się, do cholery, dzieje.

- Nie wytrzymaamy prawdziwego natarcia – ostrzegł.

- Wiem. Pora zmywać się stąd, Colin.

- Pójdą za nami - powiedział. - Nawet ja nie przeskoczę pancerzy bojowych z napędem raketowym.

- Nie będziesz musiał - odparła krótko. - Na końcu tunelu czekają nasi przyjaciele. Na litość boską, nie strzelaj, kiedy stamtąd wypadniesz! Oni nie wiedzą, co się tutaj dzieje.

- Przyjaciele? Jacy... - Przerwał i znów pociągnął za spust.

Buntownicy już wiedzieli, że są ostrzeliwani, tym razem, więc jego ofiara zdążyła paść, nim

promień przebił się przez jej zbroję. Bez wątpienia buntownik został ciężko ranny, lecz mało prawdopodobne, żeby nie żył.

- Nie pytaj! Bierz tyłek w troki i znikaj stąd!,

- Bez ciebie nie idę - odpalił.

- Ty głupi... - Sandy stłumiła gniewną odpowiedź i pokręciła głową. - Nie mogę nawet otworzyć przekłętego tunelu, ty dupku! Ty możesz, więc nie bądź takim rycerzem! Ktoś musi osłaniać tyły, a ktoś musi otworzyć tunel! Ruszaj się, Colin!

Chciał oponować, ale nagle jego sensory wypełniły się sygnałami pancerzy gromadzących się wzdłuż drogi pod zboczem. Miała rację i wiedział o tym.

- Dobra! - wychrypiął. - Ale lepiej trzymaj się tuż za mną, bo wrócę po ciebie!

- Nie, ty tępy, szowinistyczny białasie...

Urwała, widząc, że już go nie ma. Chciała za nim zawołać i życzyć mu powodzenia, lecz wolała nie odwracać się plecami do wroga. Żałowała swojej gniewnej reakcji na jego słowa, gdyż wiedziała, że musiał je wypowiedzieć. Musiał, choć obydwójce wiedzieli, że to nie miało sensu. Musiał wierzyć, że wróci - że zdoła wrócić - choć zdawali sobie sprawę, że jeśli ona nie będzie mu deptać po piętach, to w ogóle stąd nie wyjdzie.

Oczywiście nie powiedziała mu, że nie zamierza za nim iść. Palnęła, że na zewnątrz będą czekać przyjaciele, choć wcale nie była tego pewna, a poza tym ktoś musi przecież odwrócić uwagę atakujących by nie dostrzegli, że Colin będzie wychodził poza tarczę. Uważała, że jeśli on rzeczywiście ma implanty oficera mostka, to jego muszą stąd wydostać. Nie pojmowała tego wszystkiego, co się działo, ale akurat tego jednego była pewna: Colin potrzebuje czasu, aby uciec.

Podpułkownik Sandra Tillotson z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych położyła obok siebie zapasowy magazynek i przygotowała się, aby dać mu ten czas.

* * *

Colin z bólem serca pędził schodami do piwnicy. W głębi duszy domyślał się, co Sandy chce zrobić. Do cholery, ma rację, ale mimo to myśl o pozostawieniu jej była niczym rana na jego duszy. Ta okropna noc zbyt wiele kosztowała. Kiedy kuter „Dahaka” umieścił go tutaj, był przekonany, że tylko on może coś stracić, że naraża tylko sam siebie. Nie spodziewał się, że ludzie, których znał i kochał, zostaną zarżnięci jak bydło; nie wiedział, jak gorzko będzie żyć zamiast umrzeć razem z nimi.

Wyczuwał w tyle przerywany ogień karabinu grawitacyjnego Sandy i furię energii walącej

w dom. Z płonącymi oczami mocno chwycił ciężki piec i go przesunął. Pod spodem była drabina, ale nie skorzystał z niej. Zeskoczył bez trudu dwa metry w dół i popędził tunelem. Kiedy minął skraj tarczy i odciął sensory, poczuł przecinające przestrzeń ładunki z karabinu Sandy. A więc ciągle tam jest i strzela, nawet nie próbuje uciec. Oślepiły go łzy i nienawiść do samego siebie.

Tunel zdawał się nie mieć końca, mimo to dotarł do jego krańca zanim to sobie uświadomił, i pospiesznie wspiał się po kolejnej drabinie. Szyb był zamknięty, lecz dostrzegł uchwyt, więc pchnął go ramieniem. Wypadł w noc... i jego zmysły zostały nagle oślepione ogromną liczbą źródeł zasilania. Mnóstwo panczerzy! Zbliżali się od tyłu dziwnymi skokami silników rakietowych, czekali w rozciągającym się przed nim lesie!

Usiłował uruchomić karabin, lecz uderzyła w niego fala energii. Krzyknął, kiedy każdy implant w jego ciele zaczął protestować. Wił się, rozpaczliwie usiłując to pokonać i zachować świadomość, mimo bólu, jaki mu to sprawiało.

To było pole chwytające - nie morderczy strzał, lecz coś znacznie gorszego: urządzenie policyjne, pętające z brutalną siłą jego syntetyczne mięśnie.

Pociągnięty siłą rozpędu, przewrócił się. Walczył z ogarniającą go ciemnością z całą furią rozwścieczonej woli, lecz nadaremnie.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, było szaleństwo świateł, kiedy od wystrzałów energii eksplodowały drzewa. Zabrał tę wizję ze sobą w mrok, mgliście świadomy, że jest ona w jakiś sposób ważna.

A potem, kiedy jego zmysły całkiem przygasły, zrozumiał. Ten ogień nie był wycelowany w niego; niszczył ziemię za nim, powalał ścigających go buntowników...

Rozdział dziesiąty

Colin wynurzył się ze strachem ze swoich koszmarów, usiłując zrozumieć, co się stało. Z jego zmysłami coś było nie tak; jęknął cicho, przerażony martwością, pustką tam, gdzie powinien czuć szmer i przepływ otaczającej go energii.

Otworzył oczy i zamrugał, odruchowo łagodząc ostrość skierowanego nań źródła światła. Zobaczył nieznany sufit wykonany z doskonale mu znanego brązowego stopu i jego mięśnie się napięły.

To nie był sen. Sean nie żyje. I Cal... i jego rodzina. I Sandy...

Wspomnienia wyrwały z niego ochryply jęk. Zamknął oczy. Usiłował wziąć się w garść i usiąść, lecz ciało nie chciało go słuchać, więc jeszcze raz otworzył oczy. Spróbował jeszcze raz mocniej napiąć mięśnie, lecz równie dobrze mógłby starać się podnieść Ziemię. Coś go przyciskało, i kiedy rozpoznał, co to jest, zacisnął zęby. Wychwycił również pole ekranujące, co tłumaczyło, dlaczego jego implanty są martwe.

Do jego uszu doleciał słaby dźwięk. Usiłował obrócić głowę, lecz nawet tak niewielki ruch był dla niego olbrzymim wysiłkiem.

Spoglądało na niego troje ludzi o ponurym wyrazie twarzy. Stojący w środku mężczyzna miał siwe włosy. Jego pokrytą zmarszczkami twarz szpeciła blizna biegnąca od kącika prawego oka aż do kołnierza starej, zniszczonej bluzy Clemson University. Jak wszyscy obywatele Czwartego Imperium, miał oliwkowo-brązową skórę. Na podstawie opisów Dahaka Colin rozpoznał, że ten człowiek jest stary. Bardzo stary. Musiał przeżyć już ponad sześćset lat, lecz mimo to dobrze się trzymał, a jego oliwkowo-czarne oczy czujnie błyszczały.

Na lewo od niego siedziała na krześle kobieta. Ona również była stara, lecz w sposób typowy dla ludzi zrodzonych na Ziemi. W jaskrawym świetle jej gęste włosy wydawały się niemal oślepiająco białe. Pobrużdżona, ściągnięta troskami twarz była jaśniejsza niż twarz mężczyzny, lecz zapuchnięte oczy były podobnie skośne. Colin nigdy nie spotkał Isis Tudor, lecz podobieństwo do jej zamordowanego wnuka było tak duże, że nie miał wątpliwości, kim ona jest.

Trzecia osoba miała taką samą skórę jak starzec, lecz jej zimna, zacięta twarz była gładka. Jak na mieszkańców Imperium była wysoka, wyższa nawet niż Colin, który miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, a przy tym była szczupła, niemal delikatna. Jej kocia uroda i migdałowe oczy sprawiały, że była niezmiernie i doskonale piękna. Jej włosy, tak czarne, że niemal błękitnozielone, były zebrane na karku wysadzaną klejnotami zapinką, a niżej swobodnie rozpuszczone. Miała na sobie luźne spodnie i kaszmirowy sweter. Wiszący u pasa wysadzany klejnotami sztylet wydawał się nie na miejscu, ale wcale nie był śmieszny. Jej szczupłe palce

mocno zaciskały się wokół jego rękojęści, a ciemne oczy były pełne nienawiści.

Cisza przeciągała się, wreszcie starszy mężczyzna chrząknął.

- Co mamy z panem zrobić, komandorze McIntyre? - spytał cicho w płynnej angielszczyźnie. Colin odruchowo odwrócił ku niemu głowę. Mężczyzna uśmiechnął się i objął ramieniem starszą kobietę.

- Wiemy, kim jesteś... i... - jego głos nagle stał się bardziej nieprzyjemny - ile już nas kosztowałeś.

- Szkoda nań czasu - powiedziała zimno młoda kobieta.

- Cicho, Jiltanith - odparł mężczyzna. - To nie jego wina.

- Jakżeż nie? Calvin nie żyje, takżeż żona i córki jego. Jego to sprawa!

- Nie. - Głos Isis Tudor był pełen smutku. Kobieta powoli pokręciła głową. - Był przyjacielem Cala, Tanni, i nie wiedział, co on robił.

- Niczego to nie zmienia - powiedziała gorzko Jiltanith.

- Isis ma rację, Tanni - rzekł mężczyzna. - Nie mógł wiedzieć, że będą szukać Cala. Poza tym - jego oczy były pełne mądrości i współczucia - on stracił też brata... i pomścił Cala i dziewczynki.

Podszedł do stołu i przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Colin wiedział, o co go obwiniają. Ostrzegał Seana, że sygnał może zostać wykryty, i tak też się stało. Jego błąd kosztował życie Cala i Frances, Harriet i Anny, Seana i Sandy, i w oczach starego mężczyzny wyczytał świadomość tego faktu. Po chwili porywacz cofnął się i założył ręce do tyłu, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie chce nikomu zrobić krzywdy.

- I cóż z pomsty?! - spytała ostro Jiltanith; jej piękna twarz wyrażała zimną nienawiść. - Azali w ten sposób ożyją? Nie! Zarznicie go i już, oto moja rada!

- Nie, Tanni - powiedział mężczyzna bardziej zdecydowanie. - Potrzebujemy go, a on nas potrzebuje.

- Nie, ojcze! - warknęła wściekle dziewczyna. - Nic nam po nim! Jego udział w tym jest mi obmierzłym!

- Nie ty o tym decydujesz, Tanni - rzekł surowo mężczyzna. - Decyzja należy do Rady... a ja jej przewodniczę.

- Ojcze, jeśli czynisz z tego człeka twego druha, tedy głupcem jesteś. Zapłaciłeś już za to życiem ludzi tobie drogich. Czyń, co chcesz, lecz cena rosnąć nadal będzie.

- Nie mamy wyboru - odparł ojciec. Jego smutne, mądre oczy cały czas patrzyły na Colina. - Komandorze, jeśli da mi pan parol, wyłączę pole.

- Komandorze, nie jesteśmy tymi, za kogo nas pan uważa. A może w pewien sposób jesteśmy, lecz pan nas potrzebuje, a my potrzebujemy pana. Nie proszę, aby się pan poddał, tylko

nas wysłuchał. Proszę tylko o to. Potem, jeśli pan sobie tego zażyczy, zostanie pan uwolniony.

Colin słyszał, jak Jiltanith ze świstem wciąga powietrze, lecz nie odrywał wzroku od mężczyzny. Patrzył na kogoś niezwykle starego i zmęczonego, a jednak mającego poczucie pełnienia misji. Coś go kusiło, by mu zaufać, nawet wbrew sobie.

- Kim wy, do cholery, jesteście? - wychrypiał wreszcie.

- Ja, komandorze? - Starzec uśmiechnął się kwaśno. - Działonowy pierwszej klasy Horus, bardzo dawno temu w Imperialnej Flocie Bojowej. A także... - uśmiech znikł z jego twarzy, a smutek w oczach jeszcze bardziej się pogłębił - Horace Hidachi.

Colin zamrugał, zdziwiony, a mężczyzna pokiwał głową.

- Tak, komandorze, Cal był moim prawnukiem. Czy nie sądzi pan, że chociażby z tego powodu powinien pan mnie wysłuchać?

Colin przez dłuższą chwilę spoglądał na niego w milczeniu, po czym kiwnął niezgrabnie głową, przyciśnięty polem.

* * *

Pilot poruszył ramionami, by lepiej dopasować mundur, który dostał w zamian za swój stary, zakrwawiony uniform. Horus i Isis Tudor prowadzili go jakimś korytarzem, a on rozglądał się wokoło. Przenośne pole ekranujące wciąż odcinało jego sensory; był nieco zaskoczony odkryciem, jak bardzo czuje się bez nich niekompletny. Przyzwyczał się do swoich nowych zmysłów, pogodził z tym, że skanowanie elektromagnetyczne i gra - witoniczne poszerza zakres jego wzroku, dotyku i zapachu. Te - raz ich nie było, a wszystko przez to małe pudełko, które idąca za nim Jiltanith przyciskała do jego pleców.

Spotykane po drodze osoby nosiły normalne ziemskie ubrania; większość najwyraźniej była urodzona na Ziemi. Typowe dla mieszkańców Imperium migdałowe oczy i oliwkowy odcień skóry występowały rzadko; aż się dziwił, że tak wielu Ziemian dopuszczono do tej tajemnicy, a mimo to jeszcze nie wyszła na jaw.

Mimo braku implantów widział i wyczuwał znaki upływającego czasu.

„Dahak” był starszy niż jego obecne otoczenie, a mimo to wielki okręt nie wydawał się stary ani zmęczony upływem lat. Przez pięćdziesiąt tysięcy lat nikt nie postawił nogi na jego pokładzie, nikt nie zaznaczył swojej obecności jakimiś przypadkowymi zniszczeniami.

Tymczasem tutaj widział ślady przemijania. Środkowa część podłogi wykonanej z twardego syntetycznego materiału była zdarta, nawet odsłonięty pod nią stop wyglądał na zniszczony.

Podobnie było ze ściankami działowymi; widać było ślady napraw, oświetlenie i przewody wentylacyjne były nieco poprzekrzywiane, gdyż umieściły je tam tylko ludzkie ręce, a nie wspaniałe jednostki naprawcze, które zajmowały się „Dahakiem”.

Dahak mówił, że buntownicy spędzali większość czasu w śpiączce, a tymczasem minęli już około setki ludzi. Podobnie ślady starości, zużycia, które dotknęło nawet imperialną stal, nie pasowały do jego wyobrażeń. Anu przeniósł na Ziemię kompletne zaplecze techniczne, powinien więc mieć mnóstwo urządzeń naprawczych, które dbałyby o właściwy stan pojazdów.

Ale to z kolei pasowało do pozostałych rzeczy. Morderstwo rodziny Cala. Dziwne uwagi Sandy. Był w tym jakiś sens, lecz Colin nie mógł uchwycić, które fragmenty jego rozumowania są ze sobą wewnętrznie spójne.

Horus i Isis zatrzymali się przed zamkniętym włazem, przerywając jego rozmyślania. Kiedyś te drzwi ozdobił trójgłowy smok, lecz został starannie usunięty i pozostał tylko gładki stop. Połączył to w myślach ze spostrzeżeniem, że tylko on nosi tutaj mundur Floty.

Właz otworzył się i wszedł do środka, zachęcony gestem Horusa.

Sterownia wyglądała jak bardziej zagracona wersja mostka „Dahaka”, lecz i tutaj dokonano kilku zmian. Pod jedną z grodzi stała sterta starych telewizorów z płaskim ekranem, na panelach zamontowano dziwne hybrydy imperialnej teorii i ziemskich elementów. Konsole dopasowane do bezpośrednich łączy neuralnych miały zamontowane ziemskie touchpady, ale najbardziej zaskakujące były podpięte do nich zestawy słuchawek z mikrofonem. Na ten widok pilot unióśł brwi, a Horus uśmiechnął się.

- Potrzebujemy klawiatur... i telefonów, komandorze - wyjaśnił. - Większość naszych ludzi musi wprowadzać komendy za pomocą klawiatury i wydawać polecenia głosem.

Colin pokiwał nieznacznie głową i skierował wzrok na ponad trzydzieści osób, które siedziały lub stały za konsolami. Imperialnych było zaledwie kilku i większość z nich, w przeciwieństwie do Jiltanith, była niemal tak stara jak Horus.

- Komandorze - rzekł oficjalnie Horus - pozwoli pan, że przedstawię Radę Dowódczą okrętu bojowego o napędzie podświetlnym „Nergal”, będącego niegdyś - a przynajmniej część jego załogi - w służbie Floty Bojowej.

Colin zmarszczył brwi. „Nergal” był jednym z okrętów Anu, lecz zwolna stawało się jasne, że ci ludzie wcale nie są jego przyjaciółmi. Przynajmniej już nie. Usiłował gorączkowo przypomnieć sobie jakieś informacje, dzięki którym mógłby osiągnąć nad nimi przewagę.

- Rozumiem - powiedział tylko, a Horus omal nie parsknął śmiechem.

- Jest pan kiepskim pokerzystą, komandorze - rzekł i zaprosił Colina na jedną z dwóch pustych leżanek. Było to stanowisko zastępcy oficera działonowego, lecz jego panel był nieaktywny.

- Próbuje - powiedział, przechylając głowę i zachęcając w ten sposób Horusa do dalszej rozmowy.

- Jak rozumiem, nie zamierza pan ułatwić nam zadania. No cóż, nie sędzę, bym pana za to obwiniał. - Jiltanith prychnęła cicho, a Horus popatrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami.

Colin miał wrażenie, że dziewczyna wolałaby wymierzyć w niego coś znacznie bardziej morderczego niż przenośny emiter pola ekranującego.

- Dobrze - powiedział Horus znacznie bardziej ożywionym głosem, elegancko pomagając Isis usiąść na drugiej leżance. - To uczciwe. Zaczniemy, więc od początku. - Przede wszystkim, komandorze, nie poprosimy pana o podzielenie się z nami jakimikolwiek informacjami, dopóki pan sam nie uzna tego za stosowne. Mimo to pewne rzeczy wydają się raczej oczywiste.

- Po pierwsze, „Dahak” jest w pełni sprawny. Po drugie, istnieje powód, dla którego okrętowi nie udało się stłumić buntu ani polecić gdzie indziej w poszukiwaniu pomocy. Po trzecie, okręt w końcu zdecydował się na działanie, czego dowodem jest pańska tutaj obecność, i to z pakietem implantów oficera mostka, jakich ta planeta nie widziała od pięćdziesięciu tysięcy lat. Po czwarte, jak wyraźnie widać, informacje, na których opierał pan swoje plany, okazały się niedokładne. Może lepiej byłoby powiedzieć „niekompletne”.

Przerwał, lecz Colin nie pozwolił, by jego twarz wyrażała coś więcej niż tylko uprzejme zainteresowanie. Horus westchnął.

- Komandorze, pańska ostrożność jest godna pochwały, lecz źle ukierunkowana. Wprawdzie nadal tłumimy sygnały pańskich implantów, zwłaszcza łącza, ale leży to zarówno w naszym, jak i w pańskim interesie. Chyba nie chce pan, tak samo jak my, dostarczyć pociskom Anu promienia naprowadzającego! Zdajemy sobie sprawę, że musimy pana przekonać, iż mamy dobre intencje, a jedynym sposobem jest powiedzenie panu, kim jesteśmy i dlaczego pragniemy panu pomóc, a nie utrudniać pańską misję.

- Doprawdy? - Colin spojrzał z ukosa na Jiltanith.

Horus skrzywił się.....

- Komandorze, możemy być buntownikami, lecz jesteśmy społecznością, w której nawet ci, którzy nie zgadzają się z większością, są posłuszni decyzjom Rady. Czyż nie tak, Tanni? - spytał łagodnie kobietę.

- Zaiste - odparła krótko, wypluwając to słowo tak, jakby sprawiało jej to ból.

- Dobrze - powiedział wreszcie pilot. - Niczego nie będę obiecywał, lecz wyjaśnij mi wreszcie waszą sytuację.

- Dziękuję - odparł Horus.

Oparł się o konsolę, przed którą siedziała Isis Tudor, i skrzyżował ręce na piersi.

- Najpierw przyznam się panu do czegoś. Popierałem bunt z całego serca, walczyłem, by się

powiódł. Większość obywateli Imperium obecnych w tej sterowni powie to samo. Ale... - spojrzał prosto w oczy Colina - zostaliśmy wykorzystani, komandorze.

Colin milczał, więc Horus wzruszył ramionami i mówił dalej.

- Wiem, to była nasza wina. Usiłowaliśmy zdezerterować „w obliczu zbliżającego się ataku wroga”, jak ujmuje to wasz system prawny, dlatego żaden z nas nie nosi munduru, do którego kiedyś miał prawo. Ale, komandorze, kiedy pojeśliśmy, jak straszny popełniliśmy błąd, próbowaliśmy go naprawić. Poza tym nie wszyscy z nas byli buntownikami.

Przerwał i spojrzał na Jiltanith, której twarz była jeszcze bardziej zacięta i zimna niż wcześniej. Jej ponure spojrzenie zdawało się omijać Horusa i wbijać prosto w twarz Colina.

- Jiltanith nie była buntownikiem, komandorze - powiedział cicho Horus.

- Nie? - Colin sam był zaskoczony, że jego pytanie zabrzmiało tak łagodnie. Jiltanith różniła się od innych obywateli Imperium. Nie wiedział dokładnie, dlaczego, ale wyczuwał jej odmiennosc.

- Nie - odpowiedział Horus tym samym cichym głosem. - Tanni miała wtedy sześć ziemskich lat, komandorze. Dlaczego dziecko miało by ponosić odpowiedzialność za nasze poczynania?

Colin skinął wolno głową; tym gestem nie zobowiązywał się do niczego, poza wyrażeniem zrozumienia. Zostać skazanym na śmierć lub wygnanie za przestępstwo, którego nigdy się nie popełniło, w każdym mogło zrodzić nienawiść.

- Problem „Dahaka” dotyczy jednak nas wszystkich - mówił dalej Horus przyciszonym głosem - i moi towarzysze i ja pogodziliśmy się z tym. Postarzelismy się, komandorze, większość życia mamy już za sobą. To o życie Tanni i pozostałych niewinnych osób chcemy błagać. I być może kilku naszych towarzyszy z południa.

- To bardzo przekonujące, Horusie - powiedział ostrożnie Colin - ale...

- Ale musimy tego dowieść, tak? - wtrącił stary mężczyzna. Pilot wolno skinął głową. - My również tak uważamy.

- Kiedy Anu zorganizował bunt, komandor Inanna, specjalista w zakresie nauk biologicznych, wybrała osoby o najbardziej odpowiednich profilach psychologicznych. Nawet w Imperium są elementy podatne na wpływy, a ona i Anu wybierali bardzo starannie. Wielu najzwyczajniej obawiało się śmierci, innym nie podobało się dotychczasowe życie i szukali możliwości awansu i zdobycia władzy. Zaledwie kilku wiedziało, że najbliżsi współpracownicy Anu mieli całkiem inne motywacje.

- Oficjalnym celem było przejęcie okrętu i ucieczka przed Achuultanami, lecz tak naprawdę, podobnie jak większość załogi, oni nie wierzyli już w Achuultan.

Colin wyprostował się nieco, zdecydowany posłuchać o buncie widzianym z innej pozycji, ale na jego twarzy nadal widać było niedowierzanie.

- Imperium było stare, komandorze. Byliśmy świetnie wyszkoleni, zdyscyplinowani i przygotowani do bitwy na pierwsze skinienie buławą. Ale zbyt długo czekaliśmy na wroga. Nie byliśmy już ogarami rwącymi się ze smyczy. Poddaliśmy się rutynie, wielu z nas czuło w głębi duszy, że zostaliśmy przygotowani i wyszkoleni do czegoś, co już nie istnieje.

- Nawet ci, którzy widzieli dowody istnienia Achuultan - martwe planety, zniszczone systemy gwiazdne, dawne pola bitew zasłane wrakami okrętów - nigdy nie widzieli ich samych. Nasi ludzie nie różnią się tak bardzo od was i wszystko, co przekracza nasze doświadczenie życiowe, dla nas też nie do końca jest „prawdziwe”. Po siedmiu tysiącach lat, kiedy nie było żadnych najazdów, po pięciu tysiącach lat przygotowań do ataku, który nigdy nie nastąpił, po trzech tysiącach lat wysyłania sond, które nie znalazły nawet śladu wroga, trudno było uwierzyć, że on jeszcze istnieje. Zbyt długo staliśmy na straży i być może po prostu się zmęczyliśmy. - Horus wzruszył ramionami. - Lecz pozostaje faktem, że niektórzy naprawdę wierzyli w istnienie Achuultan i byli przerażeni.

- Dlatego Anu odwołał się do tych przerażonych, a zniechęconym i znudzonym dał szansę znalezienia nowego świata, z dala od dusznej atmosfery Imperium. Lecz sam Anu nie szukał ucieczki przed Achuultanami czy przed nudą. Chciał zagarnąć „Dahaka” dla siebie, nie zamierzał też porzucać lojalistów na Ziemi.

Colin zorientował się, że słucha z zainteresowaniem i jego twarz zbyt wiele wyraża, lecz nie mógł nic z tym uczynić. Była to nieco inna opowieść niż ta, którą przekazał mu „Dahak”, lecz miała sens.

Właściwie różnice nie były aż tak zaskakujące. Dane w pamięci „Dahaka” były wszystkim, co stary okręt uznawał za rzeczywistość... nim okazało się, że musi działać całkiem samodzielnie. Colin zauważył, że komputer nigdy nie mówił o sobie i swoich działaniach przed buntem i tuż po nim, i chyba się domyślał, jaka była tego przyczyna. Komputer centralny został pomyślany wyłącznie jako narzędzie do zarządzania danymi i systemem, funkcjonujące wyłącznie pod ludzkim nadzorem; obecna w pełni rozwinięta samoświadomość „Dahaka” była efektem pięćdziesięciu jeden tysięcy lat nieustannego, nie nadzorowanego przez nikogo działania. Skoro więc ta świadomość ukształtowała się już po buncie, dlaczego komputer miałby zakwestionować swoje podstawowe dane? W przeciwieństwie do ludzi, którzy mieszkali na wielkim okręcie, dla niego obecność Achuultan była aksjomatem. Nie wątpił, że ludzkość podchodzi do tego w ten sam sposób, zwłaszcza że taki właśnie był oficjalny powód buntu Anu. Oczywiście, to miało sens... a sam „Dahak” był świadom własnego braku wyobraźni i empatii w odbieraniu ludzkich stanów psychicznych.

- Uważam... - ponury głos Horusa odwrócił uwagę Colina od tych myśli - że Anu jest szalony. Myślę, że już wtedy był szalony, choć mogę się mylić. On naprawdę wierzył, że przy

wsparciu „Dahaka” zdoła sam pokonać Imperium.

- Nie wierzę, by mu się powiodło, niezależnie od tego, jak bardzo niezadowolona była część mieszkańców Imperium. Ale dla niego liczyło się tylko, że ma do wypełnienia boską misję, aby podbić Imperium, a zdobycie okrętu miało być pierwszym krokiem na tej drodze.

- Musiał jednak działać ostrożnie, dlatego nas okłamał. Cały czas zamierzał zlikwidować każdego, kto się do niego nie przyłączy, lecz ponieważ wiedział, że wielu z jego zwolenników sprzeciwi się temu, postanowił działać inaczej. Przychylił się nawet do naszej rady, by na transportowce, które miały zawieźć lojalistów na Ziemię, załadować zapasowe części do hiperkomu, tak by za jakiś czas mogli go zbudować i wezwać pomoc. Obiecał nam operację przeprowadzoną z chirurgiczną precyzją, komandorze. Jego starannie przygotowany zespół miał przejąć ważne strategiczne punkty, odciąć centralny komputer od sieci i postawić starszego kapitana Druagę przed faktami dokonanymi.

- Uwierzyliśmy mu. - Horus westchnął. - Niech Stwórca nam to wybaczy. Zaufaliśmy mu, chociaż gdybyśmy przez chwilę się zastanowili, pojęlibyśmy prawdę. Z tak niewielką załogą - najwyżej siedmioma tysiącami ludzi - taka „operacja chirurgiczna” była niemożliwa do przeprowadzenia. Powinniśmy byli się zorientować, gdy zebrał pancerze i broń i nakazał swoim ludziom z logistyki uszkodzić pozostałe pancerze. Ale my zrozumieliśmy to dopiero wtedy, gdy rozpoczęła się walka i popłynęła krew, kiedy było już za późno, by zmienić stronę.

Horus zamilkł. Colin patrzył na niego, chcąc, by mówił dalej, lecz zarazem był świadom, że starzec musi się pozbierać. Instynktownie czuł, że to, co mężczyzna powiedział, to prawda, a przynajmniej Horus w nią wierzy.

- Ostatnie chwile na pokładzie „Dahaka” były koszmarem, komandorze - odezwał się wreszcie stary człowiek. - Ogłoszono alarm czerwony dwa i wystrzelono szalupy ratunkowe. Kierowaliśmy się ku lądowisku dziewięćdziesiąt jeden, by ratować życie, przerażeni rozlewem krwi. Dopiero, kiedy opuściliśmy okręt, zrozumieliśmy - a przynajmniej niektórzy z nas - kim naprawdę jest Anu. I tak oto ten okręt, „Nergal”, go opuścił.

Horus uśmiechnął się, widząc zdziwienie Colina.

- Tak, komandorze, zostaliśmy podwójnymi buntownikami. Uciekliśmy - zaledwie z dwoma setkami osób na pokładzie - i w całym tym zamieszaniu jakoś udało nam się zniknąć ze skanerów Anu i ukryć się przed nim.

- Nasz pomysł był bardzo prosty. Wiedzieliśmy, że Anu miał plan awaryjny, aby przejąć kontrolę nad okrętem, lecz nie wiedzieliśmy, na czym on polega. Przypuszczaliśmy, że chodzi o zasilanie, w końcu był głównym inżynierem, lecz tak naprawdę liczyło się dla nas tylko to, że wreszcie dopnie swego i odleci. Proszę pamiętać, komandorze, iż nadal wierzyliśmy w jego obietnicę o pozostawieniu lojalistów w spokoju. Planowaliśmy wyjście z ukrycia zaraz po tym, jak

Anu odleci, i pomoc ocalałym, aby w ten sposób odpokutować za nasze zbrodnie. Szczerze przyznaję, że chcieliśmy też uzyskać ich wstawiennictwo, gdy Imperium wreszcie nas odnajdzie.

- Ale nic z tego nie wyszło, gdyż plan Anu się nie powiódł. „Dahak” nadal był częściowo sprawny i niszczył każdego pasożyta, którego wysyłano w jego kierunku. Nigdy też nie odleciał. Wisiał nad nami nienaruszony, niczym miecz Damoklesa.

- Jeśli Anu nie oszalał już wcześniej, to na pewno stało się to wtedy. Wprowadził większość swoich zwolenników w śpiączkę, by czekali na nieunikniony ostateczny upadek „Dahaka”; pozostali tylko jego najbliżsi towarzysze. A kiedy miał już pełnię władzy, odsłonił swoją prawdziwą twarz.

- Proszę mi powiedzieć, komandorze McIntyre, czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, co się stało ze wszystkimi oficerami mostka z „Dahaka”? W jaki sposób istoty takie jak my, których wiek mierzy się w stuleciach, a siła i wytrzymałość - tak jak i pana - przekraczają możliwości zwykłych ludzi, mogły się tak stoczyć? Czy nie wydaje się panu dziwne, że niemal ćwierć miliona ocalałych obywateli Imperium zapomniało o wszystkich osiągnięciach techniki?

- Tak, zastanawiałem się - przyznał Colin.

Rzeczywiście tak było, lecz nawet Dahak nie był w stanie mu odpowiedzieć. Komputer powiedział tylko, że kiedy wreszcie odzyskał sprawność, ocalali lojaliści powrócili do łowów i zbieractwa i wcale nie mieli ochoty rozwijać dalej techniki.

- Odpowiedź jest prosta, komandorze. Anu wytropił wszystkich ocalałych oficerów mostka, kierując się sygnaturami ich implantów, i wybił ich jednego po drugim, by przerwać łańcuch dowodzenia. A także z zemsty, rzecz jasna. Przemierzał planetę wzdłuż i wszerz, komandorze, szukając szalup z działającym zasilaniem, aby je zniszczyć i mieć pewność, że zmonopolizował całą technikę, że nie ma już żadnego potencjalnego zagrożenia. Ci, którzy ocaleli, szybko nauczyli się, że prymitywizm to jedyny sposób, by przeżyć.

- Ale wasza baza techniczna ocalała - powiedział zimno Colin. Horus się skrzywił.

- To prawda - odparł ponuro - lecz proszę się rozejrzeć, komandorze. Jaką technologią tak naprawdę dysponujemy? Jednym starannie ukrytym okrętem bojowym. Brak nam infrastruktury, by stworzyć coś innego, a jeśli spróbujemy ją odbudować, Anu odnajdzie nas, tak jak lojalistów, którzy zamierzali tego samego dokonać. Z jednym okrętem przeciwko siedmiu takim samym plus eskorta możemy tylko ponieść bohaterską śmierć. Uniósł dłoń w wymownym geście bezradności, a Colin poczuł do tego człowieka niechętną sympatię, podobnie jak do Dahaka, gdy po raz pierwszy usłyszał opowieść okrętu. Jednak w przeciwieństwie do komputera, ci ludzie sami zbudowali sobie, cegła po cegle, swój własny czyściec.

- Co zatem zrobiliście? - spytał w końcu.

- Ukryliśmy się, komandorze. Nasze plany zawiodły, gdyż Anu także nie mógł odlecieć.

Dlatego uruchomiliśmy systemy osłonowe „Nergala” i ukryliśmy się, również zapadając w śpiączkę.

To by tłumaczyło, pomyślał Colin, dlaczego Dahak nigdy nie przypuszczał, że istnieje więcej niż jedna grupa buntowników. Anu naprawdę musiał szaleńczo pragnąć odnaleźć ich i zniszczyć, gdyż tylko oni stanowili dla niego zagrożenie, a skoro ukryli się tak dobrze, że nawet on nie mógł ich znaleźć, to co dopiero Dahak, który nawet nie wiedział, że powinien ich szukać?

- Ukryliśmy się - ciągnął Horus - lecz ustawiliśmy własne monitory, by obserwować każdy ruch Anu. Nie odważyliśmy się naruszyć naszym okrętem obrony jego enklawy. Jestem - byłem - specjalistą od rakiet, komandorze, i wiem, co mówię. Nawet „Dahak” nie mógłby zniszczyć głównej tarczy bez bombardowania z orbity. Nie mamy dość mocy ognia, a automaty mogłyby nas zdmuchnąć, nim maszyny czuwające nad jego snem zdecydowałyby się go obudzić.

- A więc dlatego tu siedzicie - powiedział Colin; przez cały czas miał wrażenie, że jest tutaj zbyt wielu Ziemiaków.

- Nie, komandorze - odparł Horus, jakby czytał w jego myślach. - Przez całe milenia próbowaliśmy z nim walczyć, lecz niewiele mogliśmy zrobić. Było jasne, że użycie zaawansowanej technologii wystarczy, by sprowokować reakcję Anu. Dlatego nasze komputery zostały tak zaprogramowane, by obudzić nas, gdy pojawią się miejscowe cywilizacje. Współpracowaliśmy z cywilizacjami Żyźnego Półksiężycy... - uśmiechnął się zjadliwie, gdy Colin skojarzył jego imię z egipskim panteonem - aby przyspieszyć ich rozwój, lecz Anu także czuwał, i kiedy nagle się pojawił, trochę naszych zginęło. To on nadał kształt cywilizacjom Sumeru i Babilonu, to on poprowadził dynastię Hsia do zniszczenia neolitycznych ośrodków w Chinach. My daliśmy dynastii Shang zadanie odbudowy kraju, ale to tylko jedna bitwa, którą stoczyliśmy.

- Musieliśmy działać w tajemnicy, ukrywając się przed nim i wciąż mając nadzieję, że los się odmieni. Co gorsza, nas było zaledwie dwustu, zaś Anu miał za sobą tysiące. Nie mogliśmy zmieniać naszego personelu tak często jak on, poza tym starzeliśmy się znacznie szybciej niż on. Najgorsza była, komandorze, postawa zwolenników Anu. Wie pan, że nazwali was „degeneratami”?

Colin kiwnął głową, przypominając sobie słowa, jakie Girru wypowiedział w pokoju horroru, w jaki zmienił się gabinet jego przyjaciela.

- Ale mylą się, to oni są degeneratami. Szaleństwo Anu ogarnęło ich wszystkich. Jego ludzie są spaczeni, zatruci poczuciem własnej mocy. Być może zbyt długo odgrywali rolę bogów, gdyż zaczęli wierzyć, że naprawdę są bogami, a Ziemiaki to zabawki, którymi można do woli manipulować. Już pierwsze cztery tysiące lat było wystarczająco straszne, ale od tego czasu jest coraz gorzej. Kiedyś obawiali się rozwoju techniki, która mogłaby im zagrozić, teraz zaś chcą znaleźć taką, która pozwoli im uciec z więzienia, jakim stała się ta planeta... i nie obchodzi ich, jak

wiele cierpienia przy tym spowodują. Dla nich cierpienie to spektakl, walka gladiatorów, która ma ich zabawić i zapełnić mijające lata.

- Komandorze McIntyre, bądźmy ze sobą szczerzy. Niezależnie od tego, czy ludzie są obywatelami Imperium, czy urodzili się na tej planecie, są ludźmi, i jak dowodzi nasz przykład, są zarówno dobrzy, jak i źli. Ziemianie sami zadali sobie wiele bólu, lecz to Anu i jego podwładni spowodowali, że ten ból był jeszcze silniejszy. To oni obalali cywilizacje, prowokując najazdy barbarzyńców - od Hetytów po Hsia, Achajów, Hunów, Wikingów i Mongołów - ale jeszcze gorsze jest to, co robili później. Przyczynili się do wybuchu wojny stuletniej i trzydziestoletniej oraz rozwoju imperializmu Europy, zarówno dla zabawy, jak i w celu wsparcia mocarstw, które stworzyłyby podstawy rewolucji naukowej i przemysłowej. A kiedy postęp nie był ich zdaniem odpowiednio szybki, doprowadzili do wybuchu pierwszej, potem drugiej wojny światowej, wreszcie zimnej wojny.

- Staraliśmy się ograniczać skutki ich działań, lecz nasze poczynania przynosiły niewielkie rezultaty. Oni nigdy nie ośmielili się ujawnić z obawy, że „Dahak” nadal mógłby ich zaatakować - i być może także, dlatego, że przerażała ich liczba ludzi na tej planecie - lecz mimo to mogli działać bardziej otwarcie niż my.

- Ale my nigdy się nie poddaliśmy, komandorze McIntyre! - Mężczyzna mówił teraz ostro, z dziwnym ogniem, niemal fanatycznie. Colin szybko otrząsnął się z uroku tej opowieści, zastanawiając się, czy jego gospodarze sami nie są odrobinę szaleni.

- Nigdy się nie poddaliśmy - powtórzył znacznie ciszej Horus. - Dowiedzimy tego, jeśli tylko nam pan pozwoli.

- Jak? - Choć Colin bardzo się starał, trudno mu było podać w wątpliwość uczciwość Horusa, ale jego obowiązkiem było wątpić, być krytycznym wobec każdego i wszystko kwestionować. Jeśli popełni błąd - kolejny błąd, pomyślał gorzko - całe samotne oczekiwanie Dahaka pójdzie na marne, a Achuultani wszystko zagarną.

- Pomożemy wam pokonać Anu - powiedział Horus już zupełnie spokojnie - a potem poddamy się Imperium.

- Nie! - Jiltanith wciąż trzymała emiter pola ekranującego, lecz uniosła drugą rękę z palcami zakrzywionymi niczym szpony, a jej twarz wykrzywiła się w grymasie gniewu. - Po trzykroć „nie”! Tyżeś się oddał temu światu za darmo, ojczy! Ty i twoi druhowie!

- Cicho, Tanni - powiedział łagodnie Horus. Ujął córkę za ramiona - Colin nagle uświadomił sobie, że ta młoda kobieta jest starszą siostrą Isis Tudor - i potrząsnął nią delikatnie.

- To nasza decyzja. To nie jest nawet sprawa Rady, i ty o tym wiesz.

Twą Jiltanith nadal była ściągnięta gniewem. Horus westchnął i przycisnął ją do siebie, spoglądając na Colina ponad jej ramieniem.

- W zamian prosimy tylko o jedną rzecz, komandorze.:

- Tak? - spytał cicho Colin.

- Nietykalność - łaskę, jeśli wolisz - dla takich jak Tanni.

Dziewczyna w ramionach mężczyzny znieruchomiała. Usiłowała go odepchnąć, lecz z łatwością przytrzymał ją jedną ręką. Druga ręka uniosła się, by zasłonić jej usta i stłumić dalsze protesty.

- Wówczas to były dzieci, komandorze, i nie brały udziału w naszym buncie. Wiele z nich zginęło, próbując później wszystko cofnąć. Czy Imperium je za to ukarze?

Na dumnej twarzy pojawił się błagalny wyraz, w ciemnych wiekowych oczach malowała się rozpacz. Colin uznał tę prośbę za słuszną.

- Jeśli przekonacie mnie o czystości waszych intencji i rzeczywistej chęci pomocy - rzekł powoli - zrobię wszystko, co zdołam, ale nic więcej nie mogę wam obiecać.

- Wiem - powiedział Horus. - Czy jednak pan próbuje?

- Tak - odparł spokojnie Colin.

Stary człowiek patrzył na niego przez chwilę, po czym delikatnie odebrał Jiltanith emiter. Najpierw się opierała, w końcu oddała go z manifestacyjną niechęcią, a Horus lekko ją uściśnął. W jego oczach widać było smutek, lecz kiedy popatrzył na pudełko, na ustach pojawił się lekki uśmiešek.

- W takim razie - powiedział - będziemy musieli pana przekonać. Proszę tylko nie nadawać do „Dahaka”, dopóki nie skończymy rozmawiać.

I wyłączył emiter.

Przez chwilę Colin siedział bez ruchu. Inni obecni na mostku obywatele Imperium nagle zaczęli lśnić od własnych implantów, odrodziły się też komputerowe łącza. Komputery „Nergala” były znacznie jaśniejsze niż te na kutrze, który przywiózł go na Ziemię, i natychmiast rozpoznały oficera mostka. Po prawie pięćdziesięciu tysiącletniach wreszcie miały, do kogo się zwracać. Colin poczuł w mózgu strumień przekazywanych mu informacji i prośby o rozkazy.

Jego wzrok napotkał spojrzenie Horusa i pojął, na jakie ryzyko narażał się ten stary człowiek; w elektronicznym mózgu okrętu nie było żadnych nowych kodów bezpieczeństwa i od chwili, gdy implanty Colina włączyły się, komputery należały już do niego. Teraz to on, a nie Horus, sprawował kontrolę nad wiekowym okrętem, jego uzbrojeniem i wewnętrznymi systemami bezpieczeństwa.

- Domyślam się, że jako szef Rady Dowódczej jest pan również kapitanem okrętu? - spytał spokojnie, a mężczyzna kiwnął głową.

- Proszę zatem usiąść, kapitanie, i opowiedzieć mi, w jaki sposób zamierzacie pokonać Anu.

Horus jeszcze raz kiwnął głową i usiadł obok Isis. Colin nie odrywał wzroku od twarzy

swego nowego sojusznika, lecz czuł, jak otaczających go członków Rady opuszcza napięcie.

Rozdział jedenasty

Colin odchylił się do tyłu i oparł nogi na blacie biurka. Kwatera, którą przydzielili mu buntownicy (o ile to słowo nadal było odpowiednie), była kolejną próbą przekonania go o prawdziwości ich słów; była to kajuta kapitańska, pełna neutralnych łączy do starych komputerów okrętu. Nie mógłby powstrzymać ich przed ponownym przejęciem „Nergala”, lecz, podobnie jak zmarły tysiące lat temu kapitan Druaga, mógłby się postarać, by dostali tylko bezużyteczny wrak.

Westchnął i pogładził się po grzbiecie nosa; bardzo żałował, że nie może skontaktować się z „Dahakiem”. Nie miał odwagi. Wiedział już, gdzie się znajduje - pięć kilometrów pod kanadyjskimi Górąmi Skalistymi, niedaleko Churchill Peak - i że niedawne starcie sprawiło, iż żądny zemsty Anu znów rzucił się na poszukiwanie „Nergala”. Gdyby ci z południa wychwycili przekaz Colina, ich pociski dotarłyby do celu, nim „Dahak” zdołałby je powstrzymać, i ten sam problem dotyczył wszelkich prób dotarcia na pokład okrętu. Miał szczęście, że nie dostrzeżono go podczas drogi na planetę, i to mimo systemów maskujących jego kuter; teraz, kiedy zadawniony konflikt między buntownikami wybuchnął z nową siłą, żaden wytwór imperialnej techniki nie mógł niepostrzeżenie opuścić atmosfery.

Ta sytuacja doprowadzała go do szału. Uzyskał wsparcie osób, które były równie jak on zdecydowane pokonać Anu, lecz ich siły były żałosne, nie można też było powiadomić „Dahaka”, że taka grupa sprzymierzeńców w ogóle istnieje! Co gorsza, strzał z karabinu energetycznego Anshara zamienił emiter pola w kupę złomu, a warsztaty „Nergala” ledwie nadążały z bieżącymi naprawami i nie mogły się tym zająć.

Colin był pod dużym wrażeniem tego, co ci z północy osiągnęli w ciągu wieków, lecz to, co znalazł w pamięci okrętu, było niewiele warte; potwierdzało jedynie słowa Horusa o tym, co się wydarzyło od chwili, gdy wraz z pozostałymi znalazł się na pokładzie „Nergala”.

Pamięć starego okrętu od dawna wymagała oczyszczenia, gdyż konstruktorzy „Nergala” zaprojektowali go tak, by dokładne raporty bojowe pasożytów wracały na okręt-matkę. Nikt nie mógł ich zmienić, dopóki centralny komputer nie przekazał ich kopii do bazy danych „Dahaka”.

Przez ponad pięćdziesiąt tysięcy lat ten wierny elektroniczny idiota starannie zapisywał wszystko, co się wydarzyło, a ponieważ pamięć molekularna potrafi przechowywać ogromną ilość danych, odnalezienie w nich czegokolwiek trwało niewiarygodnie długo.

Kiedy wreszcie Colin odszukał najważniejsze zapisy, trudno mu było zachować spokój. Jak się okazało, Horus bagatelizował skutki wojny, którą prowadził on i jego towarzysze. Bezpośrednie starcia nie zdarzały się często, lecz na początku na północy było dwustu trzech dorosłych, a przeżyło - z powodu walk i upływu czasu - mniej niż siedemdziesięciu.

W czasie, gdy pilot przeprowadzał przez swoje łącza rozmowy z Horusem i komputerami, reszta członków Rady zajmowała się swoimi obowiązkami. Rozmowie przysłuchiwały się tylko córki Horusa.

Isis od czasu do czasu wtrącała pojedyncze słowa, usiłując nadażyć za tokiem rozmowy, Jiltanith zaś była tylko milczącą, ponurą obecnością. Nigdy niczego nie zaproponowała ani o nic nie zapytała, a jej zimna nienawiść przerażała Colina.

Nigdy nie sądził, że silne emocje mogą tak bardzo zabarwić łącze, być może, dlatego, że wcześniej porozumiewał się przez nie tylko z „Dahakiem” i nigdy nie spotykał się z drugim człowiekiem za pomocą elektronicznego pośrednika. Dziwił się, czemu Horus nie poprosił córki, by się wyłączyła, lecz z drugiej strony miał mnóstwo pytań o Jiltanith i jej miejsce w tej małej, dziwnej społeczności.

Fakt, że Horus mógł z nim rozmawiać za pośrednictwem komputera, był szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Niektóre komendy wydawane głosem były niezbędne, by umieścić pewne informacje w określonym kontekście, lecz stary buntownik cierpliwie prowadził go przez banki danych, cofał się pamięcią coraz dalej w przeszłość, odtwarzał pierwsze popołudnie na Ziemi, jakby to było dzisiaj...

* * *

- Dobra - westchnął Colin, pocierając skronie. - Nie wiem, jak wy, ale ja potrzebuję przerwy, nim mózg mi się usmaży.

Horus pokiwał ze zrozumieniem głową. Jiltanith tylko parsknęła i Colin musiał oprzeć się pokusie, by na nią warknąć.

- Muszę przyznać, że ten Anu to gorszy drań niż sądziłem - ciągnął; zmiana tematu sprawiła, że jego głos stał się bardziej twardy. - Zastanawiałem się, jak on może cały czas dyrygować takim stadem wiernych popleczników, ale nigdy nie spodziewałem się czegoś takiego.

- Wiem. - Horus oglądał swoje mocne, pokryte plamami dłonie - On, w przeciwieństwie do nas, dysponuje odpowiednim zapleczem medycznym.

- Ale żeby korzystać z niego w tak straszny sposób... - Dreszcz, który przeszedł Colina, nie był wcale udawany, gdyż „straszne” nie było odpowiednim słowem na określenie tego, co zrobił Anu. Dahak nie wspominał mu, że takie rzeczy są możliwe, lecz Colin przypuszczał, że powinien był o tym wiedzieć.

Problem z Anu był złożony. Po pierwsze, jak on i jego wspólnicy - góra osiemset osób -

mogli kontrolować pięć tysięcy ludzi, którzy prawdopodobnie byli tak samo przerażenia jak Horus, gdy poznali prawdę o swoim przywódcy? Po drugie, jak nawet w pełni wyekwipowani mieszkańcy Imperium mogli kierować rozwojem całej planety i nie umierać ze starości, zanim zdołają stworzyć technologię pozwalającą im na ucieczkę?

Medycyna Imperium znalazła wręcz psychopatyczne rozwiązanie obu tych problemów. Niewygodne jednostki po prostu nigdy nie zostały obudzone, a Anu i jego przybocznicy nie spali już od długiego czasu. Horus obliczył, że Anu jest teraz w swoim dziesiątym zastępczym ciele.

Imperialni naukowcy opanowali technikę klonowania w celu pozyskiwania organów do przeszczepów, zanim jeszcze opracowano metody regeneracji, lecz było to tak dawno temu, że klonowanie stało się sztuką niemal zapomnianą. Tylko najlepiej wyposażone centra medyczne wciąż mogły prowadzić starannie kontrolowane i licencjonowane programy eksperymentalne, a wszystkim zaangażowanym w wykorzystanie klonów do przeszczepów groziła śmierć. Choć według kodeksu etyki nauk biologicznych Imperium było to haniebne, starzejący się Anu wybierał jednego spośród pozostających w śpiączce buntowników i kazał usunąć jego mózg, a następnie zastąpić go jego własnym mózgiem. Dopóki więc nie zabraknie mu ciała, właściwie będzie nieśmiertelny.

Ponieważ imperialnych ciał wystarczało tylko dla Anu i In-anny oraz najbardziej zaufanych współpracowników, inni, tacy jak Anshar, byli zmuszeni korzystać z ciał Ziemian. Wprawdzie ryzyko odrzucenia tkanek było większe, lecz miało to też swoje zalety. Można było wybierać do woli, a medyczna technologia Inanny, choć w porównaniu z „Dahakiem” ograniczona, pozwalała dokonywać w ziemskich ciałach pewnych podstawowych ulepszeń.

* * *

Colin powrócił do teraźniejszości. Przerazała go niemal tak samo, jak zbliżanie się Achuultan przerażało Horsa. Gdy dowiedział się, że wróg, w którego istnienie nie do końca wierzył, jednak nadciąga, w oczach starego mężczyzny pojawiła się desperacja.

Jak sugerował Horus, zwolennicy Anu posłusznie zapadali w śpiączkę, gdyż nie mogli się oprzeć sile jego perswazji, jednak na Ziemi żyło zbyt wielu ludzi, aby można ich było wszystkich kontrolować. Colin wątpił, by Ziemianie spokojnie przyjęli wiadomość, że krążą wśród nich wyposażone w najnowszą technikę wampiry.

Doskonale zdawał sobie sprawę ze swoich niewielkich możliwości działania. „Nergal” był okrętem bojowym. Trzydzieści procent jego masy stanowiły urządzenia zasilające i napędowe,

dziesięć - systemy kontroli i dowodzenia, kolejnych dziesięć - systemy zabezpieczenia, a czterdzieści - opancerzenie, broń i przestrzeń magazynowa. Pozostawało tylko dziesięć procent dla liczącej trzysta osób załogi i ich systemów podtrzymywania życia, co oznaczało, że nawet przestrzeń mieszkalna była bardzo niewielka.

W normalnych warunkach miało to niewielkie znaczenie, gdyż okręt był przeznaczony do krótkich, najwyżej kilkumiesięcznych misji. Nie miał nawet odpowiednich urządzeń pozwalających przetrwać w śpiączce - załoga musiała sama zbudować jedno i było to naprawdę duże osiągnięcie - a izba chorych również miała ograniczone możliwości. Anu i jego rzeźnicy mogli wybierać ciała Ziemiaków i przetwarzać je na własny użytek, rozbitkowie z północy nie mogli nawet zaoferować swoim urodzonym na Ziemi potomkom implantów.

Mimo to nie mieli wyboru; musieli wychowywać swoich następców, gdyż bez nich już dawno przestaliby istnieć.

Była to trudna decyzja, choć Horus usiłował ukryć przed Colinem swój ból. Mężczyzna żył ponad pięć wieków, zaś jego córka Isis mniej niż jedno stulecie, a mimo to ona była stara i krucha, podczas gdy on wciąż pozostawał silny. Colin mógłby sprawdzić w zapisach, ile dzieci Horus pokochał tak, jak kochał Isis, i musiał patrzeć na ich śmierć, ale tego nie zrobił. Nie chciał ingerować w ten trudny do wyobrażenia smutek Horusa.

Być może w przypadku takich osób jak Jiltanith, których ciała nie były ani ziemskie, ani imperialne, sprawa wyglądała jeszcze gorzej. Jiltanith otrzymała dopalacze neuralne oraz implanty sensoryczne do łączenia się z komputerem i przyspieszające regenerację, lecz jej mięśnie, kości i organy były za młode, aby można je było wzmocnić jeszcze przed wybuchem buntu. W pewnym stopniu mogło to tłumaczyć jej gorzką niechęć. On, urodzony na Ziemi człowiek, który dorastał w błogiej nieświadomości prowadzonej na planecie walki, otrzymał pełen zestaw implantów, a ona nie. I jeśli ludzie, których kocha, nie podporządkują się imperialnemu wymiarowi sprawiedliwości, nigdy ich nie dostanie.

Colin czuł, że za jej nienawiścią stoi nie tylko to, że musi jeszcze wiele odkryć, lecz już to, co wiedział, pomagało mu znieść jej zgorzknienie.

Niestety, niewiele mógł na to poradzić, nie wiedział też, jak sprawa zostanie rozwiązana od strony prawnej - założywszy, rzecz jasna, że odniosą zwycięstwo. Jakoś nigdy nie zastanawiał się, czy wśród buntowników są dzieci, a Dahak nigdy o nich nie wspominał.

To był zły znak, ale nie zamierzał dzielić się tym spostrzeżeniem ze swoimi sojusznikami. Dla Dahaka buntownikiem był każdy, kto towarzyszył Anu w jego locie na Ziemię - to założenie przebijało z każdego słowa komputera - i nie było żadnej różnicy między dzieckiem a dorosłym, lecz Colin zamierzał spełnić swoją obietnicę. Jeśli przybysze z północy pomogą mu w walce z Anu, on pomoże ich dzieciom... i choć tego nie obiecywał, im też, jeśli tylko będzie miał okazję.

Odchylił się jeszcze bardziej w fotelu, zakładając nogę na nogę. Gdyby tylko ustały wściekłe poszukiwania ze strony Anu, mógłby wrócić na „Dahaka”, aby przekazać nowe informacje i zaplanować wszystko na nowo. A trzeba się spieszyć, gdyż Achuultani są coraz bliżej.

Przybysze z północy bez wątpienia mieli przewagę liczebną nad zaufanymi mieszkańcami południa, których Anu mógł obudzić ze śpiączki, lecz zaledwie sześćdziesięciu siedmiu z nich było obywatelami Imperium i w większości byli starzy. Osiemnaście osób było w takiej samej sytuacji jak Jilta-nith: mogli obsługiwać imperialny sprzęt, lecz nie mieli żadnych szans w walce jeden na jednego. Ponad trzy tysiące urodzonych na Ziemi członków załogi „Nergala” z ich żalonymi touchpadami i telefonami nie miało żadnych szans pokonania przeciwnika, który mógł łączyć swój umysł bezpośrednio z bronią. Nie mogli nawet nosić pancerzy bojowych, gdyż brakowało im implantów niezbędnych do aktywowania wewnętrznych obwodów.

Ponadto dysponowali zaledwie jednym okrętem bojowym przeciwko siedmiu okrętom, nie mówiąc już o ciężkich krążownikach, broni naziemnej i potężnej tarczy Anu.

Ale Imperialni z północy mieli za to system zwiadowczy, który działał przez tysiąclecia, wspierany w akcjach partyzanckich przez rozległą sieć ludzi urodzonych na Ziemi, takich jak Sandy. Udało im się nawet potajemnie nawiązać kontakt z dwoma „lojalnymi” towarzyszami Anu. Pokładanie bezkrytycznie wiary w ich raporty byłoby głupotą, dlatego w kontaktach z nimi zachowywano daleko idącą ostrożność, by uniknąć wszelkich pułapek. Tłumaczyło to jednak, skąd załoga „Nergala” tak wiele wiedziała o enklawie na południu.

Otworzył oczy i wstał. Jego myśli gnały coraz szybciej, wydawało mu się, że lada chwila jego mózg zapadnie się do środka. Musi porozmawiać z Horusem, może pojawi się jakieś natchnienie.

Jeden Bóg wie, jak bardzo tego potrzebują.

Ale przywódcy rozbitków nie było na pokładzie. Colin bardzo niepokoił się za każdym razem, gdy Horus - czy ktokolwiek z obywateli Imperium - wychodził poza obszar działania systemów bezpieczeństwa „Nergala”, lecz oni zdawali się tym w ogóle nie przejmować. Żyli tutaj wystarczająco długo, by przyzwyczaić się do takiego ryzyka.

Zresztą nie można go było uniknąć, jeśli chcieli zebrać na okręcie wszystkich swoich zwolenników. Wielu z tych, którzy urodzili się na Ziemi, ukryło się po śmierci rodziny Cala, lecz pozostali dalej wiedli zwykle życie z odwagą, która Colina zadziwiła. Imperialni musieli od czasu do czasu opuszczać „Nergala”, gdyż tylko oni potrafili obsługiwać zamaskowane statki pomocnicze. Używanie ich było niebezpieczne, nawet przy samej powierzchni Ziemi, lecz bez nich mieli zbyt mało zabezpieczonych łączy, aby połączyć swoją sieć komunikacyjną. Colin był niezadowolony, że Horus sam się naraża, nie pozwalając innym ryzykować, lecz zaczynał coraz lepiej rozumieć motywację starego człowieka.

Dlatego stłumił jęk, gdy wszedł na mostek i zastał na nim nie Horusa, lecz jego córki.

Na jego widok Jitanith natychmiast wstała, demonstrując wrogość, jaką wywoływała sama jego obecność, lecz Isis zdołała się uśmiechnąć. Colin zerknął na piękną twarz Jiltanith, zastanawiając się nad dyskretnym wycofaniem, lecz uznał, że na dłuższą metę byłoby to nierozsądne, usiadł więc w fotelu kapitana i spojrzał w jej płonące nienawiścią oczy.

- Dobry wieczór paniom. Szukałem waszego ojca.

- Nie znajdziesz go tutaj - odparła krótko Jiltanith i spojrzała na niego ostro.

Pomyślał, że gdyby była kotem, którego przypominała, uderzałaby teraz ogonem o ziemię i wysuwała pazury.

- Tanni - skarciła ją cicho Isis.

Jiltanith pokręciła tylko głową i wyszła. Siostra odprowadziła ją wzrokiem i westchnęła.

- Ach, ta dziewczyna! - rzekła i lekko się uśmiechnęła.

- Obawiam się, że źle to znosi, komandorze.

- Wolałbym - uśmiechnął się nieco smutno - żebyś mówiła do mnie „Colin”.

- Dobrze, Colin.

- Ja... nie miałem okazji powiedzieć ci, jak bardzo jest mi przykro. - Kobieta uniosła dłoń, ale on tylko pokręcił głową. - Nie. To bardzo miłe z twojej strony, lecz muszę to powiedzieć.

Jej dłoń opadła na podolek i skryła się pod drugą. Kobieta spuściła wzrok.

- Cal był moim przyjacielem - powiedział cicho - a ja wpadłem do środka, machając całą tą imperialną technologią niczym nową zabawką, i spowodowałem, że cała jego rodzina zginęła. Wiem, że nie mogłem tego przewidzieć, lecz to niczego nie zmienia. On nie żyje, a ja jestem za to odpowiedzialny.

:- Ale on i Frances wiedzieli, jak wiele ryzykują – odparła spokojnie Isis. - Może brzmi to nieco bezdusznie, ale to prawda. Wychowywałam go po śmierci jego rodziców i kochałam, tak samo jak jego żonę i prawnuczki, lecz zawsze wiedzieliśmy, że tak się może stać. Tak samo jak Andy wiedział o tym, kiedy się ze mną żenił. - Na jej pokrytej zmarszczkami twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech.

Colin przełknął ślinę.

- Jest coś, czego nie rozumiem - powiedział w końcu. - Jak twój ojciec mógł stworzyć to, co stworzył jako Horace Hidachi, i mimo to zdecydować się na posiadanie dzieci? Dlaczego w ogóle to zrobił?

- Zdecydował się na dzieci czy pracował? - zachichotała Isis, a Colin poczuł, że część ich wspólnego smutku znika.

- I to, i to - odparł.

- To było duże ryzyko, lecz fakt, że „Hidachi” był Azjata, pomagał mu się ukrywać - choć

ostatnio sprawy nieco skomplikowało pojawienie się Sojuszu Azjatyckiego - a poza tym starannie wybierał miejsce i czas. Uniwersytet Clemson to dobra szkoła, mieści się w pierwszej czwórce szkół politechnicznych w kraju, lecz jest względnie młoda. W owym czasie nie znajdowała się jeszcze w ścisłej czołówce, a do tego publikował swoje wyniki w najmniej znanym piśmie, jakie tylko mógł znaleźć. Pewnie wiesz, że w swojej pracy celowo zamieścił kilka błędów, a poza tym nigdy nie wyszedł poza czystą teorię, co miało przekonać ludzi Anu, którzy to przeczytają, że jest Ziemianinem, który nawet nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia własnego odkrycia.

- A jeśli chodzi o mnie - uśmiechnęła się już znacznie bardziej naturalnie - to był przypadek. Mama była jego ósmą żoną - matka Tanni zginęła podczas buntu - i szczerze mówiąc, uważała, że jest już za stara, by rodzić dzieci, dlatego była nieco nieostrożna. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, przerażili się obydwójce, lecz nigdy nie zastanawiali się nad aborcją, za co mogę im być tylko bardzo wdzięczna. - Uśmiechnęła się, ukazując zęby, a jej oczy po raz pierwszy zabłysły.

- Lecz pojawił się też pewien problem. Obowiązywała zasada, że żaden z naszych Imperialnych nie mógł otwarcie kontaktować się z ziemską społecznością, tak, więc moi rodzice przekroczyli wszelkie dopuszczalne granice. Mimo to postanowili poczekać do moich narodzin, mając nadzieję na pomyślną przyszłość. Pomógł im fakt, że mama była urodzoną na Ziemi drobną blondynką. Ona i ja w ogóle nie wyglądałyśmy na Imperialnych.

Colin pokiwał głową. Nikt przy zdrowych zmysłach nie narażałby swojej rodziny na śmiertelne niebezpieczeństwo, dlatego jej istnienie sugerowało, że „Horace Hidachi” w ogóle nie jest Imperialnym. Szkoda, iż nie miał okazji spotkać tej niezwykle drobnej kobiety, która była matką Isis.

- Mimo to - ciągnęła ze smutkiem Isis - wiedzieliśmy, że będą mieli oko na rodzinę Hidachiego. Dlatego ja poszłam na medycynę, a Michael został maklerem. Oboje trzymaliśmy się z dala od fizyki, lecz Cal, który był bardzo podobny do swojego dziadka, zdecydował się odegrać znaczącą rolę.

- Jednak nadal nie rozumiem, dlaczego warto było tak wiele ryzykować, by przekazać teorię buntów... - Colin urwał i zarumienił się, a Isis roześmiała się dźwięcznie.

- Przepraszam - powiedział po chwili. - Chodziło mi o to, dlaczego warto było tak wiele ryzykować, aby przekazać teorię, którą grupa Anu już znała?

- Dlaczego?! - Isis wzniosła oczy do góry. - Siedzisz tu właśnie, dlatego, że ta teoria została udostępniona programowi podboju kosmosu. Skoro ci z południa nie podchwycili jej, sami musieliśmy ją prędzej czy później popchnąć, gdyż chcieliśmy, abyście wynaleźli odpowiednie urządzenia pomiarowe. Oczywiście tata i mama byli pewni, że „grupa Anu”, jak to ująłeś, ruszy za nimi w pogoń, kiedy tylko się zorientują, że „grawitoniczna teoria Hidachiego” to podstawa napędu podświetlnego i napędu Enchanach. Jednym z powodów, dla których chcieliśmy, by uwierzyli, że

wszystko to przygotował jakiś „degenerat”, było skłonienie ich, żeby stworzyli prototyp, a nie przeciwstawiali się jego powstaniu. Naszym celem było dokładnie to, co zrobiliśmy: sprowokować „Dahaka” do działania.

- Sprowokować „Dahaka”? - Colin podrapał się po nosie. - Czy to nie było nieco... hmmm... ryzykowne?

- Oczywiście, że tak, lecz nasi Imperialni starzeją się, Colin. Kiedy umrą, nasze położenie będzie jeszcze bardziej beznadziejne. Rada nie wiedziała, że „Dahak” jest w pełni sprawny, lecz umieściliśmy wielu naszych, takich jak Sandy i Cal, w programie lotów kosmicznych. Poza tym, jeśli ludzie dowiedzą się, co jest tam, na górze, i czy działa, czy nie, pozycja Anu będzie znacznie słabsza.

- Dlaczego?

- Nigdy nie zastanawialiśmy się, co właściwie „Dahak” robił, lecz coś musiało się stać. Anu mógł próbować przejąć okręt, lecz byliśmy gotowi do walki z nim - w tajemnicy, choć dość skutecznie – chyba, że by się ujawnił. A gdyby tak się stało, czy nie sądzisz, że potrzebowaliby czegoś więcej niż tylko kręgu swoich najbliższych doradców, aby opanować chaos, który by wtedy nastąpił?

- Aha, sądziliście, że gdyby zaryzykował obudzenie pozostałych i ci zorientowali się, co się dzieje, dostaliby od nich cios w plecy?

- Otóż to. Och, podejmowaliśmy wielkie ryzyko, lecz jak mówiłam, byliśmy mocno zdesperowani. Poza tym zawsze mieliśmy swoich ludzi w programie lotów. Wydawało się możliwe - a nawet bardzo prawdopodobne - że jeśli okręt jest choćby częściowo sprawny, jeden z naszych urodzonych na Ziemi mógłby dostać się do środka. Szczerze mówiąc - spojrzała mu prosto w oczy - mieliśmy nadzieję, że zamiast ciebie poleci Wład Czernikow.

- Wład? Nie mów, że to jeden z waszych!

- Nie powiem, jeśli tego nie chcesz - odparła, a on się roześmiał.

Było to po raz pierwszy od czasu śmierci Seana, i sam był zdziwiony, jak bardzo mu to pomogło.

- No niech mnie - powiedział wreszcie, unosząc brew. - Ale czy to nie było zbyt ryzykowne umieszczać tylu swoich ludzi w okolicach, które ludzie Anu najbardziej starannie badali?

- Colin, wszystko, co robiliśmy, było ryzykowne, czasem nawet bardzo, lecz kontrola Anu jest dość chaotyczna. Obie strony wiedzą, co zamierza druga strona - mamy nadzieję, że my wiemy więcej o nim niż on o nas - lecz on nie może sobie pozwolić na zabijanie każdego, kto mu się wyda podejrzany.

Przerwała, a kiedy zaczęła dalej mówić, jej głos brzmiał bardziej ponuro.

- Mimo to zabił już wiele osób. Jego ulubioną metodą są rozmaite „wypadki”. Czy

pamiętasz ten wahadłowiec, którego zestrzeliła Czarna Mekka? - Colin skinął głową, a kobieta wzruszyła ramionami. - To był Anu. Bawi go wykorzystywanie „zdegenerowanych” terrorystów do wykonywania brudnej roboty, a ich fanatyzm sprawia, że łatwo nimi manipulować. Na pokładzie wahadłowca był major Lemoine, jeden z naszych ludzi. Nie wiemy, skąd Anu dowiedział się o nim, lecz to, dlatego celem ataków terrorystycznych stały się ostatnio loty kosmiczne. Oficjalnie to Czarna Mekka wzięła na siebie winę za to, co się stało z Calem i dziewczynami.

- O Boże. - Colin pokręcił głową i pochylił się naprzód, opierając łokcie na konsoli, a brodę na dłoniach. - Przez cały ten czas nikt niczego nie podejrzewał. Aż trudno w to uwierzyć.

- Kilka razy sądziliśmy, że już po wszystkim - odparła Isis. - Raz nawet myśleliśmy, że już znaleźli „Nergala”, dlatego Jiltanith została wybudzona z uśpienia.

- Aha! Na wszelki wypadek obudziliście dzieci?

- Tak. To było sześćset lat temu i były to najgorsze chwile, jakie przeżyliśmy. Wtedy właśnie Rada zwerbowała kilku urodzonych na Ziemi... i możesz się domyślić, jakie mieli kłopoty z przystosowaniem się do tego wszystkiego! Niektórzy z nich zabrali dzieci i rozwieźli je po całej planecie. To tłumaczy angielski Tanni; nauczyła się go podczas wojny dwóch róz.

- Rozumiem. - Colin wciągnął powietrze. Myśl, że ta śliczna dziewczyna dorastała w piętnastowiecznej Anglii, była bardziej krzepiąca niż to wszystko, co się do tej pory wydarzyło.

- Isis, ile lat ma Jiltanith? Chodzi mi o lata, które przeżyła po przebudzeniu.

- Jest nieco starsza ode mnie. - Jego twarz musiała zdradzać zaskoczenie, gdyż kobieta uśmiechnęła się łagodnie. - My, urodzeni na Ziemi, nauczyliśmy się z tym żyć, Colin. Właściwie nie wiem, komu jest z tym trudniej, nam czy naszym Imperialnym. Tanni zasnęła, kiedy miała dwadzieścia lat, i obudziła się, gdy ojciec nadal był Hidachim.

- Niezbyt mnie lubi, prawda? - spytał ponuro.

- Jest bardzo nieszczęśliwą dziewczyną - powiedziała Isis i roześmiała się cicho. - Dziewczyną! Jest starsza ode mnie, a ja ciągle myślę o niej w ten sposób. Ale jeśli chodzi o obywateli Imperium, nadal jest tylko dziewczyną. Jest najmłodsza z nich wszystkich i zawsze było to dla niej trudne. Klóciła się z ojcem, kiedy chciał ją znów uśpić, gdyż wreszcie chciała coś zrobić. Czuje się oszukana, a ja naprawdę nie mogę mieć do niej o to pretensji. Kocha tatę, lecz przecież to przez jego działania podczas buntu utknęła tutaj; pamiętaj też, że jej matka została zabita w walce. - Pokiwała smutno głową.

- Biedna Tanni nigdy nie miała normalnego życia. Najlepsze były te lata, które spędziła w Anglii, lecz nawet wtedy jej przybrani rodzice musieli ją praktycznie trzymać w areszcie domowym, bo nie wyglądała na Europejkę. Jak sądzę, to dlatego nie chce mówić współczesnym angielskim.

- Ale masz rację, ona rzeczywiście ciebie nie lubi. Obawiam się, że oskarża cię o to, co stało

się z rodziną Cala, zwłaszcza z dziewczynkami. Była z nimi bardzo zżyta, zwłaszcza z Harriet. - Kąćki ust Isis zdrzęły, lecz kilkoma mrugnięciami odpędziła łzy i mówiła dalej:

- Oczywiście rozumie, że nie mogłeś wiedzieć, co się stanie. Wie nawet, że zabiłeś tych, którzy ich zamordowali, ale i tak czyni cię za to wszystko odpowiedzialnym, a poza tym bardzo szybko zająłeś miejsce jej ojca i ona obawia się, że jesteś dla niego zagrożeniem. Nawet, jeśli nam się uda, ojciec zostanie oskarżony, gdyż niezależnie od tego, co do tej pory zrobił, był buntownikiem. Dlatego, szczerze mówiąc, Jiltanith cię nie lubi.

- Dlatego, że wmieszałem się w waszą operację? - spytał łagodnie. - A może jest jeszcze jakiś inny powód?

- Oczywiście, że jest, i widzę, że wiesz, o co chodzi. Ale czy można mieć do niej o to pretensje? Czy możesz spojrzeć na to z jej strony? Jesteś teraz dowódcą „Dahaka”, okrętu, który dla nas, urodzonych na Ziemi, jest przedmiotem ze snów, niebem i piekłem zarazem. To po jego pokładzie Tanni niegdyś chodziła... i straciła to przez coś, czego ona nie zrobiła. Przez całe swoje dorosłe życie naprawiała zło, które inni wyrządzili, a teraz pojawiaasz się ty, i tylko, dlatego, że byłeś pierwszym Ziemianinem na pokładzie „Dahaka”, stałeś się nie tylko członkiem załogi, ale i jego dowódcą. Dlaczego masz to, czego ona nie może mieć? Dlaczego dysponujesz kompletnym zestawem implantów, i to oficera mostka, a ona ma zaledwie jakieś drobiazgi?

Isis umilkła, przyglądając się jego twarzy, jakby czegoś w niej szukała, po czym leciutko skinęła głową.

-I co najgorsze, Colin, ona jest wojownikiem. Nie miałyby szans w walce z obywatelem Imperium, lecz jest wojownikiem. Spędziła całe życie w cieniu ojca, chroniona przez niego i pozostałych, gdyż jest słabsza niż oni, niezdolna do walki z przeciwnikiem twarzą w twarz. Z pewnością rozumiesz, jak bardzo to boli?

- Tak - powiedział cicho Colin. - Tak - powtórzył bardziej zdecydowanie - i zapamiętam to, lecz teraz wszyscy musimy walczyć z Anu i nie mogę pozwolić, by Jultanith walczyła przeciwko mnie.

- Nie sądzę, by to zrobiła. - Isis zmarszczyła czoło. - Nie sądzę, lecz ona nie działa całkiem... rozsądnie, przynajmniej w tej chwili.

- Wiem, lecz jeśli będzie walczyć przeciwko mnie, może wszystko zniszczyć. Zbyt wiele zależy nie tylko od pokonania Anu, ale i od powstrzymania Achultan. Jeśli Jiltanith nie zechce ze mną współpracować, na pewno nie pozwolę jej działać przeciwko mnie.

- Co... co zrobisz? - spytała cicho Isis.

- Nie skrzywdzę jej, nie bój się. Zbyt wiele przeszła, tak samo jak wy wszyscy. Lecz jeśli zagrozi temu, co teraz robimy, nie będę miał innego wyjścia, jak tylko ponownie ją uśpić.

- Proszę, nie! - Isis ścisnęła go mocno za ramię. - Colin, to... to byłoby dla niej gorsze niż

śmierć!

- Wiem - powiedział spokojnie. - Wiem, jak ja bym się z tym czuł, i nie chcę tego. Bóg mi świadkiem, że nie chcę, lecz jeśli będzie ze mną walczyć, nie będę miał innego wyboru. Postaraj się, by to zrozumiała, Isis. Może od ciebie przyjmie to lepiej niż ode mnie.

Stara kobieta przez chwilę spoglądała na niego przez łzy, a potem powoli pokiwała głową i poklepała go po ramieniu.

- Rozumiem, Colin - szepnęła. - Porozmawiam z nią.

- Dziękuję, Isis - powiedział równie cicho.

Popatrzył chwilę dłużej w jej oczy, po czym delikatnie uścisnął dłoń spoczywającą na jego ramieniu i wstał. Pod wpływem jakiegoś dziwnego impulsu nachylił się i pocałował ją w pomarszczony policzek.

- Dziękuję - powtórzył i wyszedł z pomieszczenia dowodzenia.

Rozdział dwunasty

- Colin?

Pilot poczuł ulgę na widok Horusa wsuwającego głowę do jego kajuty. Ostatnim razem, gdy Colin sprawdzał sterownię „Nergala”, stary człowiek był spóźniony o dwie godziny.

- Wróciłeś w samą porę - powiedział, a Horus skinął głową i uściśnął mu rękę. Uśmiechał się przy tym dziwnie, ni to przepraszająco, ni to z triumfem.

- Wybacz - rzekł. - Zagadałem się z jednym z naszych ludzi. Miał tak ciekawy pomysł, że przyprowadziłem go ze sobą.

Stary mężczyzna wskazał na stojącego za nim wysokiego człowieka. Colin obrzucił przybysza uważnym spojrzeniem; dostrzegł wysportowane ciało i siwiznę na skroniach. Jego nos był niemal tak samo wydatny, jak nos Colina, ale na jego twarzy prezentował się znacznie lepiej. Mężczyzna miał na sobie mundur mari-nes z dystynkcjami pułkownika, zaś na naszywce na prawym ramieniu widniały dwa skrzyżowane sztylety i spadochron - symbol USFC, Zjednoczonego Dowództwa Sił Specjalnych.

Brew Colina uniosła się do góry, lecz gestem zaprosił gości, by usiedli. Członkowie tej jednostki byli elitą elit, rekrutowali się ze wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Przygotowywano ich do prowadzenia „selektywnych działań wojennych” – czyli konfliktów o niskiej intensywności” z zeszłego stulecia - działań antyterrorystycznych. Etykiety niewiele dla Colina znaczyły. Powstaniec, terrorysta, partyzant czy patriota... Jeśli o niego chodziło, każdy, kto wybierał przemoc wobec bezbronnych jako metodę protestu, zasługiwał tylko na jedno określenie: barbarzyńca. AUSFC było odpowiedzią Stanów Zjednoczonych na działania takich barbarzyńców.

Podobnie jak ich odpowiednicy w Europie, Australii, Japonii oraz Rosji, członkowie USFC byli równie biegli w infiltracji, zbieraniu informacji i tajnych działaniach wojskowych, jak w posługiwaniu się bardziej klasycznym orężem. Byli częścią wspólnoty pracowników wywiadu; w takim samym stopniu można by ich nazwać żołnierzami, jak i policjantami i szpiegami, a niektórzy dodaliby do tego również „zabójcami”. Członkami tej elitarnej jednostki zostawali dopiero wtedy, gdy sprawdzili się w swoich macierzystych jednostkach.

- Colin, to Hector MacMahan. Poza służbą w USFC jest także szefem naszej siatki wywiadowczej.

- Pułkownik - powiedział uprzejmie Colin, wyciągając rękę i spoglądając na cztery baretki pod skrzydlatą odznaką spadochroniarza i pilota oraz skrzyżowany sztylet i karabin - odznakę specjalisty w walce wręcz. Robi wrażenie, pomyślał. Duże wrażenie.

- Komandorze - rzekł MacMahan i leciutko się uśmiechnął; to nie była twarz człowieka,

który okazuje emocje. - A może raczej „kapitanie”?

- Komandor wystarczy, pułkowniku. Albo Colin. - Goście usiedli, a Colin podszedł do niewielkiego baru w rogu kajuty.

- Rzeczywiście rekrutujesz tylko najlepszych, Horus - mruknął.

- Dziękuję - odparł mężczyzna z uśmiechem - ale werbuję nie tylko w tradycyjny sposób. Hector to mój prapraprawnuk.

- Wolę - powiedział pułkownik bez śladu uśmiechu - myśleć o sobie jako o twoim najlepszym wnuku.

Colin zachichotał i pokręcił głową.

- Zaczynam się do tego przyzwyczajać, pułkowniku, lecz miałem na myśli pańskie zalety wojskowe, a nie rodzinne powiązania. - Skończył mieszać drinki i wyszedł zza baru. - Jestem pod wrażeniem. A jeśli pańskie pomysły były dla Horusa na tyle ciekawe, że sprowadził pana tutaj, tym bardziej jestem ich ciekaw.

- Oczywiście. Widzi pan... Dziękuję. - MacMahan wziął szklanekę i z grzeczności upił łyk, po czym odstawił ją i przestał zwracać na nią uwagę. Colin usiadł w swoim obrotowym fotelu i gestem zachęcił go, by mówił dalej.

- Widzi pan - podjął pułkownik - dużo zastanawiałem się nad naszą sytuacją. Jestem takim samym specjalistą jak wy, kosmonauci, i ostatnio nabrałem pewnych niemiłych podejrzeń.

- Podejrzeń? - spytał Colin i jego oczy czujnie błysnęły.

- Tak, kom... Colin. Jestem w tej wyjątkowej sytuacji, że badam mentalność terrorystów, a ponadto dowiaduję się różnych rzeczy od dziadka oraz z raportów „Nergala”. To jedna z przyczyn, dla których zostałem pułkownikiem. Moi przełożeni nie wiedzą o wszystkich moich źródłach informacji i sądzą, że jestem bardzo inteligentnym analitykiem.

Colin pokiwał głową. Siatka wywiadowcza rozbitków z północy - zwłaszcza sensory starannie zamaskowanego okrętu - musiała być bardzo pomocna w pracy MacMahana, lecz baretki na jego piersi wskazywały, że przełożeni nie mylili się co do jego wrodzonych umiejętności.

- Chodzi o to, Colin, że ludzie Anu przenikają coraz głębiej w różne organizacje terrorystyczne. Do tej pory skutecznie kontrolują już Czarną Mekkę, Grupę Dwunastego Stycznia, Armie Allaha, Czerwone Brwi i tuzin innych większych i mniejszych ugrupowań. To dość złowróżbne, choć niezbyt zaskakujące - zawsze dobrze dogadywali się z takimi rzeźnikami - lecz martwią mnie pewne wspólne, że tak powiem, wątki ideologiczne, które wkradły się do działań tych grup.

Pułkownik zmarszczył brwi.

- Widzi pan, jest tu kilka nietypowych sojuszy. Czarna Mekka i Armia Allaha nienawidzą się wzajemnie nawet bardziej niż reszty świata. Czarna Mekka pragnie zdestabilizować zarówno

świat islamski, jak i nasz, po to, by fundamentaliści mogli stworzyć światowe państwo teokratyczne, zaś Armia Allaha atakuje głównie cele poza światem islamskim, przede wszystkim po to, by doprowadzić do rozziwu między cywilizacją islamską i nie-islamską. To banda izolacjonistów, która chce się odciąć od wszystkich innych, by wprowadzić swoją własną koncepcję religijnej czystości. No i sajeszczycy Czerwone Brwi. Wyrósłi w latach dziewięćdziesiątych z grupki byłych punków i skinheadów, to po prostu anarchiści. Oni...

MacMahan przerwał i machnął ręką.

- Czasem się zapominam, a przecież etiologia terroryzmu może poczekać. Chodzi mi o to, że te wszystkie grupki zaczynają coraz bardziej interesować się czymś, co mogę nazwać nihilizmem, i bez większych wątpliwości można stwierdzić, że dzieje się tak z inspiracji Anu. Jego cele stają się - czy o tym wiedzą, czy nie - ich celami, a to, co mówią o jego psychice, jest przerażające.

Pułkownik przypomniał sobie o drinku i upił następny łyżeczek, po czym spoglądał przez jakiś czas na szklanekę, poruszając kostkami lodu.

- Tacy jak ja zawsze usiłują myśleć w taki sam sposób jak przeciwnicy, i muszę przyznać, że bywa to niemal zabawne. Nienawidzę tych drani, lecz to niemal jak gra, rodzaj szachów czy brydża, poza tym, że ostatnio coraz mniej mi się to podoba. Pytanie, które męczy mnie już od paru lat, a zwłaszcza od czasu, kiedy Horus powiedział mi o panu i „Dahaku”, brzmi: jak zareaguje Anu, jeśli uzna, że jesteśmy w stanie go pokonać? I co może zrobić, jeśli uświadomi sobie, że „Dahak” jest w pełni sprawny?

- Sądzę, że Horus może mieć rację, i to mnie najbardziej niepokoi. Nihilizm jego ohydnych terrorystycznych sługusów stanowi odbicie jego własnego nihilizmu, i jeśli kiedyś uzna, że jego sytuacja jest beznadziejna - a jeśli „Dahak” jest na górze, to niezależnie od tego, co się z nami stanie, tak właśnie będzie - może z radością pociągnąć za sobą całą planetę.

Colin spokojnie pokiwał głową, choć zdawało mu się, że przez kajutę przeleciał lodowaty podmuch.

- To ma sens, Colin - powiedział cicho Horus. - Hector ma rację. Niezależnie od tego, jaki był kiedyś, teraz Anu po prostu lubi niszczyć. To tak, jakby dawał upust swojej frustracji, może to także wynik jego uzależnienia od władzy. Lecz niezależnie od tego, co jest przyczyną, zagrożenie jest prawdziwe. On i jego ludzie dowiedli tego już sto lat temu.

Colin znów pokiwał głową doskonale wszystko rozumiał. Czasem zastanawiał się, dlaczego Hitler był tak odporny na próby zamachów. Kiedy uzyskał dostęp do baz danych „Nergala”, doszedł do wniosku, że to nic dziwnego, iż spisek bombowy się nie powiódł; człowiek z pełnym zestawem implantów właściwie nawet by go nie zauważył. A jeśli ktokolwiek z maniakalną radością ciągnął ze sobą innych na dno, to właśnie hitlerowska elita.

- A zatem - powiedział, obracając się na fotelu - wygląda na to, że pojawiła się kolejna niewielka komplikacja. - W jego uśmiechu nie było radości. - Z faktu, że pan tu jest, pułkowniku, wnoszę jednak, że poza zamartwianiem się coś jeszcze pan robił.

- Tak. - Oficer westchnął głęboko i spojrzał Colinowi prosto w oczy. - W zeszłym roku opracowywałem scenariusz najgorszego możliwego rozwiązania - można by rzec, końca świata - i wydaje mi się, że znalazłem wyjście z sytuacji. Jest przerażające, dlatego uważałem je raczej za ostateczność niż coś, co chciałbym wykonać. Tak naprawdę nie wspominałbym nawet o tym, gdyby nie pańska wzmianka o Achuultanach. Najrozsądniej byłoby przyczaić się, poczekać, aż wszystko nieco się uspokoi, dostarczyć pana z powrotem na pokład „Dahaka”, a potem uderzyć na drani z dwóch stron. Ale nie mamy na to czasu, prawda?

- Zgadza się - odparł spokojnie Colin. - Zatem opowie nam pan o swoim sposobie rozwiązania tego problemu?

- Tak. Zamiast czekać, aż wszystko się uspokoi, jeszcze bardziej podgrzejemy atmosferę.

- Hmrm... - Colin odchylił się do tyłu z cichym piskiem oparcia i pogładził się po nosie. - Dlaczego, pułkowniku?

- Gdyż wtedy może - tylko „może” - zdołamy ich pokonać sami, w ogóle nie wzywając „Dahaka” - odparł oficer.

* * *

Nikt, pomyślał Colin, obserwując, jak członkowie Rady wchodzą do sterowni, nie mógłby zarzucić Hectorowi MacMahanowi, że ma skromne plany. Już sama myśl o zaatakowaniu tak potężnego przeciwnika wymagała dużego tupetu, lecz zdawało się, że pułkownik ma go całą ciężarówkę. Kto wie, może to rzeczywiście się uda?

Członkowie Rady zajmowali swoje miejsca w pełnym napięcia milczeniu. Pilot założył ręce do tyłu, czując na sobie ciężar ich spojrzeń i zastanawiając się, w jakich jest z nimi stosunkach. Mieli zaledwie miesiąc na to, aby się poznać, ale już wiedział, że kilku z nich nienawidzi go i jednocześnie się boi. Nie mógł ich za to winić; sam wciąż żywił do nich pewne uprzedzenia, choć nie wątpił już w ich szczerłość. Nawet w szczerłość Jiltanith.

Na myśl o młodej kobiecie skierował spojrzenie w jej stronę i uśmiechnął się, gdy uświadomił sobie, że on również myśli o niej „młoda”, choć ma dwa razy więcej lat niż on, a gdyby liczyć czas, jaki spędziła w śpiączce, wiele razy więcej. Lecz uśmiech znikł, gdy zobaczył wyraz jej twarzy. Już nie malowała się na niej otwarta nienawiść, lecz teraz kojarzyła mu się z oknem

przysłoniętym okiennicami, przez które nic nie można dać ani niczego wziąć.

Z wielu różnych powodów wolałby wyłączyć ją z tych obrad i odsunąć od podejmowania wszelkich decyzji, lecz była szefem wywiadu „Nergala”, co czyniło ją imperialnym odpowiednikiem MacMahana i pośrednio także jego szefem.

Colin nie uważał, by ktoś z jej obsesyjną zaciekleścią i charakterem mógł być idealnym szpiegiem, lecz kiedy wspomniał o tym jednemu czy dwóm członkom Rady, ich reakcja go zaskoczyła. Absolutna wiara w jej osąd była niemal przerażająca, zwłaszcza w połączeniu ze świadomością, jak bardzo go nienawidzi. Kiedy jednak sprawdził dzienniki, okazało się, że ich wysokie mniemanie o Jiltanith znajduje potwierdzenie w jej działaniach. Atak w Colorado Springs był pierwszym od czterdziestu lat, kiedy to Imperialni z południa (w odróżnieniu od ich urodzonych na Ziemi wysłanników) zaskoczyli tych z północy. Biorąc pod uwagę nastawienie Rady, Colin nie odważyłby się usunąć jej ze stanowiska. Poza tym honor nie pozwoliłby mu wyrzucić kogoś, kto tak dobrze spełniał swoje zadania, tylko, dlatego, że przypadkiem go znienawdził.

Lecz ta kobieta go niepokoiła. Nieważne, co mówili i myśleli o niej inni, niepokoiła go.

Westchnął, żałując, że nie może otworzyć się przed nim, choć jeden raz. Tylko raz, aby wiedział, co myśli i czy może jej zaufać. Odepchnął od siebie tę myśl i uśmiechnął się słabo do pozostałych członków Rady.

- Jestem pewien, że znacie pułkownika MacMahana znacznie lepiej niż ja - przez chwilę obserwował wymianę ukłonów i uśmiechów - jednak przyczyna, dla której jest dziś z nami, może was zaskoczyć. Otóż pułkownik proponuje, abyśmy zaatakowali Anu wprost... i bez „Dahaka”.

Jedna czy dwie osoby westchnęły, a Jiltanith spięła się do skoku niczym kot. Właściwie to nie poruszyła ani jednym mięśniem, lecz jej oczy rozszerzyły się nieco i wydawało mu się, że w ich głębi dostrzega jakiś błysk.

- Ależ to szaleństwo! - To był głos Sary Meir, urodzonej na Ziemi astrogator „Nergala”. Kobieta splonęła się i spojrzała na MacMahana. - A przynajmniej tak to wygląda.

- Zgoda, ale to tylko jedna z zalet tego planu. Jest tak szalony, że oni nigdy nie będą się tego spodziewać. - Rozległy się ciche chichoty, a Colin pozwolił sobie na szerszy uśmiech. - Szalony czy nie, tak naprawdę nie mamy wielkiego wyboru. Od czasu mojego... przybycia - wywołało to nieco głośniejszą falę śmiechu - tkwimy w martwym punkcie, a nie możemy sobie dłużej na to pozwolić. Wszyscy wiedzą, dlaczego.

Radość znikła, jedna czy dwie osoby spojrzały do góry, jakby chciały zobaczyć zbliżających się nieubłaganie Achuultan. Colin kiwnął głową.

- No właśnie. Najbardziej jednak zaskoczyło mnie to, że ten plan ma szansę powodzenia. - Zwrócił się do MacMahana. - Hector?

- Dziękuję, Colin. - MacMahan stanął na środku sterówki.

Jego mundur marines był tu tak samo nie na miejscu, jak błękitny mundur McIntyre'a. Popatrzył na zgromadzonych jak ktoś, kto jest przyzwyczajony do takiego napięcia.

- W skrócie - powiedział - największym problemem jest czas. Czas, którego potrzebujemy i którego nie mamy. Mamy jednak przewagę: Anu nie wie, że tak bardzo nam go brakuje. Kiedy zaatakował Tudorów, sądził, że Colin jest jednym z nas... - Colin dostrzegł, że Jiltanith krzywi się na te słowa, lecz zdołała zapanować nad sobą - dlatego wydaje się wyjątkowo mało prawdopodobne, iż wie o tym, że w układance pojawił się nowy element. On sądzi, że nic się nie zmieniło.

Przerwał, a kilka osób pokiwało zgodnie głowami.

- Wiemy, że w Colorado Springs zadaliśmy im mocny cios. - Rozległ się cichy szmer aprobaty, a pułkownik pozwolił sobie na niewielki uśmiech. - Potwierdzono siedemnastu zabitych na pewno i dwóch prawdopodobnie; to więcej strat niż zadaliśmy im w ciągu kilku stuleci. Muszą się zastanawiać, co się stało, i miejmy nadzieję, że choć przez chwilę poczuli się niepewnie. Z pewnością ma to związek z ich wysiłkami, aby nas odnaleźć.

- Obecnie bez wątpienia słusznie oceniają całą sytuację jako posunięcie obronne z naszej strony, lecz byłoby dobrze ich przekonać, że to było działanie ofensywne. Proponuję, abyśmy ich zaatakowali wszystkimi siłami, by pokazać, że jesteśmy gotowi do wielkiej ofensywy. To ryzykowne, lecz nie bardziej niż kilka innych rzeczy, które robiliśmy w przeszłości.

- Chwileczkę, Hector. - Pułkownik przerwał, gdy podniósł rękę Geb, jeden ze starszych obywateli Imperium i główny inżynier „Nergala”. - Niczego tak nie pragnę, jak do nich postrzelać, ale co to pomoże?

- Dobre pytanie - odparł MacMahan. - Spróbuję na nie odpowiedzieć, Geb. Może się to wydawać nieco skomplikowane, lecz tak naprawdę jest proste. - Ludzie Anu zawsze byli bardziej niż my zaangażowani w wydarzenia na świecie, mieliśmy, więc okazję zidentyfikować wielu z nich. Wiemy, gdzie ukrywa się kilku ich Imperialnych, znamy też tożsamość sporej liczby urodzonych na Ziemi. Co więcej, zidentyfikowaliśmy grupy terrorystyczne, za których pośrednictwem działają, namierzaliśmy kilka ich centrów operacyjnych i kwater. Dlatego jeśli nawet większość ich personelu jest znacznie lepiej chroniona niż my, to ci, którzy są obecnie na zewnątrz enklawy, są bardziej odsłonięci. Możemy łatwiej ich dorwać niż oni nas.

Rozejrzał się po widowni i pokiwał głową, zadowolony ze skupienia malującego się na twarzach słuchaczy.

- Proponuję przeprowadzić zorganizowane ataki na ich odsłonięte punkty, aby zmusić ich do klasycznej reakcji na sytuację, gdy robi się gorąco: ściągną Imperialnych i najważniejszych Ziemian do enklawy, aby ich chronić, podczas gdy drużyny szybkiego reagowania będą usiłowały wciągnąć nasze oddziały w pułapkę i je zniszczyć.

- Ale tym razem będzie to najgorsza rzecz, jaką mogą zrobić. Tym razem wejdziemy tam tuż za nimi!

Jak na człowieka o słabej mimice, pomyślał Colin, Hector MacMahan bardzo przypomina teraz głodnego wilka.

- Jakże to? - spytała Jiltanith.

Zawsze bardzo się kontrolowała w obecności Colina, i teraz też tylko zadała pytanie, a nie wniosła sprzeciwu; widać było, że wyraża opinię wielu innych.

- Jak już powiedziałem, manewry w tle mogą być nieco skomplikowane - odparł MacMahan - lecz sama zasada jest prosta, a moje stanowisko jednego z dowodzących operacją „Odyseusz” może nam to ułatwić. - Jiltanith pokiwała mocno głową, on zaś popatrzył na innych członków rady.

- Jak Tanni wie - kontynuował - dwa lata temu zostałem członkiem dowództwa operacji „Odyseusz”, której celem jest infiltracja Czarnej Mekki. Szefostwo wiedziało, że nie będzie to łatwe, mieliśmy, bowiem zbyt wiele przecieków. Rzecz jasna, wiemy, dlaczego tak się dzieje: Anu niezbyt powiodła się infiltracja a USFC, lecz udało mu się wejść głęboko w środowisko wyższych oficerów wywiadu. Ze względu na te przecieki operacja została uznana za wyjątkowo tajną, i to ja decyduję, kto powinien o niej usłyszeć. Oznacza to, że byłem w stanie wprowadzić dwóch naszych Ziemiaków w szeregi Czarnej Mekki. Jeden z nich to obecnie zastępca szefa ich sekcji operacyjnej. Oficjalnie ten człowiek jest wysoko cenionym, choć podatnym na korupcję najemnikiem; ludzie Anu zwerbowali go pięć miesięcy temu.

W sterówce rozległ się szmer zaskoczenia.

- Wszyscy wiedzą, że cały czas staramy się wybadać Rammana i Ninhursag - mówił dalej.

Colin obserwował, jak Imperialni zareagują na te imiona. Ramman i Ninhursag byli rozbitkami z południa, którzy przez ostatnich dwieście lat pozostawali w kontakcie z załogą „Nergala”. Ramman był jednym z najbliższych współpracowników Anu, Ninhursag zaś była szeregowym buntownikiem, jednym z oficerów dbających o napęd grawitoniczny „Dahaka”. Została wybudzona z uśpienia przed stu laty ze względu na jej znajomość fizyki. Żadne z nich nie wiedziało, że oboje utrzymują kontakt z rozbitkami z północy.

- Zawsze bardzo ostrożnie podchodzimy do wszystkiego, co od nich otrzymujemy, ale kiedy Tanni i ja porównaliśmy dane, okazało się, że na razie wszystko się zgadza. Oznacza to, że albo oboje mówią prawdę, albo oboje zostali nam podsunięci. Osobiście uważam, że mówią prawdę. Ramman jest przerażony tym, co Anu może zrobić, Ninhursag zaś jest przerażona tym, co już zrobił. Fakt, że obydwójce zostali umieszczeni poza enklawą, z dala od kręgu najbliższych współpracowników Anu, może świadczyć, że nie do końca im ufają, co z naszego punktu widzenia może być dobrym sygnałem. Zgadzasz się z tym, Tanni?

- Tak - odparła krótko.

- Niezależnie od tego, czy Anu im ufa, czy nie - ciągnął MacMahan - są dla niego cenni; gdyby było inaczej, już dawno by się ich pozbył. Możemy być pewni, że zostaną wezwani z powrotem do enklawy, gdy tylko zacznie się strzelanina, i to jest najbardziej istotne. Kiedy przejdą przez punkty kontrolne, będą mieli dostęp do aktualnych kodów wejść.

Znów przerwał; tym razem Colin widział, że większość członków Rady kiwa głowami z aprobatą.

- O ile wiemy, Anu dość regularnie zmienia kody. Nigdy nie byliśmy w stanie ich zdobyć, lecz sensory Tanni potrafią określić, kiedy je przeprogramowują. Jeśli zatem Ramman czy Ninhursag zdobędą dla nas aktualne kody, będziemy przynajmniej wiedzieli, czy są jeszcze aktualne.

- Dobrze - powiedział Geb - lecz jak nam je przekażą? - Mężczyzna marszczył w skupieniu czoło; najwyraźniej miał nadzieję otrzymać odpowiedź, a nie chciał podnosić sprzeciwu.

- To najtrudniejsza część planu - zgodził się z nim MacMahan - lecz sądzę, że damy sobie radę. - Kiedy Ramman i Ninhursag zdobędą kody, pozostawią ich kopie w przygotowanym wcześniej schowku wewnątrz enklawy. Nasi ludzie z Czarnej Mekki nie wiedzą o sobie nawzajem, lecz sądzę, iż są na tyle ważni, że obaj zostaną zabrani na południe. Kiedy dostaną się do środka enklawy, będą próbowali odebrać kopie kodów. Ani Ramman, ani Ninhursag nie będą wiedzieli, że oboje zostawili kod, i żaden z naszych ludzi nie będzie wiedział, że obaj mają go odebrać, zatem jeśli nawet stracimy jeden kod, powinniśmy dostać drugi. - Kiedy zagonimy ich do środka, złagodzimy ataki. Anu niemal na pewno zrobi to, co robił wcześniej: wypchnie swoich „degeneratów” na pierwszą linię, aby zobaczyć, czy ściagną na siebie nasz ogień. W tym czasie nasi ludzie podadzą nam kody wejścia. Jeśli nam się powiedzie, będziemy mieli dwa oddzielne zestawy kodów, które będzie można ze sobą porównać.

- Jeśli kody się potwierdzą i będziemy gotowi wyruszyć, nim Anu ponownie je zmieni, możemy dostać się pod tarczę, zanim się zorientują, co się dzieje.

- Liczba aktywnych mieszkańców Imperium jest u nich znacznie większa niż u nas, lecz kiedy już dostaniemy się do środka, będziemy mieli przewagę zaskoczenia. Jeśli uda nam się uderzyć wystarczająco szybko i mocno, powinniśmy pokonać ich lub w najgorszym razie wywołać panikę, która zmusi wyższych rangą do zamknięcia włączów i podniesienia uzbrojonych pasożytów, by odlecieć jak najdalej od nas oraz dać swoim ludziom wsparcie ogniowe. W tym celu będą musieli wzniesić się pasożytami ponad tarczę i w ogóle ją wyłączyć, by móc do nas strzelać. A wtedy - w leciutkim uśmiechu pułkownika było wiele zaciekleści - ta jak mi powiedział Colin, „Dahak” będzie już na nich czekał.

W sterówce zapadła cisza.

- A to - dokończył bardzo, bardzo cicho MacMahan - będzie oznaczać koniec kapitana

inżyniera Anu i jego rzeźników.

Rozdział trzynasty

- To mi się nie podoba - powiedział ponuro Horus - tak samo jak Radzie. Oszalałeś, Colin!

- Wcale nie. - Colin bardzo się starał, by jego głos brzmiał spokojnie. Pomagały mu w tym doświadczenia z upartym Dahakiem, lecz teraz zaczynał myśleć, że lekcje uporczywego komputera pobierał od Horusa. - Przerabialiśmy to już tysiąc razy i zawsze wychodziło to samo. Muszę powiedzieć Dahakowi, co się dzieje. On was nie odróżnia; na wasz widok najprawdopodobniej zareaguje tak samo, jak na widok Anu.

- To ryzyko, które musimy podjąć - powtórzył z uporem Horus.

- To ryzyko, na które nie możemy sobie pozwolić! - warknął Colin, po czym odetchnął. - Niech to, ale ty jesteś uparty! Słuchaj, to wóz albo przewóz, nie ma innego wyjścia. Nie możemy ryzykować, że Dahak nas zaatakuje, kiedy ruszymy przeciwko enklawie, a to tylko część ryzyka. Jeśli zdołamy dostać się do środka i narobimy dość szkód, by zmusić ich pasożyty do startu, dowie się, że coś się dzieje. Od prawie pięciu tygodni nie miał ode mnie żadnych wiadomości. Jak sądzisz, jak zareaguje, gdy zobaczy, że na dole poruszają się jakieś jednostki imperialne?

- No...

- Właśnie! A to wcale nie jest najgorsze. Załóżmy, choć niech mnie niebiosy bronią, że zginę. Kto to wszystko wyjaśni Dahakowi? Wiesz, że on nie uwierzy w to, co powiesz, zakładając, że w ogóle cię wysłucha. Zatem ja jestem martwy, a ty zatłukłeś Anu. I co dalej? - Spojrzał prosto w oczy starego mężczyzny.

- Najlepsze, na co możecie liczyć, to, że zostawi was w spokoju, ale tak się nie stanie. Uzna to za konflikt między buntownikami - a w sumie tak właśnie jest - i ruszy za wami. Jeśli tarcza enklawy zostanie opuszczona, was również dorwie, a jeśli tarcza będzie działać i będziecie przez nią chronieni, wasze położenie nie ulegnie zmianie, a tymczasem Achultani jeszcze bardziej się zbliżą! Na miłość boską, człowieku, chcesz, aby to wszystko poszło na marne?!

Horus spojrzał na niego z wściekłością człowieka zagnanego w ślepią uliczkę; siedząca obok Jiltanith patrzyła na Colina i milczała. Jej milczenie sprawiało, że coraz bardziej się denerwował. Ta kobieta jest doświadczonym analitykiem wywiadu i wprawa, z jaką posługuje się swoimi sensorami i ukrytymi jednostkami pomocniczymi „Nergala”, dowodzi jej kompetencji oraz zdolności do logicznego i spokojnego myślenia. Może go nienawidzić, ale jest profesjonalistką i chyba dostrzega logikę jego argumentacji?

Na razie nie powiedziała zbyt wiele i znów zaczął się zastanawiać, czy jest zła, że MacMahan - który zasadniczo był jej podwładnym - przyszedł z tym planem prosto do niego. Spodziewał się, że od razu rzuci na szalę swój autorytet przeciwko jego autorytetowi, lecz teraz jej

usta wykrzywiły się, jakby ugryzła coś zgniętego.

- Ojcie, kapitan słusznie prawi.

Horus odwrócił się do niej z miną mówiącą: „I ty, Brutusie?”, a w jej oczach zamigotało rozbawienie, gdy Colin zamrugał ze zdziwienia.

- Ciężko to rzec, ojcie, lecz nasze uczynki ściągnęłyby na nas pewną zgubę, kapitan zaś samą prawdę prawi. Azaliż bez słowa do Dahaka nie będziem wzdry jeno buntownikami?

Horus pokręcił z niechęcią głową, a ona delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Można temu kres położyć. Skoro mus nam przekazać te słowa, a on przyjmie tylko kod kapitana, cóżże nam pozostaje? Karki zgnać i zgodę dać.

Colin spoglądał to na nią, to na jej ojca, wdzięczny za jej wsparcie, lecz świadom też, że kierowała nią logika, a nie entuzjazm dla jego pomysłu. Widać to było nawet w sposobie, w jaki o nim mówiła. Posługiwała się tylko jego rangą, a i to jedynie wtedy, gdy mówiła o nim do osób trzecich, kiedy zaś zwracała się bezpośrednio do niego, robiła to bezosobowo.

- Ale wtedy oni go zlokalizują! - powiedział Horus z rozpaczą, którą Colin doskonale rozumiał.

Pilot był pierwszą szansą na zwycięstwo, którą Los uznał za stosowne dać Horusowi, dlatego możliwość jej utraty przerażała starego człowieka znacznie bardziej niż myśl o własnej śmierci.

- Oczywiście, że tak - powiedział pilot. - Dlatego to musi być zrobione po mojemu.

- Dziadku - rzekł łagodnie MacMahan - mnie również to się za bardzo nie podoba, lecz może mają rację.

Horus skrzywił się, a pułkownik zwrócił się do Colina.

- Jeśli cię poprę - powiedział obojętnym tonem - to tylko dlatego, że muszę, ale to będzie jedyny atak, w którym weźmiesz udział. Czy to jasne?

Colin przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien spróbować z pułkownikiem pojedynku na spojrzenia, lecz uznał, że to może być mało polityczne zagranie. Co gorsza, i tak by mu się nie udało wygrać, więc zamiast tego tylko pokiwał głową.

MacMahan uśmiechnął się tym swoim nieznacznym uśmieszkiem i Colin zrozumiał, że wszystko jest już postanowione. Może upłynie trochę czasu, nim Hours do tego przywyknie, lecz decyzja MacMahana była najważniejsza, gdyż Colin i Rada mianowali go dowódcą operacji. Sukces w dużej mierze zależał od jego siatki ziemskich szpiegów, więc logiczne było, że to on w zastępstwie Jiltanith będzie dyrygował całością. Co prawda Colin był w pewnym sensie kapitanem Floty, jednak pozostawało ciekawym zagadnieniem prawnym, czy ktoś z „jego” personelu wciąż podlega jego rozkazom. Co więcej, znał swoje ograniczenia i wiedział, że nie potrafiłby pokierować czymś takim.

- Tym razem zamierzam poprzeć Colina, dziadku - powiedział MacMahan. - Przepraszam, lecz tak się rzeczy mają.

Przez chwilę Horus patrzył w stół, po czym niechętnie skinął głową.

- A więc, Colin, możesz wziąć udział w ataku na Cuernavaca - ciągnął dalej MacMahan. - Potem wyślesz wiadomość i stamtąd znikasz, jasne?

- Jasne.

- A twoim pilotem - dodał łagodnie marine - będzie Tanni.

- Co?!

Colin zacisnął zęby, nim powiedział coś, czego mógłby potem żałować, lecz w jego oczach zapłonął gniew, wcale nie mniejszy niż gniew Jiltanith.

- Tanni będzie twoim pilotem - powtórzył spokojnie MacMahan. - Mówię to jako dowódca operacji wojskowej. Nie mam czasu na dyplomację, więc zaniknijcie się obydwójcie i słuchajcie.

Colin opadł na fotel i kiwnął głową. Jiltanith wbiła wzrok w MacMahana, lecz on potraktował jej milczenie jako zgodę.

- Dobra. Wiem, że jest między wami trochę złej krwi - powiedział, co było bardzo oględnym określeniem - ale teraz nie ma na to miejsca. Ta akcja, jak sami powiedzieliśmy dziadkowi, jest naprawdę ważna.

- Colin, jesteś jedyną osobą, która może przesłać wiadomość, więc jeśli wyślemy cię wraz z atakującymi, powinieneś być w stanie ukryć swój przekaz w przestrzeni złożonej pod raportami, które będziesz jednocześnie przekazywać do naszej kwatery. Nie wiemy, jak szybko i mocno odpowiedzą ludzie Anu, musimy, więc wysłać tylko naszych najlepszych pilotów. Jesteś dobry, Colin, twój czas reakcji jest fenomenalny nawet jak na imperialne standardy, lecz nie masz zbyt wielkiego doświadczenia w pilotowaniu imperialnych myśliwców. Z drugiej strony Tanni jest urodzonym pilotem i jako najmłodsza z naszych Imperialnych ma czas reakcji niemal tak dobry jak ty, lecz ma też znacznie, znacznie więcej doświadczenia. A więc albo ona jest twoim pilotem, a ty jej oficerem od elektroniki, albo żadne z was nie leci.

Popatrzył na nich wyczekująco, Colin zaś spojrział na Jiltanith. Najpierw dostrzegł jej zaskoczenie, a potem zamigotał między nimi błysk wyzwania.

- Dobrze - westchnął wreszcie. - Gdybym wiedział, jakim jesteś upartym draniem, nigdy bym się nie zgodził, abyś był szefem tej operacji, Hector.

- Ale za to jestem najlepszym upartym draniem, jakiego pan ma... sir - odparł MacMahan.

Colin uśmiechnął się, a potem jego uśmiech jeszcze się poszerzył, gdy dotarła do niego myśl, że kiedy on i Jiltanith znajdą się w tym samym dwuosobowym myśliwcu, wreszcie będzie musiała zacząć jakoś się do niego zwracać!

* * *

To zadziwiające, jak bardzo się myliłem, pomyślał ponuro Colin, sprawdzając po raz ostatni swój sprzęt. On i Jiltanith działali razem na symulatorze już od ponad tygodnia, a ona wciąż nie wymawiała ani jego nazwiska, ani rangi.

Teraz był już pewien, że prędzej umrze niż zacznie do niego mówić „sir”.

- Uśmiechnął się kwaśno. Przynajmniej odciągnęła jego myśli od motyli łaskoczących go w żołądku. Mimo iż przed zgłoszeniem się do NASA Colin był wojskowym, tylko dwa razy w życiu strzelał, by zabijać. Pierwszy raz miał miejsce wiele lat wcześniej, kiedy na obszarze uważanym za przestrzeń międzynarodową bardzo niedoświadczony podporucznik McIntyre niespodziewanie znalazł się w swoim lynxie nos w nos z irackim myśliwcem. Do tej pory nie wie, w jaki sposób zdołał umknąć samonaprowadzającemu pociskowi, który wystrzelił w niego iracki pilot. Tamten miał mniej szczęścia. Drugim razem był to nieudany atak na tender „Dahaka”.

Pomagała mu świadomość, że pozostali Imperialni są weteranami tej długiej, ukrytej wojny. Ich przygotowanie działało na niego bardziej kojąco niż miał odwagę przyznać... lecz na swój sposób pogarszało sprawę. On jest ich dowódcą, a tymczasem jego podwładni mają więcej doświadczenia bojowego! Trudno to nazwać właściwym układem.

Zapiął kombinezon i sprawdził kuliste jednokierunkowe pole siłowe, służące imperialnym pilotom jako hełm. Musiał przyznać, że było to duże ulepszenie - widoczność była wspaniała - mimo to czuł nostalgię za tymi wszystkimi wyświetlaczami, których było pełno wewnątrz kombinezonu NASA.

Przymocował do upręży swój karabin grawitacyjny, choć było mało prawdopodobne, aby ta broń w jakikolwiek sposób mu pomogła, gdyby doszło do walki. Albo, że w ogóle do niej dojdzie, jeśli źli wytoczą przeciwko nim coś na kształt ciężkiej broni.

Już. Był gotów. Wyszedł ze zbrojowni, rad, że tylko on jest w stanie odczytać wykresy adrenaliny, jakie odbierały jego biosensory z implantów pozostałych osób.

* * *

Załogi myśliwców siedziały w sali odpraw „Nergala”. Było ich zaledwie ośmiu, gdyż bojowe okręty podświetlne nie były planetoidami i miały na pokładzie tylko sześć myśliwców i niezbyt silne uzbrojenie.

Większość Imperialnych wydawała się Colinowi przerażająco stara. Geb był partnerem ze skrzydła jego i Jiltanith myśliwca - jedyne, któremu przydzielono eskortę - zaś strzelcem był jedyny z obecnych tu „młodzików”. W chwili wybuchu buntu Tamman miał zaledwie dziesięć lat, lecz nie wprowadzono go w stan śpiączki na tak długo jak Jiltanith, miał więc za sobą dobrych dwieście lat doświadczenia.

Mimo swego wieku wszyscy piloci byli najlepszymi z najlepszych, starannie dobranymi przez Hectora MaeMahana. Po raz pierwszy od trzech tysięcy lat załoga „Nergala” miała użyć imperialnej technologii w otwartej walce z przeciwnikiem. Zdarzały się jednak okazjonalne, niespodziewane starcia między pomniejszych jednostkami obu stron, i oni zawsze byli zwycięzcami tych starć.

- No dobra. - MacMahan wszedł żwawym krokiem do pomieszczenia i usiadł na rogu konsoli oficera dowodzącego. - Wszyscy zostaliście wprowadzeni w szczegóły, znacie plan, znacie stawkę. Powtórzę tylko, że musicie wstrzymać wszystkie ataki, dopóki Tanni i Colin nie znajdą się w środku i nie wyślą wiadomości. Do tego czasu niczego nie robicie.

Wszystkie głowy kiwnęły potakująco. Oczekiwanie może ich narazić na duże straty, lecz zaatakowanie południowców, zanim Colin wyśle swój „raport o ataku” i ostrzeże „Dahaka”, było znacznie bardziej ryzykowne. Stary okręt mógł ich dopaść o wiele szybciej niż zaskoczeni ludzie Anu.

- Dobrze - powiedział MacMahan. - A zatem na koń.

Piloci zaczęli opuszczać pomieszczenie, lecz pułkownik położył dłoń na ramieniu wychodzącego Colina.

- Sekundę, Colin. Chcę porozmawiać z tobą i Tanni.

Poczekali więc, aż pozostali wyjdą, lecz nawet wówczas Jiltanith wolała stać po drugiej stronie MaeMahana, odgradzając się w ten sposób od swego towarzysza lotu.

- Poprosiłem was o pozostanie, gdyż właśnie dostałem uaktualnienie informacji o naszym celu - powiedział cicho MacMahan. - Przyszło potwierdzenie od naszych ludzi z Czarnej Mekki, że baza, z której wyszedł atak na Cala, jest na pewno Cuernavaca. Przy odrobinie szczęścia Kirinal będzie tam, kiedy wejdziecie.

Nienawiść, która zapłonęła w oczach Jiltanith, nie była tym razem zwrócona przeciw

Colinowi, zresztą on sam poczuł, że jego usta wykrzywiają się w drapieżnym uśmiechu.

Kirinal. Kiedy przeglądał jej akta, czuł przebiegające po ciele ciarki. Była szefem operacji Anu, odpowiednikiem Hectora MacMahana, a praca sprawiała jej taką samą przyjemność, jak Girru. Jej strata byłaby dla rozbitków z południa bolesnym ciosem, lecz to nie była pierwsza myśl, która przebiegła mu przez głowę. Nie, najpierw pomyślał, że to Kirinal osobiście wydała rozkaz wymordowania całej rodziny Cala.

- Zastanawiałem się, czy wam o tym powiedzieć - przyznał pułkownik - ale i tak dowiedzielibyście się po powrocie, a i bez tego mam już dosyć kłopotów z wami! Teraz jednak chciałbym, abyście o tym zapomnieli. Wiem, że to jest bardzo trudne, lecz jeśli istota zemsty ma was zaślepić, powiedzcie mi o tym, a wtedy pierwszy atak przeprowadzą Geb i Tamman.

Colin był ciekaw, czy Jiltanith zdoła o tym zapomnieć, bo on nie. Kiedy jednak popatrzyli sobie w oczy, po raz pierwszy zapanowała między nimi całkowita zgoda.

MacMahan obserwował ich, ukrywając za pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarzą swoje troski i zastanawiając się, czy nie odebrać im pierwszego uderzenia, niezależnie od tego, co odpowiedzą. Może w ogóle nie powinien był im tego mówić? Nie, mieli prawo wiedzieć.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Idźcie. I... - uśmiechnął się lekko, gdy jego głos zatrzymał ich przy drzwiach - pomyślnych łowów.

Odeszli. Pułkownik MacMahan został w pustej sali odpraw, ale jego twarz nie była już pozbawiona wyrazu. Po chwili wstał i rozprostował ramiona, zmazując z oblicza pozbawioną nadziei gorycz. Był świetnie wyszkolonym i doświadczonym pilotem, lecz bez implantów, które pozwoliłyby mu wykonać własny plan, i nic nie mógł na to poradzić.

* * *

Neuralne łącze Colina podłączyło się do tego, co marynarka nazwałaby „panelem uzbrojenia i elektroniki myśliwca”. Kiedy wraz z Jiltanith zajęli swoje fotele, poczuł mocny prąd gotowości płynący z komputera. Oczywiście rozumiał, że komputery są tylko sumą swego oprogramowania, lecz ludzie urodzeni na Ziemi przez wiele pokoleń antropomorfizowali ich zachowanie, zaś Imperialni, którzy mieli znacznie bliższy i bardziej intymny kontakt z elektronicznymi pomocnikami, nigdy nie kwestionowali tej praktyki. Z drugiej strony czy ludzki umysł nie jest niczym więcej niż tylko sumą swego oprogramowania?

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, czuł, że myśliwiec odsłania kły, że wyraża swoje napięcie przesyłanymi do niego sygnałami gotowości poszczególnych systemów.

- Broń i systemy w gotowości - powiadomił Jiltanith, a ona spojrzała na niego z ukosa. Wiedziała, że tak jest - przecież ich łącza neuralne były odpowiednio połączone - ale to był zbyt głęboko zakorzeniony w nim nawyk, by go teraz zwalczać. Po sprawdzeniu wszystkich systemów należy o tym poinformować pierwszego pilota.

Czuł, że jej wzrok spoczywa na nim chwilę dłużej, po czym delikatnie kiwnęła głową. Długie falujące włosy miała upięte w ciasny kok na czubku głowy, podtrzymywany migoczącymi grzebykami, które nawet ze względu na swój wiek były warte fortunę. Wysadzany klejnotami sztylet miała u pasa, obok pistoletu, który zabrała zamiast ciężkiego karabinu grawitacyjnego. Był to lekki półautomat o zmniejszonym magazynku na trzydzieści pocisków, który sama zaprojektowała i zbudowała i który wyglądał obok sztyletu anachronicznie i jednocześnie naturalnie. Ta kobieta jest, pomyślał nie po raz pierwszy, dziwną mieszanką przeszłości i przyszłości. A potem się odezwała.

- Sprawdzone - powiedziała. - Gotowam... kapitanie.

Pierwszy raz odpowiedziała na jego raport gotowości, pomyślał, a dopiero potem uświadomił sobie, jakim tytułem do niego się zwróciła.

Kiedy startowali, wciąż jeszcze zastanawiał się, co oznacza to jej ustępstwo.

Rozdział czternasty

Jiltanilh była dobra.

Colin poznał jej umiejętności i łatwość dostosowania się do wykonywanego zadania już w symulatorze. Teraz wiodła ich długim, starannie zakamuflowanym tunelem prowadzącym z „Nergala”, bez straty choćby jednego erga mocy czy zbędnej myśli, jakby skrzydła myśliwca stały się jej własnymi skrzydłami. Ściany kamiennego tunelu przelatywały obok nich, aż wreszcie wystrzelili ze skowytem silnika na zewnątrz.

Nad ich głowami rozbłysły niczym kawałki lodu gwiazdy. Colina wypełniło dziwne uniesienie. W bocznych dopływach jego komputerowych łączy pojawiła się całkiem nowa siła, płonąca jasną radością Jiltanith. Wreszcie na jakiś czas była wolna. Gnając po ciemnym niebie i szukając wrogów, stanowiła jedność z myśliwcem; czuł ten jej błysk radości, wzmocniony żądzą zemsty i skłonnością do przemocy. Po raz pierwszy od chwili, kiedy się spotkali, doskonale ją rozumiał, i zastanawiał się, czy to go cieszy, gdyż ujrzał w niej siebie samego. Może mniej kierował się obsesjami, może był mniej mroczny i ponury i nie aż tak ostry, ale taki sam.

Stracił znacznie mniej niż Jiltanith, znacznie mniej jego przyjaciół i członków rodziny zginęło w tej niekończącej się wojnie, lecz mimo to nauczył się nienawidzić. Fakt, że tak szybko znalazł w sobie cień mroku, który od początku wypełniał Jiltanith, przerażał go.

Odsunął od siebie te myśli, mając nadzieję, że kobieta była zbyt pochłonięta radością z lotu, aby je dostrzec, i skupił uwagę na swoich komputerach. Na razie znajdowali się w polu maskującym „Nergala”; poza nim będą zdani tylko na własne siły.

* * *

Imperialny myśliwiec był wielkości połowy beagle’a; był maszyną o ostrym nosie, opływowej sylwetce i krótkich skrzydłach. Został zaprojektowany do lotów w atmosferze, lecz zachowywał manewrowość również w próżni, choć żaden z członków załogi „Nergala” nie był tam od tysiącleci. Zawsze przemykał między wierzchołkami drzew, by uniknąć namierzenia przez sensory Anu, i teraz też tak lecieli.

Potem znaleźli się nad Pacyfikiem, zaledwie kilka metrów nad lustrem wody. Jiltanith delikatnie przyciągnęła drążek do siebie. Wielka dłoń wcisnęła Colina w fotel i pomknęli na południe z szybkością trzech machów, pozostawiając za sobą ślad na wodzie. Poczucie siły ciężenia

było niemal odświeżające, jak spotkanie ze starym przyjacielem, z którym stracił kontakt od czasu poznania „Dahaka”.

Atmosfera była mniej wyrozumiała niż próżnia. Nawet przy maksymalnej mocy tarcie i kompresja próbowały znacząco obniżyć ich prędkość, za to dużą zaletą był fakt, że przy wykonywaniu manewrów można było polegać raczej na powierzchniach sterowych niż całkowicie uzależniać się od grawitonicznej magii napędu. Taką samą szybkość można było uzyskać przy znacznie mniejszym zużyciu energii, lecz wszystko to miało swoją cenę. W tym wypadku była to większa możliwość wykrycia termowizyjnego i przez systemy namierzające, gdyż nieosłonięty polem napędu kadłub nagrzewał się. Ale to była tylko niewielka niedogodność.

Prawdziwym problemem był fakt, że napęd o zredukowanej mocy nie mógł zrównoważyć sił bezwładu i grawitacji przyspieszenia. Lecąc w atmosferze z wykorzystaniem powierzchni sterowych, zabójczy stateczek podlegał zasadom fizyki ruchu i był bardzo mało sterowny, co dla Jiltanith mogło się źle skończyć. Jeśli zostałaby zmuszona do wykonania jakiegoś manewru przeciwko wyposażonemu we wszystkie implanty Imperialnemu, zginęłaby, gdyż szybciej straciłaby przytomność niż przeciwnik.

Mimo to MacMahan miał całkowicie rację, że gdyby doszło do walki powietrznej, maskowanie raczej by się nie przydało. Wtedy liczyłaby się tylko brutalna siła, spryt, czas reakcji i umiejętności specjalistów od broni elektronicznej. Przede wszystkim jednak obaj piloci od razu weszliby na pełną moc i otulona w pełni działającym polem Jiltanith byłaby wolna od wad przyspieszenia, tak samo jak każdy inny pilot Imperium.

Lecz ich celem było unikanie jakichkolwiek starć. Gdyby zostali zmuszeni do rozpędzenia się do pełnej szybkości, żaden system zagłuszania na świecie nie ukryłby ich przed wykrywaczami Anu... co oznaczało, że nie mogliby wrócić na „Nergala”, dopóki nie zniszczyliby lub nie zgubili pościgu, a następnie nie przeszli w tryb maskowania. To ukryte koszty, pomyślał kwaśno Colin, sprawdzając prędkość. Zawsze są jakieś ukryte koszty.

Zauważył, że lecą z prędkością niemal czterech machów, i uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie reakcję na pokładzie jakiegoś frachtowca, którego by napotkali: lecą daleko przed falą dźwięku, niewykrywalni przez żaden radar.

Powinni dotrzeć do celu za jakieś siedemnaście minut. To dziwne, ale nie czuł się już nawet w najmniejszym stopniu zdenerwowany.

* * *

- Wychodzimy na ostatnią prostą - powiedział jedenaście minut później.

- Aha - odparła cicho Jiltanith.

Jej głos był rozmarzony, gdyż w tym momencie Colin nie był dla niej do końca realny. Prawdziwy był tylko jej smukły jak sztylet statek, gdyż była z nim stopiona w jedność, widziała i czuła jego sensorami. Colin za to z zadowoleniem odbierał przez własne łącza jej ostrą jak brzytwa, wyrazistą obecność.

Wykonali zakręt i weszli na kurs do ataku; Geb i Tamrnan odbili w bok, zwiększając odległość, tak jak było zaplanowane.

Wielka prywatna posiadłość, położona w głębokiej, podobnej do misy kotlinie na północ od Cuernavaca, była prawdziwą kwaterą główną zarówno Czarnej Mekki, jak i Armii Allaha w obu Amerykach, choć niewielu terrorystów o tym wiedziało. Był to jeden z trzech najważniejszych celów, jakie MacMahan i Jiltanith zdołali zidentyfikować. Przebywało tam ponad czterdziestu rozbitków z południa i dwustu najbardziej zaufanych sojuszników, koordynując działania terrorystyczne na tej półkuli; w tej posiadłości ukrywano też sporą ilość imperialnego sprzętu. Udany atak na taki cel z pewnością usprawiedliwiłby wysłanie natychmiastowego raportu do własnej bazy.

Ale MacMahan kierował się w doborze celów także czymś innym. Rozkład posiadłości czynił z niej idealny cel dla rakiet, gdyż ściany doliny mogły stłumić wybuchy i skierować ich energię do góry. Przybysze z północy spodziewali się, że użycie takiej broni będzie dla Anu dużym szokiem i z pewnością wywoła zaciekle spory wśród Ziemiaków, a tego obie grupy Imperialnych starannie unikały przez całe wieki. Jeśli cokolwiek ma przekonać Anu, że załoga „Nergala” działa serio, to właśnie takie uderzenie.

Ale znaczenie celu oznaczało również większe prawdopodobieństwo natknięcia się na poważną obronę. Gdyby napotkali myśliwce, Geb i Tamman mieli je w miarę swoich możliwości zdjąć; gdyby okazało się to niemożliwe, przypadnie im w udziale znacznie gorsze zadanie: odciągnąć południowców od Colina, kierując ich uwagę na siebie, i...

- Cholera! - mruknął Colin; siedząca obok niego Jiltanith zeszywniała, gdy przesłał jej informacje przez boczne łącza. Cel osłaniały działające imperialne skanery. Przy obecnej szybkości przebiłyby się przez ich pole ekranujące w pięć minut.

Trzeba wraz z komputerami ustalić, dokąd płyną przekazywane przez skaner dane. Jeśli to jest tylko posterunek obserwacyjny, dotrą do celu, zanim ktokolwiek zdąży zareagować, lecz jeśli tam jest automatyczna obrona...

- Niech to szlag! - syknął. Była to automatyczna obrona... i trzy myśliwce gotowe do startu, choć nic nie wskazywało na to, by ogłoszono alarm. W sumie było tam dziesięć samolotów; gdyby spodziewali się ataku, cała dziesiątka byłaby przygotowana do natychmiastowego odlotu. Colin i Jiltanith mieli strasznego pecha, że zjawili się na miejscu akurat wtedy, gdy ktoś szykował się do rutynowego przelotu. Być może Kirinal leciała dokądś jednym z tych myśliwców, a pozostałe dwa były tylko eskortą; pasowałyby to do typowych procedur stosowanych przez rozbitków z północy.

Lecz oznaczało to także, że w bazie obowiązuje podwyższony stan gotowości, a do tego jeszcze te cholerne automatyczne systemy obronne... Pilot widział przynajmniej cztery wyrzutnie pocisków i stanowiska dwóch ciężkich miotaczy energii; było tego znacznie więcej niż opisywały raporty wywiadu.

Jego myśli gnały tak szybko, że właściwie nie miały czasu nabrać kształtu, a mimo to Jiltanith je chwyciła. Czuł jej rozczarowanie równie mocno, jak swoje. Tam byli ludzie, którzy kazali Girru i Ansharowi wymordować rodzinę Cala, Seana i Sandy, lecz rozkazy były jasne.

- Musimy się wycofać - powiedział, choć w tej samej chwili, kiedy to mówił, jego łącze neuralne podłączało wszystkie systemy.

- Ano. - Jiltanith jednak trzymała dalej kurs; czuł, jak jej myśli popychają wskaźnik mocy poza czerwoną linię.

- Przetną nas dwadzieścia sekund przed namierzeniem celu - powiedział z roztargnieniem.

- Nie, dziesięć jeno sekund, nim twa broń w zasięgu będzie - odparła.

- Co, ty też jesteś specjalistką od elektroniki? - Wzruszył ramionami. - Do diabła z tym. Pełen ciąg, lecimy w sam środek, Jiltanith. Najpierw zajmij się bronią.

- Rzekłeś, kapitanie - mruknęła Jiltanith i myśliwiec wystrzelił w górę niczym tęskniący za domem meteor.

Przyspieszenie na sekundę wcisnęło Colina z powrotem w fotel, lecz potem pole napędu wzięło górę, a siły grawitacji gdzieś zniknęły, i poczuł, jak przez enklawę południowców przechodzi fala alarmu. Automatyczne systemy obronne już kierowały się w ich stronę, lecz systemy myśliwca były o ułamek sekundy szybsze. Nim broń zaczęła ich śledzić, ich programy defensywne już zapełniały nocne niebo fałszywymi obrazami. Potem przynęty odleciały, wyśpiewując swoją syrenią pieśń, a zakłóccze wypełniły kanały namierzające tym, co w przestrzeni złożonej uchodziło za biały szum.

Skanery stacji naziemnych były mocniejsze, a ich elektroniczne mózgi większe i bardziej sprytne niż małe komputery pokładowe, lecz znajdowały się w niekorzystnej sytuacji. Musiały rozpoznać sytuację przed znalezieniem celu; był to wyścig między nimi i ich ziemskimi kontrolerami a Colinem i systemami namierzającymi pędzącego myśliwca.

Nie było czasu do namysłu, czasu na cokolwiek poza koncentracją, a mimo to na skraju jego

świadomości błyskały kalejdoskopowe obrazy. Jaśniejsze błyski paniki, gdy zdawało się, że jedna ze stacji naziemnych niemal ich namierzyła. Potem niemożliwy korkociąg, który Jiltanith zrobiła, i ulga, gdy prześlizgnęli się, nim tamci zdołali ich namierzyć. Podniecenie wywołane tym wyścigiem. Determinacja i intensywność uczuć jego pilota. Dziki błysk satysfakcji, gdy jego własny algorytm odpalania w jakiś czarodziejski sposób nagle namierzył cel.

Poszła pierwsza salwa. Pociski zdolne do osiągnięcia prędkości nadświatłowej nie nadawały się do atmosfery; wchodząc w hiperprzestrzeń, zabierałyby ze sobą za dużo powietrza, przez co przeliczenia masy i mocy traciłyby sens, i pociski wracałyby do normalnej przestrzeni Bóg jeden wie gdzie. Pociski masowe to zupełnie co innego. Ich potężne napędy grawitoniczne pchały je do przodu, przez co przyspieszały natychmiast do sześćdziesięciu procent prędkości światła, lecz cały czas pozostawały na skraju synchronizacji fazowej. Obrona przeciwrakietowa robiła, co mogła, lecz szybkość pocisków i ich krótki zasięg powodowały, że czasu na obliczenie trajektorii było niewiele nawet dla systemów imperialnych. Colin usłyszał triumfalny okrzyk Jiltanith, gdy salwa trafiła w cel.

Noc rozświetliły kule ognia. Pociski masowe nie miały głowic, gdyż ich nie potrzebowały. Były stanami energii, a nie rakietami, czymś w rodzaju zrobotyzowanych meteorytów, spadających z olbrzymią prędkością po dokładnie określonych trajektoriach, by odnaleźć wrogie stanowiska broni.

Małe generatory tarcz osłaniających broń południowców wciąż pracowały, kiedy nadleciały pociski Colina, lecz gdyby nawet osiągnęły już pełną moc, i tak nie miałyby to żadnego znaczenia. Przez pięćdziesiąt jeden tysięcy rozbitkowie z północy nie ryzykowali eskalacji konfliktu do takiego stopnia, by otwarcie posługiwać się imperialną bronią, i południowcy uważali, że nigdy tak się nie stanie. Ich środki obronne były obliczone raczej na ziemski arsenał lub słabszy imperialny - taki, jakim rozbitkowie z północy posługiwali się w przeszłości, dlatego teraz byli całkowicie nieprzygotowani.

Podczas gdy za nimi wznosił się ku niebu jowiszowy wybuch, Jiltanith wykonała myśliwcem bezkę. Tymczasem komputery Colina już szacowały straty po pierwszym uderzeniu. Choć słabe, tarcze bazy zdążyły przed zniszczeniem przyjąć na siebie ogromną ilość energii - dość, by posiadłość nie zamieniła się w gigantyczny krater - ocalało też jedno stanowisko ciężkich dział. Stanowiło ono najpoważniejsze zagrożenie, dlatego Jiltanith zaryzykowała i zawróciła, lecąc prosto na nie niczym anioł śmierci.

Gorąco wywołane uderzeniem pierwszej salwy, w połączeniu z wysiłkami elektronicznych systemów myśliwca, uniemożliwiło systemom działa ich namierzenie - lufy prowadziły zaprogramowany wcześniej ogień zaporowy, strzelając w ten obszar, gdzie powinien się znajdować myśliwiec. Tymczasem Jiltanith nie było tam, gdzie spodziewali się jej programiści, a Colin,

odpalając kolejny pocisk, poczuł coś w rodzaju podziwu dla jej zdolności pilotowania.

Pocisk trafił w cel i kolejny wybuch ognia skaził ziemię.

Jiltanith po raz trzeci zawróciła - było to o dwa podejścia więcej niż przewidywały lub uznawały za bezpieczne ich plany - ale obrona naziemna milczała. Mimo tarcz, stanowiska obrony ziały wielkimi dziurami, a cała dolina była morzem płonącej trawy i drzew, porażonych falą ciepłą. Budynki posiadłości zmieniły się w ogarnięte ogniem ruiny, lecz najważniejsze pomieszczenia znajdujące się pod nimi wciąż były tylko lekko uszkodzone.

Jeden z gotowych do lotu myśliwców już piął się do góry, lecz Colin go zignorował. Miał mnóstwo czasu, dlatego jego ostatni strzał był wręcz podręcznikowy. Cztery pociski uderzyły w cel z dwóch stron, wznosząc ku niebu nowy strumień ognia. Nie było już tarcz, które przyjęłyby na siebie część energii, a między uderzeniem pierwszego i ostatniego pocisku upłynęły najwyżej mikrosekundy.

Strumień światła wystrzelił w niebo, gdy ziemia, kamień i ciała wyparowały w noc, a kule ognia rozděły się i zlały w jedną straszliwą całość. Płomienie ogarnęły drugi ze startujących myśliwców; wypadł stamtąd niczym iskierka z kuźni Wulkanu, a w stronę Colina pomknęła fala uderzeniowa. Potrząsnęła nimi niczym terier szczurem, lecz Jiltanith powitała ją niczym ukochanego i okiełznała jej dzikość, poddając się, a nie walcząc z nią. Wszechświat przez chwilę zatańczył jak szalony, a potem wylecieli z drugiej strony i Colin zorientował się, że kobieta wykorzystwała te straszliwe turbulencje, by umieścić ich na trasie jedyne go myśliwca, któremu udało się wyjść cało z pogromu.

Colin nie musiał oceniać skutków ostatniego ataku. Pozostał po nim jedynie wielki krater. Właśnie zabił dwieście osób... i czuł tylko zadowolenie. Zadowolenie i pragnienie, by dopaść i zestrzelić ostatni myśliwiec południowców, który uniknął ich gniewu.

Nie mieli jak się dowiedzieć, kto pilotuje tamten pojazd, czy ma pełną załogę i jakim dysponuje uzbrojeniem. Może był tam tylko pilot, może nie był nawet uzbrojony.

Colin czuł teraz tylko coś w rodzaju pozbawionej litości empatii - coś na kształt zrozumienia dla tego pojazdu. On i Jiltanith byli niezwyccięzeni, dokonywali zemsty. Uśmiechnął się i przywołał uzbrojenie powietrze - powietrze, podczas gdy gorąco szalejącej na dole burzy ogniowej nieco osłabło, a pościg zaniósł ich aż nad Pacyfik.

Jego system namierzył cel. Rozkaz przemknął łączem do komputerów i odpalono dwa pociski. Były to rakiety samonaprowadzające, wolniejsze od pocisków masowych, o prędkości zredukowanej tak, by były w stanie nadażać za manewrami celu. Te miały głowice bojowe o masie trzech kiloton, wyposażone w zapalnik zbliżeniowy. Tuż przed detonacją z zachodu nadleciał trzeci pocisk. Colin niemal zapomniał o Gębie i Tammanie; tamten myśliwiec pewnie nawet nie wiedział, że on i Jiltanith nie byli sami.

Nie było czego zbierać.

* * *

Jiltanith nie potrzebowała żadnych rozkazów. Ruszyła na zachód ze zmniejszoną prędkością i obniżonym pułapem, przesyłając część energii, by znów otulić ich niewidzialnością. Colin starannie sprawdził swoje sensory, i dopiero wtedy, gdy był pewien, że uniknęli wszystkich urządzeń wykrywających, zawrócili do domu. Wówczas włączył urządzenie komunikacyjne i aktywował implant łączy przestrzeni złożonej, którego nie odważył się używać przez ostatni miesiąc. Poczł dziwne ciche kliknięcie wewnątrz czaszki, gdy odbiorniki „Dahaka” rozpoznały i przyjęły protokoły identyfikujące jego implant.

- Rozkaz kategorii pierwszej. Bez odpowiedzi - wysłał z szybkością myśli. - Kod identyfikacji: Delta-Jeden-Gamma-Beta-Jeden-Siedem-Osiem-Theta-Dziewięć-Gamma. Priorytet alfa. Czekać na sygnał z tego myśliwca. Wykonać po przyjęciu.

Natychmiast wyłączył implant, modląc się, by niemal równie silny impuls z łączy myśliwca zamaskował go przed ludźmi Anu. Zakodowany sygnał, który przygotował wcześniej i włożył w sam środek raportu o ataku, trwał może ze dwie milisekundy. „Dahak” wreszcie miał swoje rozkazy.

Nareszcie mógł się odprężyć i skupić uwagę na wnętrzu kabiny. Nadeszła chwila, kiedy uświadomił sobie, że im się udało... i że żyją.

- Zrobione powiedział cicho, odwracając głowę w stronę Jiltanith.

- Tak, i to dobrze - odparła. Ich spojrzenia spotkały się i po raz pierwszy nie było między nimi wrogości.

- Wspaniały lot, Tanni. - Zobaczył, jak na dźwięk zdrobnionego imienia jej oczy się rozszerzają. Przez chwilę pomyślał, że posunął się za daleko, lecz wtedy ona kiwnęła głową.

- I tyś nie leń... Colin - powiedziała. i uśmiechnęła się.

Księga trzecia

Rozdział piętnasty

Colin McIntyre siedział w pomieszczeniu dla oficerów na pokładzie „Nergala” i tasował karty, ukrywając uśmiech. Obecny przy stole Horus wbijał w niego sokole spojrzenie, czekając na następny raport Hectora.

Załogi Floty Wojennej pasjonowały się różnymi dziwnymi grami losowymi, w większości elektronicznymi, lecz Horus odrzucał takie zbyt wyrafinowane rozrywki. Lubował się w grach ziemskich: brydż, kanasta, piki, kierki, euchre, blackjack, wist, pikiet, bakarat, poker... Zwłaszcza lubił grać w pokera, który z kolei nigdy nie był ulubioną grą Colina. Tak naprawdę karty interesowały go tylko jako magika - amatora, a Horus był przerażony, widząc, jak łatwo osoba ze wszystkimi imperialnymi implantami nauczyła się robić sztuczki z kartami z isticie ziemskim refleksem i szybkością.

- Przełożysz? - spytał Colin. Horus przełożył karty pięć razy.

- Ile przegraliście do tej pory? - zastanawiał się, rozdając karty. - Około miliona?

- Raczej po trzykroć tyle - odparła kwaśno Jiltanith, nie kłopotząc się, by przyglądać się jego palcom równie uważnie, jak jej ojciec.

- Podnoszę stawkę. - Szczęknęły sztony, gdy ojciec i córka przesunęli je po stole. Gdyby naprawdę grali na pieniądze, byłby miliardrem, nawet bez tej sumy, którą na żądanie Horusa musiał sobie odpisać, kiedy wyszło na jaw, że bezwstydnie oszukuje. Uśmiechnął się, a widząc to, Jiltanith parsknęła, jednak już bez dawnej wrogości.

Nadal nie czuła się przy nim swobodnie, lecz przynajmniej udawała, że tak jest, i był za to wdzięczny Hectorowi. Pułkownik omal nie obdarł ich ze skóry, kiedy wyczytał z zapisów skanerów, co zrobili, ale kiedy usłyszał, jak Jiltanith zwraca się do pilota „Colin”, w jego oczach pojawił się radosny błysk. Wprawdzie Colin obawiał się, że kiedy minie pierwsza euforia, będzie tak jak dawniej, lecz okazało się, że choć kobieta nadal darzy go niechęcią, walczy z tym, pojawiając się, przynajmniej rozumowo, że on nie ponosi winy za to, kim jest. Jej obecność przy stoliku karcianym była najlepszym tego dowodem.

Żałował, że nie można było w mniej traumatyczny sposób doprowadzić do tej zmiany, lecz miał nadzieję, że pułkownik cieszy się, iż sprawy przybrały taki obrót. Argumenty militarne przemawiające za połączeniem ich w jedną załogę były mocne, lecz aby je przeforsować, potrzeba było odwagi... a dokładniej mówiąc, jaj.

- Dwie proszę - oznajmił Horus i Colin przesunął w jego stronę dwa prostokątne kartoniki.

- Tanni? - Uniósł lekko brew, a ona się skrzywiła.

- Nie, ta karta miłością mnie darzy.

- Hmm... - Przyjrzał się z namysłem swoim kartom, po czym wziął jedną. - Ktoś podbija?

- Sto - powiedział Horus, a Jiltanith poszła w jego ślady.

- Sto i pięćset - zadeklarował uroczyście Colin. Horus łypnął na niego ze złością.

- Nie tym razem, ty chłystku! - krzyknął. - Przebijam jeszcze o sto!

- Ojczy, tyś postradał rozum - oznajmiła Jiltanith, dokładając. - Czy mus ci tracić dobry pieniądz?

- Nie mów tak do swego ojca, Tanni. - Horus sprawiał wrażenie, jakby go to rzeczywiście zabolalo, a Colin znowu ukrył uśmiech.

- Przebijam o kolejne pięćset - mruknął. Horus spojrzał na niego spode łba.

- Zaraz, przecież widziałem, jak rozdajesz karty! Nie możesz... - Stary obywatel Imperium popchnął kolejne sztony.

- Sprawdzam - rzekł ponuro. - Zobaczymy, czy teraz przebijesz!

Odślonił swoje karty - cztery walety i asa - po czym spojrzał na Colina.

- Oj, Horusie, Horusie! - westchnął Colin.

Pokręcił ze smutkiem głową i wyłożył jedną po drugiej swoje karty, począwszy od dwójki trefl, a na szóstce kończąc.

- Nie! - Horus patrzył zaszokowany na stół. - Sekwens w kolorze?!

- Dyć to wiadomym było, ojczy - westchnęła Jiltanith i w jej oczach zamigotał błysk. - Zaiste, dziwnym, iż ktoś tak umny jako ty tak rychło uczyni się biedakiem.

- Zamknij się! - rzucił Horus, usiłując zachować powagę. Zebrał karty i spojrzał na Colina. - Tym razem ja rozdaję.

* * *

- Przeklęci! Niech Niszczyciel porwie ich do piekła!

Istota, która niegdyś była inżynierem kapitanem Anu, zerwała się na równe nogi i tak mocno uderzyła pięścią w blat ciężkiego stołu, że aż zatrzeszczało. Przez chwilę patrzył na rozchodzącą się niby pajęczyna siatkę pęknięć, po czym podniósł mebel i z całej siły cisnął nim w wykonaną ze wzmocnionej stali grodzień. Stół uderzył z głośnym łoskotem i upadł na podłogę; gruby imperialny plastik zgiął się i powyginał. Patrzył na niego przez chwilę, trzęsąc się ze złości, po czym kopnął go kilka razy i odwrócił się, zaciskając pięści.

- A ty, Ganhar! Okazałeś się wspaniałym „analitykiem wywiadu”! Co możesz powiedzieć na swoją obronę?!

Ganhar czuł, że pot perli mu się na czole, lecz celowo go nie otarł, tylko wbił wzrok w sam środek piersi Anu. W takich chwilach jak ta patrzenie mu prosto w oczy było bardzo niebezpieczne. Ganhar przez ponad wiek prowadził z Kirinal wszystkie operacje Anu, a mimo to nowo mianowany szef operacji nigdy nie widział swego dowódcy tak wściekłego. W duchu przeklinał Kirinal za to, że pozwoliła się zabić. Gdyby wciąż żyła, to ona stałaby się obiektem gniewu przywódcy.

- Szefie, nie było żadnych wskazówek zapowiadających, że szykują coś takiego - powiedział, mając nadzieję, że jego głos wyraża spokój, którego wcale nie czuł. Chciał jeszcze dodać, że sam Anu widział i zatwierdził wszystkie szacunki wywiadu, lecz rozważa kazała mu zamilknąć. Z biegiem lat Anu stawał się coraz mniej przewidywalny. Przypominanie mu o jego własnych niedociągnięciach było w tej chwili wysoce niewskazane.

- „Żadnych wskazówek”! - przedrzeźniał go Anu pełnym wściekłości fałsetem. Potem wymamrotał coś pod nosem i gwałtownie wciągnął powietrze. Jego gniew zdawał się znikać tak nagle, jak się pojawił; podniósł krzesło i spokojnie na nim usiadł. Potem odezwał się niemal normalnym głosem.

- Dobrze. Spieprzyłeś to, lecz może to nie była całkiem twoja wina - powiedział i Ganhar odetchnął z ulgą.

- Ale zrobili nam krzywdę. - Do głosu szefa buntowników znów zaczął się wkradać gniew. - Przysnaję, ja też nie pomyślałem, że będą mieli dość jaj, by zrobić coś takiego. I opłaciło im się, niech Niszczyciel ich porwie!

Wszystkie oczy zwróciły się ku holomapie wiszącej nad miejscem, gdzie kiedyś stał stół. Było na niej pełno lśniących czerwonych plamek, które niegdyś były zielone.

- Cuernavaca, Fenyang i Gierłoczowko, i to wszystko jednej nocy! - parsknął Anu. - Wyposażenie nie jest tak ważne, lecz wystraszyli naszych degeneratów... a do tego straciliśmy osiemdziesięciu Imperialnych. Osiemdziesięciu! To ponad dziesięć procent naszego stanu w zeszłym miesiącu!

Jego podwładni siedzieli w milczeniu. Sami także potrafili liczyć i liczba ofiar robiła na nich duże wrażenie. Wrogowie nie zadali im takich strat od pięciu tysięcy lat, a świadomość, że pomogli im swoją pewnością siebie, jeszcze pogarszała sprawę. Wiedzieli, że ich przeciwnicy się starzeją, że czas pracuje na ich niekorzyść, dlatego nigdy nie pomyśleli, że mogą mieć dość odwagi, by po tylu latach przeprowadzić uderzenie.

Jeszcze gorszy był sposób, w jaki atak został wykonany. Otwarte użycie imperialnego oręża było druzgocącym ciosem dla ich pewności siebie i mogło doprowadzić do katastrofy. Żaden z degeneratów nie wiedział, co się stało, czuli jednak, że to coś, czego nie potrafią sobie wytłumaczyć. Spenetrowanie przez południowców większości rządów, zwłaszcza w Sojuszu Azjatyckim, wystarczało, by zapobiec pochopnym akcjom wojskowym przeciwko czysto ziemskim

przeciwnikom, lecz na Zachodzie ich kontrola była znacznie słabsza, za to determinacja ich wrogów, by podjąć takie ryzyko, była bardzo wyraźna.

A może przeciwnicy mają podstawy, by ufać w swoją zdolność kontrolowania sytuacji?, pomyślał Ganhar. O ile, bowiem południowcy mieli mocną pozycję w agencjach cywilnych, o tyle rozbitkowie z „Nergala” przebijali ich w kontaktach z żołnierzami z Zachodu.

Pierwsze raporty zawierały żądania podjęcia jakichś działań lub przynajmniej przeprowadzenia śledztwa w sprawie tego, co się stało. Ich agenci wśród cywilów zdołali stłumić wszystkie „zbyt pospieszne działania”, choć odbyło się też kilka ognistych scen. Teraz jednak wśród zachodnich wojskowych zapadła cisza. Ganhar uważał, że to złowroga cisza.

Zagryzł wargi, żałując, że nie ma lepszych źródeł w wywiadzie wojskowym, lecz był to dość zamknięty klan. Choć bardzo nie chciał się do tego przyznać, widać było, że skłonność tych z północy do traktowania degeneratów jak równych sobie zaczęła przynosić korzyści. Przez całe stulecia rozbudowywali swoją siatkę, często rekrutując chętnych zaraz po urodzeniu albo nawet jeszcze przed narodzinami. Tymczasem Ganhar i Kirinal skupili się na rekrutowaniu dorosłych, woląc pracować z osobami, których słabości były wyraźnie widoczne, lecz pojawiająca się w miarę rozwoju technologii tendencja do tworzenia niewielkich profesjonalnych instytucji wojskowych zaczynała działać na ich niekorzyść.

Wojskowe procedury badania kandydatów były przynajmniej tak samo rygorystyczne, jak u ich cywilnych odpowiedników, zaś stałe przecieki z cywilnych agencji sprawiły, że na naprawdę ważne stanowiska coraz częściej wybierano oficerów. Co gorsza, Ganhar wiedział, że rozbitkowie z północy mają mocne powiązania z tradycyjnymi rodzinami wojskowymi, których członkowie są osobami niejako urodzonymi do pełnienia tych funkcji, lecz wyśledzenie ich było zadaniem dla samego Niszczyciela.

Ganhar nie miał wyjścia, musiał korumpować oficerów zajmujących wysokie stanowiska, ryzykując, że trafi na podstawionych agentów, lub tworzyć fikcyjne tożsamości, co zawsze było niebezpieczne, nawet w przypadku zwykłych prymitywów, a co dopiero mówić o degeneratach wspieranych przez imperialne wszczepty. Dlatego wydawało mu się bardziej rozsądne, by zająć się ich cywilnymi szefami.

Miał nadzieję, że skutki takich działań nie wrócą do niego jak bumerang.

- Zatem, Ganhar? - Szorstki głos Anu przebił się do jego świadomości. - Jak sądzisz, dlaczego wyszli z ukrycia? Zakładam, że masz jakieś zdanie na ten temat.

Podczas gdy Ganhar wahał się, szukając jakiejś sensownej odpowiedzi, odezwał się inny głos.

- Może - powiedziała ostrożnie komandor Inanna - są zdesperowani.

- Wyjaśnij to - odparł krótko Anu.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Starzeją się - powiedziała cicho. - Zostało im niewiele Imperialnych. Może nawet są w gorszym stanie niż myśleliśmy. Może to ich ostatnia próba, by nas przyskrzynić, póki jeszcze w ogóle mogą się posługiwać jakąś imperialną technologią.

- Hmm... - Anu zmarszczył czoło i popatrzył na spoczywające na brzuchu mocno splecione dłonie. - Może masz rację - powiedział wreszcie - lecz to nie zmienia faktu, że zniszczyli trzy czwarte naszych głównych baz. Tylko Stwórca wie, co teraz zrobią!

- A co mogą zrobić, Szefie? - To był Jantu, oficer bezpieczeństwa enklawy. - Jedynym ocalałym wielkim celem jest Nanga Parbat, ale już ją zamknęliśmy. Oczywiście, zadali nam cios, lecz to były jedyne cele, które można było uszkodzić bronią imperialną. Gdybyśmy... - dodał, spoglądając na Ganhara - przenieśli je bliżej wielkich miast, nie odważyliby się ich zaatakować.

Ganhar zacisnął zęby. Jantu był osiłkiem i sadystą, który lepiej potrafił uciszać opornych niż myśleć, ale miał też coś w rodzaju sprytu. Zawsze proponował bardzo proste działania, i jeśli je odrzucono, mógł potem powiedzieć, iż ostrzegał, że wszystko może pójść źle. Jeśli się powiodły, zbierał całą sławę, a jeżeli ponieśli klęskę, zawsze mógł zwalić winę na kogoś innego. To on upierał się, iż należy wykorzystać miasta do osłonięcia ich baz, twierdząc, że miękkie serca przeciwników nie pozwolą im zabijać degeneratów. Oznaczało to również, że ukrycie baz byłoby znacznie trudniejsze, lecz to nie Jantu miałyby się tym zajmować.

- To nie miałyby znaczenia. - Inanna potraktowała słowa Jantu tak samo jak Ganhar; jej oczy, obecnie czarne, a nie brązowe, spoglądały twardo. - Mogliby nas zaatakować nawet wtedy, kiedy nasze bazy znaj dowwałyby się pod Nowym Jorkiem czy Moskwą.....

- Wątpię - odparł Jantu, odsłaniając zęby w czymś, co tylko przy dużej dozie dobrej woli można było uznać za uśmiech. - Przez całe...

- To nie ma znaczenia - wtrącił zimno Anu. - Liczy się tylko to, co się stało. Ganhar, jakie twoim zdaniem będzie teraz ich najbardziej prawdopodobne posunięcie?

- Ja... nie wiem. - Ganhar starannie dobierał słowa. - Nie podoba mi się cisza panująca wśród degeneratów wojskowych. To może coś oznaczać, choć nie musi. Nie mam niczego pewnego, na czym mógłbym opierać swoje przewidywania. Przepraszam, Szefie, lecz tylko tyle mogę powiedzieć.

Był przygotowany na nowy wybuch gniewu, lecz uważał, że lepiej być uczciwym niż pozwolić, by później błąd odbił się na nim. Ale nie było wybuchu gniewu, tylko lekkie kiwnięcie głową.

- Tak sądziłem - burknął Anu. - Dobrze. Ukryliśmy już większość naszych Imperialnych, a raczej to, co z nich zostało. Poczekamy jeszcze trochę z naszymi degeneratami i mniej wiarygodnymi Imperialnymi. Co do jednej rzeczy Jantu ma rację: nie mamy więcej skupisk, które

mogliby zaatakować. Zobaczymy, co te dranie teraz zrobią, nim sprowadzimy tu kogoś nowego.

Jego zwolennicy w milczeniu pokiwali głowami, a on gestem nakazał im odejść. Jako pierwszy wyszedł Jantu; Ganhar szedł kilka kroków za nim.

Widząc to, Anu uśmiechnął się, choć bez radości. Między tymi dwoma nigdy nie było przyjaźni, co powstrzymywało ich od wspólnego konspirowania, nawet za cenę pewnej nieskuteczności. Ale jeśli Ganhar znów wszystko spartaczy, nawet Stwórca go nie uratuje.

Inanna ociągała się z wyjściem, lecz kiedy Anu ją zignorował, wzruszyła ramionami i poszła za Ganharem. Wzrok Szefa spoczął na plecach wychodzącej kobiety. Była jedyną osobą, której nadal ufał, o ile w ogóle jeszcze potrafił komuś zaufać.

Wszyscy byli durniami, i to niekompetentnymi durniami, - pięćdziesiąt tysięcy lat temu zdobyliby dla niego „Dahaka”. Tylko Inanna była nieco mniej niekompetentna niż pozostali i sama zdawała się to rozumieć. Pozostali zmiękli, zapomnieli, kim są, pogodzili się z porażką ich planu. Byli na tyle ostrożni, iż nie mówili tego głośno, lecz w głębi serca już go zdradzili. Jedynie Inanna zdawała sobie sprawę z przeznaczenia, które prowadziło go ku ucieczce i zbudowaniu własnego imperium. Wkrótce niemożliwa do powstrzymania powódź zmiecie ten żaloszny świat i da mu zwycięstwo. Inanna o tym wiedziała.

Dlatego też była lojalna. Chciała być jego kochanką, podwładną lub oficerem, wszystko jedno, kim, byleby tylko dzielić z nim władzę, pomyślał ponuro. Nie żeby nie była miłą towarzyszką w łóżku, zwłaszcza, że to jej nowe ciało było na razie najlepsze, jakie miała. Próbował sobie przypomnieć, jak się nazywała ta wysoka kruczowłosa piękność, której powłoka należała teraz do Innany, choć właściwie to nie miało znaczenia.

Drzwi sali konferencyjnej zamknęły się za dowódcą. Anu skierował się w stronę prywatnego wejścia, czując, jak chroniące go systemy broni automatycznej rozpoznają jego implanty. Wszedł do swojej kajuty i popatrzył z goryczą na kosztowne meble. Owszem, są wspaniałe, lecz to zaledwie cień luksusu panującego w kwaterach kapitańskich na „Dahaku”. Zbyt długo tkwił tutaj, uwięzany, unikając przez wiele zakurzonych lat swojego przeznaczenia. Ale ono nadejdzie, to nieuniknione.

Przeszedł przez główne pomieszczenie, nie zwracając uwagi na imperialne rzeźby świetlne i cichą muzykę, bezcenne obicia, biżuterię i obrazy z ponad pięciu tysięcy lat ziemskiej historii, i spojrzął w lustro. Wokół jego oczu pojawiło się kilka drobnych zmarszczek. Jego wzrok spoczął na oprawionej w ramki holokostce przedstawiającej dawnego Anu. Był wyższy, miał szerokie ramiona i muskularną sylwetkę, lecz to ciało i tak było zaledwie żaloszną namiastką tego, do czego się urodził. Obecne ciało było coraz starsze. Pozostało mu może jeszcze jedno stulecie w kwiecie wieku, a potem trzeba będzie wybrać sobie inne. Miał nadzieję, że kiedy ten czas nadejdzie, znów będzie między gwiazdami, gdzie jest jego miejsce, i nauczy Imperium, co to słowo naprawdę

znaczy.

Jego pierwotne ciało spoczywało w śpiączce; nie spoglądał na nie od chwili, kiedy je tam złożył. Jego widok sprawiał mu przykrość, przypominał, jaki kiedyś był, jednak je oszczędzał, gdyż to było jego ciało. Nie pozwolił Inannie rozwinąć techniki umożliwiającej jego sklonowanie. Jeszcze nie. Zachowywał to sobie na inny czas, kiedy będzie celebrował ostateczny, nieunikniony triumf.

Ten dzień nadejście, obiecał swojej obcej twarzy, kiedy posiadzie przeznaczone mu królestwo, a wtedy każe sklonować swoje dawne ciało. Będzie w nim żył wiecznie, bawiąc się z gwiazdami jak zabawkami.

Zamyślony Ganhar szedł szybko korytarzem. O co tym draniom chodzi? Zmiana była fundamentalna i pojawiła się po tak wielu latach, że musiał być jakiś powód. Był wdzięczny Inannie, że się wtrąciła, ale nie mógł uwierzyć, że to była tylko desperacja. Mimo to nie miał lepszej odpowiedzi niż ona, i to go przerażało.

Westchnął. Osłonił swoje plecy najlepiej, jak potrafił, teraz mógł tylko czekać, co tamci zrobią. Niezależnie od tego, co się stało, już nie może być gorzej. Anu jest szalony, z każdym rokiem coraz bardziej, lecz z tym Ganhar nic nie może zrobić... na razie. Tylko Stwórca wie, ilu Szefer ma szpiegów i kogo uzna - albo zostanie zmuszony uznać - za zdrajcę.

Jantu prawdopodobnie codziennie modli się o coś, co mógłby wykorzystać przeciwko niemu, a nie ma żadnego sensownego powodu, aby mu to dać. Ganhar miał swoje własne plany. Podejrzewał, że inni też mają swoje tajemnice, lecz dopóki nie uciekną z tej przeklętej planety, potrzebują Anu, a jeszcze bardziej Inanny i jej zespołów medycznych. Ganhar nie miał pojęcia, dlaczego oficer bionaukowy pozostawał tak uparcie lojalny wobec tego szaleńca, lecz póki tak jest, każda próba jego usunięcia byłaby daremna i opłakana w skutkach.

Wszedł do szybu i pozwolił, by zaniósł go do jego własnego biura. Do tej pory mogły nadejść następne raporty - prowadził swoje zespoły tak twardo, że na pewno już je wyprodukowali! - a jeśli jeszcze ich nie ma, będzie mógł przynajmniej trochę się wyładować i na kogoś nakrzyczeć.

* * *

Generał sir Frederic Amesbury, kawaler wielu orderów, w tym Orderu Łaźni, Orderu Imperium i Krzyża Wiktorii, uśmiechał się sztywno do portretu króla wiszącego na ścianie jego biura. Rodowód sir Fredericka sięgał czasów króla Edwarda Wyznawcy. W przeciwieństwie do wielu urodzonych na Ziemi sojuszników „Nergala”, nie był w prostej linii potomkiem kogoś z

załogi; jego krewni po prostu pomagali żałodze od siedemnastego wieku.

Teraz, po tych wszystkich latach, zbliżał się kulminacyjny moment, a amerykański generał Hatcher zabierał się do roboty jeszcze lepiej niż sir Frederick się spodziewał. Oczywiście o nakłonienie Hatchera do współpracy należało podejrzewać Hec-ora. Sir Frederick został poinstruowany, by wspierać działania Jankesa, lecz Hatcher zadziwiająco dobrze dawał sobie radę.

Spojrzał na zegar na biurku i jego uśmiech zaczął przypominać uśmiech rekina. SAS i brytyjscy marines powinni zaatakować bazę Czerwonych Brwi w Hartlepool za mniej niż dwie godziny. Wtedy sir Frederick będzie musiał powiadomić premiera. Rada uznała, że premier to nadal człowiek niezależny, z czym sir Frederick był skłonny się zgodzić, lecz był ciekaw, czy to wystarczy, gdy ministrowie obrony i spraw wewnętrznych - którzy zdecydowanie nie byli niezależni - zażądają jego głowy.

Oberst Eric von Grau siedział w okopie. Kucający obok niego lejtnant spoglądał przez wzmacniającą światło lornetkę na drewniane domki stojące w zakolu Mozeli, lecz Grau już wszystko sprawdził. Jego dwustu starannie wybranych ludzi było całkiem niewidocznych, mógł więc zająć się innymi rzeczami. Nadstawił ucha, czekając na grzmot, i lekko się uśmiechnął.

Kiedy nadeszły rozkazy z „Nergala”, pozwolił sobie na ciche święto, a kiedy wiadomości o pierwszych trzech atakach wstrząsnęły światem, nie mógł się doczekać propozycji od Amerykanów. Niemiecki wywiad już dawno namierzył obóz treningowy Organizacji Dwunastego Stycznia, ale minister bezpieczeństwa postanowił nie działać.

Dlatego herr Trautmann nie wiedział o tym małym wypadzie, zaś armia nie zamierzała mówić o tym cywilom, dopóki sprawa nie będzie zakończona. Przełożeni Graua dostali nauczkę i od tej pory wierzyli Amerykanom z USFC bardziej niż swoim cywilnym przełożonym. Było to smutne, lecz Grau rozumiał to lepiej niż inni.

- W sam środek - powiedział cicho głos w radiu i oficer uśmiechnął się do lejtnanta Heila.

Heil wyglądał jak młodsza wersja swojego przełożonego - i nie było w tym nic dziwnego, gdyż praprababcia Graua był też praprababcią Heila - a ich uśmiech był identyczny.

Nagle rozległ się nad nimi grzmot; to myśliwce bombardujące Luftwaffe leciały na dopalaczach pięćdziesiąt metrów nad ziemią.

* * *

- Idziemy. - Major armii japońskiej, Tama Matsuo, dotknął ramienia sierżanta i obaj przemknęli za plecami członków zespołu porucznika Yamashity, korzystając z ciemności spowijającej Bangkok wygodną anonimowością. Uchwyty automatycznej wyrzutni granatów ślizgały się majorowi w dłoniach.

Skręcili za róg i zniknęli w krzakach rosnących wzdłuż kamiennego muru, aby dołączyć do czekających tam na nich ludzi.

Tama znów sprawdził godzinę. Porucznik Kagero powinien już być na stanowisku, lecz zgodnie z planem mieli jeszcze trzydzieści pięć sekund.

Major miał nadzieję, że wywiad Hectora MacMahana miał rację. Trudno było przekonać przełożonych, by zatwierdzili atak na terytorium Sojuszu Azjatyckiego bez zgody władz cywilnych, mimo że jego ojciec był szefem cesarskiego sztabu i że chodziło o zniszczenie kwatery głównej Japońskiej Armii Czystości Rasowej. Jeśli operacja zakończy się fiaskiem, jego reputacja i wpływy bardzo na tym ucierpią... zakładając, że ją w ogóle przeżyje.

Mijały kolejne sekundy. Nadal wszystko to wydawało się nieco brawurowe. Ale jeśli ktoś chce zdobyć tygrysięta, musi wejść do jaskini tygrysa. Miał tylko nadzieję, że Rada ma rację i że nie zrobi niczego, co w oczach dziadka splamiłoby jego honor.

- Teraz - powiedział cicho do mikrofonu i wnuk Tammana poprowadził swych ludzi do walki.

* * *

Pułkownik Hector MacMahan wyszedł na podwórko, gdy zamaskowany kuter osiadł na trawie w kanionie za domem. Wkrótce zaczną nadchodzić raporty, a wraz z nimi spodziewany ogień krytyki ze strony cywilów. Ludzie Anu przez wiele lat infiltrowali tych, którzy tworzyli politykę i kontrolowali wojsko, lecz nawet najwyżej z nich postawiony miałby teraz kłopoty z powstrzymaniem tego, co już się rozpoczęło.

Poczuł rodzaj podziwu dla swoich przełożonych, zwłaszcza dla Geralda Hatchera. Nie wiedzieli tego, co on, czuli tylko, że za długo trzymano ich na smyczy. Anu stał się zbyt ekstrawagancki... lub może zbyt pewny siebie.

Dawniej przenosił kwatery swoich „degeneratów” za każdym razem, kiedy zostały

odnalezione; przez ostatnich kilka lat bawił się tylko, zabraniając podejmowania jakichkolwiek działań przeciwko największym bazom lub obozom szkoleniowym. Podwładni Hatchera z wywiadu twierdzili, że lepiej obserwować kwatery główne niż je atakować, ryzykując, że znikną z pola widzenia.

Lecz ataki na trzy naprawdę duże bazy terrorystyczne - o istnieniu dwóch z nich generałowie nawet nie wiedzieli - były kroplą przepełniającą czarę. Nie wiedzieli, kto to zrobił, jak ani dlaczego, lecz wiedzieli, co tam było. To ich zadaniem było niszczenie terroryzmu, dlatego świadomość, że ktoś wykonywał za nich tę robotę, była dla nich nie do zniesienia. Na szczęście Hatcher i jego ludzie okazali się bardziej przychylni jego sugestiom niż się spodziewał.

Nie mogli zdziałać zbyt wiele w sprawie organizacji islam - skich i oficjalnie sponsorowanych grup azjatyckich, gdyż więk - szość ich baz znajdowała się w krajach wrogich ich rządowi. Lecz to, co pieniało się na ich własnym gruncie, to zupełnie inna sprawa. To zadziwiające, jak meldunki do nominalnych zwierzchników generałów, informuj ące o ich planach, nigdy nie mogły dotrzeć do adresatów.

Skoro nie mogli uderzyć w zagraniczne grupy terrorystycz - ne, MacMahan wiedział, kto może to uczynić. Nie powiedział im tego, lecz przypuszczał, że szybko się dowiedzą.

Właz otworzył się i pułkownik ostro gwizdnął. W odpowie - dzi usłyszał radosne szczekanie, gdy jego Dzwoneczek, mie - szaniec labradora i rottweilera, przebiegł obok i wskoczył do środka kutra. Trącił nosem twarz działonowej Hanalat, a potem radośnie ją polizał. Siwowłosa kobieta roześmiała się i zaczęła tarmosić miękkie uszy wielkiego psa, a tymczasem MacMahan wrzucił swoje rzeczy do kutra i sam do niego wsiadł.

Generał Hatcher kazał MacMahanowi ulotnić się na kilka tygodni, lecz chyba nie przypuszczał, że pułkownik potraktuje ten rozkaz tak dosłownie. Dowódca USFC zamierzał przyjąć na siebie cały impet uderzenia, gdy jego przełożeni dowiedzą się, w co się wpakował, lecz MacMahan przypuszczał, że owo uderzenie będzie słabsze niż generał się obawiał. Większość jego przełożonych to ludzie prawi i uczciwi, ci zaś, którzy tacy nie są, raczej nie odważą się podnieść wielkiego hałasu wobec ogólnej aprobaty, jakiej MacMahan się spodziewał.

Oczywiście, kiedy wyjdzie na jaw, jak pułkownik zniknął, jego szef dowie się, że już wcześniej wiedział o tych tajemniczych atakach. Hatcher nie jest głupi i zorientuje się, że został wykorzystany, choć to mało prawdopodobne, by nie mógł przez to spać, ale MacMahanowi nie podobało się, że musi uciekać bez wyjaśnienia mu wszystkiego. Nie miał jednak wyboru, gdyż jednej rzeczy był pewien, kiedy dowiedzą się, co się wydarzyło i jak, południowcy na pewno bardzo zainteresują się pułkownikiem marines Hectorem MacMahanem, obecnie przeniesionym do USFC.

Ale to i tak nie miało znaczenia. Jego rola prowokatora była częścią planu, celowym

odwróceniem podejrzeń od innych ludzi, a poza tym zawsze wiedział, że jego stanowisko jest bardziej niebezpieczne niż pozostałych, dlatego do tej pory był kawalerem bez rodziny. Zresztą i tak nie zdołają go odnaleźć.

Żałował tylko, że nie zobaczy twarzy Anu, kiedy się o tym dowie.

Rozdział szesnasty

Szef bezpieczeństwa Jantu odchylił się do tyłu i nucił radośnie; w zaciszu własnego biura nie musiał już udawać, przypominając sobie przebieg ostatniej odprawy.

Kiedy przyszły wieści, gniew Szefa był straszny. Tym razem częściowo się tego spodziewał, co pozwoliło mu zgromadzić odpowiednio dużo energii, ale ten biedny Ganhar...

Większość zabitych Imperialnych to byli podwładni Ganhara, a wszystko, co osłabia Ganhara, nie może być złe. Myśl, że degeneraci mogli zrobić coś tak elegancko, wywoływała rozgoryczenie, lecz niezależnie od tego, co się stało w polu, enklawa stanowi teren jego działania i pozostanie nietknięta, tak by żadne jajko nie wylądowało potem na jego twarzy. Nie, jajko trafi w Ganhara, a przy odrobinie szczęścia - no, ewentualnie z niewielką pomocą - może to okazać się dla niego tragiczne w skutkach.

To bardzo miło ze strony załogi „Nergala”, że skasowali dla niego Kirinal. Jeśli teraz zdoła pozbyć się Ganhara, może uda mu się objąć kontrolę i nad bezpieczeństwem, i nad operacjami. Oczywiście Szef może się temu sprzeciwić i wybrać nowego kierownika operacji, lecz Jantu byłby bardzo szczęśliwy, gdyby Anu kierował się przy tym logiką i uznał, że powinien wybrać kogoś innego niż Bahanthę. Nowy będzie w porównaniu z Jantu bardzo młody i tak czy inaczej, to on będzie rządził, gdy Ganhar... odejdzie.

A wtedy będzie mógł rozprawić się z samym Anu. Jantu nie pozwoliłby, aby nawet zdrowy człowiek stał mu na drodze do władzy, a na myśl o usunięciu szaleńca nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. Co więcej, można by to nawet uznać za jego obywatelski obowiązek, dlatego kiedy o tym myślał, czuł się niemal szlachetny.

Kiedy zaczął się spisek mający na celu przejęcie „Dahaka”, Jantu pojął, że Anu nie jest całkiem zdrów na umyśle. Pokonać Imperium? Śmiechu warte! Lecz mimo to był gotów iść za nim, dopóki nie opanują okrętu. Wtedy on i jego ludzie mieli wyeliminować Anu i wprowadzić w życie zmodyfikowaną wersję planu. Znacznie łatwiej będzie przemienić lojalnych członków załogi w poddanych i zbudować własne imperium w jakimś opuszczonym zakątku galaktyki, niż stawać przeciwko Imperium i w nagrodę za wszystkie swoje wysiłki zginąć.

Plan upadł, kiedy bunt się nie udał, lecz nadal były pewne szanse. Co więcej, obecna sytuacja wydawała się nawet bardziej obiecująca.

Anu i być może Inanna wciąż wierzą, że Imperium istnieje, choć gdyby tak było, jego ekspansja już dawno powinna by doprowadzić do stworzenia na Ziemi kolonii, gdyż planet nadających się do zamieszkania wcale nie było tak dużo. Według najbardziej ostrożnych obliczeń Jantu, zespoły badawcze BuKol powinny były znaleźć się tutaj już czterdzieści tysięcy lat temu.

Jeśli zatem Imperium upadło, marzenia Anu o podboju okażą się nieaktualne. A wtedy trzeba będzie zapomnieć o tym nonsensownym ukrywaniu się i otwarcie przejąć kontrolę nad Ziemią. Zademonstrowanie możliwości imperialnego uzbrojenia powinno ukorzyć nawet najbardziej krnąbrnych degeneratów. A kiedy Jantu znajdzie już odpowiednio zmotywowanych popleczników i wyjdzie z ukrycia, będzie mógł w ciągu kilku dziesięcioleci przygotować odpowiednią bazę techniczną i zacząć elegancko gromadzić całą galaktyczną władzę w swoich rękach.

Ale najpierw Ganhar, dopiero potem Anu. Z manną może być pewien problem, gdyż nadal będzie potrzebować jej medycznych zdolności, przynajmniej dopóki nie pojawi się odpowiednio przeszkolony następca, ale wciąż był pewien, że zdoła przemówić jej do rozsądku. Szkoda by było marnować tak ładne ciało, gdy2 jeśli chodzi o kształtowanie ludzkich zachowań, Jantu bardzo wierzył w skuteczność rozsądnie dawkowanego bólu.

Uśmiechnął się radośnie, nie otwierając oczu, i zaczął nucić weselszą melodię.

* * *

Ramman przyglądał się, jak ściany tunelu śmigają obok, i martwił się. Miał kod. Wystarczyło tylko zostawić go w umówionym miejscu. To proste.

I niebezpieczne. Nigdy nie powinien był na to się godzić, lecz rozkazy nie pozostawiały mu swobody wyboru. A jeśli nawet cały pomysł jest szalony, siedzi w tym zbyt głęboko, by się teraz wycofać. Doprawdy?

Wytarł wilgotne palce w spodnie i zamknął oczy. Oczywiście, że tak! Jeśli Szef dowie się, że w ogóle rozmawiał z drugą stroną, już po nim, a jego śmierć będzie tak nieprzyjemna, jak tylko Anu potrafi wymyślić.

Zacisnął zęby, rozmyślając nad gorzką ironią sytuacji, w jakiej się znalazł. Strach przed Anu popchnął go do skontaktowania się z drugą stroną w rozpaczliwej próbie ucieczki, lecz ten sam kontakt właściwie zniszczył jego szansę na ucieczkę. Najpierw Horus, a potem ta jego córeczka uparcie odmawiali mu prawa do ucieczki, nie mówiąc już o udzieleniu pomocy!

Przestał wycierać dłonie, mając nadzieję, że sienie zdradził. Powinien był wiedzieć, co się może stać. Dlaczego Horus i jego ludzie mieliby mu zaufać? Wiedzieli, kim był i gdzie był, i że taka łatwowierność mogłaby się okazać straszliwa w skutkach. Dlatego zostawili go wewnątrz enklawy, wykorzystując go, a on pozwalał się wykorzystywać. Ale jaki miał wybór? Aby przerwać jego długi żywot, wystarczyłoby, że celowo nieostrożnie nawiązałiby z nim kontakt; Anu już

zająłby się całą resztą.

Przez lata przekazał im wiele informacji, i wszystko szło tak dobrze, że niemal się do tego przyzwyczaił. Ale to było zanim powiedzieli mu o tym zadaniu. To najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek planowali! Wszyscy zginą, a on wraz z nimi.

A jeśli im się uda? Wtedy z pewnością dotrzymają danego słowa i pozwolą mu żyć, prawda?

Ale tylko wtedy, kiedy im się uda. A nie może się udać.

Może powinien powiedzieć o wszystkim Ganharowi? Jeśli pójdzie do szefa operacji i poda mu miejsce kontaktu, pomoże zwabić w pułapkę agenta Jiltanith. To z pewnością będzie to coś warte. Może zdoła przekonać Ganhara, że udawał, że to wszystko było tylko częścią złożonej gry kontrwywiadowczej?

A jeśli nie zdoła? A jeśli Ganhar po prostu przekaże go Jantu jako zdrajcę, którym zresztą był?

Wielkie wewnętrzne drzwi otworzyły się, wpuszczając kuter do samego serca enklawy. Ramman balansował na krawędzi niezdecydowania.

* * *

Ganhar przetarł zmęczone oczy i zmarszczył czoło, spoglądając na holomapę wiszącą nad biurkiem. Zielonych kropek było mniej niż zwykle, za to więcej czerwonych. Jego ludzie utrzymywali bezpośrednie kontakty z dosyć niewielką liczbą baz terrorystycznych, które stały się obiektem ataku degeneratów, lecz skutki tych uderzeń były straszne. W ciągu mniej niż dwudziestu czterech godzin trzydzieści jeden - trzydzieści jeden! - kwater głównych, obozów treningowych i koszar zostało zniszczonych podczas bezbłędnie zsynchronizowanych ataków, których skuteczność zaskoczyła nawet Ganhara. Dla jego degeneratów szok był jeszcze większy; nawet najbardziej fanatyczni radykałowie religijni czy polityczni będą musieli zastanowić się, co robić po tym ciosie, który właśnie otrzymał międzynarodowy terroryzm.

Westchnął. Jego stanowisko było poważnie zagrożone, a wraz z nim także życie, lecz mógł zaskakująco mało zrobić. Na razie ratował go fakt, że ostrzegął Anu, iż coś się szykuje, lecz taka sytuacja już długo nie potrwa.

Niezdolność jego cywilnych podwładnych do powstrzymania żołnierzy czy ostrzeżenia go o tym, że coś nadchodzi, była przerażająca. Rozbitkowie z „Nergala” musieli infiltrować armię głębiej niż się obawiał, a skoro to im się udało, co jeszcze zdołali zrobić bez jego wiedzy?

A co ważniejsze, dlaczego to zrobili? Sugestie Inanny, że to wiek skłonił ich do ataku, dopóki jeszcze mieli dość Imperialnych do obsługi sprzętu, miały pewien sens, lecz ostatnia fala ataków była dziełem wyłącznie ziemskich sił. Takie połączenie wysiłków Ziemian i Imperialnych sugerowało, że cała operacja była od dawna starannie planowana. To z kolei wskazywało na jakiś dalekosiężny cel, wykraczający poza zniszczenie barbarzyńskich sojuszników, których zawsze można zastąpić innymi.

Ganhar bez trudu doszedł do tych wniosków, ale niestety nadal nie miał żadnych wskazówek sugerujących, do czego ci dranie zmierzają. Choć bardzo naciskał na swoje źródła informacji, nie mógł znaleźć przyczyny tak fundamentalnej, gwałtownej zmiany taktyki.

Jedyną rzeczą, która udała się jego ludziom, była identyfikacja jednego z degeneratów wroga, który wcześniej nie był podejrzewany o udział w spisku. Niewiele to jednak pomogło, gdyż Hector MacMahan zniknął. Może to oznaczać, że muszą go odnaleźć, a to...

W jego głowie odezwał się dzwonek. Wyprostował się, gładząc się po karku, i wysłał mechanizmowi wjazdu mentalny rozkaz. Panel odsunął się na bok i do środka weszła komandor Inanna.

Oczy Ganhara rozszerzyły się nieco ze zdziwienia, gdyż on i oficer medyczny nie żyli ze sobą w przyjaźni - łączyła ich jedynie wspólna niechęć do Jantu - i Inanna nigdy nie odwiedzała jego prywatnych kwater. Jego mentalne czułki zdrząły, wskazał jej krzesło z epoki Ludwika XIV, stojące pod gobelinami z okresu dynastii Tang.

- Dobry wieczór, Ganhar. - Usiadła, zakładając jedną długą i kształtną nogę na drugą. Wprawdzie to nie były jej nogi, lecz ciało Ganhara też nie było „jego” w potocznym znaczeniu tego słowa, ale trzeba przyznać, że tym razem Inanna wybrała dla siebie wyjątkowo piękną powłokę.

- Dobry wieczór - odparł. Jego głos nie zdradzał żadnych uczuć, lecz ona uśmiechnęła się, jakby wyczuwając jego ogromną ciekawość. Była niezachwianie lojalna wobec maniaka i całkiem możliwe, że sama też była nieco stuknięta, lecz nie można jej było nazwać tępą czy pozbawioną wyobraźni.

- Bez wątpienia zastanawiasz się, po co tu przyszedłam - powiedziała.

Ganhar nie odpowiedział, poprzestając jedynie na łagodnym uniesieniu brwi. Kobieta roześmiała się.

- To proste. Jesteś w kłopotach, i to poważnych. Ale to już wiesz, prawda?

- Owszem, przyszła mi do głowy taka myśl - przyznał.

- Przyszło ci do głowy znacznie więcej. Tak naprawdę siedzisz tutaj i pocisz się jak świnia, bo wiesz, że tylko jeden raport dzieli cię od... - Pstryknęła palcami, a on gwałtownie zamrugął.

- Twoja troska jest wzruszająca, lecz wątpię, byś przyszła ostrzec mnie na wszelki wypadek, gdybym sam nie zauważył.

- To prawda. - Uśmiechnęła się radośnie. - Wiesz, że nigdy cię nie lubiłam, Ganhar. Szczerze mówiąc, zawsze uważałam, że przystałeś do nas z czystej chciwości, ale to by mi nie przeszkadzało, gdybym nie była pewna, że planujesz sam dojść do władzy. A to zapewne miałyby fatalne konsekwencje dla mnie i Anu.

Ganhar zamrugał, ona zaś przewróciła oczami, patrząc, jak z trudem usiłuje ukryć zaskoczenie.

- Ganhar, Ganhar! Rozczarowujesz mnie! To, że według ciebie jestem nieco stuknięta, wcale nie oznacza, że jestem jednocześnie głupia. Może nawet masz rację, co do stanu mojego umysłu, lecz powinieneś być nieco bardziej ostrożny i nie pozwalać, aby to wpływało na twoje oceny.

- Rozumiem - odparł i spojrzał na nią tak spokojnie, jak tylko mógł. - Mogę się założyć, że wytykasz mi moje błędy z jakiegoś powodu.

- Zgadza się. Zawsze wiedziałam, że jesteś mądry. - Zrobiła pełną napięcia pauzę, zmuszając go do zadania pytania, a on nie miał wyjścia, jak tylko się do tego zastosować.

- A ten powód to...

- Cóż, jestem tu, aby ci pomóc. Albo zaproponować sojusz lub coś w tym rodzaju.

Ganhar wyprostował się nieco, a w jej spojrzeniu zamiast rozbawienia pojawiła się dziwna twardość.

- Ale nie przeciwko Anu - powiedziała zimno. - To nie twoja sprawa, czy jestem szalona, czy nie, lecz wystarczy jeden ruch przeciwko niemu i już jesteś trupem.

Ganhar zadrzał. Nie miał pojęcia, na czym się opiera ta groźba, lecz nie zamierzał się tego dowiadywać. Mówiła zbyt zdecydowanie i, jak sama zauważyła, nie była głupia. Jeśli przeżyje następnych kilka tygodni, będzie musiał zmienić swoje plany, co do komandor Inanny.

- Rozumiem - powiedział po chwili milczenia. - Ale jeśli to nie jest spisek przeciwko niemu, to przeciw komu?

- Znowu zaczynasz. Spróbuj przyjąć do wiadomości, że mam, choć odrobinę rozsądku, Ganhar. To nam znacznie wszystko ułatwi.

- Jantu?

- Oczywiście. Ta łasica ma swoje plany wobec nas wszystkich. Lecz ja... - jej uśmiech stał się drapieżny - mam swoje plany wobec niego. Jantu ma problemy ze zdrowiem, lecz jeszcze o tym nie wie. I nie dowie się... dopóki nie nastąpi kolejna transplantacja.

Ganhar znów zadrzał. Transplantacje mózgu były trudnymi operacjami, nawet przy użyciu imperialnej technologii, i zawsze zdarzała się pewna liczba wypadków śmiertelnych, ale zawsze sądził, że to Anu decyduje, którym pacjentom przytrafią się komplikacje. Nie wiedział, że Inanna może to robić na własną rękę.

- Zatem - ciągnęła z zadowoleniem - musimy zdecydować, co z nim do tego czasu zrobić. Gdyby kiedyś opuścił enklawę, mógłby mieć wypadek. Czyż nie byłby to dobry sposób, by pozbyć się jego, Kirinal i jednocześnie ciebie? Jesteś szefem operacji zewnętrznych, a on twoim największym rywalem... więc kto by się nie zastanawiał, czy tego nie ukartowaliście?

- Masz ciekawy sposób przekonywania „sojusznika”, aby ci zaufał - zauważył ostrożnie Ganhar.

- Ja tylko dowodzę, że jestem z tobą szczerą, Ganhar. Czy moja otwartość cię nie uspokaja?

- Niezbyt.

- Cóż, może to mądrze z twojej strony. Jesteś bystrzejszy od Jantu - choć mniej przebiegły - i dlatego jestem całkowicie pewna, że w twoich planach wykończenia Anu... i być może także mnie... nie ma bliskiej daty egzekucji.

Uśmiechnęła się radośnie.

- Jeśli wypadniesz z gry, Jantu jest na tyle głupi, że natychmiast spróbuje przejąć władzę. To mu się nie uda, lecz on jeszcze o tym nie wie, a ja jestem pewna, że w końcu dojdzie do otwartej wojny. Jeśli tak się stanie, Anu czy ja możemy być ofiarami, a to mi się nie podoba.

- Dlaczego więc nie powiedziałaś Anu?

- Twój jedyną cechą, którą można przewidzieć, jest zdolność rozczarowywania mnie, Ganhar. Sam musisz być szalony, jeśli myślisz, że jeszcze się nie zorientowałam, jaki jest Anu. Jeśli cię to ciekawi, to zaawansowana paranoja, którą komplikuje megalomania. A skoro jesteśmy ze sobą tak bardzo szczerzy, przyznam, że w takich sytuacjach jak ta dzięki paranoi można przeżyć.

- Prawdopodobnie jestem jedyną osobą, której Anu w ogóle ufa, i to tylko dlatego, że bardzo starannie unikałam zaplątania się w jakiekolwiek wasze gierki. Jeśli uprzedzę go o planach Jantu, zacznie się zastanawiać, czy w takim razie nie postanowiłam przyłączyć się do ciebie. Anu nie słynie z umiarkowania, a najprostszym rozwiązaniem byłoby zabicie całej naszej trójki. To też mi się nie podoba.

- Dlaczego więc nie...

- Uważaj, Ganhar! - Nachyliła się w jego stronę. Jej oczy były twarde jak dwa czarne opale, a cichy głos przypominał syk. - Bardzo, bardzo uważaj, co mi proponujesz. Oczywiście, że mogłabym, w końcu jestem jego lekarzem. Lecz nie zrobię tego ani teraz, ani nigdy. Pamiętaj o tym.

- Ro... rozumiem - powiedział, oblizując nerwowo usta.

- Wątpię. - Wzrok Inanny nieco złagodniał, i to przeraziło

Ganhara bardziej niż jej zaciętość, lecz ona pokręciła tylko głową.

- Wątpię - powtórzyła - lecz to nie ma znaczenia. To, co jest istotne, to fakt, że masz sojusznika przeciwko Jantu, przynajmniej na razie. Oboje wiemy, że twoja sytuacja może się

pogorszyć, lecz zrobię wszystko, co będę mogła, aby podczas spotkań odsunąć od ciebie wszystkie oskarżenia; może nawet cię poprę, gdy zbuntujesz się przeciwko Jantu. Może nie zawsze bezpośrednio, lecz na pewno tak zrobię. Chcę, abys był w pobliżu i objął dowodzenie, kiedy zaczniemy odbudowywać naszą siatkę operacyjną.

- Chcesz powiedzieć, że mam być w pobliżu, bo nie chcesz, aby Jantu doszedł do władzy, tak? - spytał Ganhar, spoglądając jej prosto w oczy.

- Tak, ale to jest to samo, prawda?

To zdecydowanie nie było to samo, lecz Ganhar wolał bardziej nie naciskać. Inanna spojrzała mu głęboko w oczy, po czym kiwnęła głową.

- Widzę, jak twój mózdek pracuje - powiedziała oschle. - To dobrze. Radzę ci jak jeden sojusznik drugiemu: przyjdź do Anu z jakąś konkretną radą. To nie musi koniecznie być skuteczne, lecz przyda się odrobina przemocy. On to lubi. Sugestia, aby się odgryźć... albo w ogóle coś zrobić... zawsze działa na megalomanów.

- Ja... - Ganhar przerwał i wziął głęboki oddech. - Inanna, I nie zamierzam sugerować, abys coś Anu zrobiła. Masz rację, nie rozumiem cię, lecz akceptuję to i będę o tym pamiętał. Ale czy nie obawiasz się, że mogę coś zrobić z tymi wiadomościami, które właśnie od ciebie usłyszałem?

- Pewnie, że nie! - Rozsiadła się wygodnie na krześle. - Oboje wiemy, że właśnie przewróciłam wszystkie twoje kalkulacje do góry nogami, lecz jesteś przecież mądrym chłopcem. Gdybyś miał kilkadziesiąt lat na przemyślenie tego, zrozumiałbyś, że nie zrobiłabym tego, gdybym wcześniej nie podjęła odpowiednich środków zaradczych, nie sądzisz? Chodzi mi o to, że świadomość, iż niezależnie od tego, czy jestem wariatką, czy nie, zabiję cię, gdy zaczniesz stanowić zagrożenie dla Anu lub dla mnie, z pewnością wpłynie na twoje rozumowanie.

- Sądzę, że można to w ten sposób ująć.

- Zatem moja wizyta nie była stratą czasu, prawda? - Wstała i ruszyła w stronę drzwi, prowokując go ruchami jej doskonałego ciała. Potem zatrzymała się i niemal kokieteryjnie spojrzała przez ramię.

- Och, niemal zapomniałam. Chciałabym cię ostrzec przed Bahanthą.

Ganhar zamrugał. Przed Bahanthą? Była jego starszą asystentką, a kiedy zastąpił Kirinal, stała się numerem dwa w wydziale operacyjnym; była jedną z niewielu osób, którym można było zaufać. Te myśli musiały się odbić na jego twarzy, gdyż Inanna pokręciła głową.

- Ach, ci mężczyźni! Nawet nie wiesz, że chodzi do łóżka z Jantu, co? - Roześmiała się radośnie, widząc jego zaskoczenie.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Oczywiście. Jantu kontroluje oficjalne kanały bezpieczeństwa, lecz ja kontroluję bionauki, a to znacznie lepszy system szpiegowski niż ten, którym on dysponuje. Powinieneś o tym pamiętać.

Sądzę, że dobrze byłoby przygotować dla niej jakieś małe nieszczęście. Wypadek byłby jak najbardziej na miejscu. Taki, który nie skierowałby podejrzeń na ciebie; wystarczy, by trafiła do izby chorych. - Jej drapieżny uśmiech skojarzył się Ganharowi z zębataą ziemską piranią.

- Rozumiem - powiedział.

- To dobrze - odparła i wyszła lekkim krokiem z jego gabinetu. Właz zamknął się, a Ganhar popatrzył tępo na mapę. To zadziwiające. Właśnie zyskał potężnego sojusznika, dlaczego więc czuje się znacznie gorzej?

* * *

Abu al-Nasir, który przez ostatnie dwa lata starał się nie myśleć o sobie jako o Andrew Asnanim, siedział w tylnej części kutra i ziewał. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy oglądał bardzo wiele imperialnej technologii, ale mimo to jego ciekawość była niezaspokojona, gdyż w przeciwieństwie do większości ziemskich potomków rozbitków z północy, nigdy nie widział „Nergala” ani nie spotkał żadnego z tamtych Imperialnych, a w każdym razie nic o tym nie wiedział. W połączeniu z jego semickim dziedzictwem czyniło go to idealnym kandydatem do roli, którą właśnie odgrywał. Był jednym z nich, a jednak nie był z nimi związany ani więzami krwi, ani relacjami rodzinnymi, niezależnie, więc od tego, jak głęboko południowcy będą szukali, niczego nie znajdą.

Oznaczało to zarazem, że dorastał, nie będąc świadom prawdy, dlatego szok towarzyszący temu odkryciu był jednym z najbardziej traumatycznych doświadczeń jego życia. Dało mu to jednak zarówno możliwość dokonania zemsty, jak i szansę stworzenia czegoś nowego na gruzach swego życia, a zatem więcej niż mógł kiedykolwiek marzyć.

Znowu ziewnął, przypominając sobie ten wieczór, gdy cały jego świat się zmienił. Wiedział, że wydarzy się coś szczególnego, ale jego oczekiwania wypadły stanowczo zbyt błado wobec rzeczywistości. Pułkownicy USFC z reguły nie zapraszali sierżantów szacownej osiemdziesiątej drugiej dywizji powietrznodesantowej na spotkanie w środku nocy, w samym sercu lasów północnej Karoliny, nawet, jeśli ten sierżant poprosił o przydzielenie go do jednostek antyterrorystycznych USFC, jeżeli w powietrzu nie wisało coś bardzo dziwnego.

Tymczasem jego podanie wcale nie zostało rozpatrzone, gdyż oficjalnie USFC nigdy go nie zobaczyło. Pułkownik MacMahan usunął podanie ze swoich komputerów i gdzieś schował, gdyż miał dla sierżanta Asnani specjalną propozycję. Bardzo specjalną, która może wymagać poświęcenia swego życia.

Al-Nasir musiał przyznać, że pułkownik doskonale potrafił oceniać ludzkie charaktery. Matka młodego Asnaniego, jego ojciec i młodsza siostra szli akurat ulicą New Jersey, kiedy wybuchła bomba Czarnej Mekki, dlatego kiedy usłyszał propozycję pułkownika, był gotów ją przyjąć.

Zaaranżowany tragiczny w skutkach skok treningowy pozwolił usunąć Asnaniego ze wszystkich baz danych i rozpoczęło się jego prawdziwe szkolenie. USFC nie miało z tym nic wspólnego, minęło jednak trochę czasu, nim Asnani się w tym zorientował. Nie domyślał się też, że wyczerpujący trening był jednocześnie sprawdzianem jego umiejętności i charakteru, aż do chwili, kiedy ludzie, którzy go zwerbowali, powiedzieli mu prawdę.

Gdyby powiedział mu o tym ktoś inny niż Hector MacMahan, nie uwierzyłby, nawet mimo technologicznych cudeniek, które pułkownik zaprezentował. Kiedy jednak zrozumiał, kto tak naprawdę go zwerbował i po co, i że jego rodzina to zaledwie trzy osoby spośród milionów zamordowanych przypadkowo w ciągu wielu stuleci, był gotów. Dlatego gdy USFC rozpoczęło operację „Odyseusz”, człowiek, który był teraz Andrew Asnanim, został do niej włączony. Wiedział o tym jedynie sam Hector MacMahan.

Kuter zaczął schodzić do lądowania, zaś Abu al-Nasir, zastępca szefa operacji Czarnej Mekki, przygotowywał się do powitania ludzi, którzy go tutaj wezwali.

* * *

- Poza tym, że mamy w środku tylko jednego człowieka wszystko zdaje się iść dobrze - powiedział Hector MacMahan.

Jiltanith weszła za nim do pomieszczenia dla oficerów, kiwnęła Colinowi głową i usiadła ze swoją kocią gracją.

- Na razie - rzekł McIntyre. - Czego ty i Tanni spodziewacie się teraz?

- Trudno powiedzieć - przyznał Hector. - Do tej pory ściągnęli większość swoich ludzi i, co jest logiczne, siedzą tam stłoczeni, usiłując wszystko przeczekać. Z drugiej strony im dłużej wykorzystujemy naszych Imperialnych w polu, tym większą dajemy im szansę podążenia śladem któregoś z nich do nas, dlatego prawdopodobnie podrzucą nam kilka osób na pożarcie. Będziemy musieli ich przejąć, aby sądzili, że ich plan się sprawdza. Uruchomiłem już pewne działania operacyjne. Wszystko idzie według planu, lecz wciąż jeszcze wiele zależy od szczęścia i wyczucia czasu.

- Dlaczego czuję się nieszczęśliwy za każdym razem, kiedy używasz słów „logiczne” i

„szczęście”?

- Gdyż wiesz, że południowcy nie mogą zostać zbyt ściśle okrażeni, a jeśli tak się stanie, musimy wykonać wszystko z ogromną dokładnością, żeby się udało.

- Słusznie Hector prawi, Colin - powiedziała Jiltanith. - Jasnym jest, że Anu zmysły postradał, lecz czy znaczy to, iż sądzić nam głębiej szaleństwa? Dumam, że jego kompani także z umu zesзли, inaczej już dawno by go władzy pozbawili. Wielka to by była nierozumność sądzić, iż szaleńcy ich radami władają, lecz jeszcze większa sądzić, że tak nie czynią. A jeśli tak jest, tedy nikt poza szaleńcami ich planów przewidzieć nie zdoła.

- Rozumiem, lecz czy już tego nie próbowaliśmy?

- Prawda. I jako rzekł Hector, jasnym jest, że ruch jakowyś między jego sługami się począł. Szalony czy zdrów, Anu wielkiego wyboru nie ma. Widać, że jego wabiki na nasz ogień wystawione będą, wydaje się także, że Hector dobrze wytropił ścieżki ich myślenia. Prawda jednak, że jeden fałszywy ruch prowadzi na nas zagładę. Szczerze rzekłszy, nie lękam się tego, Hector słusznie myśli. Póki wszystko leży w jego rękach wspomaganych jego myślą, mało możliwe, iżby nasz plan wspaniały źle poszedł.

- Oszczędź mi pochwał - odparł sucho Hector. - Pamiętaj, że mam tam tylko jednego człowieka, i nawet, jeśli sam pomysł się sprawdza, nadal możemy oberwać.

- Jasne, lecz tyś zawsze miał umysł bystry, nawet dziecięciem, cny Hectorze. - Uśmiechnęła się, czochrając włosy swego bratanka; oficer zapomniał o swojej zwykłej szorstkości i odpowiedział jej uśmiechem. - Czyż nie zawsze tak było? Nic drogiego nie przychodzi bez ryzyka. Jednakowoż po mojemu w małych rzeczach możemy się pomylić, a nie w wielkich.

- Na przykład? - spytał Colin.

- To zależy od zbyt wielu czynników, by o tym mówić - odparł Hector. - Mało prawdopodobne, by mogli nam wyrządzić wiele szkód, lecz sam jesteś wojskowym, Colin. Jakie jest pierwsze prawo wojny?

- Prawo Murphy'ego - stwierdził ponuro pilot.

- No właśnie. Zabezpieczyliśmy się najlepiej jak można, lecz pozostaje faktem, że wszystko stawiamy na parę Ramman i Ninhursag oraz jedną kartę - naszego człowieka wewnątrz Czarnej Mekki. Nie wiemy, jakie karty ma Anu, lecz jeśli zdecyduje się wyłożyć je na stół albo po prostu spasuje na kilka lat, wszystko się rozleci.

- Na miłość boską, oszczędź mi tych pokerowych metafor!

- Przepraszam, ale one tutaj pasują. Najważniejszym czynnikiem jest stan psychiczny Anu. Jeśli nagle oprzytomnieje i zdecyduje się nas ignorować dotąd, aż sami odejdziemy, przegramy. Wyrządziliśmy mu dość szkód, aby się trochę zdenerwował, ale musimy uważać, aby nie stał się zbyt podejrzliwy. Musimy zadać mu tyle strat, by go skłonić do wyjścia dla poczynienia napraw,

lecz jednocześnie trzeba mu pozwolić, aby poczuł się na tyle pewnie, by wyjść. Oznacza to, że teraz, gdy cały jego najważniejszy personel zaszył się pod ziemią, musimy zaatakować kilka jego przynęt, a potem się zwinąć, gdy stanie się jasne, że nasze ataki są coraz rzadsze.

- No cóż - Colin usiłował zachować pewność siebie i jednocześnie ostrożność - jeśli komukolwiek może się to udać, to waszej dwójce.

- Dzięki - powiedział Hector, a Jiltanith kiwnęła głową.

* * *

Przysadzista kobieta o oliwkowej skórze siedziała spokojnie w kutrze, lecz jej oczy patrzyły bystro i z ciekawością. Wokół niej siedzieli zarówno Ziemianie, jak i Imperialni, i trzeba było okazywać im odpowiednią dozę zainteresowania.

Ninhursag nigdy nie uważała siebie za aktorkę, lecz teraz nią była, a fakt, że przeżyła aż do tej pory, był wystarczająco dobrą recenzją odgrywanej przez nią roli.

Mieszkała w enklawie krótko i nie wracała do niej przez ponad sto lat. Sądziła, że każdy człowiek urodzony na Ziemi i ściągnięty do enklawy musi być ważny, stąd jej ciekawość była logicznie uzasadniona. Cała sztuczka polegała jednak na tym, by okazywać ciekawość bez dawania powodu do podejrzeń, iż wie, że przynajmniej jeden z nich jest kimś więcej niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Instrukcje nie wspominały o ziemskich sojusznikach, lecz nie miałyby sensu, gdyby nie było żadnych kurierów. Gdyby zaś mieli nimi być Imperialni, równie dobrze mogłaby sama zanieść te informacje.

Jednocześnie wiedziała, że jako osoba, która nie należy do najbliższego kręgu sojuszników Anu, jest podejrzana, dlatego pewna doza nerwowości również była naturalna. Mimo to okazywanie zbyt wielkiego zdenerwowania mogło być gorsze niż nieokazywanie go w ogóle. Swoim zachowaniem musi pokazywać, iż wie, że jest podejrzana, lecz jest zbyt zastraszona, by takie podejrzenie było usprawiedliwione.

Prawdę mówiąc, to ostatnie było najtrudniejsze. Przerażenie na widok tego, co Anu i Inanna uczynili z innymi buntownikami biednymi, bezradnymi, prymitywnymi istotami zamieszkującymi tę planetę, zmieniło się w zimną, zaciekłą furję, której nie chciała powstrzymywać. Kiedy dowiedziała się, że Horus i reszta załogi „Nergala” opuścili Anu i zamierzają z nim walczyć, jej pierwszą myślą było przystać do nich, jednak przekonali ją, że bardziej przyda im się wewnątrz organizacji Anu. Bez wątplenia było to podyktowane ostrożnością - nie ufali jej całkowicie i chcieli uniknąć infiltracji własnych szeregów - ale to naturalne. Jeśli jej się nie podoba, może odejść i

zniknąć, ukryć się przed obiema frakcjami.

Bezczyńność była jednak nie do pomyślenia, dlatego została niezbyt cieszącym się zaufaniem szpiegiem „Nergala”, w pełni świadomym ogromnego niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Przerazenie już od dawna było elementem jej życia, lecz to nie ono miało teraz nad nią władzę. Dostała się pod panowanie całkiem innej emocji: nienawiści.

Nagły wybuch przemocy zaskoczył ją tak samo, jak wszystkich lojalnych wobec Anu, lecz w zestawieniu z dziwnymi instrukcjami, jakie otrzymała od Jiltanith, zaczynało to mieć przerażający sens. Był tylko jeden powód, dla którego wrogowie Anu chcieliby kodów wejścia.

Wolała nie zastanawiać się, w jaki sposób wyniosą je z enklawy, gdyż tego, czego nie wiedziała albo się nie domyślała, nie można było potem z niej wydusić. Zaskoczyła ją własna szalona brawura; choć plan wydawał się pozbawiony nadziei, była gotowa do działania.

Kuter zaczął opadać; poczuła łaskotanie implantów, jakby czekały na tę chwilę, kiedy będą mogły wykraść klucze do fortecy Anu.

Rozdział siedemnasty

Wnętrzem ogromnego okrętu niepodzielnie władaly cisza i mrok. Oświetlone były tylko sekcje hydroponiczne, parki i atria, lecz cała struktura pulsowała elektroniczną świadomością istoty zwanej Dahakiem.

Dobrze, pomyślał komputer, że nie jest człowiekiem, gdyż na jego miejscu człowiek mógłby oszaleć, ale z drugiej strony człowiek zacząłby działać, nie czekając na Colina McIntyre'a.

Nie był człowiekiem, nie miał pewnych ludzkich cech, gdyż nie zostały w niego wbudowane, ale jego główne oprogramowanie było heurystyczne, inaczej nie rozwinąłby koncepcji, ja", która odróżniałaby go od starego komputera głównego. Nie dokonał jeszcze całkowitej przemiany w człowieka, jednak bardzo się do tego zbliżył, a być może pewnego dnia zdecyduje się na kolejny krok. Komputer zastanawiał się, czy zdolność przewidywania takiej możliwości stanowi zaczątek jego wyobraźni.

Było to ciekawe pytanie, nad którym mógłby spędzić wiele czasu, lecz na które nie znalazłby odpowiedzi. Był wytworem intelektu i elektroniki, a nie intuicji i ewolucji, i nie miał żadnych podstaw do odczuwania jakichkolwiek ludzkich cech i emocji. Wyobraźnia, ambicja, współczucie, litość, empatia, nienawiść, tęsknota... miłość - to słowa, które znalazł w swojej pamięci po przebudzeniu i których definicje mógł recytować bez wahania, ale i bez głębszego zrozumienia.

Mimo to... w jego pozbawionym duszy rdzeniu pojawiły się pewne wątpliwości. Czy ta zimna determinacja, by zniszczyć buntowników i udaremnić wszystkie ich działania, stanowi tylko odzwierciedlenie rozkazów o priorytecie alfa dawno zmarłego Druagi? A może ta determinacja jest również jego, Dahaka?

Jedno wiedział na pewno: przez sześć miesięcy dowodzenia przez Colina McIntyre'a uczynił znacznie większe postępy w rozumieniu, a nie tylko prostym definiowaniu ludzkich emocji, niż podczas poprzedzających je pięćdziesięciu dwóch tysiącleci. Po prostu do jego samotnego wszechświata wdarła się inna istota, ktoś, kto go traktował nie jak maszynę, nie jak zdolną do mówienia część okrętu, lecz jak osobę.

To było coś nowego i przez tych kilka tygodni, jakie upłynęły od wylotu Colina, Dahak odtwarzał sobie każdą ich rozmowę, każdy gest, analizował niemal każdą myśl, jaka pojawiła się lub mogła się pojawić w głowie jego dowódcy. Czuł jakiś dziwny przymus, który nie powstał na skutek jakiegoś rozkazu i nie poddawał się analizie żadnego programu diagnostycznego. To też było czymś nowym.

Dahak przejrzał najnowsze rozkazy o priorytecie alfa, tworząc, tak jak mu kazano, nowe

modele i nowe projekty w świetle odkrycia wśród buntowników nowej frakcji. Ćwiczenie swoich zdolności dawało mu coś, co jego zdaniem człowiek mógłby nazwać radością.

Ale część tych rozkazów była bardzo niepokojąca. Rozumiał i akceptował zakaz udzielania kapitanowi dalszej pomocy albo podejmowana jakichkolwiek bezpośrednich działań, zanim buntownicy z północy nie zaatakują tych z południa, by nie zdradzić swoich obecnych możliwości. Lecz rozkaz, by w przypadku śmierci Colina skontaktować się z przywódcami buntowników z pomocy i oddać się pod rozkazy jakiegóż

2Jiltanith oraz dzieci innych buntowników... Tego rozkazu posłucha tylko dlatego, że musi, a nie dlatego, że chce.

Że chce. Czy myślący komputer ma prawo czegoś chcieć? Gdyby przedstawił swoim programistom jakąś prośbę, byliby przerażeni. Woleliby go wyłączyć, wyczyścić pamięć, zaprogramować na nowo od zera.

Lecz Colin tak nie robi. I właśnie to, jak uświadomił sobie Dahak w pierwszym przeblysku intuicji, jakiego doświadczył, jest powodem, dla którego nie chce wypełnić jego rozkazów. Jeśli będzie musiał, będzie to oznaczać, że Colin nie żyje, a Dahak nie chciał, by Colin zginął, gdyż był kimś znacznie ważniejszym dla jego komfortowego funkcjonowania niż komputer kiedykolwiek przypuszczał.

Był przyjacielem, pierwszym przyjacielem, jakiego miał Dahak. Na tę myśl przez ogromny molekularny obwód jego potężnego intelektu przeszło nagle drżenie. Miał przyjaciela i rozumiał pojęcie przyjaźni. Może w niedoskonały sposób, lecz czy sami ludzie rozumieją przyjaźń w sposób idealny? Bynajmniej.

Choć jego pojmowanie mogło być niedoskonałe, sama idea miała porażającą skuteczność. Przyjął ją, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, a wraz z nią wszystkie inne „ludzkie” emocje, przynajmniej na swój sposób. Wraz z przyjaźnią przyszedł, bowiem lęk - lęk o przyjaciela w niebezpieczeństwie - i zdolność do nienawidzenia tych, którzy mu zagrażają.

Ta przyjaźń, myślał wielki komputer, nie jest czymś zbyt przyjemnym. W zimnej, intelektualnej obojętności jego zbroi pojawiło się pęknięcie - nie całości, lecz częściowe - i po raz pierwszy od pięćdziesięciu tysięcy lat bezradność wobec własnej ogromnej siły ognia była czymś prawdziwym i bolała. No właśnie, oto kolejne ludzkie pojęcie: ból.

Potężny ukryty okręt płynął naprzód po niekończącej się, milczącej i ciemnej orbicie, bez załogi, lecz pełen życia. Miał świadomość i obawy, a także nowy, bardzo osobisty cel, gdyż potężny elektroniczny intelekt nauczył się troski o innych... i wiedział o tym.

* * *

Ulicami Teheranu przekradał się mały oddział. Ich czarne obcisłe stroje świadczyły o cudzoziemskim pochodzeniu. Gdyby ktoś ich zobaczył, bez wątpienia uznałby ich za wysłanników „Wielkiego Szatana”, lecz nikt ich nie widział, gdyż tej nocy w Teheranie działały techniczne cudeńka Czwartego Imperium.

Tamman zatrzymał się na rogu, czekając na powrót swego zastępcy. W osłonie przenośnego pola maskującego czuł się ślepy i głuchy, miał świadomość, że Ziemianin może być w czymś lepszy niż on. Tamman nie pamiętał, kiedy nie „widział” i nie „czuł” w pełni swego elektromagnetycznego i grawitonicznego środowiska. Miał wrażenie, że jest niekompletny, niemal okaleczony, nawet z dopalaczami zmysłów, kiedy musiał polegać wyłącznie na swoich naturalnych zmysłach. Prowadzenie zwiadu nie było zadaniem dla kogoś, kogo poczucie pewności siebie zostało mocno zachwiane, niezależnie od tego, jak czuły może być jego wzrok i słuch.

Sierżant Amanda Givens pojawiła się znikąd cicho jak nocny wiatr i kiwnęła mu głową. Powtórzył jej gest, po czym ruszył za nią wraz z pozostałymi pięcioma członkami zespołu.

Tamman był wdzięczny, że Amanda jest tutaj. Była wyjątkowa: potomek w prostej linii jednego z członków załogi „Nergala” i podobnie jak Hector, do niedawna członek USFC. Przypominała Tammanowi Jiltanith; nie zewnętrznie, gdyż była tak samo przeciętna, jak Tanni piękna, lecz wiecznym napięciem i wewnętrzną siłą. Fakt, że jej ludzkie zmysły i umiejętności były słabsze niż Imperialnych, wcale nie zachwiały jej wiarą w siebie. Gdyby tylko można było wyposażyć ją w implanty, pomyślał. Nie była ładna, lecz czuł do niej coś więcej niż tylko zwykłe zainteresowanie, więcej niż czuł do jakiegokolwiek kobiety od czasów Himeko.

Zatrzymała się tak gwałtownie, że niemal na nią wpadł; odwróciła się i wyszczerzyła do niego z naganą. Zmusił się do uśmiechu, choć czuł się mocno... ograniczony. Gdyby mu dali imperialny myśliwiec i pół tuzina wrogów, czułby się jak w domu; tu był całkiem obcy, jak ryba wyjęta z wody, i był tego świadom.

Amanda wskazała ręką dwupoziomowe budynki, które były ich celem, i Tamman kiwnął głową. Obecny reżim przekazał Czarnej Mekce na siedzibę dawny teren brytyjskiej ambasady; musiało ich urazić, że stare budynki ambasady amerykańskiej przejęło główne skrzydło Islamskiego Dżihadu.

Tamman wydał gestami rozkazy pozostałym członkom zespołu; rozproszyli się, kryjąc się za zewnętrznym kręgiem zbudowanym z worków z piaskiem. Przypomniawszy sobie zjadliwe przemówienia Czarnej Mekki, które wychodziły z tego miejsca i szły w świat ich wrogów. Miejsce to zawsze było obsadzone przez żołnierzy „gotowych bronić swej wiary krwią” przed nieustannie

zagrożającymi im Wielkimi Szatanami. Rzecz jasna, żaden członek Czarnej Mekki nie wierzył, że jakkolwiek przeciwnik zdoła ich tutaj osiągnąć.

Jeszcze raz skontrolował swoją grupę. Wszyscy byli ukryci, więc uniósł karabin energetyczny. Jego podwładni byli Ziemianami, wyszkolonymi do takich misji przez własne rządy albo ludzi takich jak Hector i Amanda. Mieli odpowiednie umiejętności i z morderczą skutecznością posługiwali się każdą ziemską bronią, lecz jeszcze groźniejsi byli teraz, mając nową broń. Żaden z nich nie był na tyle silny, by nosić broń energetyczną, nawet takie zmniejszone egzemplarze jak jego, ale inżynierowie z „Nergala” w ciągu stuleci wyspecjalizowali się w pomysłowych adaptacjach. Owoce ich pracy były tutaj, gdyż Hector chciał, by Anu dokładnie wiedział, kto stoi za tym atakiem.

Tamman wcisnął guzik i noc eksplodowała.

Morderczy promień zakłócenia grawitonicznego uderzył w worki z piaskiem otaczające bramę, rozerwał plastikowe opakowania, wypełniając powietrze drobnymi ziarenkami, i przeciął na pół zaspanych strażników. Ich wnętrzości zmieszane z piaskiem ozdobiły mur czerwonym błotem... ale tylko do chwili, gdy uwolniona z broni furia przebiła się także przez ten mur.

W powietrze wzbil się kamienny pył. Kawalki cegieł i zaprawy sypały się jak grad, gdy Tamman przesuwiał promieniem niczym kosą, siejąc wokół zniszczenie, aż karabin energetyczny nagrzał się niebezpiecznie w jego rękach. Tamman był potężnym, wysokim mężczyzną, dobrze wyćwiczoną masą mięśni. Wiedział, że nigdy nie otrzyma pełnego zestawu implantów, dlatego wręcz fanatycznie ćwiczył, dzięki czemu był w stanie posługiwać się zmniejszoną wersją karabinu energetycznego. Karabin był cięższy od większości wykonanych przez ludzi rodzajów broni, lecz lżejszy od oryginalnego imperialnego oręża dzięki oszczędnościom w systemach odprowadzania ciepła. Był przez to znacznie słabszy, a do tego w tej chwili Tamman eksploatował go do maksimum, omiatając ogniem cały teren bez puszczenia przycisku.

Zewnętrzny mur zawalił się, ściany najbliższych budynków eksplodowały pyłem i kawałkami szkła. Światło zamigotało i zgasło, wysyłając fontanny iskier, gdy kable zaczęły trzaskać niczym bicze. Pojawiły się niewielkie pożary. Tymczasem energia wciąż uderzała w budynki, przedzierała się przez ściany, jakby to były papierowe chusteczki.

Ostre brzęczenie ostrzegło Tammana przed przegrzaniem przeciążonego obwodu i wreszcie puścił przycisk.

Nocny wiatr niósł przeraźliwe krzyki rannych, w ciemnościach powoli waliły się budynki. Na wpół ubrane postacie miały się szaleńczo; zaskoczenie malujące się na ich twarzach było wyraźnie widoczne w noktowizyjnych lornetkach. Systemy zabezpieczające Czarnej Mekki nadal niczego nie wskazywały, a straszne milczenie karabinu energetycznego tylko potęgowało zaskoczenie, lecz prawdziwy koszmar dopiero się zaczynał.

Trzy oparte na ramionach karabiny grawitacyjne wystrzeliły i ich pociski przecięły podwórze. Odgłos ich odpalania nie był głośniejszy od syku, który zgiął w łoskocie mknących z ponaddźwiękową prędkością pocisków, nie było też płomienia wylotowego. Co piąta salwa morderczych pocisków była tym razem uzbroi ona. Potem odezwały się granatniki.

Nie było wybuchów, gdyż strzelały imperialnymi granatami wypaczeniowymi, które działały z morderczą elegancją. Były to małe generatory hipernapędu, nie większe od pięści. Tam, gdzie lądowały, stawały się ośrodkiem pola przenoszącego; wszystko w promieniu dziesięciu metrów po prostu znikło w hiperprzestrzeni z klaśnięciem implodującego powietrza, i to na zawsze.

Znikały kawałki chodnika i kamieni - na ten widok wrzeszczący terroryści po prostu oszaleli - a wraz z nimi znikali ludzie. Niemal całkowita cisza, w jakiej odbywała się ta rzeź, była ponad ich wytrzymałość. Zbrodniarze rzucili się do panicznej ucieczki, ginąc od ognia wciąż strzelających karabinów grawitacyjnych, a gdy Amanda Givens uruchomiła wreszcie swoją broń, straszliwy koszmar osiągnął szczyt.

Kiedy rzuciła w sam środek tłumu granat plazmowy, zrobiło się jasno jak w południe; na jedną straszliwą chwilę pojawiło się jądro Słońca. Była to czysta energia, topiąca nawet kamień i pochłaniająca samo powietrze; promieniowanie cieplne, które zamieniało uciekających w żywe pochodnie, podpałało ruiny i oślepiało tych, którzy na to patrzyli.

A kiedy blask zniknął równie szybko, jak się pojawił, atak się zakończył. Garstce ocalałych terrorystów pozostał tylko szum płomieni, krzyki rannych i umierających oraz bijący w niebo dym, ciężki od smrodu płonących ciał.

Siedmiu egzekutorów oddaliło się po cichu. Czterdzieści minut później zabrał ich zamaskowany kuter.

Generał broni Gerald Hatcher zmarszczył czoło, przeglądając teczkę z tajnymi materiałami. Na jego twarzy pojawił się krzywy uśmiech, kiedy pomyślał, jak absurdalne jest utajnianie czegoś, o czym mówi cały świat.

Jego rozbawienie znikło jednak równie szybko, jak się pojawiło. Odchylił się na swoim obrotowym krześle, zagryzając wargi.

Te... dziwne zdarzenia, które miały miejsce przez ostatnich kilka tygodni, spowodowały morze niepewności, na „nieplanowane wakacje” zaskakująco dużej liczby przywódców rządowych, przemysłowych i ekonomicznych nie pomagały uspokoić opinii publicznej. W pewnym sensie te zniknięcia były Hatcherowi na rękę, gdyż byli to w większości ludzie, którzy mogli oprotestować jego samodzielne i może nawet niezbyt legalne decyzje o atakach na enklawy terrorystów.

Zabębnił palcami po suszce i po raz kolejny pożałował, że tak bardzo pospieszył się z rozkazem zniknięcia Hectora MacMahana. Nie żeby chciał wnieść jakieś zmiany do planów

Hectora, ale chętnie spędziłby z nim kilka minut, słuchając jego wyjaśnień na temat tego szaleństwa. Pragnął tego bardziej niż cegokolwiek w swoim życiu.

Jedno było pewne: najlepsi eksperci z całego świata nie mieli pojęcia, co i jak się wydarzyło. Powstanie głębokiego krateru pod Cuernavaca tłumaczyli uderzeniem meteorytu, lecz nikt nie traktował tego zbyt poważnie. Wprawdzie zapisy sejsmograficzne wskazywały na wiele uderzeń i określały dokładnie miejsca, ale trudno było sobie wyobrazić, by coś tak wielkiego mogło przedostać się przez atmosferę i nikt tego nie zauważył!

Potem były tajemnicze eksplozje nuklearne nad Pacyfikiem. Eksperci oczywiście mieli pojęcie, jak działała ta broń nuklearna, lecz kto jej użył i przeciw komu? A ataki w Chinach i Tatrach? Tam miały miejsce uderzenia z powietrza, niezależne od tego, co się wydarzyło w Cuernavaca, lecz nikt nie umiał wyjaśnić, jak samolot uniknął radarów, rozpoznania satelitarnego i wreszcie ludzkiego wzroku. Hatcher nie miał wiele informacji na temat Fenyang, wiedział tylko, że w czasie ataku na Gierłoczowko wykorzystano konwencjonalne ładunki wybuchowe, choć wedle ocen analityków, w głowicach był materiał wybuchowy, którego skład był im nieznanym, a pozostałe szczątki i resztki zmielonego na proszek stopu oraz kryształu nie pochodziły z żadnego ziemskiego laboratorium.

A teraz to. Abeokuta, Bejrut, Damaszek, Kuieyang, Mirzapur, Teheran... Ktoś systematycznie atakował bazy terrorystów - te wymarzone dla wszystkich zachodnich wojskowych cele - i zamieniał je w ruinę, i to przy użyciu jakiejś przeklętej broni, o której jego ludzie nawet nie słyszeli!

Z wyjątkiem Hectora, rzecz jasna. Hatcher był całkowicie pewien, że Hector nie tylko wiedział, co się dzieje, lecz także odegrał niepoślednią rolę w przygotowaniach. To było bardzo niepokojące, zwłaszcza biorąc pod uwagę procedury bezpieczeństwa, jakie przeszedł pułkownik MacMahan, jego wyjątkowe osiągnięcia jako oficera i fakt, że był jednym z osobistych przyjaciół generała.

Jedno było jasne, choć nikt się nie kwapił, aby to głośno powiedzieć. Ktokolwiek wyruszył na wojnę z ziemskimi terrorystami, nie pochodził z Ziemi, o czym świadczyła broń, która potrafiła robić takie rzeczy. To prowadziło do kolejnych, przyprawiających o szaleństwo pytań. Kim są? Skąd przybyli? Dlaczego się tu znaleźli? Dlaczego w ogóle nie pokazali się ludziom?

Hatcher nie potrafił odpowiedzieć na żadne z tych pytań i być może nigdy nie będzie w stanie, gdyż dowody, na dodatek szczątkowe, sugerowały tylko jedno: w walce brały udział dwie frakcje, z których jedna w końcu wygra.

Zamknął teczkę i wezwał swego adiutanta, by schował ją do sejfu. Westchnął, wstał i wyrzwał przez okno swojego biura.

O, tak. Jedna ze stron w końcu wygra, a kiedy to się stanie, ujawnią się. Hatcher miał

pewność, że już teraz czują się tutaj jak w domu. To by wiele tłumaczyło. Gwałtowny rozwój terroryzmu, dziwną niechęć rządów Pierwszego Świata do zrobienia z tym czegokolwiek, tajemnicze „wakacje” polityków, wyraźne powiązania Hectora z przynajmniej jedną frakcją tych, którzy muszą być kosmitami...

Ukryta wojna stawała się wojną otwartą i toczyła się na planecie Hatchera. Cała przeklęta Ziemia wstrzymała oddech, czekając, kto zwycięży, a oni nawet nie wiedzieli, kto tę walkę toczy!

Hatcher przypuszczał, że podobnie jak on, miliardy Ziemiaków modli się co wieczór do Boga o wsparcie strony niszczącej terrorystów. Jeśli bowiem wygrają ci, którzy popierają takie organizacje jak Czarna Mekka, tę planetę czeka piekło...

Pułkownik Hector MacMahan siedział w swoim biurze na pokładzie jedyne go okrętu bojowego, jakim dysponowali, i przeglądał raporty. Oczy bolały go już od patrzenia w stary fosforyzujący ekran i nie po raz pierwszy zazdrościł Imperialnym ich łączy neuralnych.

Odchylił się do tyłu i potarł skronie. Wszystko szło dobrze, ale mimo to odczuwał niepokój. Zawsze tak było, kiedy trwała operacja, lecz tym razem było gorzej niż zwykle. Rzadko słyszał ten szyderczy głos z zakamarków swojego umysłu, gdyż był dobry w swojej pracy i nie popełniał zbyt wielu poważnych pomyłek, lecz rozpoznawał go, gdy o czymś zapomniał, przeliczył się, uczynił jakieś nieuprawnione założenie. Jego podświadomość wiedziała, co to jest, ale problemem było zmuszenie tego do przeniesienia się do przodomózgowia.

Westchnął i zamknął oczy, pozwalając, by na jego twarzy odbiło się zaniepokojenie, którego nie okazywał ani podwładnym, ani przełożonym, lecz którego nie mógł stłumić. Na razie ich straty były niewiarygodnie małe: jeden Imperialny i pięciu Ziemiaków. Żaden Imperialny, nawet młody, nie mógł przeżyć trafienia z działka kalibru trzydziści milimetrów, lecz Tarhani nigdy nie powinna była kierować atakiem w Bejrucie, zwłaszcza w jej wieku. Ale ona była uparta. Nienawidziła tego miasta przez ponad pięćdziesiąt lat, od czasu, gdy bomba ukryta w ciężarówce zabiła jej ukochanego wnuka oraz jego dwustu kolegów marines.

Pokręcił głową. Zemsta była motywacją, której zawodowcy starali się unikać, przydzielając personel do najbardziej ryzykownych misji, ale nie tym razem. To była ostatnia kampania „Nergala”, a Hani miała rację: była już stara, i jeśli ktoś miał zginąć, prowadząc atak, to lepiej, aby to była ona niż któreś z dzieci.

To był dla MacMahana poważny problem. Mimo dobrego wykształcenia, doświadczenia oraz kompetencji, z jaką zaplanował i prowadził tę operację, nadal był dzieckiem. Zawsze tak było.

Pośród urodzonych na Ziemi był mężczyzną, ale kiedy wchodził na pokład „Nergala”, był dzieckiem - przynajmniej pod względem liczby przeżytych lat.

Imperialni starannie unikali podkreślania tego i traktowali go jak równego sobie, lecz on nigdy tak się nie czuł. Wiedział, co ludzie tacy jak Horus, Hani, Geb i Hanalat, Tanni i Tamman widzieli i przeżyli, dlatego czuł dla nich głęboki szacunek. Chociaż znał ich słabości i wiedział, że cała ta sytuacja wzięła się z błędów, które popełnili, podziwiał ich. Byli jego rodziną, jego przodkami, wiekowymi, żywymi awatarami sprawy, której on poświęcił swoje życie. Wiedział, jak wiele znaczyła dla Hani misja w Bejrucie... i to był prawdziwy powód, dla którego jej na to pozwolił.

Wszystkie te rozważania nie zbliżyły go ani o krok do rozpoznania, co ten szydery cichy głosik usiłuje mu powiedzieć.

Wstał i wyłączył terminal. Już się nauczył, że pozwolenie, aby głos go zahipnotyzował, było gorsze niż jego zignorowanie. Jeszcze tylko kilka ataków na dalekie połączenia Anu z ziemskimi terrorystami i rozpoczną operację „Zasłona dymna”, która oznacza zaprzestanie aktów przemocy.

Zaskoczyło go nieco, jak bardzo cieszyła go ta myśl. Wprawdzie celem ataków rozbitków z północy byli terroryści, lecz to także byli w pewnym sensie ludzie i ich śmierć bardzo mu ciążyła. Nie z powodu tego, kim byli, lecz dlatego, że to miało ogromny wpływ na jego ludzi... i na niego samego.

- Wydaje mi się - powiedział z namysłem Jantu - że powinniśmy odpowiedzieć na te ataki.

Przerwał, by łyknąć kawy, i kątem oka obserwował Anu. Tylko długa praktyka pomogła mu ukryć uśmiech, gdy zobaczył, w jaki sposób Szef patrzy na Ganhara. Biedny udreńczony Ganhar wkrótce stanie się biednym martwym Ganharem, gdyż w żaden sposób nie wywinie się z tej opresji.

Lecz Ganhar mocno się trzymał. Spojrzał w oczy Jantu niemal dobrotliwie, i coś w wyrazie jego twarzy nagle zaniepokoiło szefa ochrony.

- Zgadzam się - powiedział spokojnie, a Jantu zakrztusił się kawą. Na szczęście dla niego był za bardzo zajęty ścieraniem plam ze swojej tuniki, by dostrzec lekki uśmiech w oczach Inanny.

- O? - Anu spojrzał ostro na Ganhara. - To miło z twojej strony, biorąc pod uwagę bałagan, jakiego na razie narobiłeś.

- Z całym szacunkiem, Szefie - Ganhar sprawiał wrażenie znacznie spokojniejszego niż naprawdę był - to nie ja wpędziłem nas w taką sytuację. Po pierwsze, odziedziczyłem wydział operacyjny po śmierci Kirinal. Po drugie, ostrzegałem cię od samego początku, że wojskowi

degeneratów zachowują się dziwnie spokojnie i że nie wiemy, co ich Imperialni zamierzają zrobić.

Wzruszył ramionami.

- Moi podwładni przekazali ci wszystkie dostępne informacje, Szefie. Po prostu nie było tego wystarczająco wiele, by móc przewidzieć, co się szykuje.

Anu patrzył na niego przez dłuższą chwilę, a Ganhar starał się to spojrzenie wytrzymać.

- Chcesz powiedzieć - powiedział wreszcie groźnie - że przegapiłeś ważne informacje.

- Nie, chcę powiedzieć, że ich nie było. W ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat miałeś, Szefie, ośmiu szefów wydziału operacyjnego - dziewięciu, wliczając w to mnie - i żaden z nas nie znalazł dla ciebie „Nergala”, choć wiesz, jak ciężko nad tym pracowaliśmy. Jeśli nie możemy go nawet odnaleźć, skąd mamy wiedzieć, co się u nich dzieje?

- Jak dla mnie - cichy głos Anu powoli sięgał coraz bardziej niebezpiecznych rejonów - usiłujesz chronić własny tyłek. Wymyślasz jakieś żalosne wymówki, bo nie masz ani jednego pomysłu, co z tym zrobić!

- Mylisz się, Szefie - odparł Ganhar, choć by to powiedzieć, musiał zebrać resztki swojej odwagi. Anu nie był przzwyczajony do wysłuchiwanie, że się myli, więc gdy Ganhar mówił dalej, korzystając z ciężkiej ciszy, jego twarz stała się purpurowa. - Tak się składa, że mam pomysł. A dokładniej mówiąc, dwa.

Anu odetchnął z sykiem. Jego podwładni rzadko rozmawiali z nim tak spokojnie, niemal wyzywająco, dlatego wywołane tym zaskoczenie przebiło się przez jego gniew. Może Ganhar naprawdę ma jakiś plan, który mógłby usprawiedliwiać jego pewność siebie. Jeśli nie, równie dobrze może go zabić po wysłuchaniu, co ma do powiedzenia.

- Zgoda - wychrypiał. - Mów.

- Dobrze. Pierwszy i najprostszy pomysł to nic nie robić. Obecnie mamy naszych ludzi w bezpiecznym miejscu, a tamci na razie zdołali tylko rozszarpać trochę zdegenerowanych terrorystów i zrobić wiele hałasu. Może dla nich to jest imponujące, lecz w zasadzie wcale w nas nie ugodzili. Zawsze możemy zwerbować kolejnych ludzi, a za każdym razem, kiedy posłużą się imperialną technologią, możemy za nimi podążyć i odkryć „Nergala”.

Ganhar patrzył w oczy Anu. Wiedział - podobnie jak Jantu i Inanna - że to, co zaproponował, jest rozsądne. Niestety, wzrok Szefa powiedział mu, że proponowanie tego nie było rozsądne. Wzruszył ramionami i przeszedł do drugiej propozycji.

- To byłoby najłatwiejsze, lecz nie sądzę, aby było najlepsze - skłamał. - Znamy już niektórych ich degeneratów i zwróciliśmy uwagę na kilku innych, którzy mogą dla nich pracować. - Znów wzruszył ramionami. - Skoro chcą eskalacji konfliktu, niech dojdzie do eskalacji. My mamy więcej ludzi i broni.

- Tak? - Anu uniósł brew.

- Tak, Szefie. Zaskoczyli nas w Colorado Springs i od tamtej pory wykorzystują przewagę zaskoczenia. Są w ofensywie i na razie kosztowało ich to zaledwie kilka tuzinów wojskowych degeneratów zabitych podczas ataków na terrorystów i może - podkreślił to słowo - jednego lub dwóch swoich, odkąd zaczęli polować na zagraniczne bazy na powierzchni. Są bardzo pewni siebie, Ciekawe co zrobią.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie i omal nie odetchnął z ulgą, kiedy Anu odwzajemnił uśmiech. Obserwował, jak przywódca buntowników kiwa wolno głową, po czym spojrział wyzywająco na Jantu, ciesząc się wściekłością malującą się na twarzy szefa ochrony.

- Jak? - W oczach Anu płonęła ciekawość.

- Już zaczęliśmy działać, Szefie. Moi ludzie usiłują przewidzieć, co będzie ich następnym celem, byśmy mogli wysłać kilka naszych zespołów i bezpośrednio zaatakować podejrzanych. Można powiedzieć, że damy im posmakować ich własnego lekarstwa.

- To mi się podoba, Szefie - powiedziała cicho Inanna, a kiedy Anu spojrział na nią, kobieta wzruszyła ramionami. - Przynajmniej inicjatywa nie pozostanie wyłącznie w ich rękach, a przy odrobinie szczęścia może dorwiemy kilku ich Imperialnych. Każda osoba, którą stracą, to dla nich większa strata niż dla nas.

- Zgadzam się - powiedział Anu i Ganhar poczuł się tak, jakby mu zdjęto z pleców całą planetę. - Na Stwórcę! Ganhar, nie sądziłem, że masz takie pomysły. Dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej?

- Uważałem, że będzie na to za wcześnie. Nie wiedzieliśmy, jak poważne będą ataki, które zamierzali przeprowadzić. Jeśli to byłaby tylko próba, potężna odpowiedź mogłaby właściwie zachęcić ich do odwetu.

Uśmiech Anu stał się jeszcze szerszy.

- Rozumiem. No to do roboty. Poślijmy kilku z nich i ich cennych degeneratów do Niszczyciela i zobaczmy, jak im się to spodoba!

Ganhar odwzajemnił uśmiech. Miał świadomość, że to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zaproponował. Niemal wszyscy degeneraci, których jego podwładni podejrzewali o to, że są szpiegami „Nergala”, już zniknęli, tak samo jak Hector MacMahan, dlatego nawet nie warto ich namierzać. Niezależnie od tego, ilu degeneratów zniszczą, nie zyskają niczego poza satysfakcją, jaką Anu może z tego mieć.

To szaleństwo, lecz Inanna miała rację. Okrucieństwo tego planu najwyraźniej przemówiło do Anu, i tylko to się liczyło. Dopóki Anu będzie przekonany, że Ganhar coś robi, będzie mógł trzymać się stołka i czerpać z tego korzyści.

- Ganhar, dostarcz mi wstępny plan najszybciej, jak to możliwe - powiedział Anu; od czasu Cuernavaki nie zwracał się tak uprzejmie do szefa wydziału operacji. Potem skinieniem głowy dał

znak, że mogą odejść, i troje jego podwładnych podniosło się z miejsc.

Jantu spieszył się do swego biura, lecz Inanna zastąpiła mu drogę, najwyraźniej przypadkowo, gdy odwracała się do Ganhara.

- Och, Ganhar - powiedziała. - Obawiam się, że mam dla ciebie złe wieści.

- Tak?

Jantu zatrzymał się.

Chcę wiedzieć o wszystkich problemach Ganhara, pomyślał złośliwie.

- Tak. Jedna z naszych trafiła na uszkodzony szyb na pokładzie „Bislahta” - przepływ grawitacji zwariował. Kiedy przywieźli ją do nas, nie sądziliśmy, że jej stan jest aż tak ciężki. Przykro mi to mówić, lecz jeden z moich techników przeoczył wylew, no i ją straciliśmy.

- Och! - Ganhar nie wydawał się zaskoczony, za to w jego głosie krył się jakiś paskudny ton. - Kto to... hmmm... był? - spytał po chwili.

- Bahantha. - Jantu znieruchomiał.

Popatrzył na kobietę z niedowierzaniem, a ona powoli odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Jej błyszczący wzrok sprawił, że nabrał przerażających podejrzeń.

- Widzę, że tobą również to wstrząsnęło, Jantu - powiedziała cicho. - To straszne, prawda? Nawet tu, w enklawie, nie można być całkowicie bezpiecznym.

I uśmiechnęła się.

Rozdział osiemnasty

- Przekłęci! Niech ich piekło pochłonie!

Obojętna zwykle twarz Hectora MacMahana była teraz wykrzywiona wściekłością, zaciśnięte pięści drżały. Colin odwrócił wzrok od pułkownika, by popatrzeć na trzy pozostałe osoby siedzące przy stole.

Horus wyglądał na wstrząśniętego i przytłoczonego, jak człowiek, który został uwięziony we własnym koszmarze. Isis siedziała cicho, pochyliwszy drobne ramiona, i poprzez mokre rzęsy patrzyła niewidzącym wzrokiem na złożone na podolku delikatne dłonie.

Twarcz Jiltanith była pozbawiona wyrazu, splecione dłonie spoczywały na stole, lecz w jej oczach czaiła się śmierć. Za jej życia żadna grupa Imperialnych nie działała tak otwarcie, i choć rozumowo przyjmowała możliwość takiej ich reakcji, nigdy nie wyobrażała jej sobie jako czegoś realnego. A teraz to się zdarzyło i Colin czuł emanującą z niej wściekłość... oraz siłę woli, z jaką próbowała utrzymać ją pod kontrolą.

A jak on się czuł? Zastanowił się przez chwilę i uznał, że Hector właściwie wypowiedział się także w jego imieniu.

- No dobrze - powiedział wreszcie. - W przeszłości dawali nam wiele dowodów gotowości do zrobienia czegoś takiego, powinniśmy więc byli się spodziewać.

- Chcesz powiedzieć, że to ja powinienem coś takiego przewidzieć - powiedział gorzko MacMahan.

- Powiedziałem „my” i miałem na myśli „my”. Strategia była twoja, ale wszyscy układaliśmy plan, a Rada to zatwierdziła. Zakładaliśmy, że kiedy się dowiedzą, że to my atakujemy, staniami się ich celami. To było logiczne założenie, które wszyscy podzielaliśmy.

- Racja, Hector - powiedziała cicho Jiltanith. - Plan ten nasz był, nie twój jeno. - Uśmiechnęła się gorzko. - I czyżemy Colinowi nie prawili, iż szaleńcy zaskoczyć nas mogą? Nie bierzże na siebie więcej winy niżli na ciebie przypada.

- Dobrze. - MacMahan wziął głęboki oddech i usiadł. - Przepraszam.

- W porządku - powiedział Colin. - Teraz powiedz nam, jak bardzo jest źle.

- Obawiam się, że może być jeszcze gorzej. Dorwali około trzydziestu naszych Ziemi - siedmioro od razu, kiedy zaatakowali Valkyrię w Corpus Christi. Wład Czernikow jest ósmy i może stracić rękę, chyba, że wyrwiemy go jakoś ze szpitala i dostarczymy do izby chorych na „Nergalu”. Nasze własne straty nie są aż tak wielkie. Większość zabitych to zwykli obywatele.

- Od uderzenia pociskami masowymi w Eden Dwa zginęło osiemnaście tysięcy ludzi. Jak sądzę, to zemsta za Cuernavacę. Zbombardowanie Goddard to kolejne dwa tysiące ofiar. Bomba

atomowa, którą przemycili do Kluczewskiej, zniszczyła budynki, lecz straty w ludziach są minimalne, gdyż „terrorystów” zadzwonili wcześniej z ostrzeżeniem. Sandhurst i West Point zaatakowano przy użyciu imperialnego sprzętu - granatów wypaczeniowych i karabinów energetycznych. Domyślam się, że był to rewanż za Teheran i Kuyeng. Brytyjczycy stracili trzystu ludzi, w West Point zginęło pięciuset. - Przerwał i wzruszył ramionami. - To ostrzeżenie, żebyśmy się wycofali, a ja... my... powinniśmy byli to przewidzieć. To klasyczny sposób myślenia terrorystów, idealnie pasuje do chorego umysłu Anu.

- Zgadzam się z tobą. Pytanie brzmi, co możemy teraz z tym zrobić. Horus?

- Nie wiem - odparł tamten bezbarwnym głosem. - Chyba powinniśmy się wycofać. Zadaliśmy im więcej strat niż kiedykolwiek wcześniej, a poza tym już i tak mieliśmy się wycofywać. Zginęło zbyt wielu ludzi, nie sądzę, abym zaryzykował kolejną rzeź. - Z trudem wypowiadał słowa, patrząc na swoje dłonie.

- To nic w porównaniu z Dżyngis Chanem czy Hitlerem, ale i tak za wiele. To się często zdarza, lecz tym razem to my wszystko zaczęliśmy, niech nam Stwórca wybaczy. Nie możemy przestać wcześniej niż zamierzaliśmy? - Popatrzył zdesperowany na Hectora i Jiltanith. - Wiem, że zgodziliśmy się, iż potrzebujemy „Zasłony dymnej”, lecz czy nie ponieśli już dość strat jak na nasze potrzeby?

- Isis?

- Muszę zgodzić się z tatą - powiedziała cicho kobieta. - Może jestem zbyt w to zaangażowana ze względu na Cala i dziewczynki, ale... - Przerwała, jej usta zaczęły drżeć. - Ja... po prostu nie chcę być odpowiedzialna za kolejną rzeź, Colin.

- Rozumiem - powiedział łagodnie, po czym spojrzał na jej siostrę. - Jiltanith?

- Wiele jest prawdy w tym, co rzekłeś, ojczu, i ty, Isis - powiedziała cicho Jiltanith - lecz gdy zaprzestaniemy naszych akcji po tych mordach, azaliż nie będzie to podejrzane? Jeśli była jakowaś wątpliwość, teraz jej nie ma: Anu i jego ludzie ze szczętem zmysły postradali. Ich szaleństwo niebezpiecznym jest i mało możliwe, iż normalnie myśleć zaczną. - Zmiotliśmy ich ludzi, to pewne, teraz nam się odpłacili. Widzi mi się, że nawet nas obserwują, gotowi nas wyśledzić. Jeśli taka krwi drobina - bo wiemy, iż Anu tak to postrzega - i to nie naszej, powstrzyma nas, bez wątpienia do myślenia mu to da, boć on szczywany, choć szalony. Ryzyko niewielkie, wszakże ryzykiem jest. Wszak przeciw czemuś takiemu „Zasłonę dymną” przygotowaliśmy.

Spojrzała w oczy ojca.

- Prawda to gorzki chleb - jej głos był jeszcze cichszy - lecz niezależnie od tego, co serca nam mówią, to prawda taka, że śmierć ludzi Anu niewiele winna dla nas znaczyć. Ich krew niewinną jest. Będzie nas prześladować, póki żyć będziem. Jeśli jednak przegramy, tedy całe

współczucie żyć będzie tak długo jeno, póki nie przyjdą Achuultani. Nie winniśmy tedy się cofać, winniśmy wytrwać jeszcze trochę. Jeszcze kilka ataków, a potem „Zasłona dymna”, jakeśmy to ustalili. Oto moja rada.

Colin skinął powoli głową. Kobieta spuściła wzrok, nie chcąc pokazywać kryjącego się w jej oczach cierpienia, jakie jej zadawały wypowiedziane przez nią samą słowa o rzeszach zabitych bezimiennych mężczyzn, kobiet i dzieci, których nigdy nie poznała. Ale miała rację. Fakt, że Anu przelał niewinną krew, nic dla niego nie znaczył. Czy nie zakładał, że i dla nich znaczy mniej niż życie ich własnych ludzi?

Nie mogli tego wiedzieć, lecz Jiltanith miała dość odwagi, by wypowiedzieć na głos swoje wątpliwości.

- Dziękuję - powiedział. - Hector?

- Tanni ma rację - westchnął ciężko pułkownik. - Bóg mi świadkiem, że chciałbym, by było inaczej, lecz to niczego nie zmieni. Nie wiemy, jak Anu zareaguje, lecz wszystko wskazuje na to, że jest to człowiek, który krzywdzi ludzi dla przyjemności i uważa „degeneratów” za zbędnych. Nie zatrzyma się tylko, dlatego, że kilkoro z nich zginęło, a jeśli my tak zrobimy, zada sobie pytanie „dlaczego”, a do tego nie możemy dopuścić.

Zapatrzył się w blat stołu, przyciskając do niego pięści.

- Nienawidzę myśli o prowokowaniu masakr... czy śmierci choćby jednej osoby więcej, lecz jeśli się przeliczymy i zbyt wcześnie zatrzymamy, śmierć wszystkich, którzy już zginęli, będzie całkowicie prózną ofiarą.

- Zgadzam się - powiedział ponuro Colin. - Musimy ich przekonać w zrozumiały dla nich sposób, że zmusili nas do zaprzestania działań. Zaczniście przygotowania do rozpoczęcia operacji „Zasłona dymna”. Sprawdźcie, czy możecie to nieco przyspieszyć.

- Jasne. - MacMahan wstał; tylko wyczulone imperialne uszy mogły usłyszeć ostatnie słowa, jakie wypowiedział, wychodząc z pokoju. - Niech Bóg mi wybaczy - wyszeptał.

* * *

Ninhursag siedziała na ławce i starała się wyglądać niegroźnie. Główny park enklawy wydawał jej się brzydki i niedokończony w porównaniu z zapamiętanymi terenami rekreacyjnymi na „Dahaku”. Odegnęła te wspomnienia wraz ze wszystkimi innymi spostrzeżeniami, które poczyniła od chwili powrotu z zewnętrznego świata. Wynik tych obserwacji była dla niej tak samo niepokojący jak dzień, w którym dowiedziała się, co Anu robi jej towarzyszom.

Omali nie zadrżała, gdy obok przeszedł wysoki, szczupły mężczyzna. Tanu, pomyślała. Kiedyś dobrze go znała, ale teraz to już nie był Tanu. Nie wiedziała, który z oficerów Anu przejął jego ciało, i nie chciała tego wiedzieć. I tak czuła się wystarczająco źle, widząc go chodzącego, kiedy tak naprawdę nie żył.

Odwróciła głowę. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że cała ta enklawa to obóz przejściowy, a nie miejsce zamieszkania. Anu i jego zwolennicy żyli na tej planecie przez pięćdziesiąt tysięcy lat, lecz nigdy nie traktowali jej tak, jakby do niej należeli, świadomie starali się zachować swoją obcość. Pod lodem były wygodne bloki mieszkalne, które zbudowali zaraz po wylądowaniu, a mimo to żaden z buntowników z tego nie korzystał. Wycofali się na swoje okręty, zamieszkali w kwaterach na pokładach transportowców, i to mimo ich ciasnoty. Ninhursag czuła, że oszalałaby, gdyby miała mieszkać w takim miejscu.

Przyglądała się wodzie tryskającej z fontanny, którą ktoś postanowił tutaj zbudować, i rozmyślała. Być może był to element tej aury szaleństwa, która unosiła się wokół. Ci ludzie żyli

2znacznie ponad swoje biologiczne lata, zamknięci w sztucznym środowisku, z wyjątkiem okazjonalnych wyskoków na zewnątrz. Ich skradzione ciała były młode i silne, lecz zamieszkujące je osobowości stare, a cała enklawa była niczym zamknięty szybownik.

Większość podwładnych Anu miała skażoną naturę, inaczej nie byłoby ich tutaj. Przez niekończące się lata wygnania i zamknięcia w tym małym świecie ich umysły zwróciły się do środka. Byli tu sam na sam ze swoimi ambicjami, resentymentami i nienawiścią; to, co kiedyś było wadą, teraz stało się poważną skazą. Najlepsi stali się swoimi rozstrojonymi karykaturami, a najgorsi...

Zadrżała, mając nadzieję, że żaden ze skanerów bezpieczeństwa tego nie wykrył.

Była to martwa społeczność, gnijąca od środka. Nie przyznawali się do tego - zakładając, że kiedykolwiek byliby w stanie to rozpoznać - jednak dowodziło tego ich otoczenie. Byli obudzeni od pięciu tysięcy lat, a mimo to nie dodali do swojej bazy technologicznej absolutnie niczego, poza garścią bardzo specjalistycznych modyfikacji, dzięki którym mogli lepiej szpiegować siebie nawzajem lub zabijać. Była to niewielka społeczność, lecz w naturze każdego społeczeństwa leży zmiana, chęć uczenia się nowych rzeczy. Kultura, która się nie rozwija, jest skazana na zagładę; jeśli nie zniszczy jej jakaś siła z zewnątrz, jej członkowie sami zwrócą się przeciwko sobie.

Ninhursag miała oczy szeroko otwarte i widziała tutaj wiele niepokojących rzeczy. Podejrzenia, chore ambicje, perwersje zdegenerowanego wieku i - być może najbardziej widoczny - brak dzieci. Ci ludzie nie żyli w celibacie, lecz świadomie odrzucili jedyną rzecz, która mogłaby ich zmusić do zmian i ewolucji. W ten sposób odcięli się od swoich własnych ludzkich korzeni. Ich biologiczny zegar się zatrzymał, a wraz z nim umarła ich umiejętność postrzegania samych siebie jako żywego, odradzającego się gatunku.

Dlaczego sami to sobie robili? Kiedyś... byli Imperialnymi, a Imperium wiedziało, że nawet po upływie ćwierci wieku służby na pokładzie takiego okrętu jak „Dahak” potrzebne było odnowienie załogi. Nawet ci, którzy nie mieli dzieci, dbali o dzieci innych i w ten sposób mogli uczestniczyć w trwaniu swojego gatunku. Tymczasem ludzie Anu postanowili o tym zapomnieć, a ona nie mogła tego zrozumieć.

Czyżby to skradziona nieśmiertelność sprawiła, że temat dzieci stał się czymś niewygodnym? A może obawiali się stworzyć pokolenie obce ich własnym spaczonemu celom? Takie, które mogłoby się zbuntować przeciwko nim? Nie wiedziała. Nie mogła tego wiedzieć, gdyż stali się dla niej obcym gatunkiem - mrocznym, złowrogim cieniem noszącym ciała jej ludu, lecz to już nie był jej lud.

Wstała i powoli ruszyła przez park w stronę budynku, w którym w odruchu buntu wybrała sobie mieszkanie, świadoma, że jej widmowy strażnik, przydzielony jej ochroniarz, podąża za nią.

Spojrzała na gapiących się bezmyślnie Ziemian, którzy przebywali wraz z nią w parku. Widziała ich podziw dla otoczenia, które jej wydawało się tak bardzo niedokończone, i zastanawiała się, który z nich zabierze chip, który schowała pod ławką.

* * *

Abu al-Nasir obserwował, jak Ninhursag odchodzi, po czym podszedł do ławki, na której siedziała. Rozciągający się nad parkiem dach z wyświetlonym na nim bezchmurnym letnim niebem i gnającymi po nim barankami był zadziwiający. Aż trudno było uwierzyć, że kryje się pod setkami metrów lodu i kamienia. Wrażenie przebywania na zewnątrz było niemal doskonałe; być może pomagały w tym wznoszące się za budynkami brązowe kadłuby okrętów.

Usiadł wygodnie i rozejrzał się leniwie w poszukiwaniu skanerów bezpieczeństwa, które opisał mu pułkownik MacMahan. Były umieszczone tak, by obserwować ławkę, lecz na szczęście tylko z przodu.

Opuścił rękę wzdłuż ciała i zatrzymał tam, gdzie zwykle była kabura. Sierżant Asnani nigdy nie odczuwał jakiejś szczególnej potrzeby, aby w każdej chwili mieć przy sobie broń; Abu al-Nasir czuł się nagi bez swego podręcznego arsenału, ale buntownicy nie pozwalali swoim pomocnikom nosić broni.

Nie było to zaskakujące, choć załoga „Nergala” zupełnie inaczej współpracowała ze swoimi Ziemianami. Nigdy nie był na pokładzie okrętu, lecz ćwiczył z tymi, którzy tam mieszkali, i znali pułkownika MacMahana. Każdy z jego imperialnych sojuszników spokojnie pozwoliłby mu stanąć

za plecami z bronią w rękę.

Al-Nasir doszedł do wniosku, że wszystko, co pułkownik powiedział mu o tych Imperialnych, jest prawdą. Od czasu wejścia do Czarnej Mekki al-Nasir był przyzwyczajony do ekstremizmu, nienawiści, chciwości, sadyzmu, fanatyzmu, manii wielkości, pogardy dla ludzkiego życia... Znał to wszystko i tutaj rozpoznawał coś bardzo podobnego. Mniej jawnego, lecz przez to może nawet groźniej szego. Ci ludzie naprawdę uważają siebie za całkiem odmienny gatunek, może ze względu na sztuczne ulepszenia swoich ciał... i zdolność do torturowania i zabijania Ziemiaków.

Al-Nasir cieszył się, że nie ma tutaj dzieci. Na samą myśl o tym, jakie byłoby dziecko oddychające tą zatrutą atmosferą, ścisnął mu się żołądek, a jego żołądek nie reagował w ten sposób na byle co.

Wisząca swobodnie ręka poruszyła się jakby od niechcenia i dotknęła ławki. Słuchał plusku wody i obserwował spod opadających powiek migotanie fontanny. Całe jego ciało było rozluźnione, choć nie przesadnie, a palce macały coraz wolniej, jakby poruszające nimi myśli również zwalniały.

Wreszcie dotknął małego chipa i niepostrzeżenie wsunął go pod paznokieć wskazującego palca. Jego twarz nadal była bez wyrazu, nie pojawiła się na niej nawet najmniejsza oznaka triumfu. Jeśli pułkownik mylił się co do Ninhursag, już jest trupem, lecz tego również po sobie nie pokazał.

Jego dłoń jeszcze przez jakiś czas dotykała ławki, po czym położył rękę na oparciu. Każdy nerw w jego rozluźnionym ciele nakazywał mu wstać i odejść stąd, lecz to była gra, w którą nauczył się dobrze grać, dlatego rozsiadł się jeszcze wygodniej.

Godzina, pomyślał. Krótka, całkiem niewinna drzemka - mała demonstracja - a potem będzie mógł odejść. Abu al-Nasir zamknął oczy, odchylił głowę do tyłu i zaczął chrapać.

* * *

La Paz układało się do snu pod argentyńskim niebem, ulice pustoszały. Shirhansu siedziała przy oknie i bawiła się swoimi popielatymi włosami.

Nawet po tych wszystkich latach trudno jej było przyzwyczać się, że ta blada dłoń jest „jej”, że błękitne oczy spoglądające na nią z lustra należą do niej. Było to śliczne ciało, znacznie piękniejsze niż to, w którym się urodziła, lecz oznaczało, że jest kimś spoza wewnętrznego kręgu. Dzięki niemu jednak nie miała dziwnego - z ziemskiego punktu widzenia - imperialnego wyglądu, a to już miało swoje zalety.

Westchnęła i poprawiła leżący na kolanach karabin energetyczny, po raz kolejny żałując, że nie pozwolono im zabrać pancerzy. To było poza wszelką dyskusją. Pola maskujące miały wiele zalet, lecz jeśli przeciwnicy działali bez pancerzy lub, co gorsza, byli urodzeni na Ziemi, trudno byłoby ich zauważyć, a pancerz, nawet starannie zamaskowany, mógłby zostać zauważony przez ludzi na długo przed tym, nim jej skanery zdołałyby ich zlokalizować.

To głupia misja. Cieszyła się, że nie dostała jakiejś innej operacji - nie była Girru i nie bawiło jej wybijanie degeneratów - lecz nadal uważała, że to głupia misja. Nawet jeśli jej się uda zaskoczyć kilka osób z załogi „Nergala”, nigdy nie zaprowadzą jej na okręt. Nawet jeśli zaczną ich śledzić, nie ma powodu, aby ich statek pomocniczy nie przeprowadził starannego skanowania i nie dostrzegł jej ludzi. Ich statki pomocnicze na pewno będą uzbrojone, a czyjej grupa ma jakąś osłonę myśliwców? Pewnie, że nie. Tylko ograniczona liczba załóg miała przeprowadzać ofensywę, a poza tym Anu nalegał, aby połowa z nich została i pilnowała enklawy, choć Shirhansu nie bardzo pojmowała, co jego zdaniem załoga „Nergala” mogłaby zrobić z ich tarczą.

Jeśli chodzi o rozumienie Szefa, była jedna mała przeszkoda: jej mózg nadal działał.

To także wyjaśniało, dlaczego tak bardzo jej się nie podobał pomysł śledzenia jednego z zespołów „Nergala”. Ich dotychczasowa skuteczność robiła wrażenie - liczba ofiar po ich stronie zawsze była mniejsza - dlatego przez stulecia Shirhansu wypracowała w sobie głęboki, choć niechętny szacunek dla swoich wrogów. Tamci zawsze potrafili przeżyć wszystko, co przygotowała jej grupa, i jeszcze w jakiś sposób utrzymać w całkowitej tajemnicy położenie swojej bazy, dlatego teraz też raczej niczego nie popsują.

Cały ten pomysł był głupi, lecz wiedziała, dlaczego misja została zorganizowana. Akceptowała wszystko, co pozwalało Ganharowi przeżyć i kierować wydziałem operacyjnym, gdyż należała do jego zwolenników. Dołączenie do niego wydawało się dobrym pomysłem - z pewnością był bardziej zdrowszy na umyśle niż Kirinal! - i jeśli jej obecność tutaj może mu pomóc i będzie korzystna także dla niej...

Jej ręczny komunikator wydał cichy, niemal niesłyszalny dźwięk. Uniosła go do ucha i jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Analitycy Ganhara mieli rację: ci dranie rzeczywiście zamierzali zaatakować „Los Punas”!

Powiedziała coś krótko do komunikatora, mając nadzieję, że jej pole maskujące ukryje ten sygnał w złożonej przestrzeni, po czym sprawdziła broń. Nastawiła moc na dziesięć procent - pod zbliżającymi się polami maskującymi nie było pancerzy, więc nie było sensu wywalać w chodniku zbyt wielkiej dziury - po czym zrobiła szczelinę w swoim polu, pozwalając implantom skanować wąski pasek przestrzeni z przodu, podczas gdy pole wciąż osłaniało ją z tyłu i z boków.

* * *

Tamman szedł za Amandą, niewidzialny niczym wiatr. Jego wzmocnione zmysły mogły zrobić więcej dobrego, pilnując jej pleców niż sprawdzając ciemność przed nią.

Pozwolił, aby grymas wykrzywił mu usta. Masakra niewinnych trwała i przybierała na sile. Eden Dwa był największą okropnością, lecz były też inne. Ludzie z ochrony Centrum Shepherdza odparli atak, lecz za cenę wielu ofiar, mimo iż Tamman był pewien, że napastnicy mieli rozkaz raczej wycofać się niż wykonać zadanie za wszelką cenę. Anu nie chciał zbytnio niszczyć przemysłu kosmicznego; fakt, że Imperialni uzbrojeni w karabiny grawitacyjne i granaty wypaczeniowe zostali odparci przez piechotę Ziemian - choć trzeba przyznać, że dobrze wyszkoloną i uzbrojoną w ziemską broń - był niczym jasno podświetlony sygnał.

Jednak był to jedyny atak południowców, który się załamał, o ile było to odpowiednie słowo, i wzrastająca liczba ofiar po jego stronie zaczynała mu spędzać sen z powiek. Okopy pierwszej wojny światowej i obozy koncentracyjne drugiej, Phnom Penh, wojna w Afganistanie i fanatyczny rozlew krwi podczas wojny iracko-irańskiej w latach osiemdziesiątych, masakra w zairskiej Kanandze - wszystko to było straszne i człowiek nie mógł się do tego przyzwyczaić, niezależnie od tego, jak często takie rzeczy oglądał.

„Los Punas” - „Sztylety” - byli w porównaniu z Czarną Mekką niegroźni, lecz ich związki z Anu zostały potwierdzone. Nie spodoba mu się, kiedy nagle znikną, zniszczenie ich będzie więc czymś satysfakcjonującym. Tamman nawet nie próbował udawać, że jest inaczej, lecz jeszcze lepiej byłoby spotkać kilku rzeźników Anu.

- Przygotować się - szepnęła Shirhansu. - Zdejmijcie ich, gdy dotrą do placu.

- Zdjąć? Sądziłem, że mamy ich śledzić, Hansu. - To był Tarban, jej zastępca.

Shirhansu skrzywiła się.

- I tak będzie, jeśli któreś z nich zacznie się wycofywać - warknęła - ale ważniejsze jest skasowanie paru drani. - Ale...

- Zamknij się i rozłącz, zanim nas wykryją!

* * *

- Tamman, to pułapka! - Głos krzyczący w jego lewym uchu należał do Hanalat, osłaniającej ich pilot, która obserwowała ich przez swoje sensory. - Wykryłam połączenie w przestrzeni złożonej przed wami, przynajmniej dwa źródła! Zabierajcie się stamtąd!

- Jasne - mruknął, dziękując Stwórcy za sugestię Hectora, że powinni zabrać ziemski sprzęt łącznościowy. Hector zakładał, że ludzie Anu będą szukać przede wszystkim technologii imperialnej, i miał rację; Tamman odebrał ostrzeżenie i jeszcze żył.

- Dobra, ludzie - powiedział cicho do swego zespołu - wycofujemy się stąd. Joe... - Joe Crynz, jego daleki kuzyn, szedł jako ostatni, uzbrojony w granatnik - przygotuj się do ognia osłonowego. Reszta powoli do tyłu. Wynosimy się najciszej jak można.

Nie było żadnego potwierdzenia; grupa zwolniła i powoli zaczęła się wycofywać. Tamman wstrzymał oddech, modląc się, aby zdążyli. Byli teraz odsłonięci jak kaczki na...

* * *

- Niech cię Niszczyciel porwie, Tarban! - warknęła Shirhansu i umieściła swój karabin na parapecie. Z całej dwudziestki ona miała najlepszy widok, a mimo to widziała tylko trójkę tych drani. Jej zmysły - naturalne i implanty - mogły działać przez szczelinę w polu ochronnym, lecz pola tamtych paskudnie się na siebie nakładały. Nie mogła ich na tyle dobrze rozpoznać, by oddać z tej odległości pewny strzał, lecz dzięki Tarbanowi nie podejść już bliżej.

- Teraz! - rozkazała zimnym tonem przez komunikator.

* * *

Tamman stłumił okrzyk, kiedy promień energii przebił się przez krawędź jego pola. Jego fizyczne zmysły - wzmocnione niemal do maksimum, kiedy usiłował wyciągnąć swój zespół z pułapki - wrzasnęły z bólu, gdy dotknął ich blask wyładowania.

Pocisk nie trafił go, więc skoczył w bok z zaskakującą szybkością, jaką dawał mu ulepszony czas reakcji.

Larry Ciintock miał mniej szczęścia; przynajmniej trzech snajperów wzięło go na cel. Nie miał nawet czasu krzyknąć, gdy promienie energii go rozdarły... lecz Amanda miała dość czasu, i kiedy Tamman ją usłyszał, krew zastygła mu w żyłach.

Odruchowo - i bezsensownie - schował się za drzewkiem w donicy, skąd jego wzmocniony wzrok wychwycił błysk energii w jednym z okien. Strzał z jego karabinu energetycznego rozwaliał okno na części, zasypując ulicę kawałkami cegły i szkła. Ktokolwiek stamtąd strzelał, wolał się nie pokazywać, zakładając oczywiście, że jeszcze żył.

Potem za jego plecami odezwał się granatnik Joego i w innym budynku pojawiła się duża dziura, lecz tamta strona również dysponowała granatami. Z ogromnej wyrwy w jezdni trysnęła z przeciętej rury fontanna wody. Tamman poderwał się na równe nogi. Powinien wycofać się do Joego i pozostałych, lecz nogi same niosły go do przodu, gdzie krzyk Amandy zakończył się straszną ciszą.

Kolejne niszczące promienie pomknęły w jego stronę, tnąc chodnik. Widząc, co się dzieje, jego ludzie - ich pola były ze sobą zestrojone, mogli więc go obserwować - rozproszyli się, kryjąc się za wszelkimi dostępnymi osłonami, i zaczęli strzelać na ślepo, tworząc zasłonę ogniową. Gdzieś na skraju świadomości Tamman dostrzegał wgryzające się w kamień pociski karabinów grawitacyjnych i drżące pulsowanie granatów wypaczeniowych, słyszał szmer karabinów energetycznych, które próbowały go uziemić.

Z lewego uda Amandy pozostał paskudny kikut, jednak z rany nie płynęła krew. Strój imperialnego komandosa w chwili trafienia automatycznie założył opaskę uciskową, tylko że ona nie była Imperialną i leżała nieprzytomna... albo martwa. Tamman zarzucił kobietę strażackim chwytem na ramię i czym prędzej pognął ulicą.

Tuż za nim rozpętało się prawdziwe piekło; wrzasnął z bólu gdy promień energii wyrwał kawał ciała z jego nogi. Omal się nie przewrócił, lecz jego implanty, mimo że jedynie częściowe stłumiły ból, kiedy tylko się pojawił. Tkanki same się zagoiły, a on biegł dalej.

Pole granatu wypaczeniowego minęło go o centymetry i podmuch zasysanego powietrza rzucił się na niego niczym niewidzialny demon. Usłyszał kolejny krzyk, kiedy promień z karabinu energetycznego trafił Franka Cauphettiego. Rzucił na niego okiem, kiedy go mijał - Frank nie miał już torsu.

Skręcił za róg. Żyjący członkowie grupy dołączyli do niego i cała czwórka ruszyła biegiem przez noc.

* * *

- Nie powinniśmy za nimi iść, Hansu?

- Jasne, Tarban, zrób to! Twoje mielenie ozorem kosztowało nas kilka trafień, nie mówiąc już o Hansharze! Ten drań z karabinem energetycznym przeciął go na pół. No już, idź za nimi! Jestem pewna, że pilot ich kutra będzie szczęśliwy, mogąc spopielić twój bezwartościowy tyłek!

W komunikatorze zapadło milczenie, a Shirhansu zmusiła się do opanowania gniewu. Na Stwórcę, są już tak blisko! Dostali dwójkę z nich, a może nawet trójkę; oczywiście to za mało, by ucieszyć Anu, ale jeśli nieco wyglądają raport...

- Dobra - powiedziała wreszcie. - Wynośmy się stąd, nim miejscowi staną się zbyt ciekawscy. Spotykamy się przy kutrze.

Rozdział dziewiętnasty

- Co z nią?

Słyszac ciche pytanie Colina, Tamman podniósł wzrok. Siedział z wyciągniętą nogą, tak by nie dotykać udem krzesła, a jego twarz była ściągnięta troską.

- Mówią, że wszystko będzie w porządku. - Wyciągnął dłoń i delikatnie pogładził brązowe włosy kobiety spoczywającej na wąskiej koi. Dolną część jej ciała oplatała skomplikowana aparatura medyczna Imperium.

- „W porządku” - powtórzył z goryczą - ale tylko zjedną nogą. Na Stwórcę, to niesprawiedliwe! Dlaczego właśnie ona?!

- Dlaczego ktokolwiek z nich? - spytał ze smutkiem Colin. Popatrzył na bladą twarz Amandy Givens i westchnął. - Przynajmniej wyciągnąłeś ją stamtąd żywą, nie zapominaj o tym.

- Nie zapominam, lecz gdyby miała biotechnikę, na którą zasługuje, nie leżałaby tutaj... Można by jej wyhodować nową nogę. - Popatrzył na Amandę. - To nawet nie jest ich wina, a tak wiele z siebie dają. Oni wszyscy.

- Wy wszyscy - poprawił go delikatnie Colin. - Przecież ty też nie masz nic wspólnego z buntem.

- Aleja przynajmniej miałem dziecięce wszczepy, a ona nawet tego nie ma. Hector nie ma. Moje dzieci także nie mają.

Żyją niczym delikatne płomyki świec... i nagle ich nie ma wielu z nich.

Znów pogłaskał włosy Amandy.

- Próbujemy to zmienić, Tamman. Ona właśnie to robiła.

- Wiem - szepnął.

- No to jej tego nie zabieraj - powiedział spokojnie Colin. - Tak, urodziła się na Ziemi,

podobnie jak ja, lecz ja zostałem powołany do służby, a ona sama zdecydowała się walczyć, znając stosunek sił. Nie jest dzieckiem i nie traktuj jej tak, ponieważ to jedyna rzecz, której ci nigdy nie wybaczy.

- Jak zdobyłeś taką mądrość? - spytał po chwili Tamman.

- Mam to w genach, chłopie. - Colin uśmiechnął się i wyszedł, pozostawiając Tammana z jego ukochaną.

* * *

Ganhar odchylił się na krześle do tyłu i oparł nogę na skraju biurka. Właśnie odbył dość burzliwą rozmowę z Shirhansu, lecz w sumie kobieta miała rację - mieli szczęście, że dopadli kogokolwiek z załogi „Nergala”, i raczej były małe szanse, by udało się to drugi raz. Ich obecność zdradziło gadanie Tarbana, a jeśli tamci wpadli w jedną pułapkę, w następną już raczej nie wejdą. Osłonią atakującą grupę tak potężnymi aktywnymi skanerami, że będzie mogła przedrzeć się przez każde przenośne pole maskujące.

Zastanawiał się, co tym razem powinien zaproponować. Najbardziej logicznym rozwiązaniem byłoby wycofanie kilku myśliwców z misji zaczepnych i wykorzystanie ich do zestrzelenia wszystkich kutrów z „Nergala”, które znajdują się w zasięgu skanerów, lecz Ganhar żywił głęboki szacunek dla Hectora MacMahana, który - był tego pewien - kierował tą kampanią, i łatwo mógł przewidzieć jego równie logiczną reakcję: osłoni kutry „Nergala” własnymi myśliwcami, by pokonać myśliwce Ganhara, kiedy te zaatakują kutry.

Sam ten pomysł groził dalszą eskalacją walk, a taka myśl przyprawiała go o mdłości. Tamci nie dorównywali im uzbrojeniem, lecz wiedzieli, gdzie chcą uderzyć, i mogli skoncentrować siły, on zaś nie mógł osłonić myśliwcami wszystkich miejsc, które mogliby zaatakować, dopóki Anu nie pozwoli wycofać się z działań ofensywnych.

A Anu, rzecz jasna, tego nie robi.

Przetarł oczy pełnym zmęczenia gestem; jego myśli wlokły się jak kondukt pogrzebowy. Jest niedobrze. Nawet jeśli zdołają znaleźć „Nergala” i zniszczą okręt oraz wszystkich przeciwników, nadal pozostaje Anu, wszyscy inni - w tym on sam - oraz nieskuteczność ich działań. Anu jest szalony, ale czy on sam jest od niego lepszy? Co się stanie, jeśli uda im się wreszcie opuścić tę przeklętą planetę?

Podobnie jak Jantu, Ganhar miał swoją własną teorię na temat zniknięcia Imperium z kosmosu. Jeśli się myli, wszyscy są skazani na zagładę. Imperium nigdy im nie wybaczy, dla takich

jak oni - buntowników, i to takich, którzy tyle złego zrobili bezradnym mieszkańcom Ziemi - nie będzie litości.

Ale jeśli Imperium już nie istnieje - co jest znacznie bardziej prawdopodobne - ich los może być jeszcze gorszy, gdyż nadal pozostawał Anu. Albo Jantu. Albo ktokolwiek inny. Szaleństwo ogarnęło ich wszystkich - już zbyt długo żyli i za bardzo bali się śmierci. Ganhar wiedział, że on sam jest bardziej zdrowy na umyśle niż wielu jego towarzyszy, a mimo to dopuścił się tak podłych uczynków, aby ocalić życie. Pracował z Kirinal mimo jej sadyzmu, a kiedy zajął jej miejsce, opracował ten idiotyczny plan tylko po to, by nieco dłużej pożyć. Zapewne jej i Girru ten plan bardzo by się spodobał, pomyślał z goryczą. Ta rzeź bezbronnych degeneratów...

Nie, nie „degeneratów”. Może prymitywów, ale nie degeneratów; to on i jego towarzysze są zdegenerowani. Może kiedyś fakt, że chcieli przeciwstawić się mocy Imperium, był powodem do chwały, lecz nie teraz, po tym, co zrobili mieszkańcom Ziemi i swoim własnym bezbronnym towarzyszom.

Popatrzył na dłonie, które ukradł, i żołądek mu się ścisnął. Nie żałował przystąpienia do buntu czy nawet długiej, krwawej walki z załogą „Nergala”. A może tak naprawdę żałował, lecz nie mógł udawać, że nie wiedział, co robi, albo jęczeć i korzyć się z tego powodu przed Stwórcą. To wszystko, co zrobił, napawało go obrzydzeniem, a już zwłaszcza to, co robił jako szef wydziału operacyjnego. Ale teraz nie można tego cofnąć ani nawet powstrzymać. Gdyby próbował, zginąłby, a on nawet po tych wszystkich okropnych latach pragnął żyć. Przerazała go myśl, że gdyby nawet chciał umrzeć, prawdopodobnie nic by nie zyskał, poza ulotną iluzją ekspiacji. Nawet gdyby potrafił zdobyć się na taki krok - a nie był pewien, czy zdołałby to zrobić - Anu i tak pozostanie. Ten szaleniec ma ludzi, siłę ognia i zaplecze techniczne, i to, co w krótkim czasie udało się „Nergalowi” i jego ludziom osiągnąć, nie może tego zmienić.

Szef operacji Ganhar zacisnął dłonie i patrząc na nie, zaczął się zastanawiać, czy już zaczyna pękać. Widział, że kilku innych również zaczęło mieć wyrzuty sumienia. Zwykle w takiej sytuacji niektórzy sami kończyli swoje zbyt długie życie, inni zaś, namierzeni przez gorliwych podwładnych Jantu, mieli swoją śmiercią odstraszać innych.

Westchnął, wstał i powoli wyszedł ze swego biura. Był bezsilny; przy stole konferencyjnym na pewno znowu powie Anu, że wszystko idzie zgodnie z planem. Może będzie sobą za to gardził, lecz zrobi to i nie ma sensu udawać, że będzie inaczej.

* * *

Ramman siedział w swoim niewielkim mieszkaniu, obgryzając nerwowo paznokcie. Pomalowana na pastelowo kwatery była zavalona brudną odzieżą i zastawą stołową, a w nosie kręcił smród niepranej pościeli. Takie niechlujstwo było szczególnie przykre dla osób o ulepszonych zmysłach.

Wiedział, że jest obserwowany i że to jego dziwne izolowanie się od znajomych najprawdopodobniej ściągnie na niego podejrzania. Nie mógł do tego dopuścić, jednak narastające przerażenie i desperacja paraliżowały jego zdolność do rozwiązania tej sprawy w jakikolwiek sposób. Czuł się jak schwytywany w potrzask królik, który czeka na nadejście myśliwego. Gdyby wyszedł do ludzi, na pewno by to zauważyli.

Wstał i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju, założywszy ręce do tyłu. To szaleństwo. Jiltanith i jej ojciec muszą być szaleni. Przegrają, a ich porażka ujawni fakt, że ktoś im pomógł, wydając kody dostępu. Polowanie na czarownice dotknie niewinnych, lecz najprawdopodobniej także winnego, i to on nim będzie. Zostanie odnaleziony, zaarrestowany... i zabity.

To nie w porządku! Przecież dostał rozkaz i musiał go wykonać. Umieścił kody tam, gdzie mu kazano. Gdyby komuś o tym powiedział... Zadrżał na myśl o Jantu i tych strasznych rzeczach, które robiono ze „zdrajcami” za pomocą imperialnej technologii.

Jeśli będzie trzymał język za zębami i nikomu nie powie, może pożyje nieco dłużej, przynajmniej do chwili, gdy załoga „Nergala” rozpocznie samobójczy atak.

Usiadł na krawędzi łóżka i załkał, kryjąc twarz w dłoniach.

* * *

- Pora na „Zasłonę dymną” - powiedziała cicho Jiltanith. - Zaświadcza o tym los Tammana grupy. Rzeź, jaka się dzieje, pozór nam daje, by wprowadzić „Zasłonę dymną”.

- Zgadza się - powiedział cicho MacMahan i spojrzał na Colina.

- Tak - rzekł pilot. - Czas powstrzymać to szaleństwo. Wszystko gotowe?

- Tak. Geb i Tamman polecą przodem, z Hanalat i Carhaną jako skrzydłowymi.

- Nie - zaprotestowała Jiltanith.

MacMahan spojrzał na nią, zaskoczony brzmieniem w jej głosie zdecydowaniem.

- Nie - powtórzyła. - Ja winnam prowadzić.

- Nie! - Colina zaskoczyła siła własnego protestu. Jiltanith spojrzała mu w oczy... lecz nie z dawnym pełnym nienawiści wyzwaniem, lecz z determinacją, która sprawiła, że serce w nim zamarło.

- Tamman jest ranny - powiedziała.

- To była lekka rana, z którą izba chorych i jego biotechnika już się uporały. - MacMahan powiedział to ostrożnie, jak człowiek, który wie, że wchodzi na niebezpieczny teren, choć nie do końca pojmuje, dlaczego jest niebezpieczny.

- Nie o jego ciele prawię. Jasnym jest, iż to powód, by nowego wybrać, lecz jego serce także ranę dostało. Od śmierci Hineko nie widziałam jeszcze, by się o kogo troszczył tak, jak o swoją Amandę.

- Wszyscy zostaliśmy ranni, Tanni - zaproponował MacMahan.

- Zgoda, jednakowoż u Tammana rana jest znacznie głębsza.

- Tanni, nie możesz lecieć. - Colin wyciągnął rękę przez stół, by dotknąć jej dłoni. - Nie możesz. Jesteś teraz awaryjnym dowódcą „Dahaka”.

Zobaczył, jak jej oczy rozszerzają się ze zdziwienia, i miał ochotę odgryźć sobie język. Po chwili kobieta przekrzywiła głowę w geście, który wyrażał żądanie wyjaśnienia tych słów.

- No cóż, musiałem kogoś wybrać - powiedział usprawiedliwiającym tonem. - To nie mógł być Horus ani któryś ze starszych Imperialnych, bo byli aktywnymi buntownikami; nie mogłem ryzykować, że w takiej sytuacji „Dahak” chciałby wykonać swoje priorytety alfa! Dlatego musiało to być jedno z dzieci, a wybór ciebie był najbardziej logicznym wyborem.

- I nie uznałeś za stosowne rzec mi o tym? - spytała; błysk zaskoczenia w jej oczach zmienił się w pełną ciekawości czujność.

- No cóż... - Colin poczuł, że robi się czerwony. Spojrzał ukradkiem na MacMahana, lecz pułkownik miał obojętną minę. - Być może powinienem, lecz w owym czasie nie sądziłem, by to było dobre rozwiązanie.

- A czemuż nie? Czemuż żadnemu z nas nie rzekłeś, żeś uczynił któregoś z nas swym zastępcą?

- Szczerze mówiąc... mimo iż bardzo chciałem wam zaufać, nie wiedziałem, kiedy zapisywałem rozkazy dla „Dahaka”, czy mogę. To jeden z powodów, dla których nalegałem, abym mógł to zrobić osobiście - powiedział i poczuł ulgę, gdy kobieta, zamiast wpaść w furję, pokiwała głową.

- Tak, pojmuję - rzekła cicho. - Takżeś sobie dumał, że gdybyśmy wiedzieli, iż mianowałeś następcę, to gdybyśmy byli zdrajcami, zabilibyśmy ciebie i dokończyli wszystko sami?

- Mniej więcej - przyznał niechętnie. - Nie odważę się ponownie skontaktować z „Dahakiem”, a on nie może odebrać moich sygnałów pasywnymi urządzeniami. Gdybym się co do

was mylił, a wy byście się o tym dowiedzieli, moglibyście wyłączyć mnie z gry i powiedzieć mu, że to robota tych z południa. - Popatrzył na nią wzrokiem znacznie bardziej proszącym niż wcześniej na MacMahana. - Tak naprawdę nie sądziłem, że to zrobicie, lecz skoro zbliżają się Achuultani i wszystko może pójść w diabły, wołałem nie ryzykować.

- To bardziej rozumne niżem się po tobie spodziewała. - Colin zamrugał, zaskoczony, gdy Jiltanith błysnęła śnieżnobiałymi zębami w pełnym aprobaty uśmiechu. - Colin, jeszcze szpiega z ciebie uczynimy!

- Naprawdę to rozumiesz?!

- Nie byłabym przez tyle lat panią szpiegów „Nergala”, gdybym sama rozumu nie miała - odparła sucho. - Jedno wciąż mnie turbuje: czemużeś wybrał akurat mnie? A skoro żeś musiał, czemuś mi o tym nie rzekł? Skoro tyleśmy razem przeszli, to sobie ufamy?

- No... - Poczuł, że znów się rumieni. - Nie byłem pewien, jak to przyjmiesz - przyznał wreszcie. - Nie byliśmy... w najlepszych stosunkach.

- Prawyś - przyznała, i tym razem sama się zarumieniła, a potem zerknęła z ukosa na MacMahana, który, trzeba przyznać, spojrział na nią z lekkim błyskiem w oku. - Wiedząc to, dalej chciałeś, bym na twym szkunerze była?

- Nie zamierzałem komukolwiek oddawać mojego „szkunera” - powiedział rozdrażnionym tonem. - Ale tak, jeśli ju2 miałem kogoś wybrać, chciałem, żebyś to była ty. - Wzruszył ramionami. - Byłaś najlepsza.

- Trudno to pojąć - mruknęła. - Było to szaleństwo lubo większa mądrość niż ja objąć zdołam, aby dać taki dar komuś, kto cię tak nienawidził.

- Dlaczego? - spytał niespodziewanie łagodnym tonem. Spojrział jej prosto w oczy, na chwilę zapominając o obecności MacMahana. - Rozumiesz, że musiałem podjąć pewne środki ostrożności, dlaczego więc tak trudno ci pojąć, że ja mogę rozumieć powody twojej nienawiści, Tanni, i nie mieć o to do ciebie pretensji?

- Isis rzekła mi to samo - powiedziała powoli Jiltanith. - Rzekła także, że to twoje słowa, ale nie miałam głowy, by jej słuchać.

Uśmiechnęła się, po raz pierwszy naprawdę łagodnie.

- Twe serce jest większe niż moje, cny Colinie.

- Pewnie - rzekł, starając się, by zabrzmiało to swobodnie. - Mów mi Albert Schweitzer. - Jej uśmiech poszerzył się, a w ciemnych oczach dalej błyszczała łagodność. - W każdym razie jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

- Tak - odparła zdecydowanie.

- To także powód, dla którego nie możesz prowadzić lotu w „Zasłonie dymnej”. Nie możemy ryzykować, że cię stracimy.

- Ale ty nie jesteś martwy ani nie umrzesz - odparła natychmiast, mrużąc oczy - i niemożliwym jest, iżbyś nie wybrał innego po mnie. Założę się, że Tammana albo innego dzieciaka.

Nie odpowiedział, ale widziała to w jego oczach.

- Tamman jest całkiem inny niż ja, cny Colinie. Dobrze wiesz, lepiej niżli inni, jak me serce potrafi nienawidzić, lecz ma nienawiść to lód, nie płomień. Tammanowi wiele jeszcze czasu potrzeba, by oczyścić swój umysł, a „Zasłona dymna” nie jest dla kogoś, kogo umysł chmury skrywają.

- Ale...

- Ona ma rację - wtrącił cicho MacMahan. Colin spojrział na niego z wyrzutem i pułkownik wzruszył ramionami. – Sam powinienem był to zauważyć. Tamman nie opuścił izby chorych od chwili, gdy przyniesiono tam Amandę. W końcu stamtąd wyjdzie, ale potrzebuje czasu, by się uspokoić. Tanni jest naszym najlepszym pilotem, wiesz o tym lepiej niż inni. Nie spodziewamy się walki, lecz jeśli do niej dojdzie, jest najlepiej wyposażona, aby sobie z tym poradzić. Jako strzelca przydzielimy jej Rohanthę. Razem tworzą jeszcze lepszy zespół niż Geb i Tamman. - Ale...

- Rzecz to skończona, Colin. Powiodę ich wraz z Hanthą.

- Niech to, Hector, nie chcę, aby leciała w tej łupinie!

- To nie ma znaczenia. Tą operacją dowodzimy Tanni i ja, a nie ty, poza tym ona ma rację. Proszę więc się zamknąć i słuchać... sir!

* * *

Przy drzwiach do prywatnej kajuty Ganhara rozległ się dzwonek. Mężczyzna podniósł wzrok znad holomapy i kazał drzwiom, aby się otworzyły. Było późno, więc spodziewał się, że to Shirhansu, jednak to nie była ona. Jego oczy zwięzły się, gdy zobaczył, kto wchodzi do środka.

- Ramman? - spytał i wyprostował się na krześle. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Ja... - Wzrok mężczyzny był rozbiegany niczym u pochwyconego zwierzęcia. Ganhar z trudem powstrzymał się od skrzywienia, gdy doleciał go smród niemytego ciała.

- Tak? - zachęcił go, gdy milczenie zbyt długo się przeciągało.

- Czy... czy twój gabinet jest bezpieczny? - Ramman pytał poważnie, lecz tak dziwnie, jakby starał się zyskać na czasie, zanim podejmie jakąś decyzję.

- Tak - odparł powoli. - Sprawdzam go co rano.

- To dobrze. - Ramman znów umilkł.

- Słuchaj, jeśli masz mi coś do powiedzenia, to może to powiesz!

- Boję się - przyznał Ramman po kolejnej przyprawiającej o szaleństwo chwili milczenia. -

Muszę o tym komuś powiedzieć, a... - zmusił się do krzywego uśmiechu - jeszcze bardziej niż ciebie obawiam się Jantu.

- Dlaczego?

- Ponieważ jestem zdrajcą - wyszeptał Ramman.

- Co?! - Ramman zamrugał, jakby Ganhar go uderzył, ale widać było, że przekroczył jakiś wewnętrzny Rubikon. Kiedy znów się odezwał, mówił już głośniej i szybciej.

- Jestem zdrajcą. Przez... przez wiele lat kontaktowałem się z... z Horusem i jego córką Jiltanith.

- Rozmawiałeś z nimi?!

- Tak. Tak! Bałem się Anu, żeby to szlag! Chciałem... chciałem zdezerterować, lecz mnie nie chcieli! Kazali mi zostać, zrobili ze mnie swojego szpiega!

- Ty głupku - powiedział cicho Ganhar. - Biedny, przeklęty durniu! Nic dziwnego, że na widok Jantu zaczynasz trząść portkami. Ale skoro to prawda, dlaczego mi o tym mówisz? Czemu w ogóle o tym mówisz?

- Bo... bo oni zamierzają uderzyć na enklawę.

- To niedorzeczne! Nawet nie zarysują naszej tarczy! - Nie zamierzają. - Ramman nachylił się ku Ganharowi. - Przejdą przez punkty wejścia.

- Nie mogą, nie mają kodów dostępu.

- Niczego nie rozumiesz. Oni chcą, bym je dla nich ukradł!

- To głupota - odparł Ganhar, spoglądając na brudnego, skulonego Rammana. - Muszą wiedzieć, że Anu ci nie ufa. A może coś im nakłamałeś?

- Nie - odparł stanowczo mężczyzna. - A nawet gdybym im coś powiedział, zorientowałiby się po tym, jak długo pozostawałem na zewnątrz enklawy.

- Zatem muszą też wiedzieć, że Jantu planuje zmianę kodów, gdy tylko „niewiarygodne osoby” wyjdą na zewnątrz.

- Wiem o tym! Słuchaj, na miłość Stwórcy! Oni nie chcą, abym je wyniósł. Mam je schować dla kogoś innego. Dla jednego z degeneratów!

- Na Niszczyciela! - szepnął Ganhar. Niech to, to ma sens! Jeśli udało im się wprowadzić do środka jednego z ich degene...ludzi, to niestety ma sens. Jest ich bardzo niewiele, lecz wykorzystując zaskoczenie... To nadaje sens ich ofensywie. Zagnać nas do enklawy, ukraść kody, wynieść je na zewnątrz i zaatakować, nim Anu i Jantu je zmienią... To istne cacko!

- Czemu mi o tym mówisz?

- Bo nigdy im się nie uda! Jeśli jednak spróbują, Anu dowie się, że ktoś im przekazał kody, i będę jednym z tych, których za to zabije!

- Myślisz, że mogę coś z tym zrobić? Jesteś większym durniem niż sądziłem, Ramman!

- Słuchaj, nie! Myślałem o tym, że jest pewien sposób... Coś, co nam obu pomoże!

- Co? Aha, rozumiem. Ty mi mówisz, ja łapię tego kuriera, wysyłamy go jako naszego informatora i prezentujemy wszystko jako element planu. O to chodzi?

- Właśnie!

- Hmm... - Ganhar popatrzył na holomapę, po czym pokręcił głową.

- Nie, jest lepszy sposób - rzekł powoli. - Idź i zostaw te kody. Możemy im je dać, po czym poczekamy na nich, gotowi, z całym uzbrojeniem, i zmieciemy ich... raz na zawsze.

- Tak, tak! - zgodził się skwapliwie Ramman.

- Bardzo ładnie - powiedział Ganhar, usiłując wyobrazić sobie, co nastąpi po tak ogromnym triumfie. Rozbitkowie z „Nergala” zostaną zneutralizowani, lecz co potem? Będzie bohaterem, lecz nawet wtedy jego życie dalej będzie wisieć na włosku, gdyż Inanna wie, co on sądzi o Szeffie. Może Anu także wie. Przypomniał sobie, jak jego własne działania przyprawiały go o mdłości. Jeśli on i Ramman zwabią ludzi z „Nergala” w pułapkę, położą kres tej długiej skrytej wojnie. Nie będzie już musiał zabijać niewinnych, nie będzie już kolejnych Kirinal i Girrów którzy robią to dla zabawy...

- Kiedy masz to zostawić? - spytał wreszcie.

- Już to zrobiłem.

- Rozumiem - odparł Ganhar i pokiwał w zadumie głową, otwierając szufladę. - Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Wreszcie będę mógł coś zrobić z sytuacją na tej planecie, a nie uczyniłbym tego bez ciebie. Dziękuję.

Wyciągnął dłoń z szuflady i Ramman spojrział w otwór lufy małego pistoletu energetycznego. I nadal w niego patrzył, kiedy Ganhar rozwalił mu głowę.

Księga czwarta

Rozdział dwudziesty

Jiltanith i Rohantha zasiadły w swoich fotelach i wyjątkowo dokładnie sprawdziły komputery. Tej nocy stawka były wyższe niż wcześniej, i to nie tylko dla nich.

Nie siedziały w myśliwcu, lecz w jednej z dwóch specjalnie zmodyfikowanych szalup, w jakie wyposażono „Nergala”. Szalupa była większa niż mieszcząca dwadzieścia osób kuter. Załadowano ją systemami maskującymi, trzy razy większą liczbą pocisków i dodatkowymi komputerami podłączonymi do dwóch kutrów i pary myśliwców, które stały obok nich w luku. Podczas gdy Hanalat i Carhana wykonywały testy, pojawił się jeszcze trzeci myśliwiec. Nawet, jeśli „Zasłona dymna” okaże się dużym sukcesem, zrobi sporą wyrwę w ekwipunku „Nergala”.

Jiltanith pokiwała głową, zadowolona z odczytów systemów i sygnałów gotowości, które przepływały przez jej komputer do sprzętu Rohanthy, po czym otworzyła kanał łączności.

- Gotowam - powiedziała.

- Udanych łowów - odparł głos; uśmiechnęła się do konsoli, gdyż nie był to Hector, ale Colin McIntyre.

Od chwili, kiedy się przyznał, że wybrał ją na swoją następczynię, był ciągle blisko niej, cały czas krążył dookoła. Wiedziała, że choć dał jej Dozwolenie na ten lot, tak naprawdę wcale tego nie akceptował. Zastanowiła się, czy by czegoś nie odpowiedzieć, lecz doszła do wniosku, że ich nowe stosunki są jeszcze zbyt delikatne i że później będzie na to czas.

Podniosła szalupę i poprowadziła procesję maszyn długim pochyłym tunelem. Znowu czuła wolność... oraz pragnienie walki, lecz tym razem było to coś innego, mniej ponurego, a między nią i celowniczym nie było już takiego napięcia.

W próżni szalupa była wolniejsza i miała mniejszy zasięg niż myśliwiec, ale za to w atmosferze była znacznie szybsza. Dzięki cięższym generatorom mogła pokonywać opór powietrza, za bardzo przy tym nie zwalniając. Nie miała jednak powierzchni sterowych, które można by wykorzystać podczas lotu w zamaskowaniu, a sama jej moc spowalniała przyspieszanie i hamowanie, ograniczała manewrowość... oraz utrudniała ukrycie się.

Pięli się szybem, nasłuchując, czy nie ma jakichś ostrzeżeń od załóg skanerów „Nergala”. Ponieważ nie było żadnych alarmów, niewielki statek wyslizgnął się niezauważony w niebo i spokojnie skręcił na wschód.

Umysł Jiltanith pracował jak komputer, nawet teraz szukając jakichś oznak, że coś idzie źle. Nie spodziewała się ich, lecz nie mogła się powstrzymać przed ich szukaniem, i to ją irytowało. To nie jest zachowanie osoby pewnej siebie, za jaką lubiła się uważać.

Poza sprzętem, w operacji brały udział tylko cztery osoby: ona i Rohantha w szalupie,

Hanalat i Carhana w myśliwcu. To powinno wystarczyć... założywszy, że ona i Hector prawidłowo ocenili nowe rozkazy Anu. A jeśli nie...

Musiała przyznać, kiedy wiodła pozostałych w stronę celu z prędkością nieco mniejszą od jednego macha, że najbardziej niepokoi ją użycie szalupy. Projektanci nie przygotowali jej do walki na krótki dystans. W porównaniu z potęgą wielu baterii myśliwca pojedyncze działko energetyczne na pokładzie o-zciiiiiw Vrułn inV 7ahawlffi i nhnHnż elektronika była znacznie bardziej wydajna, zaś zwiększona ilość rakiet dawała odpowiednią siłę uderzenia na większą odległość, wiedziała, co się stanie, jeśli będzie musiała stanąć do walki na krótki dystans z myśliwcem.

Nie pozostało jej więc nic innego jak ufać Rohancie oraz jej systemom zabezpieczającym i modlić się.

Znieruchomiała, kiedy w łączu z Rohanthą pojawiło się ostrzeżenie: dwa wrogi myśliwce na południu. Leciały wyżej i szybciej niż oni, zmniejszając skuteczność swoich systemów maskujących. Gdyby Jiltanith siedziała za sterami myśliwca, z radością rzuciłaby się za nimi w pościg. Stłumiła jednak gwałtowną chęć przyspieszenia i wstrzymała oddech, podczas gdy jej umysł połączył się z umysłem Rohanthy, śledząc ruchy przeciwnika. Okazało się, że myśliwce wykonywały tylko swoją misję, i już po chwili zniknęły z pasywnych skanerów.

Jiltanith usiłowała odprężyć się i zapomnieć o przerażeniu na myśl o nowych niewinnych ofiarach. Na chwilę zmieniła kurs, mijając Ottawę od północy, po czym skręciła na południowy zachód. Wreszcie zdołała zepchnąć złe myśli w tył głowy. Pomogła jej w tym konieczność skupienia się na zadaniu: system nawigacji mruczał do niej, kontrolki statku tuliły się ni - czym ukochany, a cel zbliżał się z każdą chwilą. Już niedługo. Niedługo...

* * *

Shirhansu ziewnęła, po czym ruszyła na obchód zakamuflowanego bunkra. Jeśli Ganhar miał rację (a na razie jego analitycy wykonali wspaniałą robotę), wkrótce coś się zacznie dziać. Taką miała nadzieję. Strzelanina w La Paz dała jej zadowolenie, mimo iż miała świadomość, że wielu przeciwników uciekło, ale tym razem zostawiła Tarbana w bazie. Oczywiście, zawsze istnieje ryzyko, lecz jej stanowisko było dobrze osłonięte, do tego miała pod ręką odpowiednio dużo broni. Tak naprawdę będzie to...

- Coś łapiemy, Hansu!

Szybko podeszła do Camana. Wychylał się nieco do przodu i z nieobecny wzrokiem nasłuchiwał swojej elektroniki. Spojrzała na ekran. Caman go nie potrzebował, lecz pozwalał jej

zobaczyć odczyt jego skanerów bez podłączania się do jego systemów i gubienia się w nich.

Aktywne skanery odbierały coś z północy! A więc Ganhar dobrze się domyślał. Nie chcą znów dać się złapać w pułapkę, dlatego przed atakiem robią rozpoznanie. Ciekawe, czy ich kolejne posunięcia będą zgodne z tym, co przewidział Ganhar.

Obserwowała, jak na holograficznym odwzorowaniu mała czerwona kropka wędruje nad niewielkimi, idealnie odwzorowanymi wzgórzami i drzewami. Komputery rozpoznały, że jest to kuter, lecz żaden kuter nie byłby tak śmiały, gdyby nie miał eskorty. Ich własne skanery, działające póki co pasywnie, jeszcze nikogo nie wykryły, lecz kiedy będzie taka potrzeba, odnajdą tych drani.

Jiltanith przejęła na chwilę od Rohanthy system kierowania ogniem oraz sterowanie; trwała w napięciu, czekając na stosowną chwilę do ataku. Baza w północnej części stanu Nowy Jork, która od początku znajdowała się na liście Hectora, na razie była starannie omijana. Była łakomym kąskiem - duży magazyn broni, baza zagranicznych terrorystów działających w północno-wschodnich stanach i Kanadzie, do tego obecność imperialnych koordynatorów i nieco pozaziemskiej technologii - lecz była też, oględnie mówiąc, blisko domu. Co ważniejsze, miała być przynętą; potrzebowali takiego celu, by przygotować grunt pod operację „Zasłona dymna”.

Rohantha siedziała obok niej spięta, koncentrując się na swoich specjalnie zaprogramowanych komputerach. W tej chwili kierowała dwoma kutrami i myśliwcami za pośrednictwem łączy radiowych. Było to ryzykowne, gdyż można ich było namierzyć radiem, ale jeszcze bardziej ryzykowne byłoby –pole w przestieszeni złożonei. Bezpośrednie łącza miały tę zaletę, że nie można ich było wykryć dopóty, dopóki przeciwnik nie znalazł się bezpośrednio na ich drodze.

Na statku panowała całkowita cisza. Mimo własnych zajęć, jakiś fragment umysłu Jiltanith był otwarty na przepływ myśli Rohanthy przez łącza neuralne. Pierwszy kuter zbliżył się do celu; aktywne skanery przez chwilę pracowicie go namierzały, po czym zamieniły go w zawieszoną na niebie boję.

* * *

- Mamy ich, Hansu! - krzyknął podekscytowany Caman. - Widzisz?!

Shirhansu kiwnęła głową. Na ekranie właśnie pojawił się drugi kuter. Jego współrzędne były mniej dokładnie określone, gdyż nie posługiwał się skanerami, lecz łączył w złożonej przestrzeni między nim i pierwszym statkiem przeskakiwało między polem maskującym. Aha, pierwszego posłali na autopilocie.

Uśmiechając się, uniosła niewielki mikrofon. W La Paz skorzystali z radia, a ona nie była na to przygotowana, lecz tym razem ona także dysponowała łączem radiowym. Mogli je namierzyć, ale nawet gdyby im się to udało, nie byłiby pewni, kto się nim posługuje.

- Jedyńka - powiedziała cicho po angielsku. - Ruszajcie. Nie było odpowiedzi, lecz wysoko nad powierzchnią Ziemi dwa imperialne myśliwce runęły w dół z szybkością trzech machów, zbierając przez prymitywne łącze radiowe dane ze skanerów Camana.

- Rakiety! - wyrwało się Rohancie.

Jiltanith pokiwała głową. Odczyty energetyczne imperialnych pocisków były nie do pomylenia; spadały z nieba, a systemy namierzające Hanthy usiłowały określić, skąd zostały wystrzelone.

Oba kutry zaczęły wykonywać zaprogramowane uniki przed nadlatującymi pociskami. Oczywiście było to bezcelowe, lecz byłoby to bezcelowe nawet wtedy, gdyby tego nie zaplanowali.

Pociski trafiły w cel i Jiltanith skrzywiła się, gdy termonuklearny błysk rozświetlił nocne niebo. Południowcy używają ciężkich rakiet!

Zbladła, gdy wyobraziła sobie promieniowanie wychodzące z tych kul ognia. Byli zaledwie kilometr w górze i tylko Stwórca wie, co się stanie z wszystkimi Ziemianami w tej okolicy. Wiedziała jednak, co impuls elektromagnetyczny zrobi z antenami Rohanthy! Imperialna technologia była na to odporna, a ona mogła tylko mieć nadzieję, że dane do namierzenia dotarły do celu... i że manewry zapisane na komputerach bezzałogowych statków wystarczą. Gdyby musieli otworzyć łącze w przestrzeni złożonej, pod okiem południowców...

Oba kutry zniknęły. Jiltanith oderwała wzrok od wybuchu, gdy Rohantha przejęła od niej stery. Zrobiła wszystko, co można było zrobić przy zdalnym sterowaniu.

* * *

- Oba kutry zdjęte! - krzyknął Caman i Shirhansu spojrzęła triumfalnie na ekran.

Przynajmniej jedna grupa nie dotrze do celu! Lecz jej triumf ustąpił miejsca trosce, kiedy myśliwce zaczęły się oddalać od siebie i miejsca, skąd wystrzeliły pociski, najszybciej jak można, bez zdejmowania maskowania...

- Rakiety! Dużo rakiet! - warknął Caman, a Shirhansu zmeęła w ustach przekleństwo.

Niech to Niszczyciel, Ganhar znów miał rację! Lecz jej myśliwce nadal miały szansę. Obserwowała na ekranie, jak lecące pociski rozchodzą się coraz szerzej. Nie mogły znaleźć konkretnego celu, więc najwyraźniej wychwyciły ślady po pociskach, które zniszczyły kutry.

- Dwójka! - Wykorzystała komunikator przestrzeni złożonej, gdyż silne impulsy elektromagnetyczne z głowic pierwszego zespołu mogły utrudniać komunikację nawet imperialnym systemom, zresztą utrzymywanie wszystkiego tajemnicy i tak nie miało już sensu. Nie było nawet potrzeby mówić drugiemu zespołowi” co powinien zrobić - już to robił.

Niech to! Maszyna Erdany uwolniła się od szukających jej rakiet, lecz były to pociski samonaprowadzające i przynajmniej trzy z nich namierzyły Simę iYanu! Obserwowała, jak Sima osiąga pełną prędkość, porzuciwszy maskowanie. Na ekranie pojawiły się flary - to systemy zagłuszające starały się ochronić myśliwiec. Jedna z rakiet poraziła flarę wybuchem o mocy trzech kiloton, druga, zgubiwszy cel, zniknęła w ciemnościach nocy. Trzeciej udało się przemknąć między zabezpieczeniami, które Yanu przeciw niej rzucił, ale jej cel także wkrótce zniknął z ekranu.

Tymczasem skanery Camana odnalazły oba strzelające myśliwce i dwójka - w której skład wchodziły nie dwa, lecz cztery myśliwce - rzuciła się za nimi w pogoń. Na niebie znów pojawiły się smugi pocisków.

* * *

Jiltanith obserwowała w podnieceniu, jak jeden z myśliwców południowców znika w kuli ognia. To więcej niż się spodziewali; była zaskoczona, że komputery bezzałogowych myśliwców tak dobrze sobie poradziły.

Teraz wykonywały resztę swojej pracy, a tymczasem ona za - wróciła szalupę i trzymając się blisko ziemi, osłaniana przez Hanalat i Carhanę, poleciała na północ z prędkością dwóch raachów, modląc się, by ich systemy maskowania wytrzymały.

Shirhansu obserwowała reakcję tych z pomocy na atak jej myśliwców. Jeden z ich myśliwców pomknął z pełną mocą na zachód, w stronę jeziora Erie, drugi zaś odleciał z taką samą szybkością na wschód, szukając osłony za górami. Flary błysnęły w ciemnościach i zginęły w salwach nuklearnego ognia. Lecący na zachód myśliwiec umknął fali ścigających go pocisków, jednak lecący na wschód nie miał tyle szczęścia: trzy różne pociski trafiły w niego z trzech różnych stron.

Skupiła uwagę na ocalałym myśliwcu, modląc się w duchu, aby jego załoga była na tyle przerażona i głupia, by uciekać prosto w kierunku „Nergala”. Ale ci Imperialni byli ulepieni z twardej gliny. Nad zachodnim krańcem jeziora zawrócili, odpalając w odpowiedzi swoje pociski. Shirhansu stłumiła niechętny podziw dla ich odwagi, kiedy rzucili się na czterech prześladowców, wolać zginąć w beznadziejnej walce niż zdradzić położenie swojej bazy.

To, co nastąpiło potem, było szybkie i zaciekle. Statek natychmiast został otoczony, a jego załoga, najwyraźniej bardziej zdeterminowana niż wyszkolona, zamiast zestrzelić jeden ze stojących im na drodze myśliwców i uciec, ruszyła na wszystkich atakujących. Systemy obronne myśliwców poradziły sobie z ostrzałem przeciwnika, po czym myśliwiec Changi zestrzelił wrogi statek działkami energetycznymi.

Poskręcany, na wpół wyparowany wrak spadł do zimnych wód jeziora Erie, a zwycięzcy przegrupowali się i pomknęli na południe. Shirhansu opuściła ramiona i wyprostowała się; dopiero wtedy uświadomiła sobie, że przez cały czas kuciała pochylona do przodu. Otarła czoło i zobaczyła, że jej dłoń jest cała mokra od potu.

Już po wszystkim. Zajęło to mniej niż pięć minut.

- Daj mi Ganhara - poleciała cicho Camanowi, a jej asystent radośnie pokiwał głową.

Shirhansu wzięła głęboki oddech, zastanawiając się, co powiedzieć. Szkoda jej było Simy iYanu, lecz zdjęli oba kutry oraz dwa zamaskowane myśliwce eskorty, tracąc tylko jednego swojego myśliwca, a teraz jeszcze trzeciego myśliwca z „Nergala” i pięciu albo sześciu Imperialnych, ponieważ w każdej grupie szturmowej powinien być jeden Imperialny, a może nawet siedmiu, jeżeli byli na tyle głupi, że wysłali pierwszy kuter z pilotem.

Pozwoliła sobie na uśmiech. Nikt nie ocalał, nie było też śladu wiadomości do „Nergala”, by go poinformować, co się stało. Cała atakująca grupa została zniszczona, a reszta pewnie nigdy się nie dowie, co się dokładnie stało. To najgorszy cios, jaki im zadano, gorszy nawet niż dla nich Cuernavaca, i tym razem to ona dowodziła. Kierowała dwoma udanymi atakami!

- Ganhar na linii - powiedział Caman i Shirhansu uśmiechnęła się jeszcze szerzej, biorąc od

niego komunikator.

- Ganhar? Tu Hansu. Mamy ich wszystkich... na czysto!

* * *

Jiltanith i Rohantha pozwoliły sobie na odpoczynek, wiedząc, że Hanalat i Carhana robią to samo na pokładzie swojego myśliwca.

Straty w ekwipunku były poważne, lecz to było zaplanowane, za to nie było ofiar w ludziach. Przynajmniej, jeśli chodzi o Imperialnych, pomyślała Jiltanith, próbując zapomnieć o Ziemiach, którzy znaleźli się w kuli ognia i strefie promieniowania. Dobrze, że teren był słabo zaludniony, złapała się tej pocieszającej myśli.

Południowcy nie mogą wiedzieć, że rozbitkowie z „Nergala” nikogo nie stracili, a to oznacza, że uwierzyli, iż straty są na tyle poważne, że odstraszą ich od dalszych działań ofensywnych.

Czekała na powrót na „Nergala”, by donieść o sukcesie misji. Hector będzie zadowolony, że tak dobrze im poszło, pomyślała, i na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Uśmiech ukryty przed Rohantha, gdy pojęła zaskakującą prawdę.

Tak naprawdę to chciała zobaczyć Colina.

Rozdział dwudziesty pierwszy

General Gerald Hatcher stał obok swojego poduszkiowca na wzgórzu, które wznosiło się nad czymś, co kiedyś było ładnym, zalesionym kawałkiem kraju, i nasłuchiwał warkotu wykrywaczy promieniowania. Wiatr wiał zza jego pleców, a poziom radiacji był względnie niski, lecz nie była to wielka pociecha, gdy spoglądał w dół, na dymiące wejście do piekła.

Dym pochodził z lasu, gdzie służba leśna, strażacy i ochotnicy spośród ocalałych miejscowych walczyli z pożarem. Większość tych ludzi nie miała dozymetrów. Hatcher pokręcił wolno głową; ludzka odwaga nigdy nie przestawała go zadziwiać i wywoływać w nim pokory, lecz ta rzeź przekraczała wszystko, co mógł sobie wyobrazić. General stał tak samo jak zawsze dumnie wyprostowany, lecz w głębi duszy płakał.

W zadymionym lesie migwały czerwone i niebieskie światła pojazdów, niebo było pełne helikopterów i samolotów pionowego startu i lądowania, które śmigły między zdradzieckimi prądami powietrznymi i promieniowaniem. W tym zbombardowanym miejscu nie znajdują zbyt wielu osób do uratowania.-

Odwrócił się, słysząc wycie turbin, gdy kolejny poduszkiowiec wspiał się na zbocze, popychając przed sobą wir gałązek i nieo kapitan Germaine, jego adiutant, w zabrudzonym piachem mundurze. Zdjął ze zmęczonej twarzy maskę i podszedł ciężkim krokiem do swego dowódcy.

- Bardzo źle, Al? - spytał cicho Hatcher.

- Gorzej już chyba nie może być, sir - oparł cicho Germaine, wskazując na ciągnące się w dole ruiny. - Grupy poszukiwawcze kierują się w stronę centrum; ostatnio liczba ofiar wynosiła pięćset.

- Nie licząc oślepionych przez wybuch i tych, którzy właśnie umierają - dodał cicho general.

- Tak, sir. Ale mam jeszcze gorsze wieści. Jedna z tych przeklętych rzeczy wybuchła dokładnie nad miastem na południe stąd. Szesnaście tysięcy ludzi. - Skrzywił się. - Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek tam przeżył, generale.

- Wielki Boże - mruknął Hatcher; trudno było ocenić, czy to była modlitwa, czy przekleństwo.

- Jedyną dobrą rzeczą - o ile to nie przesada nazywać cokolwiek w tym bajzlu „dobrym” - jest to, że pociski były czyste. Liczniki pokazują, że strefa zabójczego skażenia jest względnie mała, a wiatr wieje z południowego wschodu, z dala od wielkich miast. Ale Bóg jeden wie, co się stanie z tutejszą pulą genetyczną albo, co z tego całego gówna złapią Kanadyjczycy.

Ostatnie słowa wyszły z jego ust jako na wpół stłumiony okrzyk, jakby obojętność, którą tak

bardzo starał się zachować, runęła. Odwrócił się od generała, zaciskając pięści.

- Wiem, Al, wiem. - Hatcher westchnął; jego zwykle bystro patrzące oczy spoglądały na pole bitwy ze smutkiem. Żaden z amerykańskich systemów wczesnego ostrzegania niczego nie wykrył ani przed, ani po eksplozji. Dobrze, że przynajmniej mieli na miejscu satelity, które pokazały im, co się stało... choć wcale nie poczuł się przez to lepiej.

- Wracam do biura, Al. Zostań tu i informuj mnie. - Tak jest.

Hatcher machnął ręką i pojawiła się młoda oficer łącznikowy o pobladłej twarzy. Jej kasztanowe włosy, przycięte nieco dłużej niż zezwalały na to przepisy, rozwiewał wiatr wiejący od strony odległego o dziesięć kilometrów pożaru.

- Proszę znaleźć majora Weintrauba, poruczniku. Niech spotka się ze mną w moim biurze.

- Tak jest. - Porucznik sięgnęła do radia w wozie dowodzenia. Hatcher położył dłoń na ramieniu Germanie'a.

- Obserwuj swój dozometr, AL Jeśli dojdzie do żółtej strefy, znikaj stąd i wracaj do bazy. Major i ja i tak będziemy chcieli z tobą porozmawiać.

- Tak jest.

Hatcher delikatnie uściśnął jego napięte ramię, po czym ruszył ciężkim krokiem w stronę poduszki. Pojazd uniósł się na wirnikach i kołysząc się, zaczął pokonywać trudny teren, lecz Hatcher tak był zatopiony w myślach, że właściwie tego nie zauważył.

Nie jest dobrze. Co prawda ludzie Hectora dobrze zaczęli, ale teraz to ich bito, a wraz z nimi także resztę ludzkości.

Pierwsza fala kontrataków - kilka uderzeń na wydzielone segmenty przemysłu kosmicznego, kilka krwawych masakr konkretnych rodzin - zaskoczyła Hachera. Wyglądało to jednak zaledwie jak wbijanie szpilek niż uderzenia na wielką skalę, dlatego z pewnym wahaniem założył, że ci źli, kimkolwiek są, podążają za kilkoma ludźmi Hectora, których udało im się zidentyfikować.

Jednak w ciągu kolejnych dwunastu godzin przez planetę przetoczyła się niczym tsunami fala znacznie bardziej krwawych ataków: West Point, Sandhurst, IGuczewska, Goddard, Eden Dwa...

Najwyraźniej tamta strona sięgnęła po tradycyjną broń terrorystów: strach. Raporty z LaPaz, gdzie doszło do starcia między pozaziemskimi wrogami, i ten kataklizm w stanie Nowy Jork wskazywały, że impet przybiera na sile; potwierdzały to także wnioski z obserwacji zdjęć satelitarnych.

Pierwszym sygnałem był wybuch głowic. Najwyraźniej jedna ze stron została poważnie trafiona, a sądząc po wykorzystanych...⁴, m7(.7 nnie strony Dociskach, nie byli to ci źli. Ludzie Hectora posługiwali się tylko małymi głowicami jądrowymi, lecz ich wrogów nie obchodziło, ile

będzie ofiar. Robili naprawdę duże bum - ludzie z obsługi satelitów uważali, że używali głowic o mocy przynajmniej dwudziestu kiloton - drastycznie zwiększając liczbę zabitych.

Hatcher ciężko westchnął. W miarę jak analitycy ustalali, co się dzieje, kolejne kawałki układanki wskakiwały na swoje miejsce. Jedno było pewne: schemat operacji ludzi Hectora zawsze wskazywał na staranne planowanie oraz oszczędność sił i środków, ich przeciwnicy zaś działali na znacznie większą skalę i ich akcje często były prowadzone równocześnie, a niejedna po drugiej. Wszystko wskazywało na to, że równowaga sił jest zachwiana na niekorzyść Hectora, być może nawet bardzo poważnie.

Historia była pełna przykładów, gdy nieliczne siły triumfowały nad mniej sprytnym lub mniej zaawansowanym technologicznie przeciwnikiem, lecz w tej chwili Hatcher nie mógł sobie przypomnieć sytuacji, kiedy słabsza strona pokonała drugą, która była tak samo dobrze wyposażona, liczniejsza i wiedziała, co robi. Zwłaszcza kiedy ta silniejsza strona to byli również barbarzyńcy.

Jego pojazd dotarł do autostrady i skierował się na północ, w stronę czekającego na niego helikoptera, który miał go zawieźć do kwatery głównej. Potarł skronie znużonym gestem. On i Weintraub będą musieli nad tym posiedzieć, choć Bóg jeden wie, co dobrego im z tego przyjdzie. Na razie mogą tylko wzmocnić obronę cywilną. Są zbyt słabi technicznie, aby zrobić cokolwiek innego, lecz jeśli ludzie Hectora przegrają, Hatcher będzie musiał zrobić wszystko, co tylko w jego mocy.

* * *

- Jezu! - wyszeptał Hector MacMahan. Jego mocna, ogorzała twarz była biała, gdy wysłuchiwał raportów nadchodzących przez wojskowe i cywilne sieci radiowe. Colin położył dłoń na jego ramieniu.

- To nie nasze dzieło, Hector - powiedział cicho.

- Ależ tak, nasze. - Gorycz w głosie MacMahana była równie silna, jak wściekłość malująca się w jego oczach. - Nie użyliśmy tych cholernych potworów, ale sprowokowaliśmy tamtych do zrobienia tego! Proszę, nie mów mi tylko, że nie mieliśmy innego wyboru!

Przez chwilę Colin patrzył w jego oczy, po czym klepnął pułkownika delikatnie po ramieniu i usiadł na swoim fotelu. Wolałby, aby MacMahan skierował swoją nienawiść na kogoś innego, a nie na siebie samego. Naprawdę nie mieli wyboru... a Colin zastanawiał się, jak wielu dowódców w ciągu wieków próbowało w ten sposób uspokoić swoje sumienie.

- No dobrze - powiedział wreszcie i poprzez implant odciął ich od głosów ratowników. MacMahan spojrział na niego gniewnie, jakby mu się nie podobało, że ktoś przerywa tę jego zadaną samemu sobie publiczną pokutę. - Wiemy, co się stało. Pytanie, czy to zadziała, czy nie. Tanni?

- Mogę jeno rzec, iż powinno - odparła cicho Jiltanith i zmusiła się do cienia triumfalnego uśmiechu, jaki gościł na ich twarzach, zanim zaczęły nadchodzić raporty o ofiarach. - Jeśliby nas szpiegowali, śmierci nas wszystkich by pragnęli. Na razie dumają, że wyrznęli całe nasze oddziały.

- Horus?

- Tanni ma rację. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Modłę się, by to wystarczyło - powiedział stary mieszkaniec Imperium, nie podnosząc głowy. Isis uściśnęła go łagodnie, a kiedy popatrzyła na Colina, błyszczące w jej oczach łzy powstrzymały go od zapytania o jej zdanie. Zamiast tego spojrział na MacMahana.

- Jasne - warknął pułkownik. - Mój śliczny popieprzony plan zadziałał jak należy. Te dodatkowe trupy też się przydadzą, co?!

- Dobra. - Colin starał się być całkowicie opanowany. - W takim razie natychmiast zawieszamy dalsze działania ofensywne. I tak nie możemy nic zrobić poza czekaniem.

- Proponuję, zatem, abyśmy coś zjedli i nieco odpoczęli. Odruchowo wyciągnął dłoń do Jiltanith, a ona ją przyjęła.

Ciepło jej dotyku uświadomiło mu, co zrobił, i spojrział na nią [szybko, ale ona rzuciła mu smutny uśmiech i ścisnęła mocniej jego dłoń. Colin zauważył, że są niemal tego samego wzrostu, li z jakiegoś nie całkiem już nieznanego powodu ta myśl go ucieszyła.

Horus i Isis także wstali, lecz MacMahan dalej siedział. Colin popatrzył na niego i chciał coś powiedzieć, lecz Jiltanith ścisnęła jego dłoń i delikatnie pokręciła głową. Po chwili wahania bez słowa wyszli z sali konferencyjnej.

Zanim drzwi zatrzasnęły się za nimi, zdążyli jeszcze usłyszeć wściekłe i zrozpaczone głosy, kiedy MacMahan na powrót włączył radio.

* * *

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o tych cwanych drani! - rzekł radośnie Anu, gdy Ganhar zakończył swój raport. - Na Stwórcę, złapaliśmy ich bez spodni i nakopaliśmy im w tyłek aż miło! Dobra robota, Ganhar, bardzo dobra!

- Dziękuję, Szefie. - Ganharowi coraz trudniej było zachować spokój; radość Anu przyprawiała go o mdłości.

- Co teraz? Wybrałeś już dalsze cele?

- Nie sędzę, byśmy tego potrzebowali, Szeffie - odparł ostrożnie. Na twarzy Anu od razu pojawiło się rozczarowanie, niczym u małego chłopca, któremu odmówiono trzeciej dokładki deseru. Mimo to mówił dalej.

- Wygląda na to, że trafiliśmy ich mocniej niż wskazują liczby. Od trzydziestu sześciu godzin, kiedy to do akcji wkroczyli ludzie Shirhansu, nie przeprowadzili żadnego ataku. Albo jeszcze się zastanawiają, albo już podjęli decyzję, Szeffie. Sędzę, że po czymś takim już się nie zdecydują z nami walczyć. A skoro tak, to czy musimy im zadawać jeszcze więcej ciosów?

- Racja - przyznał niechętnie Anu i popatrzył na swojego szefa ochrony. - Jantu? Jesteś taki cichy. Co ty o tym sędzisz?

- Sędzę, że powinniśmy im dać jeszcze parę razów - odparł tamten, lecz jego głos był cichszy niż dawniej. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo związek z Bahanthą go cieszył. Jej śmierć mocno nim wstrząsnęła, choć był to jeszcze gorszy cios dla jego ambicji, a sojusz Ganhara i Inanny był dla niego ogromnym szokiem.

- Ganhar ma rację, Szeffie. - Inanna popatrzyła zimno na szefa ochrony, jakby chcąc potwierdzić jego domysły. - Naszym prawdziwym problemem jest załoga „Nergala”. Zabicie większej liczby degeneratów jest bezcelowe, chyba, że chcemy otwarcie przejąć władzę.

- Nie - odparł Anu, kręcąc głową. - I tak źle się stało, że o nas wiedzą. Jeśli się ujawnimy, jest zbyt duże ryzyko, że stracimy kontrolę.

- Zgadzam się - powiedział cicho Ganhar, patrząc w oczy Jantu. - Obecnie degeneraci nie mają zielonego pojęcia, gdzie nas szukać, lecz jeśli się odsłonimy, to może się szybko zmienić. Nasze zaawansowanie techniczne nie czyni nas niezniszczalnymi. Istnieje więcej niż jeden sposób, aby się do nas dostać.

Jantu skrzywił się, widząc, jak Anu dołącza do wpatrującej się w niego dwójki. W końcu z raportów jasno wynikało, że od czasu powrotu do enklawy Ramman zachowywał się nienaturalnie, i gdyby Jantu był mniej wstrząśnięty faktem, że Ganhar i Inanna zmówili się przeciwko niemu, prawdopodobnie by to zauważył i zatrzymał go w celu przesłuchania. Tymczasem pozwolił, by sprawy wymknęły mu się z rąk, i to tak paskudnie, że Ganhar, jego największy rywal, zauważył coś i doprowadził do konfrontacji.

Szef wydziału operacyjnego ma wielkie szczęście, że jeszcze żyje, pomyślał złośliwie Jantu. Mimo statusu podejrzanego, Ramman jakoś dorwał pistolet energetyczny - było to coś, czego Jantu nadal nie mógł zrozumieć - ale Ganhar żyje tylko dlatego, że był szybszy. Przeklęty Ramman! Przynajmniej mógł zabić tego sukinsyna!

Niestety, nie zrobił tego, a Ganhar nie tylko ocalał własne życie, lecz jeszcze wykrył najpoważniejszą dziurę w systemie bezpieczeństwa w całej historii enklawy: skruszony szpieg,

który sam się przyznał, że pracował dla Horusa. To, że Horus kontaktował się z Rammanem, nie będąc przy tym wykryty, było winą Jantu, a nie Ganhara. Fakt, że nie zauważył zdrajcy, i Ramman omal nie zabił jego największego rywala, wskazywał na spisek, a nie zaniedbanie. Jantu wiedział, że Anu tak właśnie myśli.

- Może masz rację - przyznał teraz ze ściśniętym gardłem. - Lecz jeśli tak, co jeszcze możemy zrobić?

- Powinniśmy się upewnić, czy słusznie oceniamy ich reakcję - odparł zdecydowanie Ganhar. - Nasi najważniejsi degeneraci są bezpieczni pod tarczą, lecz ta banda z „Nergala” zniszczyła nasze siatki na zewnątrz. Niech reszta degeneratów zacznie je odbudowywać. To niemożliwe, by druga strona mogła to przeoczyć. Jeśli nadal mają dość odwagi, by stawić nam czoła, ruszą na naszych degeneratów, kiedy tylko odkryją ich obecność.

- To brzmi rozsądnie - zgodził się Anu. - Którą grupę chcesz wyrzucić na początek?

- Pilnujmy naszych ludzi w rządzie i przemyśle. - Ganhar osobiście sprawdzał powiązania wielu z nich i uznał, że między nimi nie ma kuriera Rammana. - Są zbyt cenni, aby ich narażać.

- Jeśli będziemy ich zbyt długo trzymać, tracą wiarygodność - wtrąciła Inanna. - Niektórym z nich już grozi utrata posady za uciekanie, kiedy robi się zbyt gorąco.

- Kilka dni nie zrobi wielkiej różnicy, a jeśli się mylimy, to opóźnienie pozwoli utrzymać ich przy życiu. Pamiętaj, jeśli ta banda z „Nergala” naprawdę ma odwagę ciągnąć to dalej, będą wiedzieli, w kogo celować.

Ganhar chciał wyciągnąć jeszcze poważniejsze argumenty, lecz się nie odważył. Inanna była teraz jego sojusznikiem, lecz jeśli domyśliłaby się, do czego tak naprawdę zmierza...

- Znów masz rację - powiedział wylewnie Anu. - Na Stwórcę, niemal szkoda, że Kirinal nie dała się zabić wcześniej. Gdybyś to ty wszystkim kierował, najprawdopodobniej nie zostalibyśmy zaskoczeni.

- Dziękuję, Szefie - słowa te były dla Ganhara niczym kość w gardle - lecz obstają przy swoim zdaniu, że nie można było przewidzieć, co tamci zamierzają zrobić. Mogliśmy tylko obserwować, z której strony wieje wiatr, i dopiero wtedy się odgryźć.

Dostrzegł błysk aprobaty w oczach Inanny, która lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że uderzył we właściwą strunę. Anu był teraz na fali, lecz wkrótce znów wróci do swoich tradycyjnych zachowań i wówczas bardziej niebezpieczna będzie jego zbyt duża kompetencja niż niekompetencja.

- Cóż, wykonałeś kawał dobrej roboty - powiedział Anu - a ja skłaniam się teraz do słuchania twoich rad. Zaczni od bojowników, ich i tak najłatwiej zastąpić.

Skinął głową na znak, że uważa spotkanie za skończone; cała trójka wstała i wyszła.

* * *

Ganhar poczuł z ulgą, jak włąz zamyka się za nim. Skinął głową Inannie, posłał Jantu zimny, niebezpieczny uśmiech i odszedł. Na razie jego pozycja jest bezpieczna, i jeśli się nie myli w swych rachubach, będzie musiała taką pozostać jeszcze tylko przez krótki czas.

Wydarzenia, które puścił w ruch - a raczej pozwolił im pozostać w ruchu - przerażały go, a mimo to czuł dziwną satysfakcję. Tak czy inaczej, doprowadzi do ostatecznego końca tę skomplikowaną grę w zdradę i kontrzdradę. Być może w ten sposób zdoła, choć trochę pozbyć się mdłości, które czuł od chwili, kiedy zastąpił Kirinal i zaczął kierować zorganizowanym morderstwem popełnianym na mieszkańcach Ziemi.

Będzie to gambit, który zakończy tę długą, daremną grę. Kosztowny, dopracowany podstęp, który sprawi, że wszystkie spiski i plany przyszłych tyranów obrócą się w pył. Kto wie, może nawet uda mu się to wszystko przeżyć.

Rozdział dwudziesty drugi

W hangarze „Nergala” było bardzo cicho. Pokład dowodze-; nia byłby zbyt mały dla tłumu, który się tutaj zebrał. Colin przyglądał mu się z uwagą. Byli tu wszyscy żyjący obywatele Imperium, lecz ich urodzeni na Ziemi potomkowie i sojusznicy znacznie przewyższali ich liczebnie. Być może tak właśnie powinno być. Być może to słuszne, by to, co zaczęło się jako walka między buntownikami Anu i lojalistami z załogi „Dahaka”, miało się zakończyć jako walka między tymi samymi rzeźnikami i potomkami tych, którzy zostali przez nich zdradzeni.

Siedział obok Jiltanith u podstawy szerokiej grodzi i zastanawiał się, jak reszta załogi „Nergala” zareaguje na wyraźne oznaki zmiany w ich wzajemnych stosunkach. W jej duszy były mroczne zakamarki, których pewnie nigdy nie zdoła zrozumieć, nie miał też pojęcia, dokąd ich to zaprowadzi, lecz wystarczało mu czekanie i obserwowanie rozwoju wypadków. Jeśli zwyciężą i przeżyją, będą mieli wiele czasu, by się tego dowiedzieć.

Do hangaru wszedł ubrany w swój nieskazitelny mundur marinę Hector MacMahan; towarzyszył mu śniady, całkiem przystojny młody mężczyzna w mundurze starszego sierżanta piechoty. Kiedy siadali po lewej stronie Jiltanith, w tłumie rozległy się szmery. Niewielu z nich miało dotychczas okazję spotkać Andrew Asnaniego, lecz wszyscy o nim słyszeli.

Horus poczekał, aż usiądą, po czym wstał i założył ręce do tyłu. Na to spotkanie zrezygnował ze swojej bluzy uniwersytetu w Clemson i po prośbach Colina po raz pierwszy od pięćdziesięciu tysięcy lat przywdział błękit Floty. Na jego kołnierzu błyszczała złocista gromada gwiazd, symbol kapitana Floty a nie jego dawna ranga jeszcze sprzed buntu. Ten fakt miał znaczenie dla wszystkich pozostałych buntowników, nawet jeśli nie do końca pojmowali jego sens. Colin widział, że jeden czy dwóch starych mieszkańców Imperium usiadło nieco bardziej prosto, a ich wzrok trochę się ożywił.

- Czekaliśmy na tę chwilę od bardzo dawna - powiedział cicho Horus, spoglądając na milczących słuchaczy. - Zapłaciliśmy za to - a jeszcze bardziej niewinni mieszkańcy tej planety - straszliwą cenę. Wielu zginęło, usiłując naprawić to, co zrobili, jeszcze więcej osób zginęło, usiłując naprawić coś, co zrobił ktoś inny. Ci ludzie nie mogą nas dziś zobaczyć, mimo to w jakiś sposób są tu dzisiaj z nami.

Przerwał i głęboko odetchnął.

- Wszyscy wiecie, co próbowaliśmy zrobić. Wygląda na to - a uprzedzam was, że to może być złudne wrażenie - iż nam się udało.

Przez hangar przeszedł szmer podobny do szumu wiatru wśród traw. Jego słowa nie były zaskoczeniem, mimo to widać było wielką ulgę... i jeszcze większe napięcie.

- Za chwilę Hector wprowadzi was w nasze plany, lecz jest coś, co chcę najpierw powiedzieć naszym dzieciom i naszym sojusznikom. - Rozejrzał się wokół; spojrzenie jego starych oczu było mroczne.

- Jest nam przykro - powiedział cicho. - To, co przeżywacie, to nasza wina, nie wasza. Nigdy nie zdołamy wam tego wynagrodzić, a nawet odpowiednio podziękować za ofiary, jakie wy, wasi rodzice i przodkowie ponieśliście dla nas, wiedząc, że jesteśmy oskarżani o tak wiele okropnych rzeczy. Niezależnie od tego, co się wydarzy, jesteśmy z was dumni... być może bardziej niż jesteście w stanie pojąć. Dzięki wam odzyskaliście wiarę w siebie; skoro mogliśmy odwołać się do pomocy ludzi tak wyjątkowych jak wy, być może naprawdę zostało w nas trochę dobra. Ja...

Głos mu się załamał. Przełknął ślinę, pokręcił lekko głową i usiadł. Zapadła cisza, cisza wspólnych emocji, zbyt głębokich, aby je wyrazić, po czym wszystkie głowy zwróciły się w stronę Colina. Pilot powoli wstał i odpowiedział im spokojnym spojrzeniem; był doskonale świadom, jak wyglądają dwie gwiazdy na jego kołnierzu.

- Dziękuję, Horus - powiedział cicho. - Żałuję, że nie zaliczam się do grona tych wyjątkowych osób, do których właśnie się zwracałeś, chyba że ktoś mnie zaadoptuje.

Przez chwilę patrzył w oczy Horusa, po czym odwrócił się do zebranych.

- Wszyscy wiecie, w jaki sposób objąłem stanowisko, które teraz piastuję, i jak wielu z was zasługuje na to bardziej ode mnie. Nie mogę zmienić tego, co się stało, lecz wszystko, co Horus powiedział, odnosi się również do mnie. To dla mnie zaszczyt was znać, a co dopiero otrzymać przywilej dowodzenia wami.

- Jest jeszcze coś. Nalegałem, aby Horus założył dziś mundur Floty. Opierał się, podobnie jak raz czy dwa razy wcześniej... - tak jak przypuszczała, wywołało to falę śmiechu - lecz nalegałem na to nie bezpodstawnie. Nasi obywatele Imperium przestali nosić swoje mundury, ponieważ czuli, że je splamili. Być może tak się stało, lecz ludzie Anu je zachowali, i to dopiero jest prawdziwy dyshonor. Pięćdziesiąt tysięcy lat temu popełniliście błąd, straszliwy błąd, lecz zrozumieliście, na czym on polega. I zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy, znacznie więcej niż można by od was wymagać, by to naprawić, a wasze dzieci, wnuki i sojusznicy walczyli i ginęli u waszego boku.

Znów przerwał i podobnie jak Horus, głęboko odetchnął. Kiedy znów się odezwał, jego głos brzmiał już bardzo oficjalnie, niemal szorstko.

- To wszystko prawda, ale w świetle regulaminu Floty jesteście przestępcami. Wiecie o tym i ja o tym wiem. Wie też o tym „Dahak”. A jeśli Imperium przetrwało, pewnego dnia centrala Floty też się o tym dowie, gdyż zgodziliście się poddać wymiarowi sprawiedliwości Imperium. Odnoszę się z szacunkiem do waszej decyzji, lecz w przededniu operacji, z której wielu z was może nie wrócić, sprawy tak dla was ważne, fundamentalne nie mogą pozostać nierozwiązane.

- Dlatego teraz ja, starszy kapitan Colin McIntyre z Imperialnej Floty Bojowej, oficer

dowodzący okrętem „Dahak”, numer kadłuba jeden-siedem-siedem-dwa-dziewięć-dwa, na podstawie uprawnień przekazanych mi na mocy regulaminu Floty, paragraf dziewięć-siedem-dwa, podpunkt trzeci, zwołuję w trybie nadzwyczajnym sąd polowy w celu osądzenia działań personelu okrętu pozostającego obecnie pod moim dowództwem w okresie, kiedy dowodził nim starszy kapitan Druaga z Imperialnej Floty Bojowej. Obejmuję kierownictwo sądu i mianuję siebie także jedynym jego członkiem. Co więcej, na podstawie regulaminu Floty, paragraf dziewięć-siedem-trzy, podpunkt je-den-osiem, wobec braku oficerów mających odpowiednie uprawnienia mianuję siebie także oskarżycielem i obrońcą.

- Załoga okrętu wojennego z napędem podświetlnym „Nergal”, numer kadłuba SBB-jeden-siedem-siedem-dwa-dziewięć-jeden-jeden-trzy, staje przed tym sądem oskarżona o naruszenie artykułów dziewiętnastego, dwudziestego i dwudziestego trzeciego kodeksu wojennego, to jest o wszczęcie zbrojnej rebelii przeciwko przełożonym, usiłowanie przejęcia okrętu i dezercję w okresie pogotowia wojennego, a w konsekwencji spowodowanie śmierci wielu członków załogi oraz porzucenie pozostałych na tej planecie.

- Sąd wziął pod uwagę zeznania oskarżonych i zebrane podczas własnej obserwacji dowody, jak również zapisy w dzienniku pokładowym wymienionego wcześniej okrętu wojennego „Nergal”. Na podstawie tych dowodów i zeznań sąd musi uznać oskarżonych winnymi wszystkich zarzucanych im czynów i pozbawić ich wszystkich stopni oraz związanych z tym przywilejów oficerów i personelu Floty Bojowej. A także, ponieważ za takie przestępstwa obowiązuje kara śmierci bez możliwości złagodzenia wyroku, sąd wydaje taki wyrok.

Przez hangar przeszedł szmer, lecz nikt głośno nie przemówił. Nikt nie mógł.

- Oprócz osób aktywnie biorących udział w buncie, w obecnej załodze „Nergala” są osoby będące wówczas małymi dziećmi lub urodzone ze związków członków załogi lub ich potomstwa, będące przez to również członkami załogi wspomnianego okrętu „Dahak”. Według ścisłej interpretacji artykułu dwudziestego, osoby te mogą być uznane za współników po fakcie, jako że nie usiłowały stłumić buntu i ukarać buntowników na pokładzie rzeczonoego „Nergala”, kiedy osiągnęły już dorosłość. W tym jednak przypadku w świetle obecnych okoliczności wszystkie oskarżenia przeciwko nim zostają odrzucone.

- Sąd pragnie jednak zwrócić uwagę na pewne okoliczności łagodzące odkryte w zapisach „Nergala” i pochodzące z własnych obserwacji sądu. Oskarżeni usiłowali, i to za cenę życia niemal siedemdziesięciu procent z nich, naprawić wyrządzone zło. Sąd pragnie też zwrócić uwagę, że dalsze działania tych buntowników oraz ich potomków i sojuszników odbywały się w duchu najlepszych tradycji Floty i przewyższały co do czasu trwania i zasięgu wszelkie znane przykłady poświęcenia dla służby, zapisane w archiwach Floty.

- Dlatego teraz, na podstawie artykułu dziewiątego konstytucji Imperium, ja, starszy kapitan

Floty, Colin Macintyre, jako najwyższy rangą oficer obecny na Ziemi, ogłaszam sam siebie gubernatorem planetarnym kolonii założonej na tej planecie. Jako gubernator zaś ogłaszam, na mocy artykułu dziewiątego, punkt dwunasty konstytucji Imperium... - przebiegł wzrokiem po pełnych napięcia twarzach - że wszyscy członkowie załogi okrętu wojennego o napędzie podświetlnym „Nergal”, numer kadłuba SBB - jeden-siedem-siedem-dwa-dziewięć-jeden-jeden-trzy, zostają za wyjątkowe zasługi dla Imperium i ludzkiej rasy ulaskawieni za wszystkie przestępstwa, i jeśli wyrażą ochotę, przywróceni do służby we Flocie Bojowej w stopniach nadanych przeze mnie jako oficera dowodzącego okrętem „Dahak”, numer kadłuba jeden-siedem-siedem-dwa-dziewięć-jeden. Orzeczenie zyskuje moc z chwilą obecną. Zarządzam także, by postanowienia sądu i oświadczenie gubernatora zostały natychmiast wprowadzone do bazy danych rzeczonoego okrętu wojennego „Nergal” i przesłane, najszybciej jak to możliwe, do bazy danych rzeczonoego okrętu liniowego „Dahak” w celu przekazania do centrali Floty w najbliższym możliwym terminie.

- Zamykam posiedzenie - zakończył.

Usiadł pośród głębokiej ciszy i odwrócił się, by popatrzeć na Horusa. Miał za sobą całe tygodnie bicia się z myślami i przyprawiające o ból głowy dni ślęczenia nad przepisami, by znaleźć właściwe paragrafy i precedensy. W pewnym sensie nie miało to żadnego znaczenia, gdyż zarówno dla rozbitków z północy, jak i z południa było jasne, że Imperium mogło już upaść. Lecz w innym, znacznie ważniejszym sensie to znaczyło wszystko... i choć tyle chciał uczynić dla ludzi, których Horus słusznie nazwał „wyjątkowymi”.

- Dzień... - Horus przerwał, by przełknąć ślinę - Dziękuję, sir - powiedział cicho. - W imieniu swoim i swoich towarzyszy.

W hangarze rozległo się westchnienie przypominające łkanie, a chwilę później wszyscy zerwali się na równe nogi. Ich okrzyki odbijały się od stalowych grodzi, uderzając w Colina jak pięścią, lecz w całym tym zgiełku słyszał tylko jeden głos szepczący mu do ucha.

- Dzięki ci, Colinie McIntyre - powiedziała cicho Jiltanith i mocno chwyciła go za rękę. - Tyś jest kapitanem - nieważne, jak się to stało - kapitanem dobrym i rozumnym. Oddałeś ojcu memu i rodowi ich dusze. Dzięki ci, dzięki z głębi serca.

* * *

Minęło trochę czasu, nim zapanował spokój; Colin czuł, że teraz to są jego ludzie, w każdym znaczeniu tego słowa.

W końcu wróciła pełna szeptów cisza. Na dany przez Colina znak wstał Hector MacMahan.

Oficer nie wyzbył się poczucia winy i smutku, jaki wywołały w nim doniesienia o cywilnych ofiarach operacji „Zasłona dymna”. Na jego twarzy pojawiły się nowe zmarszczki, a we włosach kolejne pasemka siwizny, lecz nie był odporny na uczucia, które przetoczyły się tak burzliwie przez hangar. Widać to było po jego oczach i wyrazie twarzy, gdy patrzył na zgromadzonych.

- No dobrze - powiedział cicho. - A teraz przejdźmy do rzeczy.

Od razu zapadła całkowita cisza.

Dotknął kilku klawiszy na ziemskiej klawiaturze podpiętej do konsoli i między podwyższeniem a pierwszym rzędem widzów pojawiła się szczegółowa holomapa. Zawisła jakiś metr nad pokładem, nachylona tak, by każdy mógł się jej uważnie przyjrzeć.

- Oto - powiedział MacMahan - enklawa południowców. To najlepsze dane, jakimi na ten temat dysponujemy, a mamy je dzięki Ninhursag. Poprosiliśmy ją tylko o kod dostępu, ale ona naraziła się na spore niebezpieczeństwo, by zebrać dla nas także inne informacje. Jeśli nam się uda, będziemy jej wiele zawdzięczać.

- Jak widzicie, enklawa mieści się w jaskini o szerokości niemal dwunastu kilometrów. Uzbrojone pasożyty tworzą zewnętrzny krąg ochronny. - Nacisnął jakiś guzik i małe holograficzne okręty rozbłysły na czerwono. - Nie są obsadzone stałą załogą i dopóki tak będzie, nie są dla nas groźne; jeśli się podniosą, „Dahak” powinien się z nimi z łatwością rozprawić.

- A to - kolejna grupa statków rozbłysła światłem, tworząc drugi krąg znacznie bliżej centrum jaskini - są transportowce, z którymi mogą być kłopoty. Mają na pokładach większą część ich ciężkiego sprzętu, choć Ninhursag nie była w stanie określić, jak jest rozmieszczony. Większość załóg mieszka na statkach, a nie w mieszkalnej części enklawy.

- Oznacza to, że zgromadzą się właśnie na transportowcach, kiedy odkryją, że są atakowani, i to z ich strony możemy się spodziewać najpoważniejszego kontrataku. Najprościej byłoby wdrzeć się do enklawy i odpalić bombę atomową, a potem szybko się stamtąd wynieść. Innym prostym rozwiązaniem byłoby dotrzeć do transportowców i rozwalić je, nim zrobią nam jakiś brzydki kawał. Najtrudniej jednak jest opanować okręty jeden po drugim.

Przerwał i popatrzył uważnie na słuchaczy.

- A my zamierzamy to zrobić właśnie w najtrudniejszy sposób - powiedział cicho, ale nie

usłyszał ani jednego pomruku protestu. - Z tego, co wiemy, wiele osób pogrążonych w śpiączce przyłączyłoby się do nas od razu, gdyby mieli taką możliwość. Właśnie tak zrobiła Ninhursag, i to ryzykując straszną śmierć w razie pojmania. Zaslugują na szansę opowiedzenia się po jednej lub drugiej stronie, kiedy walka się zakończy.

- Co więcej, będziemy ich potrzebować. To około pięciu tysięcy wyszkolonych i doświadczonych żołnierzy Imperium, którzy leżą w śpiączce na pokładach tych statków, a tymczasem zbliżają się Achuultani. Nie możemy liczyć na Imperium, choć postaramy się uzyskać od niego wszelką możliwą pomoc. W najgorszym razie jesteśmy zdani wyłącznie na siebie i mamy mniej niż dwa lata, by przygotować tę planetę, aby mogła samodzielnie się bronić, dlatego ci ludzie są nam rozpaczliwie potrzebni. Z tego samego powodu potrzebujemy też bazy technologicznej i urządzeń medycznych, które również znajdują się na pokładach tych transportowców, zatem użycie broni masowego rażenia nie wchodzi w grę.

- Według szacunków Ninhursag, na jednego naszego Imperialnego przypada dziesięciu tamtych, a taki paranoik jak Anu z pewnością rozmieścił w strategicznych miejscach broń sterowaną automatycznie. My mamy armię tysiąca ludzi, z których niemal wszyscy urodzili się na Ziemi. Nasi Ziemianie są wyszkolonymi wojskowymi i dysponują najlepszą ziemską i imperialną bronią, jaką możemy im dać, lecz nie mogą się równać z Imperialnymi, a w najlepszym razie walka będzie się toczyć w bliskim kontakcie, będzie twarda i zażarta. Nasze straty... - popatrzył na nich bez mrugnięcia - będą bardzo poważne.

- Będą bardzo poważne - powtórzył - lecz wygramy. Pamiętamy o wszystkim, co zrobili nam i naszej planecie, i skopimy im tyłki, lecz zamierzamy także brać więźniów.

Po tych słowach rozległy się głosy protestu, lecz uciszył je uniesioną dłonią.

- Weźmiemy jeńców, gdyż Ninhursag może nie być naszym jedynym sojusznikiem wewnątrz enklawy - zaraz wam to wyjaśnię - a także dlatego, że nie wiemy, jakie pułapki Anu przygotował, i będziemy potrzebowali przewodników. Zatem jeśli ktoś będzie chciał się poddać, pozwólcie mu. Zwołamy później sąd polowy i winni zostaną ukarani. - Ostatnie trzy słowa wypowiedział z przerażającym naciskiem, który ściał Colinowi krew w żyłach.

- Jest jeszcze coś, z czym zwracam się do naszych obywateli Imperium - powiedział MacMahan. - My, urodzeni na Ziemi, rozumiemy wasze uczucia lepiej niż wam się wydaje. Szanujemy was i kochamy, wiemy też, że będziecie dla przeciwnika głównym celem ataku. Nic na to nie poradzimy i nie możemy odwlec tej chwili, lecz kiedy to wszystko się skończy, będziemy was jeszcze bardziej potrzebowali. Każdego z was, Colina i wszystkich dzieci, więc nie narażajcie życia na próżno! Jesteście wyższymi oficerami, i jeśli Colinowi coś się stanie, dowodzenie „Dahakiem” spocznie na jednym z was. Pamiętajcie też, że pokonanie południowców to zaledwie pierwszy krok. Naprawdę ważni są Achuultani. Nie pozwólcie się zabić już teraz!

Colin miał nadzieję, że starzy Imperialni usłyszeli naleganie w głosie Hectora, lecz przypomniał sobie swoje wcześniejsze obawy, że rozbitkowie z północy nie są do końca zdrowi na umyśle. Mylił się, ale niezupełnie. To nie było szaleństwo, tylko fanatyzm. Przez tysiące lat znosili piekło na ziemi, aby dożyć tej chwili. Był przekonany, że nawet jeśli słyszeli i rozumieli, co mówi Hector i tak podejmą ryzyko, na które nie zdecydowałby się żaden chłodny, opanowany profesjonalista, i wielu z nich przy tym zginie.

- Oto, co zamierzamy zrobić - powiedział już spokojniejszym tonem MacMahan. - Pozostawimy „Nergala” tutaj, ze szkieletową załogą. Będzie nim dowodzić jeden wylosowany Imperialny, wspierany przez tylu Ziemiaków, by w razie potrzeby wyprowadzić okręt z powrotem na orbitę. Nie chcę prosić żadnego z was o pozostanie, ale nie mamy wyboru. Jeśli na południu wszystko zacznie się sypać, zniszczymy drani ładunkiem nuklearnym zdetonowanym wewnątrz tarczy, a to oznacza, że żaden z nas nie wróci.

Przerwał i pozwolił tym słowom wybrzmieć, po czym mówił dalej.

- W takim wypadku pozostali członkowie załogi wyprowadzą „Nergala” w kosmos, na spotkanie z „Dahakiem”. Okręt oczekuje was i nie będzie strzelał, dopóki będziecie się trzymać poza wyznaczoną przez kapitana Druagę strefą ostrzału. Zatrzymacie się w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów i przekażecie do pamięci „Dahaka” całą zawartość pamięci „Nergala”, włącznie z orzeczeniem starszego kapitana McIntyre’a i jego dekretem gubernatora planety o ułaskawieniu. Kiedy te informacje dotrą do „Dahaka”, znów staniecie się członkami załogi i Floty Imperialnej. Pamięć „Nergala” zawiera najlepsze informacje i wskazówki, jakie Colin i Rada byli w stanie zebrać, lecz to, co dalej zrobicie, zależy wyłącznie od was i „Dahaka”.

- Lecz to jest najczarniejszy scenariusz. Potraktujcie to tylko jako wyjście z sytuacji, która, jak sądzimy, nigdy się nie wydarzy.

- Pozostali zajmą wszystkie kutry i pojazdy bojowe, które zdołamy przygotować, i ruszają na południe w polu maskującym. Nie bierzemy myśliwców; w enklawie będą bezużyteczne, a co ważniejsze, będziemy potrzebowali każdego Imperialnego do obsługi pozostałego wyposażenia.

- Wejdziemy tędy, przez zachodnią bramę - powiedział i błysnęła kolejna część mapy. - Mamy kody Ninhursag, a nic nie wskazuje na to, by zostały zmienione. Ruszymy w tych kierunkach... - na mapie pojawiły się linie - drużynami przydzielonymi do poszczególnych środków transportu. Każda drużyna otrzyma własny plan działania i tyle informacji na temat terenu, ile tylko Ninhursag mogła zdobyć. Dostaniecie też jej osobiste kody implantów. Musicie bardzo uważać, żeby jej przez przypadek nie zabić. Chcemy tę damę zaprosić na ucztę zwycięstwa.

- Jeśli wam się uda dostać do środka za pierwszym razem, będzie świetnie. Jeśli nie, drużyny szturmowe postarają się, aby nikt nie opuścił transportowców, a przez ten czas rezerwa upora się po kolei ze wszystkimi punktami oporu. Mam nadzieję, że jeśli będą chciały ratować się

ucieczką, to nie wszystkie naraz, i „Dahak” będzie musiał zniszczyć tylko jeden czy dwa, nim pozostałe zorientują się, co się dzieje. Kiedy my będziemy w środku, a działający „Dahak” na zewnątrz, poddadzą się, jeśli została im choć odrobina zdrowego rozsądku.

- Dobrze. Oto ogólny - bardzo ogólny - zarys planu. Mój sztab przekaże go w szczegółach każdej grupie z osobna, a tuż przed wyruszeniem zorganizujemy ostateczną odprawę. Jest jeszcze coś, o czym powinniście wiedzieć. Powie o tym sierżant Asnani. Sierżancie?

Kiedy Andrew Asnani wstał i poczuł na sobie pełne energii spojrzenia zebranych, pożałował przez chwilę, że nie jest nadal Abu al-Nasirem, twardym, pewnym siebie przywódcą terrorystów, przyzwyczajonym do prowadzenia odpraw dla swoich ludzi. Usiłował mówić równie spokojnym tonem, jak pułkownik MacMahan.

- Chodzi o to - powiedział - że wewnątrz enklawy doszło do kilku nieprzewidzianych wydarzeń. Mówiąc dokładniej, wasz agent Ramman usiłował was zdradzić.

Widział, że zebrani patrzą po sobie zaskoczeni, lecz spokojnie mówił dalej.

- Nikt nie jest całkowicie pewien, co się stało, lecz w całej enklawie słyhać plotki, zwłaszcza wśród Ziemian. Oficjalnie Ramman został złapany przez Ganhara, szefa operacji, i przyznał się,

Że przez dziesięciolecia przekazywał wam informacje, by uzyskać prawo przejścia na waszą stronę, a potem zdobył broń i próbował ucieczki, lecz Ganhar okazał się szybszy i go zabił. To oficjalna wersja, lecz nie sądzę, by była prawdziwa. Niestety, nie wiem, jak wygląda prawda, mogę się tylko domyślać.

Odetchnął głęboko. Znał południowców, w pewnym sensie był jednym z nich i bardziej niż jego słuchacze był świadom znaczenia słów, które teraz padną.

- Być może - rzekł ostrożnie - przed śmiercią Rammanowi udało się przekazać pewne informacje Ganharowi. Nie wiedział więcej niż Ninhursag, lecz skoro ona się domyśliła, o co tu chodzi, on także mógł. Jeśli tak się stało, mogą na nas czekać w środku. - Słuchacze zauważyli, że powiedział „nas”, i jedna czy dwie osoby uśmiechnęły się do niego.

- Jednak nie wierzę, że tak będzie. Gdyby szykowali zasadzkę, obserwowaliby miejsce pozostawienia kodów i wiedzieliby, że nikt się nawet do niego nie zbliżył. Oczywiście mogli się zorientować, że istniał plan awaryjny, lecz uważnie ich obserwowałem i sądzę, że Imperialni uwierzyli w oficjalną wersję wypadków.

- Uważam - ciągnął, starając się wyrażać jak najbardziej precyzyjnie - że Ganhar powiedział Anu dokładnie to, co ten chciał usłyszeć. On wie, iż nadchodzimy, i celowo pomaga nam oczyścić drogę.

Znów przerwał, widząc niedowierzanie na ich twarzach, i wzruszył ramionami.

- Zdaję sobie sprawę, jak bardzo dziwnie to może brzmieć, lecz mam ku temu podstawy. Po

pierwsze, nim zaczęliśmy nasze ataki, Ganhar był w poważnych tarapatach. Jantu, ich szef ochrony, miał już w ręku nóż, i z tego, co wiem, wszyscy spodziewali się, że wbije go właśnie w jego plecy. Po drugie, Ganhar przejął kierowanie operacjami po śmierci Kirinial; jest nowy na tak wysokim stanowisku i wydaje mi się, że ten fakt jakoś na niego wpłynął. Abu al-Nasir był na tyle ważną osobą, że brał udział w kilku konferencjach z jego udziałem i Ganhar pozwalał sobie przy swoich „degeneratach” na nieco większą swobodę niż w obecności Imperialnych. To bardzo, bardzo nieszczęśliwy człowiek. Coś go gryzie. Nawet przed pojawieniem się wieści o Rammanie miałem wrażenie, że nie wkłada w swoją pracę całego serca.

- Musicie zrozumieć, że ich enklawa jest niczym terrarium z węzami w czasie karmienia. Różnica między nimi i tym, co zobaczyłem tutaj... to jak różnica między nocą a dniem. Gdybym był na miejscu któregoś z ich przywódców, co chwila oglądałbym się przez ramię, czy nie spadnie na mnie cios. Zmieszajcie odrobinę poczucia winy z taką długotrwałą, nękającą niepewnością, a otrzymacie obraz człowieka, który chce się stamtąd wydostać, i to nieważne jak.

- Nie mogę zagwarantować, że nie wejdziemy prosto w pułapkę, a jeśli tak się stanie, to właśnie na skutek moich ocen. Ale jeśli w ogóle dopuszczą nas do wejścia, znajdziemy się wewnątrz ich tarczy. Kapitan McIntyre przyjął moją propozycję i pozwolił mi osobiście nieść jedną megatonowych głowic nuklearnych.

Popatrzył im twardo i zdecydowanie w oczy.

- Nie mogę zagwarantować, że to nie jest pułapka - powiedział bardzo, bardzo cicho - lecz gwarantuję, że ta enklawa zostanie zniszczona.

* * *

Generał Gerald Hatcher otworzył drzwi do swego gabinetu w podziemnym punkcie dowodzenia i stanął jak wryty. Obejrzał się szybko za siebie, lecz żaden z siedzących przy biurkach oficerów i podoficerów nie zauważył jego zaskoczenia.

Odetchnął i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi, po czym podszedł do biurka. Nigdy nie widział tej długiej na dwadzieścia pięć centymetrów, prostokątnej skrzynki, która leżała na bibule. Zanim jej dotknął, bardzo uważnie obejrzał ją ze wszystkich stron. Mało prawdopodobne, by ktoś mógł tu przemycić bombę lub coś równie paskudnego; w ogóle trudno było cokolwiek tutaj przeszmugłować.

Zaczął wątpić w swoje pierwsze wrażenie, że skrzynkę wykonano z plastiku. Materiał o brązowej barwie miał metaliczny połysk; wieko zdobiła niczym herb dziwna trzygłowa istota.

Kiedy usiadł ciężko w swoim fotelu, dostrzegł między przednimi łapami smoka gromadę gwiazd. Wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął skrzynki, śmiejąc się z własnego przewrażliwienia.

Metal, uznał, przesuwając po niej palcami, choć to jakiś nieznan stop. Z boku znajdował się mały wypukły przycisk. Wziął głęboki oddech i nacisnął guzik; górna część pudełka otworzyła się z cichym kliknięciem.

Uniósł ostrożnie wieko i odłożył je na blat, po czym przyjrzał się wnętrzu. Na dnie znajdował się mały wyjmowany panel, a z boku trzy guziki. Zastanawiał się, co teraz powinien zrobić, po czym uśmiechnął się, widząc przymocowaną nad jednym z guzików tabliczkę z napisem „Nacisnąć”. Wzruszył ramionami i postąpił zgodnie z poleceniem. Nad skrzynką pojawiła się ludzka postać.

Hatcher nie był zbyt zaskoczony, widząc Hectora MacMahana. Pułkownik miał na sobie mundur połowy marines i kamizelkę kuloodporną, a na jego prawym ramieniu wisiała dziwnie wyglądająca duża broń z bębnowym magazynkiem. Miał teraz nie więcej niż dwadzieścia centymetrów wzrostu, lecz jego uśmiech był taki sam jak zawsze.

- Dobry wieczór, generale - powiedział głos Hectora, dopasowując się do ruchu ust na obrazie. - Zdaję sobie sprawę, że to dość niezwykła forma przekazu, lecz musieliśmy kogoś powiadomić o tym, co się dzieje, a pan jest jedną z niewielu osób, którym mogę bezwzględnie zaufać.

- Przede wszystkim proszę mi wybaczyć moje zniknięcie. Powiedział pan, żebym zniknął... - na maleńkiej jak u chochlika twarzy pojawił się uśmiech - więc tak zrobiłem. Mam świadomość, iż potraktowałem pana rozkaz zbyt dosłownie, lecz jestem pewien, że zrozumie pan dlaczego. Mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości przeproszę pana i wyjaśnię wszystko osobiście, lecz ponieważ może się to okazać niemożliwe, wysłałem tę wiadomość.

- A teraz powiem, co się działo w ciągu ostatnich kilku tygodni. Na razie proszę uznać, że istnieją dwa stronnictwa - nazwijmy ich kosmitami, choć nie jest to najlepsze określenie - które walczą ze sobą potajemnie od bardzo, bardzo dawna. Obecnie walka wyszła na zewnątrz, ale przy odrobinie szczęścia wkrótce się zakończy.

- Jak widać, wspieram jedną ze stron. Przepraszam, że wykorzystałem pana i pańskie zasoby, lecz było to niezbędne. Podobnie jak... - twarz Hectora przybrała nagle ponury wyraz - te wszystkie ofiary. Proszę uwierzyć, że żałujemy ich nie mniej niż pan i że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by ograniczyć ich liczbę. Niestety, nasi przeciwnicy nie przejmują się aż tak bardzo ludzkim życiem.

- Chcę poinformować pana, że zamierzamy rozpocząć operację, która, jak mamy nadzieję i wierzymy, okaże się rozstrzygająca. Zdaję sobie sprawę, że na podstawie raportów, zwłaszcza tych, które otrzymywał pan z Nowego Jorku, mógł pan dojść do wniosku, że przegrywamy. Jeśli mamy

szczęście, nasi przeciwnicy doszli do tego samego wniosku. A jeżeli tak się stało i dane naszego wywiadu są prawdziwe, niedługo staną się naszymi byłymi przeciwnikami.

- Niestety, wielu z nas zginie. Wiem, że nienawidzi pan takich określeń, jak „dopuszczalne straty”, lecz tym razem nie mamy wyboru. Jeśli wszyscy zginie, będzie to miało sens, o ile zabierzemy ich razem ze sobą. Może dojść do zamieszania na południu, i z przykrością muszę stwierdzić, że nie wiemy, jak bardzo tamci zinfiltrowali ziemskie rządy czy nawet nasze własne dowództwo. Wydaje mi się, że USFC jest czyste. Na dnie tej skrzynki znajdzie pan dysk. Prosiłbym, aby uruchomił go pan wyłącznie na własnym terminalu i nie podłączał do głównego systemu, gdyż zawiera nazwiska i stopnie ośmiuset wyższych oficerów i generałów w naszych i obcych siłach zbroiny, którym może pan absolutnie ufać.

- Chodzi o to, że kiedy zaatakujemy, ludzie popierający naszych przeciwników mogą dostać świra. Nie mam pojęcia, co zrobią, jeśli uświadomią sobie, że ich panowie zostali usunięci a poza tym, szczerze mówiąc, nie mamy tak dużych sił, by się nimi zająć. Ale pan może to zrobić, współpracując z naszymi sojusznikami, których dane znajdują się na tym dysku. Prosimy, by uczynił pan wszystko, co w pańskiej mocy, by kontrolować sytuację i zapobiec dalszym ofiarom i zniszczeniom, których być może da się uniknąć.

- Proszę uważać na swoje systemy komunikacyjne. Na dysku znajdzie pan instrukcje, jak dotrzeć do pozostałych przez sieć, która niemal na pewno jest bezpieczna. Dopóki nie porozmawia pan z nimi, proszę nie posługiwać się normalnymi kanałami łączności. A przede wszystkim proszę nie rozmawiać z żadnymi cywilami, dopóki nie zrealizujemy naszych planów.

- Nasz atak rozpocznie się za osiemnaście godzin od momentu, kiedy pan otrzyma tę wiadomość. Wiem, że to nie jest dużo czasu, lecz to wszystko, co mogłem zrobić. Kiedy będzie pan rozmawiać z innymi osobami z dysku, proszę im nie wspominać o ataku. Oni czekają, by omówić z panem „ogólny plan awaryjny”.

- Przykro mi, że pana w to wciągnąłem, Ger, lecz jest pan dobrym człowiekiem. Gdyby nie udało mi się wrócić, powiem, że służenie pod pańskimi rozkazami było dla mnie zaszczytem. Proszę pozdrowić Sharon i dzieci i uważać na siebie. Powodzenia, Ger.

Mały Hector MacMahan zniknął, a generał Gerald Hatcher jeszcze przez jakiś czas siedział i spoglądał na otwarte pudełko. Wreszcie wyciągnął rękę, by ponownie wcisnąć guzik i jeszcze raz odsłuchać wiadomość, lecz zatrzymał się. W świetle tego, co usłyszał, każda chwila była cenna.

Uniósł dno i wyjął komputerowy dysk, po czym obrócił się z fotelem i podpiął go do swojego terminala.

Rozdział dwudziesty trzeci

Hangar „Nergala” znów był pełen ludzi. Imperialni odróżniali się od swoich sojuszników czernią pancerzy bojowych; ich kończyny były wzmocnione urządzeniami do wykonywania skoków i serwomechanicznymi „mięśniami”. Byli obwieszani bronią, a spod hełmów wyzierały zacięte i ponure twarze.

Tylko nieliczni Ziemianie byli ubrani w czarne mundury imperialnych komandosów, które chroniły ich lepiej niż jakikolwiek ziemski pancerz. Inni mieli na sobie najlepsze pancerze, jakie były dostępne na Ziemi, choć w porównaniu z imperialną bronią były one nieco załosne.

Ich arsenał był taką samą zbiórką jak mundury. Wielu osobom wydano zmniejszone karabiny grawitacyjne, lecz tylko najsilniejsi mogli nosić lekkie karabiny energetyczne, takie, jakim posługiwał się Tamman w Teheranie i La Paz. Kilka grup woziło karabiny grawitacyjne na generatorach anty grawitacji jako broń załogową. Większość jednak dysponowała ziemskim orężem. Było trochę karabinów (ulepszenie pancerzy powodowało, że miały one znacznie lepsze uderzenie niż broń piechoty nawet sprzed kilku dziesięcioleci), granatniki, ciężkie ręczne karabiny maszynowe (te ostatnie również zamontowane na antygrawach) oraz wyrzutnie raket. Każdy miał na szyi gogle, produkt warsztatów „Nergala”. Zapewniały im niemal tak dobre widzenie, jak mieszkańcom Imperium, i co równie ważne, mogły „odczytywać” wszystkie imperialne implanty w zasięgu pięćdziesięciu metrów.

Horus, ku jego wielkiemu rozczarowaniu, został wylosowany i musiał pozostać na pokładzie „Nergala”. Miał ogromną ochotę się wykłócać, ale jednak tego nie zrobił. Pojazdy miały być wyladowane do maksimum, lecz mimo to nie mogły zabrać wszystkich ludzi, którzy chcieli się znaleźć w enklawie. Jego własna załoga składała się wyłącznie z najstarszych i najmniej zdolnych do walki Ziemian; Isis była zastępcą dowódcy. Dzieci i ci, którzy nie mieli żadnego przeszkolenia wojskowego czy kosmicznego, zostali starannie ukryci w miejscach strzeżonych przez wyszkolonych dorosłych, którzy nie dostali się do grup uderzeniowych.

Horus i załoga mostka obserwowali sensory i robili ostatnie testy sprzętu, gdy w hangarze pojawili się Colin i Hector MacMahan.

- Znacie nasz plan - powiedział cicho Colin - i wiecie, co macie robić; wiecie też, że żaden plan nie jest w stanie wytrzymać konfrontacji z wrogiem. Pamiętajcie o naszych celach i starajcie się jak najdłużej przeżyć. Jak powiedział Horus, tym razem idziemy na całość, i jeśli ktokolwiek w galaktyce jest w stanie to zrobić, to właśnie wy. Powodzenia i udanych łowów. Niech Bóg ma was w swojej opiece.

Już zaczął odchodzić, gdy zatrzymał go ochrypły głos MacMahana.

- Baczość! - krzyknął pułkownik i wszyscy wojownicy o ponurych twarzach strzelili obcasami. Był to pierwszy wojskowy wyraz szacunku dla Colina na pokładzie „Nergala”. Kiedy las rąk uniósł się w salucie, poczuł, że jego pierś robi się zbyt ciasna. Usiłował wymyślić jakąś stosowną odpowiedź, lecz nie mógł wykrztusić ani jednego słowa, więc po prostu odsalutował i szybkim ruchem opuścił dłonie.

Nie było żadnych okrzyków, kiedy podążyli za nim do czekających pojazdów, lecz kiedy wsiadał na prom, który miał pilotować, czuł się jak olbrzym.

* * *

Noc otulała zachodnią półkulę, po niebie przesuwał się okrągły Księżyc. Urządzenia ukryte głęboko we wnętrzu Księżyca obserwowały świat w dole. W przeciwieństwie do Anu, Dahak wiedział, gdzie patrzeć, dlatego natychmiast dostrzegł maleńkie, właściwie niewykrywalne błyski energii, gdy statki pomocnicze „Nergala” wyleciały w ciemność.

A więc stało się, pomyślał spokojnie. To jego kapitan prowadzi ten atak. Energia pulsująca w jego obwodach zbudziła broń, która milczała przez pięćdziesiąt jeden tysiącleci.

* * *

Grupa uderzeniowa kierowała się na południe. Nad południowym Pacyfikiem szalał silny sztorm, ale Colin cieszył się, że tak jest, i pociągnął swoich żołnierzy wprost w jego paszczę, kilka metrów nad piętrzącymi się wściekłymi grzywaczami.

Lecieli z szybkością nieco ponad dwóch machów, gdyż nie odważyli się rozwinąć pełnej prędkości. Wokół wciąż kryli się południowcy, dlatego schowali się w swoich polach maskujących w samym środku sztormu, świadomi, że „Dahak” czuwa nad nimi z góry. Za Colinem leciało pięć promów desantowych, lecz było ich zbyt mało, aby przetransportować wszystkich żołnierzy. Pozostałych wiozły kutry i dwie szalupy, a sześć ciężkich czołgów, którymi dysponował „Nergal”, unosiło się na własnych antygrawach. Czołgi budziły mieszane uczucia: każdy z nich uszczuplał i tak już niewielką załogę o dwóch Imperialnych, lecz siła ich ognia była niesamowita i jedynie bezpośrednie trafienie pociskiem nuklearnym było w stanie je zatrzymać. Horus i Colin celowo nie rozmawiali o tym z załogami, ale te sześć czołgów osłaniało dwanaścioro z osiemnaściora

obecnych na „Nergalu” dzieci Imperialnych. »

2Z południa dotarł do nich dźwięk aktywnych systemów skanujących, słaby, lecz nabierający intensywności. Po raz tysięczny Colin sprawdził ich pozycję; ocenił, że dotrą do tych skanerów już za dziesięć minut. Wziął głęboki oddech; jego głos w łączu był nieco ochrypły.

- Wahadłowce! - powiedział i mocno opancerzone i dobrze uzbrojone maszyny pomknęły z szybkością dziewięć razy większą od prędkości dźwięku.

* * *

Na pokładzie okrętu o napędzie podświetlnym „Osir” rozległ się alarm i kapitan inżynier Anu usiadł na łóżku.

Zamrugął wściekle, odganiając resztki snu, i jego twarz wykrzywiła się w grymasie. Te tchórzliwe dranie ośmielają się go atakować! Łącze neuralne pobrało gładko wszystkie dane i zobaczył sześć promów desantowych lecących w stronę enklawy. To niewiarygodne! Co oni sobie myślą?! Rozdepcze ich jak pluskwy!

Jego rozkaz pomknął ku automatycznym stanowiskom obronnym, drugi polecił pozostającym daleko myśliwcom porzucić osłonę i lecieć na pomoc enklawie, trzeci zaś uruchomił wszystkie alarmy pod tarczą.

* * *

- Nadchodzą! - mruknął Colin, mrużąc oczy, gdy w ciemności pojawiły się nagle rakiety i wiązki energii. Był to najbardziej ryzykowny moment całej akcji, lecz promy desantowe były na to przygotowane, a automatyczne systemy obronne znajdowały się poza główną tarczą.

Uruchomiły się flary i zagłuszacze komputerów obrony, ożywiły się też systemy broni kierowane przez siedzącego obok Tammana. Colin czuł, że mężczyzna pochyla się, jakby chciał skłonić swoich elektronicznych podwładnych do jeszcze większego wysiłku, lecz nie mógł poświęcać temu zbyt wiele uwagi - noc była pełna śmierci, a on był bardzo zajęty wykonywaniem wszystkich uników, jakie tylko przychodziły mu do głowy.

Stłumił jęk, gdy jeden z wahadłowców został trafiony i rozpadł się w kuli ognia. Hanałat i Carhana, pomyślał ze smutkiem, a wraz z nimi sześćdziesięciu Ziemiaków. Pocisk eksplodował

niebezpiecznie blisko drugiego wahadłowca; z sercem w gardle Colin obserwował, jak Jiltanith przedziera się przez kulę ognia. Warknęły karabiny energetyczne i jego pojazd zatrzęsł się, gdy pocisk otarł się o jego pancierz.

Ale Tamman już miał na to odpowiedź. Rakiety wystrzelone w stronę systemów obronnych leciały zbyt szybko, by mogły zostać zatrzymane. Od ich trafienia aż zatrzęsł się kontynent, a cały Płaskowyż Amerykański został skąpany w blasku. Inne promy również strzelały; ich rakiety ścigały się z innymi rakietami w locie ku celom, a karabiny energetyczne bezustannie szarpały ziemię. Wybuchy i dym, stopiony kamień i parujący lód, mordercze wiązki energii - oto, z czego składał się świat, gdy rozbitkowie z „Nergala” ruszyli do ataku...

* * *

Anu zapał radośnie, kiedy eksplodował pierwszy prom, po czym paskudnie zaklął, kiedy inne odpowiedziały ogniem i enklawa aż zadrżała od impetu uderzenia. Wbił się pospiesznie w mundur. Niech ich wszystkich Niszczyciel porwie! Jego urządzenia obronne są przeznaczone do powstrzymania ataku okrętu ważącego osiemdziesiąt tysięcy ton, ale nie desantu, a jego stanowiska ogniowe właśnie niszczone - niejedno po drugim, ale dwa lub trzy jednocześnie, a nawet tuzinami! Zaskoczyli ich, podeszli zbyt blisko, by użyć ciężkiej broni, zaś lekko opancerzona pierwsza linia właśnie płonęła.

Zbyt wiele lat minęło od czasu, kiedy ostatni raz widział, jak Imperium prowadzi wojnę, i już zapomniał, jak to wygląda.

* * *

Ninhursag wyszła spod prysznic, gwałtownym ruchem odgarnęła z oczu mokre włosy i zanurkowała w szyb transportowy niczym mokra wydra. Piwnica była tak zbudowana, by wytrzymać wszystko poza bezpośrednim trafieniem ładunkiem nuklearnym lub wypaczeniowym, a ona nie zamierzała sprawdzać, co się dzieje na zewnątrz, zwłaszcza że z takim samym prawdopodobieństwem mogła zostać zabita przez przyjaciela, jak i przez wroga!

Właśnie zamykała za sobą wzmacniane drzwi, kiedy do niej dotarło. Są tutaj! Udało im się!

* * *

- Prom dwa za mną! - warknął Colin i Jiltanith wystrzeliła z podszytych ogniem chmur. Zaszarżowali razem prosto na słabnącą linię obrony, podczas gdy ich towarzysze dalej masakrowali broń Anu. Tam! Latarnia przy wejściu!

Colin McIntyre głęboko odetchnął. Przy tej prędkości nie będzie można zmienić kursu, jeśli tarcza nadal będzie działać, nawet dysponując napędem grawitonicznym. Jego implant przekazał kod, który ukradła Ninhursag.

* * *

- Nie! - wrzasnął Anu w wybuchu furii, kiedy poczuł, że tarcza się otwiera. Przecież nie mogli zdobyć kodu! Ramman nie żyje, a żaden inny Imperialny nie opuścił enklawy!

A jednak go dostali. Bramy fortecy otworzyły się szeroko i dwa czarne promy wleciały zachodnim tunelem. Kamienne ściany lśniły od gorąca towarzyszącemu ich przelotowi.

* * *

- Do środka! - krzyknął Colin do swoich pasażerów. Promy trzęsły się i kołysały, zaledwie kilka metrów dzieliło je od rozbicia się o którąś ze ścian tunelu, lecz ani Colin, ani Jiltanith nie zastanawiali się nad tym. Mknęli do przodu, a zamontowane na przodzie ich pojazdów ciężkie baterie karabinów energetycznych wyły, niszcząc wszystko, co napotkały na drodze, nawet samo powietrze. Colin mknął w tej burzy, skąpany w jej blasku, niezwyciężony. Wewnętrzna brama, wykonana z imperialnej wzmacnianej stali, otworzyła się tak, jakby była z papieru.

Wpadli do enklawy, wyjąc silnikami nastawionymi na całą wstecz. Mknęli z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę,

2przebijając się przez drzewa w parku i niszcząc sekcje mieszkalne. Nieszczęśni ziemscy zdrajcy mieli zaledwie kilka sekund na uświadomienie sobie, że zbliża się śmierć, po czym budynki wybuchły i promy zatrzymały się pośród ruin, jakieś trzydzieści metrów od siebie. Ich pasażerowie byli lekko poobijani, lecz promy desantowe były przeznaczone właśnie do takich lądowań. Włazy

otworzyły się i żołnierze wybiegli na zewnątrz.

Jeden czy dwaj od razu padli, ale ogień, który ich powitał, był bardzo rozproszony. A więc to nie pułapka, pomyślał Colin. Nie ma pułapki!

Uruchomił uprząż do skoków i wystrzelił ponad stos dymiących zgliszczy, siejąc spustoszenie swoim karabinem energetycznym. Miał przeciwko sobie zaledwie garstkę uzbrojonych ludzi z ochrony. Odsłonił zęby w dzikim uśmiechu i rozwalił pierwszego pozbawionego pancerza wroga.

Z tunelu dobiegł przerażający huk i do enklawy wpadły następne dwa promy, a potem rozpętało się prawdziwe piekło.

* * *

Anu spadł na mostek „Osira”, gdzie było jego stanowisko dowodzenia, przeklinając swoich podwładnych za niefrasobliwość, która go zwiódła i kazała wyłączyć inne okręty. Zatrzymał się obok konsoli kapitana i uruchomił automatyczne systemy obronne. Nie są w stanie uporać się z inwazją, ale może, chociaż zdoła w ten sposób dać swoim podwładnym czas na włączenie się do walki.

W całej enklawie uruchomiła się ukryta broń. Chociaż Anu bardzo chciał, nie miał czasu wydać jej rozkazów, otworzyła, więc ogień do wszystkiego, co się ruszało.

* * *

Kiedy odezwały się alarmy, Ganhar wypadł z łóżka. Wątpliwości, strach i niepewność zniknęły w błysku triumfu. Roześmiał się dziko. No, szaleńcy! Zobaczymy, czy poradzicie sobie z tymi ludźmi!

Wyciągnął swój bojowy pancerz. Może zginąć, pomyślał spokojnie, a jeśli nie ma żadnego życia po śmierci, nigdy się nie dowie, dlaczego na to wszystko pozwolił. W tej chwili jednak nie miało to znaczenia. Nigdy nie lubił pozostawiać żadnego zadania niedokończonego.

* * *

Ostatni ocalały prom wpadł na rumowisko i wyrzucił swoje oddziały, które natychmiast zostały zaatakowane przez wiązki energii. Ziemianie nie potrafili wykryć ani systemów namierzających, ani broni, lecz na szczęście wykrywacze pancerzy ich Imperialnych zaraz się tym zajęły.

Colin niemal się rozplakał, widząc, jak Rohantha wspina się na słup, wystawiając się na strzały, i niszczy zawieszoną pod sufitem ciężką broń, aby nie posiekała na kawałki jej grupy Ziemian, a potem ginie.

Zaraz potem sam musiał uskoczyć przed wiązką energii, która przeleciała obok niego i wypaliła dwudziestocentymetrową dziurę w izraelskim spadochroniarzu. Już po chwili jego broń wyeliminowała automatycznego kata. Podczas gdy gnał ku okrętom, jakiś fragment jego umysłu usiłował sobie przypomnieć, jak się tamten spadochroniarz nazywał.

Trzy myśliwce Anu porzuciły maskowanie, pędząc przez niebo z maksymalną szybkością, aż wpadły na dziwną zbieraninę kutrów, szalup i czołgów, podążających w stronę enklawy. Ich systemy namierzające odnalazły cele, lecz pierwsza dwójka zniknęła w olbrzymich kulach płomieni, zanim zdążyła wystrzelić. Załoga trzeciej maszyny miała tylko czas, by spojrzeć z przerażeniem jeden na drugiego, gdy urządzenia powiedziały im, co się stało. To pociski ponadświatłne - przenoszone na okrętach - które mogą być wystrzelwane jedynie z próżni!

Twarz Anu wykrzywiła się w grymasie nienawiści i triumfu. Komputery dawały mu tylko przybliżony obraz tego, co się stało, lecz czuł, jak zbrojownie na pokładach transportowców ożywają i ich broń sieje śmierć.

Ale nagle jego radość zniknęła. Walka trwała nadal. Ci atakujący nie są ludźmi! To demony z najgłębszych piekieł Niszczyciela, pochłaniają kierowany na nich ogień i idą dalej!

* * *

Atakujący z „Nergala” wspięli się po rampie transportowca „Bislaht” i trzej żołnierze francuskiej piechoty morskiej wycelowali w zamek karabin maszynowy kaliber.50. Ich towarzysze przebiegli obok nich, podążając za Nikanem; chcieli dotrzeć do zbrojowni, zanim buntownicy z „Bislaht” wezmą broń.

Prawie im się udało. Kiedy wyskoczyli z szybu transportowego, zaledwie sześciu

buntowników miało na sobie pancerze. Nikan zaryczał wściekle, zabił dwóch i skoczył na pozostałych, ustawivszy swój karabin energetyczny na ogień ciągły. Padł trzeci z napastników, potem czwarty, lecz piąty zdążył przygotować broń i Nikan eksplodował fontanną krwi przy wtórce brzęku zużytych ładunków energetycznych. Stojący za nim komandos z SAS skosił jego zabójcę strzałem z karabinu grawitacyjnego.

W zbrojowni unosił się dym i zapach krwi. Ziemscy komandosi, pozbawieni dowodzącego nimi Imperialnego, skryli się tuż przy wejściu i zaczęli strzelać do wszystkiego, co się rusza.

* * *

Ganhar wyszedł z szybu transportowego w centrali służb bezpieczeństwa na pokładzie transportowca „Cardoh”. Jego podwładni wpadali na niego, biegnąc ku szybowi, a potem do zbrojowni, on zaś przedzierał się między nimi niczym Tytan.

I Biuro Jantu było puste; na ten widok poczuł krótki przypływ rozczerowania. Zaraz jednak otworzyła się wewnętrzna śluza i pojawił się Jantu, ściskając w dłoni pistolet energetyczny.

Ganhar uśmiechnął się, patrząc przez wzmacniany wziernik na widoczną w oczach Jantu panikę. Warto było, pomyślał chłodno. Warto było, choćby tylko dla tej jednej chwili.

Uniósł nieco swój karabin energetyczny i oszalały ze strachu Jantu zmrużył oczy, kiedy jego implanty rozpoznały Ganhara. W jednej chwili zrozumiał, co się naprawdę wydarzyło, kiedy Ramman przyszedł do szefa wydziału operacji.

- Przegrałeś - powiedział cicho Ganhar i jego karabin zasyczał.

* * *

Colin upadł na twarz, gdy ktoś w pancerzu rzucił się na niego. Przetoczył się i chwycił go za rękę, po czym rozpoznał, że to Jiltanith. Powód, dla którego go przewróciła, niemal natychmiast stał się jasny: nad jego głową właśnie przeleciała wiązka energii. Uniósł się na łokciu i rozejrzał. Ochroniarz bez pancerza składał się do drugiego strzału, kiedy karabin grawitacyjny Colina rozdarł go na kawałki.

* * *

Mimo dręczącego go niepokoju o Colina, „Dahak” czuł niemal radość. Jego skanery pokazywały, że rozbitkowie z północy dotarli do enklawy. Tak czy inaczej, tarcza wkrótce padnie.

Tymczasem zajął się szukaniem myśliwców Anu, które porzuciły maskowanie, by jak najszybciej dotrzeć na południe. Zlokalizował dokładnie każdego z nich, starannie wycelował pociski ponadświatłne i oddał jedną salwę.

Dwadzieścia dziewięć imperialnych myśliwców zostało zniszczonych w ciągu dwóch i siedemdziesięciu pięciu setnych ziemskiej sekundy.

* * *

Wielka jaskinia była pełna dymu i płomieni. Południowcy uzbrojeni w broń i pancerze szukali siebie nawzajem wśród koszmaru, który szalał dookoła nich. Było ich niewielu, ale

Wszyscy byli Imperialnymi i nawet bez pancerzy byli dla Ziemian bardzo groźnymi przeciwnikami. A raczej byliby, gdyby wiedzieli, co się dzieje.

Większość automatów Anu milczała, gdyż zagrażały obu stronom i od samego początku obie grupy walczących zajęły się ich likwidacją. Zdołały jednak spowolnić nieco atakujących, przez co jego ludzie mieli czas, aby się uzbroić. Na razie buntownicy Anu całkowicie stracili łączność tylko z „Bislahtem”, lecz na pokładach trzech kolejnych transportowców trwała walka, a sześć innych było otoczonych i ich włazy były pod intensywnym ostrzałem.

Na Niszczyciela! Kto by sądził, że degeneraci potrafią tak walczyć? Nawet garstka starych, zmęczonych życiem Imperialnych walczyła jak szaleńcy!

Anu skrzywił się, kiedy jego skany pokazały, jak pięciu Ziemian i trzech Imperialnych nagle wychyliło się zza płataniny blach jakiegoś wraku i zmiotło jego opancerzonych towarzyszy za pomocą broni będącej niewiarygodnym połączeniem ziemskiej i imperialnej technologii. Strzałki karabinów grawitacyjnych eksplodowały wewnątrz opancerzonych ciał, miotacz oblał ich płynnym ogniem, a ziemski rakiet przeciwpancerna cisnęła ostatnim z przeciwników sześć metrów do tyłu. Potem degeneraci schowali się z powrotem za osłonę i odeszli w poszukiwaniu dalszych ofiar.

To się nie mogło zdarzyć! Chociaż widział to na własne oczy, nadal nie mógł uwierzyć!

I wtedy nadszedł raport, na który czekał: załoga „Transhara” wreszcie uruchomiła swoje pojazdy. Znow się uśmiechnął, widząc, jak pierwszy lekki czołg sunie w stronę włazu na napędzie

grawitonicznym.

* * *

Andrew Asnani zatrzymał się, dysząc ciężko, i otarł pot z twarzy. Ogluszające wycie i odgłosy walki uderzały w niego jak pięść, lecz mimo całej grozy był to najśłodszy dźwięk, jaki zdarzyło mu się słyszeć. Dowodził, że nie wciągnął pułkownika i jego ludzi w pułapkę.

Wziął głęboki oddech, chwycił mocniej karabin szturmowy i zaczął okrążyć zrujnowany mur. Był w tej części enklawy, gdzie mieszkali terroryści Anu. Nie wiedział, jak się tutaj znalazł; być może z nawyku, a może było to coś innego...

Padł na ziemię, kiedy w dymie zamajaczyły jakieś postacie. To Ziemianie, nie Imperialni, gdyż gogle nie widziały ich implantów identyfikujących. Nie są to także jego ludzie, pomyślał ponuro, cofając się głębiej w cień zniszczonej ściany. Było ich co najmniej dwudziestu, wszyscy uzbrojeni, choć nie miał pojęcia, jak zdobyli broń. Nieważne. Stosunek sił był nieciekawym, więc postanowił pozwolić im odejść...

Lecz szczęście mu nie dopisało: szli prosto na niego. Poczul w ustach miedziany smak strachu. To nie fair! Dotarł tak daleko, tak wiele ryzykował, a teraz ma zginąć w przypadkowej walce z...

Jego umysł nagle zamarł, panika zniknęła. Przerwał próby wycofania się. Abgram! Człowiekiem, który prowadził grupę, był Abgram; to właśnie on zaplanował wybuch bomby w ciężarówce pięć lat temu w New Jersey.

Asnani wiedział, kto zabił jego rodzinę, a mimo to przez jedenaście miesięcy nie mógł nic zrobić, aby nie ujawnić siebie i nie zniszczyć operacji pułkownika MacMahana. Ale teraz, kiedy w jego uszach brzmiały grzmoty i krzyki, jego życie nie było już potrzebne, aby operacja się powiodła.

Wyrzucił częściowo zużyty magazynek i zastąpił go nowym. Terroryści zbliżali się, chowając się i wyskakując z cieni tak jak on. Nie był w stanie opuścić niepostrzeżenie kryjówki, zresztą za dwadzieścia sekund i tak go zobaczą. Dziesięć metrów. Pozwoli im podejść jeszcze dziesięć metrów...

Sierżant Andrew Asnani z armii Stanów Zjednoczonych wypadł ze swej kryjówki z bronią nastawioną na ogień ciągły.

Sześciu ludzi zginęło niemal natychmiast. Mężczyzna zwany Abgramem padł, krzycząc, i obserwował, jak jego towarzysze strzelają do człowieka, który go zranił, jak ich kule przebijają jego

kamizelkę i jak z ciała mężczyzny wypływa krew.

Ale była to ostatnia rzecz, którą Abgram zobaczył. Ostatnia krótka seria z karabinu Asnaniego rozbiła jego czaszkę na kawałki.

* * *

- Cholera!

Colin wyłączył sprzęt do skakania i zatrzymał się wśród splątanej zieleni, patrząc, jak lekki czołg nieprzyjaciela daje ognia. Długa wiązka energii przebiła dwoje szaleńczo uciekających ziemskich sojuszników Anu i coś, co kiedyś było fontanną, po czym uderzyła w postać w pancerzu. Rihani, pomyślał, jeden z inżynierów „Nergala”, lecz z ofiary zbyt mało zostało, aby się upewnić. Obserwował, jak czołg opuszcza się na gąsienicach dla lepszej stabilności, podczas gdy wokół eksplodują granaty i rakiety. Gruby pancerz i niewidzialna tarcza odbijały odłamki, a wieżyczka obracała się, szukając nowego celu. Wreszcie długa lufa działa energetycznego zwróciła się w jego stronę, złapał, więc Jiltanith za kostkę i pociągnął ją na ziemię.

Spod zniszczonego wejścia wyleciała błyskawica i czołg eksplodował. Potem do środka powoli wjechał jego zabójca, niski i masywny, i Colin z radości aż uderzył pięścią w ziemię.

Ciężki czołg z „Nergala” ruszył pewnie naprzód; baterie przeciwpiechotne i ciężkie karabiny grawitacyjne z górnego pancerza rozbłyskiwały ogniem.

Anu zaryczał z wściekłości, kiedy zniszczono czołg z „Transhara”, lecz jego gniew wzmógł się jeszcze, kiedy czołg wroga zajął pozycję, która obejmowała także rampę tamtego okrętu, i zamienił we wrak następny czołg, który usiłował nią zjechać.

Pod skraj tarczy czołgu potoczył się granat wypaczeniowy, lecz nic się nie stało. Obie strony miały włączone tłumiki niweczące działanie małego generatora hiperprzestrzeni. W innej sytuacji skorzystałaby na tym obrona, lecz teraz obserwował, jak przez bramę wjeżdża drugi czołg, potem trzeci... Nic ich nie mogło powstrzymać, jedynie bezpośrednio trafienie bombą atomową lub głowicą wypaczeniową albo jakiś okręt, który mógłby udzielić wsparcia. Tymczasem Anu dysponował tylko jednym działającym okrętem, a reszta załogi jeszcze nie zjawiała się na miejscu. To wyścig, pomyślał ponuro. Wyścig między personelem „Osira” i koszmarem, który im zgotuje załoga „Nergala”.

* * *

Ganhar zeskoczył lekko ze śluzy numer sześć na pokładzie „Cardoha”; jego sprzęt osłabił skutki skoku z wysokości dwunastu metrów. Tędy do „Osira”, pomyślał, wciąż dziwnie spokojny, jakby go tu w ogóle nie było. Tam powinien być Anu.

- Tam! - krzyknął Colin, wskazując w stronę „Osira”. - Czujesz, Tanni? Systemy działają, Anu musi być na pokładzie!

- Taaa - zgodziła się Jiltanith, po czym szybkim strzałem z karabinu energetycznego przygwoździła jakiegoś uciekającego południowca. Dzięki pancerzowi dorównywała siłą w pełni wyposażonym Imperialnym, a jej refleks... To trzeba było zobaczyć.

- Taaa - powtórzyła - ale nieprosto tam dotrzeć, Colin! - Nie, ale jeśli zdołamy...

- Nikt naszych pleców nie strzeże - ostrzegła.

- Wiem. - Colin rozejrzał się po zadymionym pobojuwisku; w okolicy było zaledwie kilku południowców, ale podejście utrudniały automaty przeczesujące teren.

- Spójrz na lewo - powiedział nagle. Kilka automatycznych karabinów nie działało, tworząc szczelinę w osłonie. - Sądysz, że przedrzemy się przez nią, nim nas usmażą?

- Nie wiem - odparła Jiltanith - ale spróbować mogę.

- Wiedziałem, że to ci się spodoba - wysapał, po czym ruszyli biegiem.

* * *

Hector MacMahan zrobił unik, a następnie strasznie zaklął, gdy karabin grawitacyjny przeciwnika cisnął w szaleńczym wirze poszarpanym pancerzem Darnu. Imperialny padł, a Hector posłał strumień strzałek w miejsce, skąd mógł paść strzał.

Opancerzony południowiec wychylił się i upadł. To nie była dobra wymiana, pomyślał wściekły MacMahan, prowadząc ocalałych członków drużyny. Darnu był wart setki południowców i nie był pierwszym Imperialnym, którego „Nergal” tej nocy stracił.

Może uda się odepchnąć tych drani dzięki czołgom i drużynom, które dostały się na pokład pozostałych transportowców i przeszkodziły w uruchomieniu kolejnych pojazdów. Mają szansę, nawet sporą, byleby tylko się ruszali...

Ostatni z kutrów „Nergala” wyleciał z tunelu i natychmiast eksplodował w powietrzu. MacMahan znów zaklął, a jego ludzie zaczęli biec, mocno pochyleni do przodu.

* * *

Ganhar rzucił okiem za siebie. Nie mógł rozpoznać implantów, które miały te dwie opancerzone postacie. Na Niszczyciela, za nimi pojawiła się trzecia! Gdyby wiedzieli, że to on ich tutaj wpuścił, powitaliby go jak sojusznika, ale przecież nie mogą tego wiedzieć, prawda? Poza tym on był bliżej „Osira” niż oni.

Dotarł do rampy i pognał pod górę, szukając osłony za kadłubem ze wzmocnionej stali, podczas gdy wiązki energii i strzałki z karabinów grawitacyjnych uderzały tuż za nim. Wskoczył do środka i przy wtórce klekotu zbroi wykonał przewrót, po czym płynnie zerwał się na nogi i pobiegł do szybu transportowego. Anu będzie na mostku.

* * *

Jiltanith i Colin dotarli na główną rampę w huraganowym ogniu z automatów; na szczęście ocalała broń nie mogła nachylić się pod takim kątem, aby ich trafić. Właz był otwarty i Colin przecisnął się pierwszy, Jiltanith podążyła za nim. Okazało się, że śluza jest pusta, a wewnętrzny właz także otwarty. Ruszyli ostrożnie do przodu.

Było tu znacznie ciszej, więc stuk opancerzonych stóp za ich plecami rozległ się głośniejszym echem. Obrócili się szybko, lecz był to jeden z nich - Geb. Jego pancerz był tak samo osmalony jak ich pancerze. Coś go trafiło w pierś tak mocno, że przebiło nawet biozmacniane żebra, lecz pancerz wytrzymał, ale Colinowi nie podobał się sposób, w jaki stary obywatel Imperium osłaniał lewy bok.

- Miło cię widzieć, Geb - powiedział, tłumiąc histeryczny chichot. Czuł, jak głupio brzmią jego słowa. - Naszła cię ochota na spacer?

- Póki nie idziemy pod górę - wy sapnął Geb.

- Jasne. Pilnuj naszych pleców, dobrze? - Geb kiwnął głową i Colin klepnął Jiltanith w opancerzone ramię.

- Znajdźmy Anu, Tanni - powiedział i ruszyli w stronę głównego szybu transportowego.

* * *

Ganhar wyszedł z szybu dwanaście pokładów pod mostkiem, gdyż szyb powyżej był nieaktywny. Było to jakieś zabezpieczenie, o którym nie wiedział. Nadal jednak były jeszcze kanały serwisowe, naparł więc na przełącznik jednej z grodzi, by otworzyć najbliższy kanał.

- Witaj, Ganhar. - Znieruchomiał i szybko rozejrzał się dookoła. Nie miała na sobie pancerza, a jej karabin energetyczny celował prosto w jego kręgosłup.

- Witaj, Inanno - odparł cicho, świadom, że nie zdoła odwrócić się tak szybko, by trafić ją z karabinu grawitacyjnego. - Sądziłem, że jesteśmy po tej samej stronie.

- Już ci mówiłam, że jestem bystrą dziewczynką. Mam własne pluskwy w biurze Jantu.

Ganhar przełknął ślinę. A zatem wszystko słyszała i wie, dlaczego on tutaj jest.

- Jestem w konflikcie tylko z Anu - powiedział. - Jeśli zdołam go usunąć, może pozwolą nam się poddać.

- To zły pomysł, Ganhar - odparła spokojnie Inanna. - Już ci to mówiłam.

- Ale dlaczego, Inanno? To przecież pieprzony świr!

- Ponieważ go kocham - odparła i wystrzeliła.

* * *

Colin i Jiltanith dotarli szybem najwyżej jak się dało; ktoś unieruchomił go powyżej pokładu dziewięćdziesiątego, wyszli więc, szukając innej drogi na górę. Colin stęknął cicho, gdy korytarzem przeleciała wiązka z karabinu energetycznego. Zanim zdążył odwrócić się tamtą stronę, druga wiązka z tej samej broni przecięła otwarty szyb. Minęła go o centymetry. Usłyszał warknięcie broni Jiltanith i zobaczył padającą na pokład postać bez pancerza.

- Jezu! - mruknął. - Ale było blisko!

- Taaa - odparła Jiltanith. - Sądzę, że nasza droga wiedzie tam, Colin. Albo mnie oczy mylą, albo na tamtym pokładzie dwa trupy leżą. Dumam, że pierwszy szukał Anu jako i my.

- Dumam, że chyba masz rację - mruknął.

Strzał Jiltanith trafił kobietę w sam środek tułowia. Straszny widok sprawił, że szybko odwrócił wzrok, jednak gdzieś w zakątku jego mózgu pojawiła się myśl, że kobieta kogoś mu przypomina. Znów na nią popatrzył - nie, nigdy jej nie widział. Zaczął skradać się pod ścianą, obchodząc dookoła poskręcaną opancerzoną postać, która leżała przed włazem.

- Ciekawe, kim on był? - mruknął, otwierając włącznik na oścież.

* * *

Geb wypadł z szybu i zatrzymał się na chwilę. Uznał, że jego żebra muszą być w naprawdę paskudnym stanie. Implanty tłumili ból, lecz miał trudności z oddychaniem, a do tego implanty pobierały tyle leków, że czuł się jakoś dziwnie. Lepiej nie zapuszczać się w te wąskie przejścia, Colin i Jiltanith potrzebują kogoś, kto będzie osłaniał ich tyły.

Przysiadł na piętach, usiłując nie myśleć o tym, jak wielu jego przyjaciół umiera na zewnątrz tego cichego okrętu, i popatrzył na leżącą obok niego martwą postać. Zastanawiał się, podobnie jak Colin, kim był mężczyzna i dlaczego inny buntownik go zabił. A potem spojrzął na martwą kobietę i znieruchomiał.

Nie, pomyślał. Błagam, Stwórco, obym się mylił!

Niestety, nie mylił się. Dobrze znał tę twarz; znał ją tysiąclecia temu, kiedy należała do kobiety o imieniu Tanisis. Pięknej młodej kobiety, żony jednego z jego najbliższych przyjaciół. Sądził, że zginęła podczas buntu, i opłakiwał ją, podobnie jak mąż... który na jej cześć nazwał swoją urodzoną na Ziemi córeczkę Isis.

A teraz, tyle lat później, Geb przeklinał Stwórcę, że tak się rzeczywiście nie stało. Żyła, pomyślał, przetrwała te wszystkie lata w śpiączce, młoda i piękna... tylko po to, by ją tak obrzydliwy sposób zamordowano, aby jeden z tych padlinożerców Anu mógł opanować jej ciało.

Wstał i z oczami pełnymi łez ustawił swój karabin energetyczny na szeroki rozrzut. Dziękował w modlitwie, że Jiltanith albo nie pamiętała twarzy swojej matki, albo nie przyjrzała się ciału zbyt uważnie. Ale już nie będzie mogła tego zrobić, gdyż Geb zamierzał oddać swojej przyjaciółce Tanisis ostatnią posługę. Nacisnął przycisk i wachlarz grawitonicznego zakłócenia starł poszarpane ciało z powierzchni ziemi.

* * *

Hector MacMahan rozglądał się uważnie. Sześć ciężkich czołgów „Nergala” nadal walczyło, a tylko jeden czołg południowców zdołał wyjechać z ładowni. Jego na wpół stopiony wrak zajmował przeszło dwieście metrów jaskini, rozsiewając gryzący, duszący dym, który z trudem przebijał się przez mgłę otulającą tę piekielną scenę.

Bardzo wielu naszych Imperialnych zginęło, pomyślał gorzko. Ich nienawiść do wroga oraz chęć obrony słabszych Ziemi drogo ich kosztowały. Wątpił, czy choćby połowa z nich jeszcze żyje, licząc nawet załogi czołgów. Ale dzięki ich ofierze załoga „Nergala” kontrolowała teraz całą zachodnią część enklawy i cztery z siedmiu transportowców umieszczonych po wschodniej stronie. Właśnie zamykali okrążenie, a Ziemianie przesuwali się ostrożnie pod osłoną ognia prowadzonego z czołgów.

Jeśli w ciągu następnej pół godziny nie zdarzy się nic złego, wygrają.

* * *

Colin pozwolił, by „mięśnie” jego ramion przejęły wysiłek związany ze wspinaczką, i skanując przestrzeń zmodyfikowanymi przez Dahaka implantami, ruszył w kierunku intensywnie szumiącego mostka. Był zaledwie jeden poziom pod nim, kiedy wyczuł broń automatyczną. Była osłonięta polem maskującym, lecz potrzebowało ono wielu napraw, a poza tym nawet w czasach swojej największej świetności nie stanowiłoby większej przeszkody dla jego implantów.

- Stój - mruknął do Jiltanith.

- Cożeś zwąchał?

- Pułapki i karabiny energetyczne - odparł, sprawdzając skomplikowany wzór zachodzących na siebie pół ostrzału. - Cholera, co za układanka. No dobrze...

Zdjął karabin grawitacyjny. Karabin energetyczny byłby znacznie lepszy, lecz korytarze były na to zbyt ciasne.

- Co czynisz?

- Wycinam nam drogę - odparł i nacisnął spust.

Huragan strzałek poleciał przejściem i wbił się we wzmacniane ściany, po czym strzałki eksplodowały. Wybuch spowodował, że zatrzęśły się skanery, wskaźniki ruchu i systemy namierzające; cała broń oszalała. W szybie nad ich głowami powstała szaleńcza mieszanka wybuchających

rakiet i wiązek energii.

* * *

Anu poderwał głowę, kiedy w jednym z szybów rozszalało się piekło. Jego automatyczne systemy obrony zostały uruchomione, lecz coś z nimi było nie tak. One nie strzelały w sposób kontrolowany, one strzelały... do siebie!

Szaleństwo trwało z pół minuty Colin ostrożnie trącił dymiące szczątki.,

- I po wszystkim. Właśnie zadzwoniliśmy do drzwi. Uważasz, że powinniśmy iść dalej?

- Chyba nie mamy wyboru.

- Bałem się, że to powiesz. Chodźmy.

Anu odwrócił się od konsoli; na jego twarzy widać było niemal odprężenie.

Bezczelność tego ataku przeważała szalę. Ciężkie czołgi go zaboląły, lecz teraz marzenie pięćdziesięciu tysięcy lat rozpadało mu się w dłoniach, a wszystkiemu byli winni ci pełzający zdrajcy z „Nergala”. To ich wina i jego własnych, pozbawionych charakteru podwładnych.

Ale jeśli mają przegrać, dopilnuje, by tamci również przegrali. Podeszedł spokojnie do fotela kontroli prowadzenia ognia, starannie dopasowując swój umysł do konsoli. Tak naprawdę powinien był postarać się o jakąś porządną bombę, lecz trudno, to musi wystarczyć.

Włączył system celowania, po czym się zawahał. Nie, zaraz. Niech najpierw wejdą tu ci, którzy znajdują się w szybie. Chciał, by przynajmniej jeden z tych drani wiedział, co stanie się z jego cennym zepsutym światem.

* * *

Colin pomógł Jiltanith wyjść z kanału i zatrzymał się z pobladłą twarzą. Boże! Ten sukinsyn uzbraja wszystkie dostępne główce!

- Chodź! - krzyknął i rzucił się w stronę mostka. Uderzył dłonią okrytą rękawiczką w przycisk awaryjnego otwierania drzwi i wpadł do środka. Wycelował karabin energetyczny w konsolę kapitana, lecz już w momencie, gdy przekraczał próg, poczuł, że ciężka łapa pola przechwytyjącego zacisnęła na nim żelazne palce. Zatrzymał się natychmiast, uwięziony w swojej własnej zbroi.

- Miło, że wpadłeś - usłyszał i odwrócił głowę wewnątrz hełmu. Przy konsoli prowadzenia ognia siedział wysoki mężczyzna z pistoletem energetycznym w dłoni. Nie wyglądał jak Anu, którego znali z zapisów, i miał na sobie błękitny mundur Floty z dystynkcjami admirała.

- To już koniec, Anu - powiedział Colin. - Równie dobrze możesz się poddać.

- Nie - odparł spokojnie mężczyzna. - Nie należę do tych, którzy się poddają.

- Wiem, do jakiego rodzaju ludzi należysz - rzucił z pogardą Colin, nie spuszczać wzroku z Anu, podczas gdy jego implanty obserwowały Jiltanith. Kobieta leżała na pokładzie i usiłowała przeczołgać się pod polem przechwytyjącym, lecz jej wzmocnione zmysły były gorsze niż jego. Uda się jej czy nie?

- Naprawdę? - zakpił Anu. - Wątpię. Żaden z was nie potrafił mnie zrozumieć, inaczej dołączylibyście do mnie, a nie próbowali ściągnąć mnie do waszego żalnego poziomu.

- Jasne. Odwaliłeś kawał świetnej roboty, co? Minęło pięćdziesiąt tysięcy lat, a ty wciąż tkwisz na tej małej planecie.

Wściekły Anu zaczął nastawiać głowice, ale po chwili przerwał i ześlizgnął się z fotela niczym wąż.

- Nie - mruknął. - Najpierw popatrzę, jak wrzeszczysz. Cieszę się, że jesteś w pancerzu. Minie trochę czasu, nim przepalę go tą sikawką, a ty będziesz to wszystko dobrze czuć. Zaczniemy od ramienia, dobrze? Jeśli zacznę od nogi, możesz się przewrócić, a wtedy nie będzie żadnej frajdy.

Podszedł bliżej i na czole Colina pojawił się pot. Jeśli ten drań podejdzie jeszcze trzy metry, zobaczy Jiltanith leżącą płasko na brzuchu. Zastanawiał się gorączkowo, co począć, a tymczasem Anu zrobił kolejny krok. I jeszcze jeden. Musi być jakiś sposób! Musi! Zaszli już tak daleko...

Zaraz! Anu był tak pewien siebie, że może nie zmienił...

Przywódca buntowników zrobił kolejny krok i wtedy Jiltanith uniosła swój karabin grawitacyjny. Jej pancerz otarł się o posadzkę tak delikatnie, że zwykłe uszy nie wychwyciłyby tego dźwięku, lecz Anu był Imperialnym. Obrócił się błyskawicznie, jego pistolet opadł i wystrzelił jak błyskawica.

To był jeden wielki koszmar. Pocisk z pistoletu Anu uderzył Jiltanith w plecy. Jej pancerz zaczął dymić, ale zdołała nacisnąć przycisk i wybuchowa strzałka trafiła Anu w prawą nogę, rozwalając ją na drobne kawałeczki na chwilę przed tym, zanim nad jej opancerzonym ciałem zaśniła migocząca korona zniszczonych ładunków.

Colin usłyszał krzyk kobiety. Karabin grawitacyjny wypadł jej z dłoni i ciało skrzyło się w paroksyzmie bólu, a jego świat zniknął w eksplozji wściekłości.

Tymczasem Anu upadł na pokład, krzycząc, ale jego implanty natychmiast przejęły kontrolę: stłumiły ból, zagoiły zniszczone tkanki i odpędziły mgłę szoku. Zajęło to jednak kilka cennych sekund, a przez ten czas implanty Colina - implanty oficera mostka - zażądały dostępu do

komputerów „Osira”.

Nastąpił elektroniczny wstrząs, po czym „Osir”, tak jak wcześniej „Nergal”, rozpoznał go, gdyż Anu nawet nie pomyślał, aby zmienić kody. Teraz patrzył na Colina z przerażeniem - nawet utrata nogi nie spowodowała takiego szoku - nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Nie ma już oficerów mostka! Zabił ich wszystkich!

Umysł Colina szybował między komputerami „Osira”, wyłączając pole przechwytyjące, lecz nienawiść i szaleństwo dodało Anu sił i jego rozkaz dotarł do kontroli prowadzenia ognia, uruchamiając kod detonacji.

Colin rozpaczliwie próbował zatrzymać proces, lecz znajdował się w niewłaściwej części elektronicznego mózgu okrętu, zrobił więc jedyną rzecz, jaką mógł: wyłączył całą sieć dowodzenia i wszystkie systemy na okrętu.

Anu wrzasnęła z wściekłości i jego pistolet znów warknął. Energia uderzyła Colina prosto w pierś, lecz pancierz wytrzymał i mężczyzna zdołał rzucić się w bok. Anu przesunął lufę, nie spuszczać z oczu uciekającego celu, lecz nie wiedział o poprawkach, jakie Dahak poczynił w implantach pilota, i źle ocenił jego szybkość. Colin uderzył w grodzie z łoskotem pancierza i stali, odbił się od niej i skoczył w stronę Anu. Buntownik ponownie krzyknął, kiedy opancerzona stopa przeciwnika zmieniła jego trzymającą pistolet dłoń w miazgę. Usiłował odskoczyć, lecz Colin już stał nad nim niczym demon. Wyciągnął ręce, chwycił Anu za ramiona i przekręcił je, łamiąc mu kości.

Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały: Anu - oszalałe z przerażenia i bólu oraz Colina - tak samo oszalałe z nienawiści i cierpienia. Pilot wiedział, że życie tamtego jest w jego rękach, lecz mu go nie odebrał.

Cisnął ofiarę w bok, ogarnięty wściekłością. Buntownik odbił się od ściany i jego połamane ciało osunęło się z kolejnym jękiem bólu na pokład. Tymczasem Colin podbiegł do Jiltanith i klęknął przy niej. Przez mocno uszkodzony pancierz nie widać było odczytów, uniósł więc ciało w ramionach i powtarzając jej imię, z rozpaczą wpatrywał się w szybę jej hełmu.

Wreszcie odetchnął z ulgą, gdy powoli otworzyła oczy.

- Tanni! Czy... Jak bardzo jesteś ranna?;

- U kaduka, jakby mnie słoń kopnął - mruknęła. - Chybam cała.

- Bogu dzięki! - wyszeptał, a ona się uśmiechnęła.

- Ano, dumam, że wiele On tu poczynił - powiedziała nieco mocniejszym głosem. - On lubo moja zbroja, alibo oba. Jeno ocaliwszy mnie, więcej już uczynić ten pancierz nie może, cny Colinie. Muszę z niego wyjść, skoro mam się ruszyć. Ten strzał upiekł serwoobwody.

- Chyba zwariowałaś! Sądziś, że pozwolę ci z niego wyjść?!

- Zatem jesteś tyranem - powiedziała, a on mocno ją uściskał.

- Ranga ma swoje przywileje, Tanni, a ja zamierzam wyciągnąć cię stąd w jednym kawałku!
- Jak chcesz - mruknęła z lekkim uśmiechem. - Co z Anu?
- Nie przejmuj się nim - odparł zimno.

Uniósł jej martwą zbroję do pozycji siedzącej, by mogła zobaczyć, co się stało z buntownikiem, po czym zajął się komputerami. Włączył samodzielny system diagnozowania i zaczął ostrożnie przesuwac się po unieruchomionym systemie prowadzenia ognia, aż doszedł do rozkazu detonacji, po czym odszukał następny obwód i go wyłączył. Wreszcie ponownie uruchomił główne komputery. Odwrócił się do Anu i popatrzył na niego lodowatym wzrokiem.

- Jak? - jęknął buntownik. Nawet jego implanty nie mogły całkowicie stłumić bólu połamanych kończyn. - Jak to zrobiłeś?

- Dahak mnie nauczył - odparł ponuro Colin, zaś Anu pokręcił głową.

- Nie! Nie, „Dahak” nie działa! Sam go zabiłem! - Na jego twarzy pojawił się ból całkowitej porażki, tłumiąc nawet fizyczny ból.

- Naprawdę? - spytał Colin z okrutnym uśmiechem. - Zatem to cię w ogóle nie poruszy.

Nachylił się nad połamanym ciałem i podniósł je, nie zważając na jęk Anu.

- Cóż czynisz? - spytała szybko Jiltanith.

- To, czego chciał - odparł Colin i ruszył przez mostek. Na jego rozkaz właz otworzył się z sykiem, odsłaniając kabinę szalupy ratunkowej. Rzucił Anu na główny fotel. Buntownik popatrzył na niego pełnym nienawiści wzrokiem, a Colin uśmiechnął się tym samym zimnym, okrutnym uśmiechem, kiedy jego neuralne łącza zaczęły z rozkazu kapitana programować kurs szalupy, wyłączając wszystkie możliwości jego zmiany.

- Chciałeś „Dahaka”, ty sukinsynu? No to teraz „Dahak” chce ciebie. Sądzę, że ucieszy się z tego spotkania bardziej niż ty.

- Nie! - wrzasnął Anu, kiedy właz zaczął się zamykać. - Nieee! Bła...

Właz zamknął się i „Osir” zadrżał, gdy szalupa została odpalona.

* * *

Błyszcząca rybka przebiła się przez tarczę enklawy i opuściła planetę, na której jej macierzysty okręt tak dawno temu wylądował. Zmieniła kurs, ustawiając się nosem w stronę odległego białego dysku Księżyca. Przerażony umysł jej pasażera daremnie bombardował rozkazy zapisane w pamięci komputerów. Szalupa nie zwracała na to uwagi, prąc w stronę innego okrętu, który opuściła wiele tysiącleci temu. Tymczasem systemy na pokładzie okrętu namierzyły intruza,

odnotowały jego pochodzenie i kurs. Nadany w złożonej przestrzeni sygnał pomknął do przodu, identyfikując jedyne pasażera szalupy.

Komputer obserwował, jak się zbliża, a w jego rdzeniu budziły się do życia rozkazy o priorytecie alfa. Dahak mógł wystrzelić już w chwili, kiedy zidentyfikował cel, lecz wstrzymywał się, czekał, pozwalając szalupie podlecieć bliżej. Jego obwody wypełniało ludzkie uczucie wyczekiwania.

Wreszcie szalupa dotarła do strefy śmierci wokół okrętu i wtedy spod krateru, który ludzie nazywają Tycho, wystrzelił długi na pięć tysięcy kilometrów strumień energii, zdolny zniszczyć nawet okręt rozmiarów „Osira”. Srebrna rybka zniknęła.

Na pokładzie ogromnego okrętu zwanego „Dahak” rozległo się ciche kliknięcie - to wyłączyły się systemy namierzające. Ogromne działo energetyczne z cichnącym wyciem zmniejszyło moc, jego błyszczący pysk szybko stygł. Potem zapadła cisza i pojawiło się kolejne ludzkie uczucie: uczucie spełnienia.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dwa miesiące po zdobyciu enklawy starszy kapitan Colin McIntyre z Imperialnej Floty Bojowej, oficer dowodzący okrętem „Dahak”, gubernator Ziemi i całego Układu Słonecznego, wysiadł z poduszkowca i odetchnął rześkim, czystym powietrzem jesiennego poranka w Colorado. W Centrum Sheperd zamarł normalny ruch. Jego kierowca z NASA wpatrywał się ze zdziwieniem we wznoszącą się przed nimi dumnie brązową wieżę z metalu. Okręt o napędzie podświetlnym „Osir” tkwił tu od tygodnia, czekając na Colina, lecz tydzień to za mało dla NASA, aby się do tego widoku przyzwycząić.

McIntyre poprawił czapkę i ruszył w stronę niewielkiej grupki ludzi stojących u podnóża rampy prowadzącej na pokład. Był wdzięczny, że pozwolili mu przez kilka chwil postać samotnie przed Pomnikiem. To była jedyna nazwa, jaką cokolwiek miał i prawdopodobnie mieć będzie, gdyż nic więcej nie było do dodania. Na lśniącym i idealnie gładkim czarnym bloku, który wznosił się przed Białą Wieżą na wysokość pięćdziesięciu stóp, wypisano nazwiska i planety pochodzenia wszystkich osób, które zginęły w walce z południowcami.

Była to długa lista. W niekończącym się szeregu nazwisk odnalazł dwa, których szukał.

SANDRA WONNE TILLOTSON, podpułkownik Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, Ziemia.

SEAN ANDREW MACINTYRE, Amerykańska Służba Leśna, Ziemia.

Jego brat i przyjaciółka znaleźli się w doborowym towarzystwie, pomyślał smutno. Najlepszym.

Podchodząc do grupki ludzi, usiłował odsunąć smutek na bok. Horus stał razem z generałem Geraldem Hatcherem, sir Frederickiem Amesbury i marszałkiem Wasilijem Czernikowem; to dzięki tym trzem osobom udało się utrzymać spokój na planecie, kiedy z Antarktydy zaczęły nadchodzić zadziwiające raporty. Kiedy przyjęto te fantastyczne opowieści za prawdę, obalono w ciągu jednej nocy niemal wszystkie rządy na świecie, ale Colin nadal nie miał pojęcia, jak tym ludziom udało się zachować coś, co nosiło znamiona jakiegokolwiek porządku, nawet z pomocą sojuszników „Nergala”.

- Horus. - Colin kiwnął przyjacielowi głową. - Wygląda na to, że zostawiam cię w dobrych rękach.

- Ja też tak uważam - odparł starszy mężczyzna z nieco smutnym uśmiechem.

Walkę przeżyło zaledwie jedenastu starszych obywateli Imperium; wszyscy oni postanowili pozostać na planecie, na której spędzili tyle lat swego długiego życia. Colin cieszył się z tego rozwiązania. Zasłużyli sobie po wielokroć na prawo do odlotu, lecz wydawało się, że jako ocalali

przodkowie ziemskiej gałęzi ludzkiej rasy najlepiej zadbają o ziemskie sprawy.

A sprawy Ziemi wymagały, aby ktoś się nimi pilnie zajął. Druga linia automatycznych stacji wyleciała w powietrze, co oznaczało, że zwiadowcy Achuultan są mniej więcej o dwadzieścia pięć miesięcy drogi stąd. Colin miał tyle czasu, by dotrzeć do Imperium, dowiedzieć się, dlaczego nie podjęto żadnych działań obronnych, wezwać pomoc i wrócić do Układu Słonecznego. Było to spore wyzwanie, a on szczerze wątpił, czy uda mu się temu sprostać. Nie pocieszał go również fakt, że na razie nikt nie odpowiedział na wiadomości, które „Dahak” wysyłał nieustannie od chwili, kiedy odzyskali z enklawy zapasowe łącza hiperkomowe.

Wyglądało na to, że aby znaleźć pomoc - o ile w ogóle jakaś pomoc była możliwa - trzeba było udać się do Imperium osobiście, a tylko „Dahak” mógł tego dokonać. Oznaczało to, że do czasu jego powrotu Ziemia będzie zdana wyłącznie na siebie.

Ale sytuacja nie była aż tak beznadziejna, jak by się mogło wydawać. Z zapisów „Dahaka” o poprzednich najazdach wynikało, że zwiadowcy Achuultan zawsze wyprzedzają główne siły o rok do osiemnastu miesięcy, a więc kiedy się zjawia, Ziemia nie będzie już całkowicie bezbronna. Z wyjątkiem „Osira”, wszystkie okręty o napędzie podświetlnym, jakimi dysponował „Dahak”, wylądowały na Ziemi wraz ze starymi myśliwcami oraz innymi pojazdami, które mogłyby podbić całą planetę pięć razy, i pozostaną tu, tworząc jądro obrony Układu Słonecznego.

Pozostawiono również dwie z czterech jednostek naprawczych Floty. Każda z nich była wielkim kosmicznym kompleksem przemysłowym, ważącym sto pięćdziesiąt tysięcy ton. Ich pierwszym zadaniem było zbudowanie generatora grawitacji, który zastąpił „Dahaka”, by uniknąć zakłóceń w takich miejscach, jak habitaty w punkcie Lagrange’a, nie wspominając już o takich drobnostkach, jak ziemskie przypływy. Po zakończeniu tego zadania zajęły się duplikacją samych siebie oraz produkcją rakiet, min, myśliwców i wszelkiej dostępnej broni. Zaprężnięto do tej pracy całe technologiczne i przemysłowe zaplecze, jakie Anu zgromadził przez pięćdziesiąt tysięcy lat.

Nie, Ziemia nie będzie bezbronna, kiedy Achuultani się zjawia, lecz potrzebna będzie także silna ręka, która poprowadzi świat Colina przez wyjątkowe zmiany, jakie go czekają. To będzie ręka Horusa.

Colin ogłosił się gubernatorem Ziemi, lecz nigdy nie traktował tego tytułu poważnie. Uznał to tylko za środek do oficjalnego ułaskawienia rozbitków z „Nergala”, lecz wkrótce stało się jasne, że to chwilowe posunięcie było tak naprawdę koniecznością. Minie wiele czasu, nim Ziemianie zaufają kolejnemu politykowi, a Hatcher, Amesbury i Czernikow od razu zgodzili się z Horusem: Ziemia potrzebuje jednej, niekwestionowanej władzy, inaczej jej mieszkańcy zajmą się walką między sobą, zamiast przejmować się Achuultanami.

Dlatego kiedy Colin, wspierany przez potencjał „Dahaka”, zaprowadził pokój, ogłosił się w imieniu Imperium gubernatorem planety i obiecał lokalną autonomię, większość ocalałych rządów

była bardzo szczęśliwa, że może na niego zwalić wszystkie swoje problemy. Wprawdzie Sojusz Azjatycki nadal mógł stwarzać kłopoty, lecz Horus i jego nowi wojskowi sojusznicy byli przekonani, że sobie z tym poradzą.

A kiedy już to zrobią, wszystkie siły wojskowe zostaną połączone (Colin był bardzo szczęśliwy, że będzie gdzie indziej, kiedy jego podwładni będą wcielać w życie tę decyzję), dlatego mianował Horusa gubernatorem w randze porucznika, a pozostałych dziesięciu ocalałych Imperialnych dożywotnimi doradcami imperialnymi, aby pomagali mu pilnować interesu, kiedy „gubernator” będzie w podróży.

W ten sposób, pomyślał z uśmiechem, Horus na pewno nie będzie się nudził na emeryturze.

Największy problem był z ocalałymi południowcami. Niemal wszyscy z wybudzonych ze śpiączki czterech tysięcy dziewięciuset trzech buntowników wystąpili o ziemskie obywatelstwo i otrzymali przydziały do sił rezerwy i gwardii. Colin przyjął stu do ponownej służby na pokładzie „Dahaka”, by zapewnić sobie doświadczony personel, lecz reszta miała pozostać na Ziemi. Ponieważ w chwili deklarowania swojej lojalności siedzieli pod imperialnym wykrywaczem kłamstw, czuł się w miarę spokojnie, zostawiając ich tutaj. Horus będzie miał na nich oko, a oni zapewnią mu trzon wyszkolonych, w pełni wyposażonych Imperialnych, zanim baza medyczna zmarłej Inanny dostarczy biotechnologię dla ziemskich obrońców planety.

Pozostało jednak jeszcze trzystu Imperialnych, którzy albo dołączyli do Anu z własnej woli, albo nie przeszli testu na wykrywaczu. Wszyscy oni byli winni buntu i wielokrotnego morderstwa. Zgodnie z imperialnym prawem, w takich sprawach mógł zapaść tylko jeden wyrok. Colin odmówił im prawa łaski i egzekucje trwały ponad tydzień.

Była to dla niego najtrudniejsza decyzja, lecz ją podjął. Nie miał innego wyjścia... a w głębi duszy czuł, że ten przykład - i wyraźne ostrzeżenie - utkwi w umysłach tych, których zostawiał na Ziemi, i to zarówno Imperialnych, jak i Ziemian.

A teraz odlatywał. Załoga „Dahaka” była stanowczo zbyt szczupła, dobrze jednak, że okręt w ogóle miał jakąś załogę. Jej trzon stanowili weterani z grupy szturmowej Hectora MacMahana, czternaścioro ocalałych dzieci z „Nergala” oraz czasowo ułaskawieni buntownicy, lecz oprócz tego dołączyła do nich spora część USFC i SAS, cała druga dywizja marines, dziewiętnasta dywizja spadochronowa armii rosyjskiej, pierwsza dywizja pancerna z Niemiec i japońska dywizja Sendai, a ponadto kilka tysięcy żołnierzy sił powietrznych i marynarki, wybieranych ze wszystkich krajów Pierwszego Świata. Ogółem było to niecałe sto tysięcy ludzi, lecz przy tak dużej liczbie pozostawionych na Ziemi pasożytów powinno wystarczyć. Wzięcie większej liczby osób na pokład mogłoby nadwerężyć zdolność „Dahaka” do dostarczenia im biotechniki i przeprowadzenia odpowiedniego przeszkolenia, zanim dotrą do granic Imperium.

- No to lecimy - powiedział Colin, otrząsając się ze swoich myśli. Wyciągnął dłoń, aby

pożegnać się z trzema wojskowymi, i uśmiechnął się do marszałka Czernikowa. - Sądzę, że mój nianu myślał. Sir.

- Pański nowy główny inżynier z dwoma zdrowymi rękami, towarzyszu gubernatorze - odparł ciepło Czernikow. - Nawet jego matka zgodziła się, że ta krótka nieobecność to tylko niewielka zapłata.

- Cieszę się - odparł Colin i odwrócił się do Geralda Hatchera. - Przepraszam za Hectora, lecz będę potrzebował dobrego oficera operacyjnego.

- I ma go pan, gubernatorze - odparł Hatcher. - Proszę jednak mieć na niego oko. Ma zwyczaj znikać, kiedy jest najbardziej potrzebny.

Colin roześmiał się i ujął dłoń Amesbury'ego.

- Przykro mi, że tylu żołnierzy SAS leci razem ze mną, sir Fredericku. Mam nadzieję, że nie będzie ich pan na razie potrzebował.

- To dobre chłopaki - rzekł sir Frederick - ale damy sobie radę. Poza tym gdyby wpadł pan znów w kłopoty, wyciągną pana... nawet pod rozkazami Hectora.

Colin uśmiechnął się i odwrócił do Horusa. Stary obywatel Imperium spoglądał na niego przez chwilę, po czym wyciągnął ręce i objął go, ściskając tak mocno, że jego wzmocnione żebra aż zatrzeszczały. Oczy starego człowieka błyszczały mocno, a Colin wiedział, że nie są całkiem suche.

- Uważaj na siebie, Horus - powiedział wreszcie przez ściśnięte gardło.

- Będę uważał. A ty i Tanni też uważajcie na siebie. - Horus uściśnął go po raz ostatni, po czym wyprostował się, trzymając dłonie na ramionach Colina. - Zajmiemy się planetą dla ciebie, gubernatorze. Można rzec, że mamy w tym pewne doświadczenie.

- Wiem. - Colin poklepał dłoń spoczywającą na jego ramieniu, po czym zrobił krok do tyłu.

Zabrzmiał gwizdek bosmański - będzie musiał porozmawiać z Dahakiem na temat jego niedawno odkrytego zamiłowania do obyczajów ziemskiej marynarki! - i jego podwładni stanęli na baczność. Odsalutował im krótko, po czym odwrócił się i wszedł po rampie, nie oglądając się za siebie, dopóki właz nie zamknął się za nim. Gdy tylko znalazł się w szybie transportowym, „Osir” uniósł się cicho w górę.

Kiedy pojawił się na mostku, jego oficer wykonawczy podniosła wzrok.

- Kapitanie - powiedziała oficjalnie i zaczęła, wstawać z fotela dowódcy, lecz ruchem dłoni kazał jej zostać na miejscu, a sam zajął stanowisko pierwszego oficera. Kiedy ekran zmienił barwę na ciemny granat i pojawiły się pierwsze gwiazdy, ukazał się błyszczący dysk kadłuba „Dahaka”, tym razem już nie ukryty za starym kamuflażem.

- Przykro ci, że ominęły cię pożegnania? - spytał cicho.

- Nie, mój Colinie - odparła równie cicho. - Jużem dawno się pożegnała. Tam moja przyszłość czeka.

- Przyszłość nas wszystkich - dodał. Pomknęli naprzód, poruszając się z niewielką jak na imperialne standardy prędkością. „Dahak” gwałtownie się przybliżał. Patrzyli na wielki symbol trójgłowego smoka, który znów widniał dumnie na pancerzu, lojalny ponad ludzkie wyobrażenie. Wyobrażenie większości ludzi, upomniał sam siebie Colin. Nie wszystkich.

Okręt rósł i rósł, ogromny i przygniatający. Na lądowisku numer dziewięćdziesiąt jeden otworzył się wąż i „Osir” wleciał do przypominającego jaskinię korytarza. Mostek wypełnił głos Dahaka wypowiadający prastarą formułę, znaną Colinowi z marynarki, w której służył.

Kapitan wchodzi na pokład.